

AUTORKA SERII FANTASY  
KRONIKI DZIEDZICÓW I SIEDEM KRÓLESTW

CINDA WILLIAMS CHIMA

The cover features a central illustration of a woman with long, flowing red hair and a matching hood. She is dressed in dark, practical-looking clothing with a sword tucked into a scabbard on her hip. The background is a dramatic, fiery landscape with orange and red hues, suggesting a scene of destruction or a volcanic environment. The overall mood is intense and epic.

ZAKLINACZ  
OGNIA

moondrive

CINDA WILLIAMS CHIMA

# ZAKLINACZ OGNIA

TEUMACZENIE DOROTA DZIEWOŃSKA

moondrive

KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału: *Flamecaster*

Copyright © 2016 by Cinda Williams Chima

Copyright © for the translation by Dorota Dziewońska

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Ozdobnik we wnętrzu książki: Katarzyna Haduch

Adiustacja, korekta, łamanie: Ewa Polańska Kropka

Cover art © 2017 by Alessandro Taini

Cover design by Erin Fitzsimmons

Adaptacja okładki na potrzeby wydania polskiego:

Eliza Luty, Katarzyna Haduch

ISBN 978-83-7515-427-6

moondrive

[www.moondrive.pl](http://www.moondrive.pl)



OTWARTE

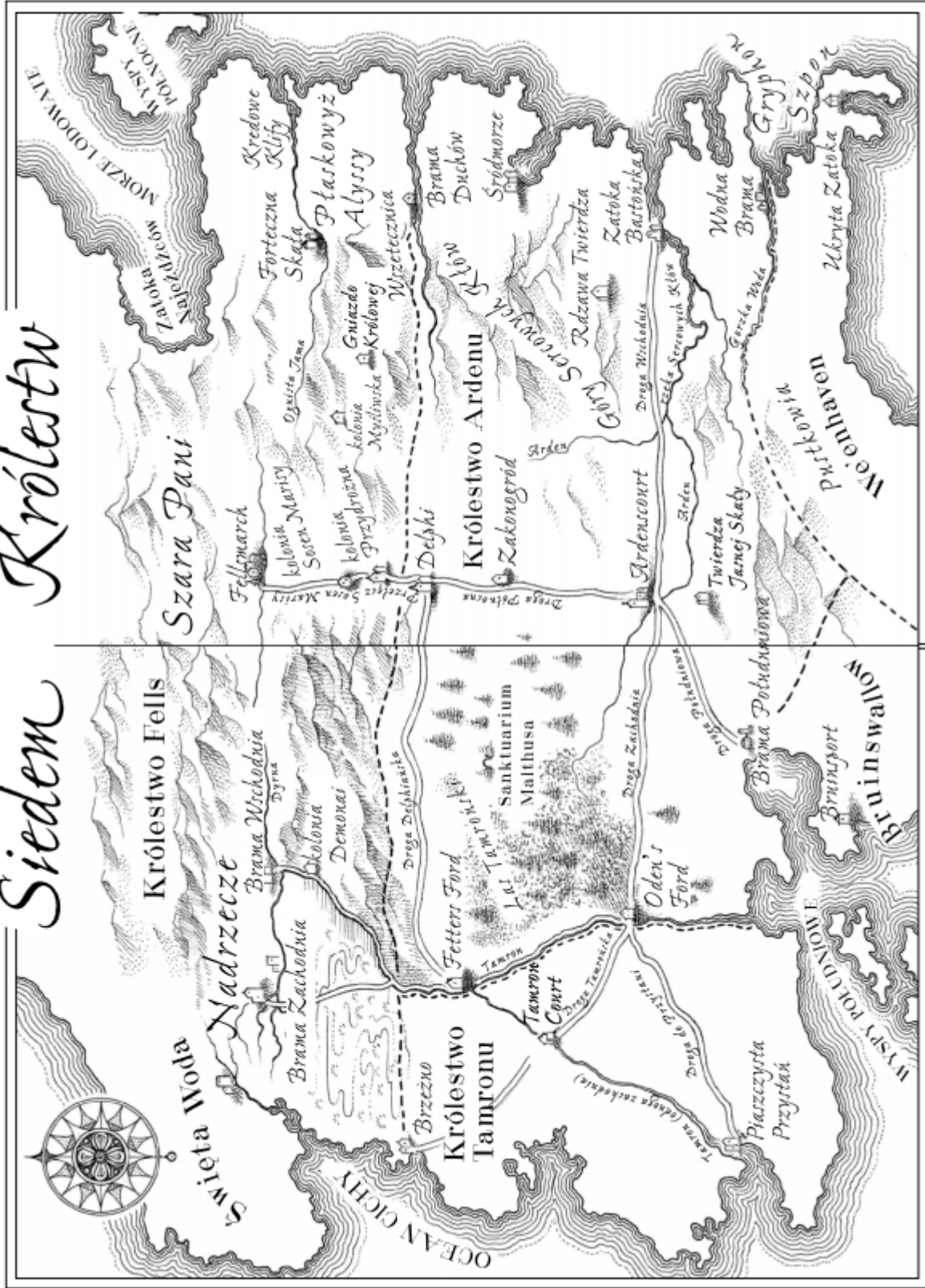
[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

*Tym wszystkim pisarzom,  
których sumienna praca wydała tak niezwykle owoce,  
że zakochałam się w czytaniu.  
To Wy wzniecaliście we mnie nadzieję,  
że kiedyś zostanę pisarką*

# Siedem

# Królestw



# 1

## UZDROWICIEL



Na zewnątrz panował mróz, a w stajni było ciepło i duszno. Z boksów dobiegały senne pomruki koni.

Adrian sul'Han ściągnął ocieplane rękawiczki i wsunął je do kieszeni. Najpierw poszedł zobaczyć, czy kuc jego ojca, najmłodszy z długiej linii Łachów, jeszcze jest w stajni.

Był na swoim miejscu, wystawiał głowę ponad drzwiami, jak zwykle dopominając się o smakołyki. To oznaczało, że ojciec nie wyjechał z miasta. W każdym razie jeszcze nie. Adrian musiał z nim porozmawiać.

Szedł wzdłuż boksów, by zajrzeć do srokatej klaczy. Ona wysunęła głowę, by go powitać, i z nadzieją obwąchała jego dłoń. Adrian przyglądał się jej uważnie. Oczy miała bystre, uszy skierowane do przodu, a gdy pogładził ją po szyi i grzbiecie, wyczuł, że mięśnie kłębu się wzmocniły.

Wsunął wolną dłoń pod pelerynę, chwycił za amulet i przesłał klaczy strumień mocy, chociaż wiedział, że może w ten sposób napytać sobie biedy. Dokładnie obejrzał miejsce, które wcześniej było rozgrzane do białości. Z ulgą zauważył, że infekcja już prawie ustąpiła.

Usłyszał za sobą charakterystyczne stąpanie i szuranie Mancy.

– Tak myślałam, że to ty, chłopcze – powiedziała, podchodząc do niego. – Przyszedłeś obejrzeć moją Priscillę? To naprawdę niezwykle, co zrobiłeś. Już myślałam, że ją straciłam, a tu popatrz, jest jak nowo narodzona.

– Właściwie to szukam taty i pomyślałem, że skoro tu jestem, zajrzę do Priscilli – odparł Adrian. – Nie widziałaś go?

Pokręciła głową.

– Nie dzisiaj, nie. – Przez jej twarz przemknął wyraz niepokoju. – Czyżby Wielki Mag się tu wybierał? Widzisz, jakoś dzisiaj wolniej się ruszam. Dopiero wyczyściłam boksy od frontu. Muszę jeszcze...

– Nie ma się czym przejmować. – Adrian uniósł obie ręce. – Tak tylko pomyślałem, że może wpadnie.

Mancy była żołnierzem przydzielonym do stajni na czas rekonwalescencji, po tym jak jeden z magów z obręczą królestwa Ardeny poważnie zranił ją w nogę. Teraz jej rana przyciągnęła uwagę chłopca. Widział, że nie goi się dobrze, i chciał poznać przyczynę.

W zasadzie wyczuwał wokół Mancy woń śmierci.

– Hej! Słyszysz, co mówię?

Dopiero po tych słowach zorientował się, że zadała mu pytanie.

– Przepraszam – powiedział, wracając myślami do rzeczywistości. – O co chodzi?

– Pytałam, czy mogę ją zacząć normalnie karmić. – W głosie Mancy zabrzmiał ton irytacji.

– Aha. Jeszcze dwa dni otrębów i może wrócić do dawnej diety – stwierdził. Niełatwo było zdobyć ziarno po ćwierćwieczu wojen. Nikomu w Fellsmarchu nie groziła otyłość.



– Opowiadałam o tobie Hughesowi z Zachodniej Bramy – oznajmiła Mancy. – Powiedziałam mu, że jesteś ledwie *lýtling*, ale potrafisz czynić cuda z końmi.

*Nie jestem lýtling*, pomyślał Adrian. *Może mój wzrost na to nie wskazuje, ale mam już trzynaście lat.*

– Jego koń ma ślepotę miesięczną. Jest coraz gorzej i prosił, żebym cię spytała, czy nie mógłbyś go obejrzeć.

Zachodnia Brama była oddalona o dwa dni drogi. Adrian miał nadzieję za tydzień opuścić miasto.

– Teraz nie mogę tam jechać, ale prześlę mu maść, która może pomóc – powiedział. Po krótkiej pauzie chrząknął. *Lýtling* uzdrowiciel mógł się nadawać dla koni, jednak... – A jak tam twoja noga?

Mancy się skrzywiła.

– Chyba dobrze. Rana się zasklepiła, a mimo to ciągle bardzo boli. No i jakoś nie mogę odzyskać sił. Już trzy razy byłam w infirmerii, ale nie chcą mnie tam przyjąć.

Kości obojczyka sterczały jej bardziej niż wcześniej, Adrian zauważył też, że dziewczyna opiera się o drzwi boksu, żeby nie upaść.

– Mógłbym na to spojrzeć?

Mancy zamrugnęła zaskoczona.

– Na mnie? To leczysz też ludzi?

Zdławił pierwszą odpowiedź, jaka mu się nasunęła.

– Czasami.

– No to dobrze. Rób, co chcesz. – Usiadła na odwróconym wiadrze i podwinęła nogawki spodni. Kiedy dotknął jej nogi, wzdrygnęła się jednak. – Nie będziesz... nic robił, co?

– W jakim sensie?

– Że rzucisz zły urok albo coś. – Doliniarze bali się czarowników i mieli ku temu powody.

– Tylko obejrzę, dobrze?

Rana była zrośnięta, skóra napięta i rozpalona, noga nabrzmiała aż do kostki. Adrian przesunął po niej palcami, mrużąc zakłęcie, i zauważył, że infekcja dotarła już do kości. Widywał to już wcześniej u koni i zawsze kończyło się ich zabiciem.

Podniósł wzrok na Mancy, przygryzając wargę. Nogę trzeba było odciąć, ale wiedział, że ona nie posłucha trzynastoletniego czarownika.

– Mancy, musisz natychmiast to komuś pokazać. Wracaj do infirmerii i poproś o Titusa Gryphona. Nie pozwól, żeby cię skierowali do kogoś innego, i nie daj się odprawić z kwitkiem. Powiedz mu, że ja cię przysłałem i że musi obejrzeć twoją nogę. Idź natychmiast.

Mancy patrzyła na niego zdezorientowana.

– Teraz? Ale teraz muszę wyczyścić...

– To może poczekać – przerwał jej Adrian. – Jeśli chcesz, porozmawiam z Jarrettem. – Masztalerz był mu winien przysługę.

– Nie, nie trzeba. – Dziewczyna głośno przełknęła ślinę. – Powiadomię go, gdzie jestem. Skoro naprawdę uważasz, że muszę iść już teraz.

– Musisz. – Położył dłoń na jej ramieniu, by ją uspokoić. – Będzie dobrze.

Gdy Mancy poszła do Gryphona, Adrian wrócił do poszukiwań ojca. Chłód, który ogarnął go po wyjściu ze stajni, wydawał się silniejszy niż wcześniej. Od strony Gór Duchów wiał z hukiem silny wiatr, rozrzucając po ziemi strzępy roślin – pozostałości po niedawnych uroczystościach Przesilenia.

Adrian bardzo, bardzo potrzebował zgody ojca, zanim porozmawia o swoich planach z mamą królową. Jego tata, Wielki Mag, nie podchodził do przestrzegania reguł tak sztywno jak ona. Przykładem była zasada, że czarownicy mogą otrzymać amulet, dopiero kiedy skończą szesnaście lat.

Chłopiec sięgnął do swojego amuletu, jak robił kilkanaście razy dziennie, i poczuł charakterystyczny przepływ energii. Czarownicy stale emanowali magiczną energią. Amulety gromadziły tę moc, aż uzbierało się jej tyle, że można ją było wykorzystać. Bez amuletu magia rozpraszała się i marnowała. Adrian otrzymał ten używany amulet od taty dwa lata temu, w jedenasty dzień imienia, wraz z przemową na temat wszystkich strasznych rzeczy, które mogą się wydarzyć, gdyby go nadużył lub wykorzystał w złych celach.

Od tej pory amulet w kształcie łowcy zawsze wisiał na szyi Adriana. By umiejętnie z niego korzystać, trzeba było dużo ćwiczyć. Adrian najczęściej robił to z tatą, gdy ten był w domu, a jeśli go nie było, to z którymś ze starannie dobranych przyjaciół rodziny. W tym momencie jednak to wszystko było bez znaczenia. Jego starsza siostra, Hana, nie żyła, młodsza siostra, Lyss, była pogrążona w bezdennej rozpacz, on sam zaś musiał wydostać się z miasta.

Jeżeli taty nie było na terenie podzamcza i jeśli nie wyjechał, to musiał być gdzieś w mieście. Prawdopodobnie w Łachmantargu albo Południomości. Adrian ruszył w stronę targu.

Nazywać to miejsce „targiem” w tych czasach było sporą przesadą. Zaraz po Przesileniu stragany ziały już pustkami, oferowano jedynie nie pierwszej świeżości warzywa korzeniowe, które trzymano aż do tej pory, żeby uzyskać jak najwyższe ceny. Ojciec Adriana twierdził, że przypomina mu to ciężkie czasy za panowania królowej Ma-

rianny, kiedy stale brakowało żywności. Albo oblężenie Fellsmarchu przez Arden, kiedy to organizowano konkursy na nowe przepisy z wykorzystaniem otrębów.

*Ciężkie czasy wróciły*, pomyślał Adrian, *o ile w ogóle kiedykolwiek odeszły*. Podczas Przesilenia rodzina królewska jadła dziczyznę dzięki kuzynom z górskich kolonii. Gdyby nie to, byłyby tylko skwarki i kołacz jęczmienny (mało skwarków, dużo otrębów z jęczmienia).

Zresztą oni i tak nie myśleli o jedzeniu. To było pierwsze przesilenie zimowe od śmierci Hany.

Targ wokół niego się budził: najpierw piekarze, sprzedawcy żywności i handlarze ryb. Potem sklepy ze starociami, gdzie sprzedawano używane, przebrane już wyroby (wszystkie rzekomo wytwarzane przez górskie klany). To był rodzinny teren jego taty. Kiedyś rządził tą dzielnicą jako herszt gangu Łachmaniarzy.

Adrian przyciągał uwagę, kiedy szedł przez targ. Rude włosy i aura czarownika sprawiały, że łatwo było w nim rozpoznać syna Hana Alistera. Dzisiaj było gorzej niż zwykle – przy każdym kroku czuł na sobie wiele spojrzeń, w dodatku dreszcze na karku świadczyły o tym, że ktoś go potajemnie obserwuje. Uznał, że wzbudza takie zainteresowanie, bo zjawiał się tu pierwszy raz od śmierci Hany. W chwili tej tragedii przebywał bowiem w górskich koloniach.

Zapytał o ojca przy kilku straganach. Nikt go nie widział, ale wszyscy przekazywali życzenia, by nowy rok był pomyślniejszy od starego.

Już miał zrezygnować, kiedy dotarł do targu kwiatowego, gdzie handlarze właśnie rozpakowywali towary. Tam ujrzał ojca: stał tyłem do Adriana i targował się z jedną z kwiaciarek, młodą dziewczyną w stroju klanu Demonai.

Jego tata był w zwyczajnym ubraniu, które nosił podczas przechadzek po mieście, ale nie dało się pomylić z nikim innym tych szerokich ramion i niedbalej, przygarbionej postawy ciała. Na plecach miał miecz, co w mieście pełnym żołnierzy nie było niczym niezwykłym.

Jego włosy lśniły w łagodnym zimowym słońcu, teraz już bardziej srebrne niż złote. Amulet nosił co prawda w ukryciu, lecz jego samego otaczała aura, którą rozpoznawali wszyscy czarownicy. Tutaj, na terenie, z którego się wywodził, był dla mieszkańców Hanem „Bransoleciarzem” Alisterem, nisko urodzonym bohaterem, który został Wielkim Magiem. Strategiem, który stale przechytrzał ardeńskiego króla. Był dawnym ulicznym złodziejem – ich dawnym złodziejem – który poślubił królową.

Kwiaciarka, zarumieniona i rozdygotana z powodu wizyty takiej osobistości w jej sklepie, układała kwiaty w miedzianym wiaderku, pragnąc jak najlepiej je wyeksponować.

Adrian przysuwał się do ojca, słuchając, jak ten targuje się z dziewczyną. W końcu Wielki Mag wybrał czerwone lisie uszka, białe lilie i niebieskie serdeczniki, a do tego kilka łądzynek nagietków i panieńskich pocałunków.

Kwiaciarka owinęła je w papier i podała mu. Kiedy sypnął jej na dłoń garść monet, próbowała je zwrócić.

– O nie, mój panie, nie mogłabym. Tak bardzo wam współczuję. Czasem widywałam księżniczkę w górskich koloniach. Pędząca Wilczyca była... była dla mnie zawsze miła.

Pędząca Wilczyca to klanowe imię Hany.

Ojciec Adriana zacisnął palce dziewczyny na pieniądzach i spojrzał jej prosto w oczy.

– Dziękuję – powiedział. – Wszystkim nam jej brakuje. Ale ty tak czy inaczej musisz zarabiać na życie. – Ukłonił się i obrócił, zamiatając za sobą peleryną.

Dziewczyna spoglądała za nim, wyraźnie bliska łez, przytrzymując włosy, by nie rozwiewał ich mroźny wiatr.

W tym momencie ojciec zauważył Adriana.

– Ash! A to niespodzianka! – zawołał, używając przydomka, które bardzo lubił. A-S-H zamiast Adrian su’Han. – Jak myślisz – zapytał niemal z zawstydzeniem – spodobała się mamie?

– To zależy, w jakich jesteś tarapatach – odparł chłopiec, co wywołało blady uśmiech na twarzy ojca. Obaj rozumieli, po co były te kwiaty i dlaczego tata Adriana znalazł się na targu akurat tego dnia.

Starsza siostra Adriana, Hanalea ana’Raisa, księżniczka następczyni tronu, poniosła śmierć sześć miesięcy temu, podczas letniego przesilenia, w potyczce przy granicy z Tamronem. Wyglądało na to, że zginęła jako ostatnia z oddziału, wcześniej zabiwszy sześcioro ardeńskich błotnistych. Jej wierny kapitan Simon Byrne poległ u jej boku.

Ardeński generał Marin Karn odciął jej głowę i podarował swojemu królowi. Król Gerard zaś nakazał paradować z nią przez okupowane królestwa, a potem przysłał ją królowej matce w ozdobnej szkatule.

Hana miała zaledwie dwadzieścia lat. Była złotym dzieckiem, w którym w idealny sposób połączyły się uroda, spryt i urok ojca ze zdolnościami przywódczymi i mediacyjnymi matki. Już po kilku minutach od wejścia do sali panowała nad wszystkimi tam zgromadzonymi. Była symbolem nadziei, obietnicą, że linia Szarych Wilków przetrwa.

*Jeśli Stworzyciel jest dobry i wszechmocny, myślał Adrian, to dlaczego na to pozwolił? Jaki okrutny żart losu sprawił, że duży oddział Ardeńczyków znalazł się na terenach przygranicznych, na których*

od niemal roku nie było żadnych walk? A przede wszystkim: dlaczego Hana? Czemu nie Adrian? Ona była następczynią tronu, a on tylko zbędnym elementem w strukturze rodziny królewskiej.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał tata, obejmując go ramieniem. Nigdy się nie wstydził publicznie okazywać uczuć. – Kupujesz czy sprzedajesz?

– Chciałem z tobą porozmawiać. Na osobności.

Ojciec przyjrzał mu się uważnie.

– A więc sprzedajesz, jak rozumiem – stwierdził. – Mam teraz trochę czasu. Chodźmy na śniadanie i pogadamy.

## OKRUTNY MRÓZ



Udali się do Oberży Pasterskiej na placu targowym. Adrian nigdy jeszcze nie był w tym miejscu. Oczywiście wszyscy tutaj znali jego ojca. Karczmarka poprowadziła ich do najlepszego stolika przy palenisku i postawiła przed nimi parujące kufle cydru.

– Tak mi przykro, lordzie Alisterze – powiedziała, rumieniąc się ze wstydu. – Mamy tylko owsiankę ze skwarkami, ale za to chleb jest dzisiaj świeży.

– Mam ochotę na owsiankę – oświadczył tata Adriana i poprosił o dwie miski. Ostrożnie położył bukiet, oparł miecz o ścianę, przewiesił pelerynę przez oparcie krzesła i usiadł. Zawsze siadał twarzą do drzwi, tak jak to robił, gdy żył na ulicy.

Wyglądał na zmęczonego. Cienie pod oczami były widoczne mimo opalenizny. Stracił też na wadze podczas tej długiej pory kampanii wojennych. Adrian z trudem oparł się pokusie chwycenia taty za rękę, by ocenić jego stan.

– Tato – rzekł. – Jesteś...?

– Nic mi nie jest – przerwał mu ojciec i pociągnął duży łyk cydru. – To ciężki okres dla nas wszystkich.



– Ale teraz znowu wyjeżdżasz. – Adrian obiecywał sobie, że nie będzie się mazgał, w tej chwili jednak poczuł, że wytrwanie w tym postanowieniu nie przyjdzie mu łatwo.

Ojciec przygarbił się i spojrzał na chłopca z poczuciem winy.

– Twoja mama od tygodnia codziennie widzi wilki. Stanie się coś złego. Muszę się dowiedzieć, co to takiego i jak temu zapobiec.

Królowe z rodu Szarych Wilków miały takie wizje w czasach niepokojów i zmian. W wilczych postaciach przybywały do nich ich poprzedniczki – dawne władczynie Felis – przynosząc przestrozę.

– A skąd możesz wiedzieć, jak temu zapobiec, jeśli nie wiesz, co to jest? – Wilki pojawiały się już przed śmiercią Hany, ale i tak doszło do tej tragedii. Dla Adriana takie mętne ostrzeżenie było gorsze niż jego zupełny brak.

Na stole pojawiła się parująca owsianka z obiecanyymi skwarkami ułożonymi na pokaz na wierzchu. Kiedy karczmarka odeszła, tata Adriana powiedział:

– Myślę, że atak na drużynę Hany był czymś więcej niż zwykłym przypadkiem. Podejrzewam, że to ona była celem napaści.

– Skąd wiedzieli, że to ona? Skąd mogli wiedzieć, gdzie ona jest?

Ojciec pochylił się nad stolikiem.

– Prawdopodobnie ktoś ich powiadomił. Arden chyba ma szpiega wśród nas.

– Niemożliwe – stwierdził Adrian z przekonaniem. – Kto by zrobił coś takiego? Wszyscy ją kochali. I dlaczego Arden obrałby za cel akurat Hanę? Była następczynią tronu, wiem, ale czy nie więcej sensu miałyby zaatakowanie generał Dunedain?

– Nie, jeżeli celem jest złamać serce twojej matce – odparł jego ojciec. – Kapitan Byrne i Shilo Przecierająca Szlaki brali udział w nie-

jednej walce. Z tego, co wiemy, to nie była zwykła drużyna, tylko cały pluton. Hana była sprytna i umiała walczyć, ale nie zdołałaby wykończyć ponad pół tuzina Ardeńczyków, nim sama poległa... chyba że nie chcieli jej zabić, tylko pojmać żywcem. – Rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. – I jeszcze coś – dodał po chwili. – Wygląda na to, że tę śmiertelną ranę sama sobie zadała. Może zrozumiała, że nie ma szans uciec, i przebiła się własnym sztyletem.

Adrian poczuł się tak, jakby i jemu wbito nóż w serce.

– Zabiła się?

– A co ty byś zrobił na jej miejscu? – tata odpowiedział mu pytaniem.

Chłopca przeszył dreszcz. Co do tego jednego wszyscy byli zgodni: Hana miała szczęście, że nie trafiła żywa do Ardencourt, do lochów okrutnego króla Ardeny, Gerarda Montaigne'a. Jej śmierć była dla wszystkich wielkim ciosem, ale znacznie gorzej byłoby, gdyby przy tym cierpiała z rąk tego okrutnika.

Ojciec rozgrzebywał łyżką skwarki.

– Tanowie naciskają na Montaigne'a, żeby to zakończył. Od dwudziestu pięciu lat poświęcają swoich ludzi i pieniądze, a nie mają z tego prawie żadnych korzyści. Może król Ardeny przyjął nową taktykę: atakować rodzinę królewską. Pamiętaj, że tu chodzi o osobistą urazę. Twoja mama publicznie odrzuciła jego zaloty.

Adrian znał tę historię. Królowa odmówiła oddania swojego królestwa w zamian za małżeństwo z królem Ardeny.

– Ale to było dwadzieścia pięć lat temu – zaprotestował. Nie chciał dopuścić takiej możliwości. – Potem ożenił się z kimś innym, prawda?

– Nie doszukuj się w tym rozsądku. Montaigne to dumny, okrutny brutal, przyzwyczajony dostawać to, czego chce. Najbardziej żałuję, że nie zadźgałem tego drania, kiedy miałem ku temu okazję.

Adrian spojrział na twarz ojca i dostrzegł rzadko pojawiający się na niej ślad bezwzględnego herszta gangu, którym kiedyś był. Po chwili jego tata przesunął dłonią po twarzy, jakby chciał zetrzeć wszelkie dowody istnienia tamtej osoby.

Ciarki przeszły chłopcu po skórze. Miał wrażenie, że czuje dłoń Stworzyciela dotykającą cienkiej nici, która łączy życie ze śmiercią.

– No to co możemy zrobić?

– Jeśli uda nam się zidentyfikować tego, kto zdradził Hanę, to już będzie jakiś początek – odpowiedział mu tata. – Jeden z naszych informatorów dotarł do kogoś, kto twierdzi, że coś wie. Mam się z nimi niedługo spotkać w Południomości.

Dzwony świątyni na targu oznajmiły kwadrans, przypominając im, że czas mija.

– No dobrze. – Ojciec położył dłonie płasko na stole. – O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Adrian wypił łyk cydru, by dodać sobie odwagi.

– Wiesz, że już dwa razy z rzędu latem pracowałem jako uzdrowiacz w klanach. I jak tylko mogę, pomagam kawalerii górskiej.

– Słyszałem. Gdyby to zależało od Iwy, wzięłaby cię na czeladnika na cały rok. Nie jest już taka młoda jak kiedyś, a w porze kampanii wojennych zawsze brakuje uzdrowicieli. Ale generał Dunedain nie pozwoliłaby na to. Ona by chciała, żebyś objął stałą opieką stajnie wojskowe. Gdziekolwiek pójde, wszędzie słyszę, jak wspaniale radzisz sobie z końmi. Szkoda, że nie możesz się rozdziwić.

Racja, pomyślał Adrian. Szkoda. Kuł więc żelazo, póki gorące.

– Spędzam też trochę czasu w infirmerii w mieście.

– Aha – twarz ojca spoważniała. – To działka lorda Vegi. Wciąż mam nadzieję, że wreszcie zrezygnuje. – Harriman Vega był czarownikiem, który nadzorował infirmerię w stolicy przeznaczoną dla czarowników i Doliniarzy.

– Właśnie o to chodzi – tłumaczył Adrian. – Iwa nie może mi pomóc z wysoką magią, a lord Vega nie chce słyszeć o zielonej magii i klanowych sposobach leczenia. Wciąż uważa, że to gusła dla naiwnych mas. A dopóki nie skończę Mystwerku, nie pozwoli mi robić nic więcej niż ścielenie łóżek i zmywanie naczyń. – Mystwerk był szkołą dla czarowników w Oden's Ford.

– A nie możesz iść do Mystwerku przed szesnastym dniem imienia.

– Właśnie. – Adrian zaczerpnął powietrza i mówił dalej. – Nie mogę iść do Mystwerku w wieku trzynastu lat, ale Spiritas przyjmuje nowicjuszy w wieku jedenastu lat, tak jak Wien House.

– Spiritas?

– To akademia uzdrowicieli w Oden's Ford. Nie możesz jej pamiętać, bo powstała dopiero trzy lata temu. Łączą tam zieloną magię, terapię muzyką i sztuką, leki klanowe i docelowo też czary.

– Docelowo? – Ojciec uniósł brew.

– Taki jest plan, ale z tego, co słyszę, dziekani z Mystwerku na razie nie są chętni, żeby się przyłączyć.

Jego tata parsknął.

– Czemu mnie to nie dziwi?

– Pomyślałem sobie, że mógłbym teraz pójść do Spiritas, a potem przenieść się do Mystwerku, kiedy już będę mógł. Dzięki temu nie będę tracić czasu i patrzeć na śmierć ludzi, którzy mogliby żyć, gdy-

bym miał odpowiednie umiejętności. – Choć bardzo się starał nie okazywać emocji, głos mu drżał.

– Tak to już jest z poczuciem winy – zauważył tata. – Zdaje się, że zawsze jest go wokół aż nadto, a brakuje go jedynie tym, którzy naprawdę są winni. – Zamilkł, na jego twarzy pojawiły się wyraźne ślady cierpienia. – Straciłem mamę i siostrę, kiedy byłem niewiele starszy od ciebie. Robiłem, co mogłem, ale to nie wystarczyło. – Przesunął palcami po amulecie w kształcie węża. – Nigdy nie chciałem zostać Wielkim Magiem. Zawsze starałem się jedynie chronić tych, na których mi zależało. A teraz straciłem też Hanę.

– To, co przydarzyło się Hanie, to nie twoja wina – odparł Adrian. Dziwnie było pocieszać własnego ojca. – Hana umiała walczyć, mama też umie, i Lyss... Lyss na pewno się nauczy, kiedy podrośnie. – Jego młodsza siostra, Alyssa, miała dopiero jedenaście lat.

– To też nie twoja wina. – Tata chwycił dłoń Adriana. – Nie chronimy ich dlatego, że są słabe. Chronimy je, ponieważ są silne, a silne osoby mają wrogów. Po prostu musimy robić, co się da... wszystko, co konieczne... żeby chronić twoją mamę i siostrę... linię Szarych Wilków. I modlić się, żeby to wystarczyło.

– Moje możliwości mogłyby być większe – zauważył Adrian, patrząc ojcu w oczy.

Ten zrozumiał. Przechylił głowę.

– Skąd wiesz, że cię przyjmą do Spiritas?

– Dziekan Spiritas to uzdrowicielka Wagabunda. Nazywa się Taliesin Beaugarde. – Wagabundy byli koczowniczym plemieniem pasterzy owiec z Gór Sercowych Klów, którzy podróżowali po nizinach barwnymi wozami. Mieszkańcy równin uważali ich kobiety za wiedźmy. Jakby widzieli w nich coś złego. – Taliesin spędziła jakiś

czas w Sosnach Marisy, kiedy i ja tam byłem. Zaprzyjaźniliśmy się. Utrzymuję z nią kontakt i wiem, że ona bardzo tego chce. Byłbym pierwszym czarownikiem w tej szkole. Liczą na to, że kiedy dziekani Mystwerku zobaczą, jakie możliwości daje połączenie tych wszystkich metod, to może zmienią zdanie.

Jego tata roześmiał się.

– Ależ jesteś podobny do mamy. Zawsze o dwa kroki przede mną. – Po chwili dodał: – A skoro mowa o królowej, co ona na to?

Adrian odchrząknął.

– Jeszcze z nią nie rozmawiałem.

– Aha. – Ojciec pocierał podbródek. – Próbujesz się wślizgnąć tylnymi drzwiami? Wiesz, że nie będzie chciała cię spuścić z oczu po tym, co stało się z Haną.

– Miałem nadzieję, że pomożesz mi ją przekonać.

Tata zaczął grzebać w kwiatkach.

– Jak wiesz, w tym momencie nie jest ze mną zbyt szczęśliwa. Chyba nie byłbym najlepszym adwokatem twojej sprawy. Może gdybyśmy trochę poczekali...

– Taliesin jest teraz tutaj. Przyjechała na Przesilenie odwiedzić rodzinę. Gdybyście mi pozwolili, mógłbym wrócić razem z nią.

– Czyli potrzebujesz szybkiej odpowiedzi. – Ojciec opuścił wzrok na swoje dłonie i zaczął rozdrapywać strupek na palcu. – To brzmi sensownie – powiedział w końcu. – Możesz wykorzystać swoje zdolności i robić to, co lubisz. Myślę, że powinieneś jechać. Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Spróbuj umówić się z mamą dziś wieczorem. Będę obecny przy tej rozmowie i obiecuję, że cię poprę.

– Dziękuję – powiedział Adrian. Wiedział, że tata go zrozumie. Jakoś zawsze go rozumiał.

Dzwony świątyni oznajmiły równą godzinę.

– Muszę iść – oświadczył ojciec. – Już dziesiąta, a nie chcę się spóźnić. Zobaczymy się wieczorem. – Zrzucił sobie pelerynę na ramiona, przypiął pas i umieścił miecz na swoim miejscu. Gdy opuszczał salę, wszystkie spojrzenia podążały za nim.

Adrian też odprowadzał go wzrokiem, czując, jak wszystko się w nim burzy. Teoria jego taty na temat Hany mocno nim wstrząsnęła. Czy to możliwe? Dotąd myślał o jej śmierci jako o tragicznym wypadku, do którego doszło, bo znalazła się w złym miejscu o złej porze, bo dosięgła jej bezsensowna wojna.

Coś jednak nie dawało mu spokoju, coś się tu nie zgadzało. Hana zginęła podczas letniego przesilenia, i wilki to przepowiedziały. Teraz było przesilenie zimowe i wilki znowu się pojawiły, a jego tata szedł na spotkanie z nieznanym informatorem.

Nagle wróciły do niego słowa ojca. Może król Ardeny przyjął nową taktykę.

Nie. O nie.

– Tato! – zerwał się na równe nogi i wybiegł z tawerny. Rozejrzał się po placu targowym, ale nigdzie nie zobaczył ojca. Którędy mógł pójść do Południomostu? Ponieważ było już późno, pewnie wybrał najkrótszą drogę, Traktem Królowych w stronę rzeki.

Przeciskając się przez tłum na targu, Adrian doszedł do Traktu, a tam rzucił się biegiem w stronę mostu. Musiał przy tym kluczyć pomiędzy powozami i spacerującymi rodzinami. Brukowana nawierzchnia była niebezpieczna, zwłaszcza zimą, pokryta śniegiem i lodem. Czuł się jak w jednym z tych snów, w których człowiek próbuje biec, a jego stopy nie chcą się oderwać od ziemi. Kilka razy omal się nie przewrócił, a raz o mały włos nie wpadł pod wóz, którego woźnica

tylko zaklął, gdy rudowłosy chłopiec przemknął przed końskimi kopytami.

Był już przy samej rzece, ale wciąż nie widział ojca. Jeżeli skręcił w którąś z bocznych ulic czy w jakiś zaułek, Adrian nie miał szans znaleźć go na czas. Kiedy wreszcie go zauważył, daleko przed sobą, jego tata z bukietem w ręku zbliżał się do mostu. Adrian przyspieszył, układając sobie w myślach, co mu powie. *Wiem, że znasz zasady ulicy i w ogóle, ale podejrzewam, że idziesz prosto w pułapkę.*

Był tak skupiony na obserwowaniu sylwetki ojca, że prawie się nie opierał, kiedy ktoś złapał go od tyłu i dłonią zakrył mu usta. Napastnik zarzucił mu kaptur na głowę i zaczął go odciągać w tył. Chłopiec czuł wpływającą w niego moc, zapewne zakłęcie unieruchamiające. Oprócz amuletu miał przy sobie klanowy talizman – wisior pochłaniający magiczne ataki.

Udał, że opada bezwładnie, a kiedy porywacz poprawiał swój chwyt, Adrian odepchnął się palcami stóp od ziemi i usłyszał trzask i jęk bólu, gdy jego głowa zderzyła się z chrząstką nosa.

Uścisk zelżał i Adrian rzucił się w wąską uliczkę, lecz zderzył się z kimś, kto mocno docisnął go do siebie, tak że chłopiec nie mógł ani sięgnąć po amulet, ani zsunąć kaptura.

Naucz się korzystać ze wszystkich zmysłów, mawiał jego tata. Nawet gdy nic nie widzisz, możesz używać słuchu, węchu albo rąk.

Sądząc po dotyku ciała mężczyzny i po kąciku, pod jakim trzymał chłopca, ten ktoś był wysoki, szczupły i obdarzony mocą. Adrian wyczuwał też coś metalowego i brzęczącego, co zwisało mu u pasa pod sukmaną. Nie amulet. W takim razie co?

– Nie pozwól mu dotknąć czaromiota – burknął jeden z nich.



– Nie jestem głupi – warknął Ten z Zaułka. – Bierz chłopaka. Umawialiśmy się, że nie będę osobiście w to wplątany. – Głos brzmiał znajomo, w dodatku Adrian rozpoznawał zapach mężczyzny, ale nie umiał go z nikim skojarzyć.

Kiedy przekazywali sobie chłopca, ten zdołał zrzucić z głowy kaptur. Otaczali go mężczyźni w pelerynach i kapturach. Dojrzał tatę w oddali, już w połowie mostu.

– Tato! Pomocy!

Ojciec usłyszał wołanie i obrócił się. Kwiaty rozsypały się po moście niczym klejnoty, gdy Wielki Mag jednym płynnym ruchem wyciągnął miecz i ruszył w ich stronę.

Wokół Adriana zaświstały wysuwane z pochew miecze. Chłopiec wykorzystał chwilę nieuwagi tego, który go trzymał, i obiema nogami skoczył na jego stopę.

Czarownik zawył; jednocześnie coś roztrzaskało się na głowie Adriana, a on sam poślizgnął się na oblodzonym bruku i upadł płasko na brzuch. Padając, skręcił sobie kostkę.

– Uważaj – warknął ktoś. – Nie uderz magika za mocno. Chcemy go żywego.

Mag. Tak nazywano czarowników w Ardenie.

Gdzieś w pobliżu rozlegał się szczęk mieczy, unosiła się drażniąca woń magicznych płomieni, ktoś krzyknął, gdy dosięgnął go cios. Adrianowi mroczki stanęły przed oczami, kiedy bezskutecznie próbował się podnieść. Miał odruch wymiotny, lecz udało mu się go opanować.

W końcu obrócił się na plecy. Odzyskał jasność widzenia na tyle, że zobaczył swojego tatę otoczonego przez sześciu czy ośmiu uzbrojonych mężczyzn i walczącego jak szalony mieczem i wiązkami płomieni. Szedł w kierunku Adriana, lecz nie udało mu się uniknąć cio-

sów ze strony napastników. Jego peleryna była już w kilku miejscach rozszarpana i poplamiona krwią.

Ostatkiem sił chłopiec zdołał usiąść, a potem wstać. Zachwiał się, lecz zaraz krzyknął:

– Zostawcie go! – Chwycił za amulet, stanął obok taty i wystrzelił własną wiązkę ognia, w którą włożył całą swoją złość i frustrację. Napastnicy cofnęli się.

– Nie, Ash! Uciekaj do rzeki! – krzyknął ojciec, obracając się i tnąc kolejnego z atakujących. – Wejdz do rzeki i zanurkuj.

– Nie zostawię cię. Możemy ich pokonać.

W tym momencie Han Alister się zachwiał, czubek jego miecza obniżył się odrobinę. Spojrzał na asasynów, spróbował znowu unieść miecz, lecz najwyraźniej nie miał sił.

– Tato? Co ci jest? – Adrian przybliżył się do niego, ale ojciec pokręcił głową i chwycił za swój amulet. Zaraz jednak opuścił rękę i ze złością mruknął coś pod nosem. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, a na twarzy mimo zimna pojawiły się krople potu.

Wtedy Adrian zrozumiał. Trucizna. Jego tata został otruty. Podążył wzrokiem za spojrzeniem ojca i zobaczył, że miecze asasynów były umazane niebieskoszarą substancją. Wielki Mag opadł na kolana, miecz zabrzęczał na kamieniach. Twarz mężczyzny była blada, jakby krew odpłynęła do innych części ciała.

– Ten już załatwiony – oznajmił przywódca. Skierował umazany trucizną miecz w stronę Adriana. – Dawajcie tego magika i uciekajmy.

Adrian zawył ze złości i rzucił się na asasynów, rozsyłając wokół siebie strumienie ognia. Jednak w jakiś sposób ojciec zdołał podłożyć mu nogę, tak że chłopiec przewrócił się twarzą na śnieg. Tata pod-

czołgał się do niego i nakrył go własnym ciałem. Adrian czuł ciepły oddech w swoim uchu.

– Leż spokojnie. Udawaj nieżywego, kup sobie trochę czasu. Niebiescy zaraz się zjawią. Te typy uciekną. Nie chcą zostać złapani i przesłuchani.

Adrian próbował się podnieść, ale tata mocno dociskał go do ziemi. Rozległy się głośnie kroki, jakby biegła cała armia, i ktoś krzyknął:

– Wielki Mag! A to dranie! Zabili Wielkiego Maga!

Gdzieś obok przebiegła grupa ludzi. Adrian słyszał wrzaski i odgłosy bijatyki, okrzyki gniewu i rozpacz.

Wreszcie się wygrzebał, jedną ręką chwycił za amulet, a drugą przyłożył do piersi ojca. Wlał w niego moc, starając się wyizolować truciznę. Ona jednak była już wszędzie i w mężczyźnie tliła się jeszcze tylko maleńka iskra życia. Adrian rozdarł pelerynę i koszulę taty, obnażając rany, które powinny być niewielkie. Wprowadził magiczną moc bezpośrednio w te miejsca, próbując wyciągnąć truciznę. Poczul silne uderzenie, aż go odrzuciło, jakby zderzył się z wozem ciągniętym przez narowistego konia.

– Nie – szepnął tata, odsuwając się od dłoni Adriana. – Nie ryzykuj. Nie jesteś dość silny. Zaczekaj na pomoc.

Chłopiec zrozumiał. Czarownicy uzdrowiciele przejmowali od swoich pacjentów ich dolegliwości, dlatego leczenie poważnie chorego zawsze niosło ze sobą ryzyko. Zwłaszcza w przypadku kogoś, kto nie bardzo wiedział, co robi. Jednak w tej sytuacji nie było na co czekać, czekanie oznaczało, że jego tata umrze.

– Uratuję cię – mruknął. – Nieważne, jakim kosztem. Musisz żyć.

– Ash. Proszę, wysłuchaj mnie. Już tyle razy mnie ratowano. Najpierw uratowała mnie twoja mama, a potem ty i twoje siostry. Teraz

to nie ja potrzebuję ratunku. – Jego ciałem znowu wstrząsnął dreszcz. – Ratuj siebie i linię rodu. Twoja mama ciężko to zniesie, a już doznała w życiu wiele smutku. Powiedz jej... powiedz, że ona... że bycie z nią... miłość do niej... że było warto... było warto. Powiesz jej to?

– Nie! – Adrian wybuchnął płaczem. – Sam jej to powiesz. Nie puszcze cię.

– Czasem... musisz... puścić. – Tata ujął obie jego dłonie i zacisnął je na węzowym amulecie. – To twoje. Chcę, żebyś poszedł do Oden's Ford i nauczył się go używać.

Po tych słowach odszedł, jego duch ulotnił się niczym szept na wietrze albo szary wilk na śniegu. A wraz z nim dzieciństwo Adriana.

Chłopiec czuł, jak w jego duszy budzi się dziki gniew wymieszany z bólem i poczuciem winy. Tata zawsze wychodził z walk cało, póki on, Adrian, nie wciągnął go w bójkę, której nie dało się wygrać. Zawiodł ojca pod każdym względem. Pochylił głowę nad ich złączonymi dłońmi i błagał obojętne jakiego boga, by go wysłuchał.

– Weź mnie. Weź mnie zamiast niego. Uratuj go. Błagam.

Bogowie najwyraźniej byli zajęci czymś innym.

Żaden z niego pożytek w walce i żaden z niego uzdrowiciel. Do niczego się nie nadaje. Takie myśli jeszcze pogłębiały jego rozpacz. Nie wyobrażał sobie, jak mógłby stanąć przed mamą i siostrą i opowiedzieć im o tym, co się stało. Nie wiedział, jak ma żyć w świecie, który odbiera życie dobremu i pozostawia złego bez żadnej kary. Zdjął węzowy amulet z szyi ojca i przełożył sobie przez głowę. Nie zważał na to, dokąd idzie, byle znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Ruszył więc biegiem, mocno utykając, i zniknął w plątaninie ulic.

### 3

## RILEY



Dzień, w którym przyjaciel Jenny, Riley, zginął, zaczął się jak wszystkie inne – o trzeciej nad ranem od długiej jazdy trzęsącym wozem pod górę do kopalni. Kiedy Jenna wspinała się do miejsca zbiórki, padał deszcz ze śniegiem, więc gdy dotarła na miejsce, była cała przemoczona i zziębnięta. Wóz już czekał, konie parskwały i niecierpliwie poruszały nogami, woźnica krzychał na nią, by się pośpieszyła, bo bał się, że zostanie ukarany za spóźnienie.

Jenna jak najdokładniej strzepnęła z siebie śnieg i wcisnęła się na miejsce obok Rileya. Wóz ruszył. Zawsze siedziała obok Rileya, jeśli było to możliwe, a po swojej drugiej stronie miała małą Maggi. Riley objął je ramieniem i mocno się do siebie przytulili. W ten sposób wszystkim trojgu było cieplej i Jenny mogła się zdrzemnąć, dzięki czemu dzień pracy zdawał się krótszy.

W drodze powrotnej, jeśli nie spali, ona i Riley zwykle rozmawiali o tym, kim zostaną, kiedy dorosną, chociaż on miał już piętnaście lat i był dorosły, a ona dwanaście, i do dorosłości niewiele jej brakowało. Obiecali sobie, że kiedyś rzucą pracę w kopalni.

Tego dnia Riley miał ten przebiegły wyraz twarzy, który sugerował skrywaną tajemnicę. Gdy tylko Jenna się usadowiła, otulił ich oboje jaskrawoczerwoną peleryną i naciągnął ją aż na głowy, żeby osłonić ich przed śniegiem.

Peleryna pachniała wilgotnymi owcami i była szorstka, ale na tyle duża, że okrywała ich oboje i jeszcze rogiem zahaczała o Maggi. Do tego była taka ciepłutka. Jenny przesunęła palcami po wełnie.

– Riley! Skąd masz taką piękną pelerynę?

– Dwa dni temu w hucie żelaza był wybuch i zginęli trzej górnicy. Brygadzysta dał mi taką jedną.

– Wziąłeś pelerynę po zmarłym? – Jenna wpatrywała się w niego z przerażeniem.

Riley wzruszył ramionami.

– Jemu już niepotrzebna.

– Ale... to przynosi nieszczęście. Każdy to wie.

– Ja tam sądzę, że to przynosi szczęście, bo dzięki temu jest nam cieplej. No i teraz możemy się ukryć jak w jaskini. – Przysunął się do niej, wzrok jego brązowych oczu z długimi rzęsami napotkał jej spojrzenie. Wiedziała, że ma ochotę ją pocałować. Robił to już wcześniej, ale wstydził się w obecności Maggi. Jenna przyciągnęła do siebie jego głowę i wtedy Riley pocałował ją w usta.

Jej policzki zapłonęły, a jednocześnie poczuła przyjemne mrowienie głęboko w brzuchu. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc zmieniła temat.

– Ja też mam dla ciebie niespodziankę. – Klepnęła w swój pojemnik z drugim śniadaniem.

Obrzucił pudełko wzrokiem.

– Jak zgadnę, powiesz mi?

– Może.

– To jest placek z mięsem. Mam rację? – Riley był duży i silny i zawsze wydawał się głodny. Jenna jadła lepiej niż większość robotników, bo jej tata był właścicielem gospody. Już raz przyniosła Rileyowi placek z mięsem.

Maggi usłyszała ich rozmowę.

– Placek z mięsem! Mogę kawałek? – Miała około siedmiu lat, była chudziutka jak pisklaczek. Jak wszystkie sieroty zawsze chodziła głodna. Takich przymierających głodem sierot było w okolicy bardzo dużo i choć wiele z nich umierało, ich liczba jakoś wcale się nie zmniejszała. Gdyby Jenna miała siostrę, chciałaby, żeby była taka jak Maggi. Tylko nie tak wygłodzona i żeby mieszkała gdzieś indziej, nie w Delphi.

Jenna potrząsnęła głową.

– Przykro mi, Maggi. To nie jest placek z mięsem. To książka.

– Książka? – Riley odwrócił głowę i chrząknął. – Ale wiesz, że ja nie umiem czytać. Chcę się nauczyć, ale...

– Ja cię nauczę – przerwała mu Jenna. – Przeczytam ci to, jak będziemy wracać.

– Naprawdę? – Oczy Rileya zrobiły się wielkie.

– Ja też będę mogła posłuchać? – wtrąciła Maggi. – Ty opowiadasz najlepsze historie.

Jenna przytaknęła.

– Będiesz mogła. I patrz! – Pogrzebała w kieszeni i wyjęła małe, pomarszczone jabłko. Podała je dziewczynce. – Znalazłam to po drodze. Możesz zjeść teraz albo zostawić sobie na później.

Mała już wgryzła się w owoc. Wiedziała, że nie warto nic odkładać na później. Sok spływał jej po brodzie, zostawiając ślady na brudnej

twarży. Kiedy zjadła, wyrzuciła ogryzek i ułożyła się do snu z głową na kolanach Jenny. Jenna gładziła ją po włosach, rozplątując niektóre kołtuny.

– Większość moich historii pochodzi z książek – powiedziała do Riley. – Zanim poszłam do kopalni, cały czas coś czytałam. Tata mnie nauczył. Lubiałam sobie wyobrażać, że jestem jedną z bohaterek.

Riley mocniej otulił ich peleryną i rozejrzał się po ciasno upchanych pasażerach. Rękawem starł krople deszczu z nosa. Zwykle był pogodny, ale tego ranka wydawał się jakiś przygnębiony. Może dlatego, że nadzorcy obciążali go pracą bardziej niż innych.

– Gdybym ja miał być postacią z książki, to chciałbym występować w zupełnie innej opowieści.

– Tak będzie. – Jenna przysunęła się do niego, żeby szepnąć mu do ucha. – Możesz być bohaterem mojej opowieści. – I nagle, pod wpływem niewytłumaczalnego impulsu, zdradziła mu swój największy sekret. – Bo wiesz, jestem magicznie naznaczona.

– Magicznie naznaczona? – Ściągnął brwi. – Co to znaczy?

– Ćśśś. – Położyła dłoń na jego ustach i rozejrzała się. Wyglądało na to, że wszyscy wokół nich śpią. To zadziwiające, jak bardzo samotnym można być w wielkim tłumie. – Nikt nie może się dowiedzieć. – Wzięła jego rękę i położyła ją na swoim karku, gdzie dało się wyczuć wypukły wzór: pajęczynę drutów oplatających gładki kamień.

Jego oczy rozszerzyły się, gdy przesunął po tym palcami.

– Co to znaczy? – szepnął.

– Że mam moc.

– Aha – westchnął i przełknął ślinę. – Może ty masz. Ale ja nie.

Jenna natychmiast pożałowała, że poruszyła ten temat. Tak długo nikomu o tym nie mówiła. Czemu akurat teraz musiała z tym wysko-



czyć?

– To bez znaczenia – powiedziała. – Jesteśmy wybrani, ty i ja. Napiszemy własną opowieść, zobaczysz. – Położyła dłonie na jego barkach i spojrzała mu w oczy. – Kiedy patrzę na kogoś, widzę, kim on naprawdę jest.

– Nieprawda.

– Prawda. – To była przesada. Widziała obrazy i słyszała jakieś słowa, ale niełatwo było zrozumieć, co to wszystko znaczy. Czasami był to obraz taki jak w rzeczywistości, tylko wyraźniejszy, prawdziwszy, jak wtedy gdy człowiek traci czujność i przestaje udawać. A czasem była to osoba, jaką ten człowiek miał się stać w przyszłości.

Umiała też rozpoznawać ludzi po zapachu. Na przykład Riley pachniał potem i ciężką pracą, a przy tym dobrocią i uczciwością.

– No to kim jestem? – zapytał Riley, unosząc głowę i przybierając dumną pozę.

Jenna wpatrywała się w niego z uwagą. Widziała go takim, jaki był. Nic poza tym.

– Co? No co? – Otarł twarz, jakby się obawiał, że jest brudna.

– Wiesz co, Riley, myślę, że zostaniesz królem – powiedziała w końcu.

– Królem. A co to niby ma znaczyć?

– Widzę ciebie i koronę, i miecz. To musi znaczyć, że jesteś stworzony do wielkich rzeczy, no nie? – Przytuliła się do niego i szepnęła:

– W naszej historii król Ardeny zostaje pożarty przez wilki w pierwszym rozdziale.

Riley roześmiał się cicho, ale rozejrzał się niespokojnie, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Na razie wystarczy mi ta książka, którą przyniosłaś. Będę miał na co czekać podczas pracy. – Westchnął. – Chciałbym, żeby już był koniec dnia.

Ale dzień się jeszcze nie skończył. Dopiero zajeżdżali przed kopalnię Numer Dwa, a to znaczyło, że koniec dnia będzie za dwanaście godzin. Nazywali tę kopalnię Numerem Dwa, ponieważ rok wcześniej w Numerze Jeden doszło do wybuchu, który zasypał wejście tonami gruzów.

Górnicy twierdzili, że eksplozję wywołał gaz kopalniany, a ardeńscy nadzorcy, że to był sabotaż, ponieważ w chwili gdy do tego doszło, pod ziemią było niewielu robotników. Na wieść o tym zdarzeniu król Ardeny wpadł w szal, gdyż potrzebował węgla i stali na uzbrojenie armii. Wydrążono więc nowy szyb. Już wcześniej zmuszono do pracy w kopalni większość mężczyzn i kobiet z Delphi. Po tym zdarzeniu król Gerard nakazał zebrać wszystkie dzieci z Delphi i wysłać je do kopalni, żeby nadrobić stracony czas. Działo się to przed rokiem.

Najmłodsi zmarli w pierwszym miesiącu. Wynoszono ich ciała spod ziemi pod koniec zmiany, układano warstwami na wozie i zawożono z powrotem do miasta, gdzie rodzice mogli je odebrać. Jenna miała jedenaście lat, kiedy pierwszy raz weszła do kopalni, ale była silna i zdrowsza niż inne dzieci. Poza tym była zbyt uparta, by umrzeć i zostawić tatę samego.

– Teraz głowa w dół – powiedziała, rozstając się z Rileyem na dole szybu.

– Teraz głowa w dół – odpowiedział Riley. Był to ich rytuał, coś jak zaklęcie ochronne przed wyruszeniem w najgłębsze części kopalni. Coraz częściej kierowano chłopca na przodek, gdzie kopał kilofem i łopatą wraz z mężczyznami. Pod koniec zmiany był już tak zmę-

czony, że całą drogę do domu spał. Pracował w kopalni od trzech lat. Zaczął jako dwunastolatek. Już wtedy był duży i wyglądał na starszego. Im częściej pracował na przodku, tym bardziej kaszłał.

Gdy Jenna pierwszy raz przyszła do kopalni, Riley był „przyśpieszaczem” – miał skórzany pas wokół talii i ciągnął ciężkie wózki z węglem pod górę do windy. Jenna pracowała jako „popychaczka”, która popychała wózki od tyłu. Czasami też jako „klapowa” otwierająca klapę, żeby wózki mogły przejechać. „Klapowi” musieli bardzo uważać – jeżeli wózek się zbliżał, a klapowy nie był gotów, wózek mógł po nim przejechać. Albo po otwarciu klapy mógł się wydobyć gaz kopalniany i z rykiem niczym straszliwy smok spalić człowieka na miejscu.

Jenna miała dar do rozpoznawania, kiedy za klapą czyha groźny gaz. Jakby słyszała jego gorący syk, jakby jej serce biło w rytm płomieni. Kiedyś odciągnęła Maggi w momencie, gdy ta zamierzała otworzyć klapę. Jeden z nadzorców uderzył ją pałką za spowalnianie pracy, a potem sam uniósł pokrywę i w jednej chwili padł zwięglony.

Wszyscy lubili pracować z Rileyem, bo był tak silny, że popychacze nie musieli się bardzo męczyć, i zawsze uważał na klapowych, szczególnie pod koniec zmiany, gdy robotnicy byli już wycieńczeni.

Riley potrafił też łagodzić napięcia między nadzorcami a dziećmi, kiedy dochodziło do wymierzania kar. I zjawiał się zawsze, kiedy ten strażnik z wargami jak robaki próbował odciągnąć jakąś dziewczynkę do bocznego tunelu. Nic nie mówił, tylko czekał, aż strażnik ją puścił.

Nadzorczy nie lubili Rileya przez to, co mówił i robił, oraz dlatego, że inni górnicy go szanowali, mimo że miał tylko piętnaście lat.

Jenna współczuła mu, że trafił do kopalni, ale z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że jego obecność tutaj czyniła jej życie znośnym.

Kiedy wreszcie nastał koniec zmiany, razem wyjechali na górę, trzymając się za ręce. Wyszli na blade światło zmierzchu, mrugając oczami niczym podziemne stworzenia, i dołączyli do tłumu przepychających się górników.

Wozy nie czekały na nich tam gdzie zwykle, lecz były przesunięte na bok drogi. Niedaleko kopalni stał duży namiot, nad którym powiewała chorągiew z czerwonym jastrzębiem Ardeny. Wszędzie kręcili się uzbrojeni żołnierze – otaczali namiot i pilnowali zgromadzonych górników. Na ich mundurach również widniał symbol czerwonego jastrzębia. Powszechnie nazywano ich gawrońcami.

– Co się dzieje? – zapytał Riley Brita Fletchera, który zwykle wszystko wiedział.

– Chyba zaraz wysłuchamy jakichś farmazonów Jego Królewskiej Mości króla Gerarda. – Fletcher splunął na ziemię.

– Jest tutaj? – Jenna nieznacznie się przygarbiła. – Co on tu robi?

– Zdaje się, że on i jego pani paradują po swoich włościach i demonstrują, że się nie boją garstki Patriotów.

– Co to znaczy?

– Nie słyszałeś? W Tamron Seat są zamieszki, a kilka miesięcy temu zbuntowała się twierdza w Zatoce Bastońskiej. Nie wytrzymali długo, ale zawsze to coś. Podobno niektórzy tanowie tracą cierpliwość i mają już dość wojny. – Fletcher uśmiechnął się, jakby to mu się podobało.

– Ćśś – Riley rozejrzał się. – Jeszcze ktoś usłyszy.

Fletcher nie ukrywał, że nienawidził króla Ardeny. Krążyły plotki, że sam należał do Patriotów – grupy buntowników, którzy występowali przeciwko królowi i gawrońcom. Jego rodzina zginęła, kiedy Arden zajął miasto, więc nie miał wiele do stracenia. Był stary – według nie-

których zbliżał się do czterdziestki – więc i tak niedługo pożegnałby się z życiem.

– To musi być on – mruknęła Jenna, wskazując palcem.

Z namiotu wyszła grupka ludzi w otoczeniu żołnierzy.

Jenna rozpoznała znienawidzonego burmistrza Delphi, Willetta Petersa, oraz Neda Shively, głównego nadzorcę kopalni. Górnicy nazywali go „Shively Szajbus”.

Wraz z nimi szła piękna para. Z tej odległości trudno było cokolwiek dojrzeć.

– Chodźmy bliżej – powiedziała Jenna, myśląc, że to może być jej jedyna szansa, żeby zobaczyć króla albo królową na żywo.

– To chyba niezbyt dobry pomysł – próbował przekonywać Riley, ale ona już przepychała się przez tłum do przodu, żeby jak najlepiej wszystko widzieć. Wciąż pomrukując pod nosem, Riley sunął za nią, szczerze opatulony swoją nową czerwoną peleryną.

Znalazłszy się z przodu, Jenna zobaczyła króla. Niepozornej postury, średniego wzrostu, z wodnistymi niebieskimi oczami i cienkimi ustami, nadającym jego twarzy wyraz okrucieństwa. Był w szarym kaftanie z niebieską peleryną, która już zdążyła zmoknąć. Wiatr z gór rozwiewał jego mysiobrazowe włosy.

Towarzysząca mu kobieta była od niego wyższa, ale lekko się garbiła, może po to, żeby nie uwidaczniać różnicy wzrostu między nimi. Wyglądała na cudzoziemkę – wskazywały na to opalony odcień skóry i brązowe oczy oraz usta tak wydatne, jak niepozorne były usta jej małżonka. Miała na sobie bladożółtą sukienkę z białą futrzaną narzutką, żółte jedwabne pantofle i białe rękawiczki.

– Co to za pani? – Maggi zwróciła się do Fletchera, pokazując palcem. Ona także precyzyjnie się do przodu.

– To królowa Marina, biedactwo – odparł Fletcher. – Była księżniczką w Tamronie, córką króla. Gerard wymordował jej całą rodzinę, zajął królestwo i wziął ją sobie za żonę.

– Jest piękna – szepnęła Maggi.

Fletcher parsknął.

– Widziałaś kiedykolwiek takie rzeczy? Takie ozdobne trzewiczki i białe rękawiczki... w Delphi? Nie będą długo takie bielutkie.

Król Ardenu stanął przed wejściem do namiotu, królowa o krok za nim. Gerard obrzucił wzrokiem zgromadzonych górników.

– Górnicy z Delphi! – zawołał donośnie. – Królowa Marina i ja przybyliśmy na Północ, by wam podziękować za waszą ciężką pracę w tym roku. Wiem, że nie zawsze było łatwo, ale z przyjemnością was informuję, że produkcja węgla i stali nigdy jeszcze nie była tak duża.

Burmistrz Peters i główny nadzorca Shively z entuzjazmem bili brawo, ale górnicy stali w milczeniu.

– Jednak to nie znaczy, że możemy zwolnić – ciągnął król. – Właściwie musimy podwoić wysiłki, by dostarczyć broń naszym żołnierzom. Nakazałem burmistrzowi Petersowi i głównemu nadzorcy zwiększyć plan produkcji na przyszły rok o dziesięć procent.

To się spotkało ze szmerem protestów. Królowa przeniosła wzrok z górników na króla. Zmarszczyła czoło i przygryzła wargę, jakby ta wiadomość i dla niej była niedobra. Zaraz jednak jej twarz ponownie przybrała obojętny wyraz.

– Wiem, że to ambitny cel. Ale z pomocą Świętego Malthusa pokonamy królową wiedźmę z Północy i zaprowadzimy pokój i dobrobyt w całym imperium.

Nikt w Delphi nie liczył na wielką pomoc Świętego Malthusa. Choć Arden przysyłał do Delphi malthusjańskich misjonarzy, ci nie

odnosili wielkich sukcesów w nawracaniu ludzi na wiarę państwową.

– Może byście wysłali Świętego Malthusa do kopalni?! – krzyknął ktoś z tłumu. – Przydałaby nam się pomoc.

Żołnierze postąpili naprzód i obserwowali tłum, próbując odnaleźć tego, kto to powiedział. Tymczasem królowa przyklękła na skraju podestu, by porozmawiać z Maggi. Jenna stała w pobliżu, słyszała więc każde słowo.

– Mam w domu taką małą dziewczynkę jak ty – powiedziała królowa miękko w mowie powszechnej – ale jest młodsza od ciebie. Nazywa się Madeleine.

Maggi spojrzała na nią swoimi niebieskimi oczami, które mocno lśniły w umazanej węglem twarzyczce. Wyciągnęła rączkę w stronę sukni królowej, ale zaraz cofnęła ją gwałtownie, jakby do niej dotarło, że tak brudna dłoń nie jest godna zbliżyć się do takiego stroju.

Królowa nie wyglądała na zaniepokojoną.

– Jak masz na imię?

– Maggi.

– Czy twoja mama i tata pracują w kopalni?

– Nie – Maggi wyraźnie się stropiła. – Nie żyją. – Wbiła kciuk w swoją pierś. – Ja pracuję w kopalni. Miałam sześć lat, kiedy zaczęłam.

Królowa zachwiała się i zrobiła krok w tył, jakby uderzono ją w policzek. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

– Och nie – szepnęła, kręcąc głową. – To niemożliwe. – Widocznie jednak zrozumiała, że dziewczynka mówi prawdę, bo szybko spojrzała przez ramię w miejsce, gdzie znajdował się król. Jenna również skierowała wzrok w tamtą stronę, akurat w momencie kiedy coś prze-

leciało w powietrzu i plasnęło na ziemię u stóp Gerarda, zabryzgując jego ubranie aż po pas.

Jenna od razu poznała, co to jest – parujące końskie łajno. Codziennie musiała je omijać.

– Szlag by to – mruknął Fletcher. – Teraz przyjdzie nam za to zapłacić. Jak już chcieli coś zrobić, trzeba go było zastrzelić. To by wszystkim wyszło na dobre.

Jenna odsunęła się o krok od niego. Fletcher był jak zaraza, którą można było złapać, gdy się do niego za bardzo zbliżyło.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Strażnicy w czarnych mundurach otoczyli króla, pozostawiając królową samą na skraju podium, póki dwaj żołnierze nie przesunęli jej w bezpieczne miejsce. Pozostali gawronce uformowali pierścień wokół górników, tak że nikt nie był w stanie się wydostać. Uzbrojona w pałki obstawa głównego nadzorcy przesunęła się na krawędź podium.

Jenna cofnęła się, nagle żałując, że pchała się do przodu. Riley objął ją opiekuńczym gestem.

– No to gadać – warknął Shively, uderzając pałką o swoją dłoń. – Kto to zrobił?

Nikt nie śmiał podnieść wzroku. Nikt się nie odezwał. Nikt się nie poruszył, by nie zwrócić na siebie uwagi.

– Ostrzegam was, wydajcie go, bo pożałujecie.

Żadnej reakcji.

Wtedy król Ardeny odsunął się od swoich gwardzistów i podszedł do krawędzi podestu.

– Shively, tym ludziom brak wyobraźni – powiedział głosem jak roztopiony lód. – Musisz im jasno pokazać, jakie czekają ich konsekwencje. – Wypowiadając ostatnie słowo, wyciągnął Maggi z tłumu



i uniósł ją w górę. Dziewczynka wierzgała i płakała z przerażenia. – No to jak?! Niech ten, kto to zrobił, wystąpi, bo ją zabiję!

Wszyscy w oniemieniu wpatrywali się w króla Ardeny i wyrywającą się Maggi. Jenna chciała się odwrócić, ale nie była w stanie. Zupełnie jakby ją ktoś zahipnotyzował, jakby król rzucił na nich jakiś potworny urok.

– Wasza Królewska Mość, proszę! Miej litość! To tylko dziecko. – Królowa ruszyła w jego stronę, lecz gawronce chwycili ją za rękę i mocno przytrzymali.

Może ten, kto rzucił łąjnem, wystąpiłby, ale król nie dał mu tej możliwości. Szybkim, gwałtownym ruchem skrzył Maggi kark. Odrzucił jej małe ciało od siebie i spojrział na tłum.

– Będę to powtarzał, dopóki ktoś się nie przyzna. Kto następny?!

## 4

# PATRIOTA



Jenny nie mogła sobie przypomnieć chwili, w której postanowiła zabić króla Ardeny. Wszyscy inni znieruchomieli – nawet gawrońce – ona jedna się poruszyła. Nim zdążyła pomyśleć, wskoczyła na podest i rzuciła się na Gerarda. Powaliła go na plecy. Ze wzrokiem wbitym w jego przerażone oczy, przyłożyła pięść do tego arystokratycznego nosa, żałując, że nie jest to nóż wbijany mu między zębra.

Z królewskiego nosa trysnęła krew jak z fontanny. Pachniała jak krew każdego innego i wcale nie była błękitna. Gerard jednak okazał się silniejszy, niż przypuszczała – obrócił ją i wbił kolano w jej klatkę piersiową. Zakrwawionymi dłońmi złapał ją za szyję i zaczął zaciskać palce. Jenny czuła, jak z jej kończyn uchodzi życie. Wiedziała, że umiera.

– Nie! – Ktoś walnął w nich z impetem i zrzucił z niej króla Ardeny. Jenny łapczywie zaczerpnęła powietrza. Chwyciły ją jakieś ręce. Kopała i wyrywała się, ale nie byli to gawrońce, tylko górnicy, którzy ściągnęli ją z podestu i wypchnęli na tyły.

– Nie podnoś się! – syknął jej Brit Fletcher do ucha.

Ona jednak nie posłuchała, niespokojna o los tego, kto ją uratował. Dobrze wiedziała, kto to był. Przepchnęła się do miejsca, z którego miała widok na podium.

Król Ardeny zdążył się już podnieść i osłonięty kordonem strażników, przykładał do nosa śnieżnobiałą chusteczkę. Wzdłuż krawędzi podestu stali gawronce z wycelowanymi w tłum kuszami. Riley miał związane ręce, a jego twarz była tak zmasakrowana, że ledwie dało się go rozpoznać. Królowa wyglądała na obłąkaną – siedziała i kołysała ciało Maggi w ramionach.

Gdy wreszcie powstrzymał krwawienie z nosa, król Gerard podszedł do Rileya.

– Ktoś ty? Kolejny bohater?

Chłopiec potrząsnął głową.

– Nie, panie. To byłem ja. To ja rzuciłem łajnem. Ja to zrobiłem i przepraszam.

– Naprawdę? – Król wsparł się pod boki i przyglądał się mu z niedowierzaniem.

– Nie! – Jenna próbowała przedrzeć się przed tłum, ale Brit Fletcher mocno ją przytrzymał. Był zadziwiająco silny jak na swój wiek.

– Słuchaj – warknął. – Nie każ temu chłopcu poświęcać życia na darmo. Oboje wiemy, że tego nie zrobił, ale już i tak jest stracony. Nie można publicznie zaatakować króla, a potem żyć sobie spokojnie i się tym chlępić.

– Nie – szepnęła Jenna, czując łzy na policzku. Wiedziała jednak, że Fletcher ma rację, więc przestała się wyrywać.

Król Ardeny obrzucił tłum uważnym wzrokiem. Jenna ani drgnęła. W końcu, westchnąwszy głęboko, król obrócił się w stronę Rileya.

– Nie bardzo ci wierzę, ale chyba mi wystarczysz. – Wyciągnął miecz, wbił go w brzuch chłopca aż po rękojeść, po czym obrócił. Riley wydał dźwięk przypominający chrząknięcie, jego oczy zrobiły się olbrzymie.

Król wyciągnął ostrze i wbił je znowu, tym razem w miejsce obok. Teraz z ust chłopca wydobyła się spieniona krew. Jakimś cudem jego wzrok zetknął się ze wzrokiem Jenny i nie przesunął się ani o jotę.

– Wykończ go, ty draniu – mruknął Fletcher.

Najwyraźniej jednak król Ardeny się nie śpieszył. Wyciągnął ostrze, wybrał kolejne miejsce i znowu dźgnął chłopca.

Teraz Jenna widziała już tylko mroczki przed oczami, ale Riley nie odrywał od niej wzroku, więc nie mogła zemdleć, by nie pozostawić go samego. Wtem gdzieś nad jej głową rozległ się dziwny świst. Ciało Rileya drgnęło i nagle na jego szyi pod samą brodą pojawiło się pierzysko strzały. Riley w jednej chwili wyzionął ducha.

Potem nastąpił zamęt. Król i królowa zniknęli w pośpiechu, a zbiry Shively'ego zanurzyły się w tłum i były pałkami kogo popadło. Jenna odwróciła się, by uciec, lecz coś uderzyło ją w tył głowy i straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, słyszała rozmowę prowadzoną cichymi głosami. Było ciemno i zimno. Przed chłodem nie chroniło jej nawet okrycie, które pachniało jak mokra owca.

Peleryna Rileya. Jenna przyłożyła tkaninę do swojego policzka i zaszlochła gwałtownie. Nie była w stanie opanować tych silnych spazmów. Głowa bolała ją niemiłosiernie, ale jeszcze bardziej bolało zrozpaczone serce.

Usiadła, opuściła nogi. Spod jej stopy potoczył się kamień.

– Obudziłaś się – zauważył ktoś chrapliwym głosem. – To dobrze. Myślałem, że już po tobie.

To był Brit Fletcher. Postawił lampę olejną na podłodze przy ławie, na której leżała Jenna, i podał jej parujący kubek. Kawa jęczmienna z dodatkiem czegoś, co omal nie rozerwało jej czaszki. Wypiła wszystko.

Fletcher obserwował ją, coraz wyżej unosząc brwi, póki nie odsta-  
wiła kubka.

– Twarda z ciebie sztuka – mruknął, pocierając brodę. – Ile masz lat, dziesięć?

– Dwanaście. – Rozejrzała się. Same kamienie, widoczne w drgającym świetle lampki. – Jesteśmy w kopalni?

– Tak jakby. W starym Numerze Jeden. Wykopaliśmy kilka tuneli, żeby móc wchodzić i wychodzić.

– Po co?

– To dobra kryjówka, no nie?

– Dla kogo?

Fletcher parsknął.

– Chociażby dla ciebie.

– Jaki dzisiaj dzień? Co się stało?

– Następny dzień po wizycie króla. On już ucieka do miasta.

– A... ilu ludzi nie żyje?

– No właśnie. Nie mogą sobie pozwolić zabić nas zbyt wielu, bo kto by pracował w kopalniach. Zginęło tylko czworo, w tym Riley i mała Maggi. To i tak o czworo za dużo. Pięć osób, wliczając ciebie.

– Mnie? – Dłoń Jenny zacisnęła się na dużym kamieniu. – Jak to rozumieć?

Fletcher znowu parsknął. Coś często mu się to zdarzało.

– Nie patrz tak na mnie. Chodzi mi o to, że wszyscy myślą, że nie żyjesz. Zostałaś zabita w zamieszkach.

– Ja nie żyję? – Pomyślała o swoim ojcu, o jego zatroskanej twarzy i udręczonym spojrzeniu. – Ale... co na to mój tata?

– Daliśmy mu znać, że jesteś bezpieczna. No więc masz teraz wybór. Wolisz pozostać martwa i opuścić to miasto? Czy wrócić i zaryzykować? – Wyciągnął do niej dłoń. – Zanim zdecydujesz, powinnaś wiedzieć, że król o tobie nie zapomni. Gawrońce po cichu cię szukają. Wypytują, próbują się dowiedzieć, kim jesteś. Oczywiście nikt nic nie wie.

Jenna poczuła, jak cała sztywnieje.

– Delphi to mój dom. Nie zostawię taty.

– A on nie odszedłby z tobą? Żeby ratować twoje życie?

– Musiałby zostawić gospodę. Niełatwo jest dzisiaj zarabiać na życie. Jest za stary, żeby zaczynać od nowa. Nie chcę nawet go o to prosić.

Fletcher westchnął.

– Przypuszczałem, że tak odpowiesz. A gdybyś wróciła jako ktoś inny? Ktoś zupełnie nowy w mieście, z nowym imieniem?

Zastanowiła się. Czy naprawdę mogłaby to zrobić? Zawsze chciała udawać, że jest kimś innym.

– Wiem, że to ryzykowne, bo mogą cię znaleźć – powiedział Fletcher. – Nie chcę tylko, żeby ten biedny Riley zginął na próżno.

*Ja też tego nie chcę*, pomyślała Jenna, sięgając palcami do znaku na karku. To była jej wina. Po pierwsze, ściągnęła na siebie uwagę Stworzyciela, uzurpując sobie moc, której nie posiada, przeznaczenie zakorzenione w czarach i baśniach. Po drugie, rzuciła się na króla, nie myśląc o konsekwencjach dla osób z jej otoczenia.

Nie była dzieckiem – nie mogła sobie na to pozwolić. Żyła w prawdziwym świecie, a nie w baśni, i więcej już o tym nie zapomni. Wróci jako ktoś, kto trzeźwo stąpa po ziemi.

– Dobrze, spróbujmy – powiedziała, ścierając łzy z twarzy przedramieniem. – Mogę o coś spytać?

– Proszę bardzo. Nie wiem, czy będę znał odpowiedź.

– Czy to prawda, co mówią? Że należycie do Patriotów?

– Po co ci to wiedzieć?

– Bo chciałabym się przyłączyć. Chcę, żeby Arden zapłacił za to, co zrobili. – Przez „Arden” rozumiała króla Ardeny, ale on był już daleko. Postanowiła więc zacząć blisko siebie.

Myślała, że Fletcher odmówi, powie, że jest zbyt młoda, że to zbyt niebezpieczne. On natomiast długo i uważnie się jej przyglądał.

– Wiesz, co się stanie, jeśli cię złapią – powiedział w końcu.

Jenna pomyślała o Rileyu, o tym, jak zginął, i zdusiła w sobie ten strach, który ją przeszył.

– Gdyby nie wy, już bym nie żyła.

– Racja. – Fletcher pocierał podbródek. – Zobaczymy. – Nie była to zgoda, ale też nie odmowa.

– Jednego nie rozumiem – dorzuciła Jenna. – W zasadzie te najgorsze rzeczy zaczęły się dziać po wybuchu w zeszłym roku. Dlaczego król myśli, że celowo wysadziliśmy kopalnię?

– A dlaczego myślisz, że tak nie było? – odparł Fletcher pytaniem.

Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę.

– Dobrze – zdecydowała Jenna. – Pomogę wam spalić Arden aż do zgliszczy.

## 5

# WAGABUNDA



Adrian leżał na brzuchu na dachu i zaglądał przez szparę do wnętrza. Przy drzwiach wisiał sękaty kostur, znak Wagabundów. Drewniany symbol nad futryną był niemal całkiem zatarty. La Ancienne. Seniorka. Dzieci Wagabundów z prostymi czarnymi włosami, płaskimi nosami i grubymi, haftowanymi pelerynami z owczej wełny biegały za kozami po podwórku.

Minęły dwa tygodnie od śmierci jego ojca, dziesięć dni od chwili kiedy Adrian przedostał się przez granicę na teren wroga. Dzięki pobytom w górskiej kolonii Sosen Marisy potrafił przeżyć w górach i poruszać się poza wytyczonymi szlakami. Granica była dziurawa dla samotnego jeźdźca w białym zimowym stroju – nawet jeźdźca z chorągwką, ukradzionym kucem i rozpaczą w sercu.

Podróż do Delphi przypominała schodzenie do dymiącego, zionącego siarką piekła, o ile w piekle jest przeraźliwie zimno. Powietrze było tak gęste, że można by je żuć, ale ledwie dało się nim oddychać. Gryzło Adriana w oczy i drapało w gardle. Wszystko pokrywała warstwa sadzy i pyłu węglowego, tak gruba, że przesłaniała te resztki barw, które jeszcze gdzieś się zachowały. Ludzie byli wychu-



dzeni, wynędniali, z zapadniętymi oczami, tak umęczeni i zniechęceni, że nikt nie zwracał uwagi na chłopca stajennego z przyciemnionymi włosami (skutek całonocnego wcierania pasty z orzecha i mocnej herbaty).

Przybył tu z nadzieją, że spotka się z uzdrowicielką Taliesin Beau-garde. Mówiła Adrianowi, że w drodze do Oden's Ford planuje odwiedzić krewnych w Delphi, którzy mają sklep z ziołami i lekami. W mieście był tylko jeden taki sklep, a to znaczyło, że nie musiał szukać dalej. Obserwował to miejsce od tygodnia i jak na razie nie napotkał żadnych śladów Taliesin. Pozostawanie tutaj było ryzykowne, ale Adrian nie miał gdzie się podziąć.

Kostka wyglądała niepokojąco – mocno opuchnięta, sinozielona. Może zasługiwał na ten ból, ale nawet gdyby tak nie było, nie szukałby pomocy u kogoś, kogo nie znał. Czarownik nie może używać własnej mocy do uzdrawiania siebie samego, a niekompetencja tylko pogorszyłaby sprawę. Owijał więc nogę i liczył na szczęście.

Mimo chorej kostki udało mu się znaleźć nocleg i wyżywienie w stajni w zamian za czyszczenie boksów. Wyglądało na to, że ciężko było znaleźć w Delphi pracownika, bo wszystkich zdrowych mieszkańców kierowano do przymusowej pracy w kopalni. Przesadą było nazywać to, co otrzymywał, „wyżywieniem”, nawet według norm fellowskich. Ani Adrian, ani jego kuc nie najadali się do syta.

Sklep zielarski znajdował się w tak nędznej części Delphi, że nawet najtwardszy ulicznik z Łachmantargu omijałby to miejsce szerokim łukiem. Przede wszystkim nie było tu nic cennego, co można by ukraść. Adrian widział już walkę na noże o parę rękawiczek. Co więcej, czarno umundurowanych gwardzistów króla Ardeny było tu jak kruków na padlinie. Czarny zdawał się odpowiednim kolorem dla

Delphi – miejscowości górskiej przypominającej Fellsmarch, tyle że w wersji, w której wszystko poszło nie tak.

Adrian zadrżał z zimna. Był cały przemoczony, bo leżał w kałuży wody powstałej ze śniegu roztopionego pod jego rozgrzanym ciałem. Od przybycia do Delphi miał kaszel i gorączkę, które nie chciały ustąpić. Było to albo zakażenie wodą ze studni, albo wyziębienie. Pomyślał, że zmarnuje kolejny dzień, ale musiał zejść z dachu, bo było mu przeraźliwie zimno.

Usłyszał w dole jakieś głosy, więc wysunął głowę na tyle, by dobrze zobaczyć ponad rynną. Przed sklepem zatrzymał się wóz, i natychmiast otoczyła go gromadka dzieci.

Wóz był pomalowany w wagabundzkie wzory, a ciągnęły go przysadziste włochate konie z górskich hodowli. Serce Adriana zabiło mocniej. Odsunął się, by go nie zauważono, gdyż do wozu zbliżyła się grupa konnych gawrońców, pokrzykujących na woźnicę, żeby zjechał z drogi. Chcieli opróżnić ulicę i pałkami i obelgami przeganiali wszystkich, którzy nie poruszali się dość szybko. Wóz ruszył i skręcił w uliczkę obok sklepu, żeby zatrzymać się na tyłach.

– Napatrzyłeś się już? – dobiegł Adriana głos z za pleców. Nim zdążył się obejrzeć, ktoś mocno kopnął go w żebra. Chłopiec obrócił się i podniósł na kolana, sięgając po amulet. Szybko jednak przypomniał sobie, gdzie się znajduje, i opuścił rękę. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi pokazami magii w miejscu, w którym obdarzonych mocą pali się na stosach.

Mówiącym był gawroniec ubrany na czarno aż po lśniące jak węgiel buty. Był kompletnie łysy. Na ramionach miał oficerski szamerunek. Pochylił się, złapał Adriana za przód peleryny i podciągnął go

na nogi. Drugą ręką obmacał chłopca, szukając broni. Na szczęście pominął amulet. Nie znalazł nic, bo Adrian, oczywiście, nic nie miał.

– Jak się nazywasz? – zapytał w mowie powszechnej.

– Ash Hanson – odpowiedział Adrian, nim zdążył pomyśleć.

– Ash Hanson, panie – poprawił go gawroniec. – Czekasz na kogoś?

– Nie, panie.

Mężczyzna potrząsnął nim tak mocno, że cały ciężar ciała Adriana opadł na chorą kostkę. Chłopiec zdusił krzyk bólu, przekształcając go w napad kaszlu.

– Nie kłam – zawołał gawroniec, przyciągając go do siebie tak blisko, że Adrian mógłby napluć mu w twarz. – Zapytam jeszcze raz. Co tu robisz?

Adrian odchrząknął. Jego palce aż się rwały do użycia magii.

– Ja tylko... tutaj na górze powietrze jest czystsze. Mam ten okropny kaszel i ostatnio pluję krwią. – Charknął w rękaw, po czym podsunął rękę mężczyźnie pod nos. – O, widzicie, panie?

Gwardzista cofnął się z odrazą.

– Nie zbliżaj się, ty delphiański gruźliku. Gdybyście nie żyli jak robactwo, nie łapalibyście tych paskudnych choróbsk. Złaż z tego dachu i wynoś się stąd. I to już! – ryknął i odepchnął chłopca od siebie. – Jak cię tu znowu zobaczę, nie będę taki łaskawy!

– Tak jest, panie. – Adrian powoli się wycofywał. – Dziękuję, panie.

Gdy już znalazł się na dole, pokręcił się z tyłu wagabundzkiego sklepu. Musiał zejść gawrońcowi z oczu, ale nie chciał się oddalić nawet na chwilę, żeby w tym czasie wóz nie odjechał. Podwórze na tyłach było puste; wszyscy już weszli do budynku. Adrian podciągnął się i wślizgnął do wnętrza wozu.

Był to typowy wagabundzki wóz. W rogu znajdowało się posłanie, na kołkach wisiały garnki. Wnętrze od podłogi po dach wypełnione było najróżniejszymi pojemnikami.

Adrian wiedział, że znalazł się we właściwym miejscu, kiedy poczuł znajome zapachy imbiru, szaławii i mięty. To wywołało wspomnienia nocy spędzonych w górskich sadybach, kiedy Iwa i Taliesin opowiadały historie, a blask ogniska malował brązem ich twarze, na których widniały ślady czasu i mądrości.

Z sufitu zwisały pęki ziół – pluskwica graniasta, drapacz lekarski, jemiola. Wszędzie dookoła znajdowały się ciasno poupychane słoiczki i butelki. To było prawdziwe aptekarium na kołach. Wiele pojemników miało swoje oznaczenia, ale Adrian ich nie rozumiał. Zaczął otwierać woreczki i słoiki, wąchać zawartość, rozjaśniając ciemności opuszkami palców.

W końcu znalazł to, czego szukał: w rogu, za dwoma rzędami pojemników. Wystarczyło powąchać, by rozpoznać odór śmierci. Zioło gedden – gwarancja pożegnania się z życiem na własnych warunkach. Wysypał ziarenka pieprzu z lnianej torebki, nabrał do niej kilka łyżek zioła i wsunął do kieszeni swoich bryczesów.

Zdawał sobie sprawę, że powinien odejść i znaleźć bezpieczniejsze miejsce na czekanie i obserwowanie, lecz ta drobna kradzież sprawiła, że poczuł wielkie zmęczenie. Znowu miał dreszcze i wiedział, że temperatura jego ciała znowu się podnosi. Rozejrzał się i znalazł korę wierzby i cynowy garnek. Nabrał jak najczystsze śniegu, roztopił go ogniem wznieconym na koniuszkach palców i podgrzewał w dłoniach tak długo, aż woda się zagotowała. Brudna czy nie, prawdopodobnie i tak była bezpieczniejsza niż woda ze studni.

Wrócił do wozu i zamoczył korę wierzby. Uzyskał mętłą herbatę, którą wypił do dna. Wciąż czując dreszcze, znalazł stertę koców i wsunął się pod nie, żeby odpocząć przez chwilę, póki zioło nie zacznie działać.

Obudziło go światło lampki skierowanej prosto w jego twarz, gdy ktoś nim mocno potrząsał.

– Hej, ty, zejź stąd, zanim zamarzniesz! Jeśli szukasz syropu mawkowego, to jest dobrze ukryty.

Mówiła językiem powszechnym, ale Adrian rozpoznał ją po głosie.

– Taliesin – powiedział, mrugając i osłaniając oczy przed światłem. Usłyszał gwałtowny wdech, gdy lampka wypadła jej z dłoni, a zaraz potem stuknięcie metalu o podłogę wozu.

Taliesin nie należała do strachliwych, ale teraz wpatrywała się w niego, jakby zobaczyła ducha.

– Na krew i demony – szepnęła. – Magik?

– To ja – przyznał Adrian.

– Skąd się tu wzięłeś? Słyszałam, że nie żyjesz.

– Jak widać, to nie całkiem prawda.

– No, jeszcze nic straconego, jeśli gawrońce cię tu znajdą.

– Muszę z wami pomówić.

Wyciągnęła rękę i chwyciła go za podbródek. Pochyliła się, by go dokładniej obejrzeć, a potem przyłożyła wierzch dłoni do jego czoła. Te jej czarne oczy jakby świdrowały go na wylot. Tym spojrzeniem potrafiła wydobyć z człowieka więcej, niż Adrian był skłonny wyznać w ciągu godziny bezpośredniej rozmowy.

– Jak długo jesteś chory? – zapytała.

– Nic mi nie jest – mruknął, próbując wydostać się z jej uścisku.

– Zaczekaj tu. Zaraz wrócę – nakazała.

Chwilę jej nie było, po czym zjawiła się z ciężką peleryną z owczej wełny.

– Włóż to – powiedziała. – Nikt cię nie zobaczy. Przegoniłam wszystkich z tyłu.

Nim się zorientował, był już w pomieszczeniu na tyłach sklepu, a Taliesin siedziała między nim a drzwiami i lała wrzątek do czajnika z suszonymi liśćmi. Na podłodze obok paleniska przygotowała prowizoryczne posłanie.

Podczas gdy ziola się moczyły, wysypała na kamień czarne pomarszczone fasolki z płóciennej torby, dodała do nich jakiś suszony brązowy korzeń i szczyptę żółtego proszku.

– Opowiedz, co się stało.

– A coście słyszeli?

– Nieważne, co słyszałam. Proszę, żebyś mi opowiedział, jak było. – Położyła mu kamień na kolanach i podała tłuczek. – Utrzymaj to jak najdrobniej.

Adrian ścisnął ciężki tłuczek w dłoni. Nie wiedział, jak zacząć.

– Domyślałam się, że jesteś tu, bo potrzebujesz mojej pomocy – odezwała się Taliesin. – Jeśli chcesz, żebym ci pomogła, musisz ze mną rozmawiać.

Adrian westchnął. Może kiedy opowie Taliesin, co się stało, dostanie od niej to, czego potrzebuje.

– Mój tata nie żyje – powiedział, uderzając tłuczkiem w kamień. Trach!

– Tak słyszałam. Całe miasto było w żałobie, kiedy wyjeżdżałam. Opłakiwano was obu. – Jej głos zmiękł. – Przykro mi, magiku.

– To moja wina. – Trach!

– Zabiłeś swojego ojca?

– Nie!

– No to chyba wina kogoś innego.

– Ale to przeze mnie nie mógł uciec. Ja wciągnąłem go w pułapkę.

– Aha. – Taliesin skinęła głową. Jej korale zadźwięczały głośno. – To znaczy, że brałeś udział w spisku.

– Nie! – Adrian usiłował uporządkować myśli. – Oni... jacyś ludzie... złapali mnie na ulicy. Tata przyszedł mi na pomoc. I wtedy go zabili.

– Więc wygląda na to, że ktoś użył ciebie, żeby wciągnąć go w pułapkę.

– To nie zmienia faktu, że gdyby mnie tam nie było, nadal by żył. Byłem bezużyteczny. Gorzej niż bezużyteczny. – Choć bardzo starał się nie płakać, łzy same cisnęły mu się do oczu. Trach!

Taliesin odebrała od niego rozdrobnione zioła, wsypała je do kubka i zalała parującą zawartością czajnika. Podała mu kubek.

– Uważaj. Gorące.

Podmuchał na napar i poczuł jego zapach. Spojrzał na Taliesin ze złością i gwałtownym ruchem odstawił naczynie.

– Jeśli myślicie, że mnie odurzycie i zawiezicie z powrotem do domu, to się mylicie – burknął.

Taliesin westchnęła.

– Musisz to wypić dla złagodzenia bólu, bo będę musiała zająć się twoją kostką.

*Ona powinna być królową, pomyślał Adrian, bo tak dobrze jej idzie wydawanie rozkazów i ich egzekwowanie.* Podniósł kubek i zaczął sączyć płyn.

Taliesin zdjęła mu but. Kostka nie wyglądała dobrze. Uzdrowicielka przewróciła oczami.

– Chodziłeś ze złamaną kostką? Zapomniałeś już, czego cię uczyłam?

– Już powinienem nie żyć. Wtedy to i tak nie miałyby znaczenia. To tylko... na krew i kości!

Szybkim, wprawnym ruchem Taliesin nastawiła kość. Adrian omal nie zemdlął z bólu.

– Mogliście mnie uprzedzić – jęknął.

– To ty nie chciałeś wypić ziół – odparła szorstko. Zaczęła owijać kostkę długimi paskami płótna. – Co właściwie tu robisz?

– Chcę jechać z wami do Oden's Ford. Mówiliście, że przyjmą mnie do Spiritas. Będę się u was uczył, a potem przeniosę się do Mystwerku, kiedy już będę miał tyle lat, ile trzeba.

– Owszem, przyjmie cię do Spiritas. Ale teraz powinieneś wracać do matki. Nie możesz pozwolić, żeby myślała, że nie żyjesz albo cię porwano. Ona cię potrzebuje.

– Nie potrzebuje mnie. Nie potrzebuje nikogo. Gdyby nie ona, tata nadal by żył. – Mówiąc te słowa, wiedział, że są nieprawdziwe i krzywdzące. Był jednak chory i zmęczony, i nie miał ochoty zachowywać się rozsądnie.

– Aha. – Taliesin popijała własną herbatę. – Czyli to ona brała udział w tym spisku. Rozumiem, że go nie kochała?

– Przestańcie wreszcie! – krzyknął Adrian. Jakaś dziewczyna wsunęła głowę między zasłony oddzielające to pomieszczenie od części sklepowej. Taliesin odprawiła ją ruchem ręki, nie odrywając wzroku od Adriana.

– Nie o to mi chodzi, i dobrze to wiecie – syknął. – Tak, kochała go. On nie żyje, bo też ją kochał i dlatego że kochał mnie, a nie powinien był płacić takiej ceny za miłość.



– W końcu coś, co do czego się zgadzamy. – Taliesin odstawiła swój kubek. – Nie powinien był zapłacić takiej ceny. Miłość jest źródłem wielu cierpień, strat i straszliwej rozpacz. To najgorsza rzecz na świecie ryzykować swoim życiem dla kogoś, kogo się kocha. Jednocześnie to najlepsza rzecz na świecie... i warta tego ryzyka. Nie znam twojej mamy ani siostry, ale znam ciebie i mogę się założyć, że chcą cię odzyskać. – To był największy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszał od Taliesin.

– Muszę jechać do Oden's Ford – upierał się. – Ostatnia rzecz, jaką tata mi powiedział... dał mi swój amulet i powiedział: „Chcę, żebyś poszedł do Oden's Ford i nauczył się go używać”. Ale mama na pewno mnie nie puści po tym, co się stało. Już po śmierci Hany nie było łatwo.

– Powiedz królowej, czego życzył sobie twój ojciec. Jestem pewna, że zechce to uszanować. Jeśli nie w tym roku, możesz przybyć do Spiritas za rok. Będę trzymać dla ciebie miejsce.

– Nie rozumiecie – szepnął Adrian łamiącym się głosem. – Nie chodzi tylko o to.

Taliesin chwyciła go za ręce i nachyliła się w jego stronę.

– Wyjaśnij mi to, czego nie rozumiem.

– Nie mogę wrócić. Ja... po prostu nie mogę tam wrócić i opowiedzieć mamie i siostrze, jak zginął. Zaslugują na to, żeby się dowiedzieć, ale... nie chcę... nie dam rady patrzeć na ich twarze, wiedząc, że powinienem był coś zrobić, by temu zapobiec. Nie mogę się poruszać po Fellsmarchu i nie zauważać tej wielkiej dziury, która po nim została. Za każdym rogiem przypomina mi się coś, co powiedział albo zrobił, albo jakaś opowiedziana przez niego historia. Był jak bijące

serce tego miasta, a król Ardeny wbił miecz w sam środek tego serca. Ludzie będą na mnie patrzeć i od razu poznają, że to moja wina.

– Naprawdę myślisz, że będą cię obwiniać?

– A czemu nie? Ja sam się obwiniam. Będę widział te oskarżycielskie spojrzenia i za każdym razem będę coraz bardziej umierał. Już wolałbym od razu ze sobą skończyć. – Znowu poczuł te dreszcze i nie wiedział, czy to z rozpaczy, gorączki czy czegoś innego.

– Napij się jeszcze – powiedziała delikatnie Taliesin. – To nie uleczy zrozpaczonego serca, ale trochę złagodzi ból.

Tym razem Adrian pociągnął duży łyk.

– Nie szukam współczucia. Nie potrzebuję nawet, żebyście się ze mną zgadzali. Chcę tylko się stąd wydostać. Chcę przestać czuć ten ból. Jeśli nie będę mógł wyruszyć z wami, znajdę sposób, żeby skończyć to po swojemu. – Ich spojrzenia spotkały się, a jego palce powędrowały ku ziołu gedden ukrytemu w kieszeni bryczesów.

Wiedział, że Taliesin natychmiast zrozumiała, co miał na myśli, i że mu uwierzyła. Zawsze traktowała go poważnie, jak dorosłego, nawet gdy na to nie zasługiwał. To była jedna z rzeczy, które w niej cenił.

– A jeżeli wiesz coś, co mogłoby pomóc w schwytaniu zabójców? – zapytała. – Chcesz, żeby ta wiedza przepadła wraz z tobą?

To było jak kopnięcie w brzuch. Co jeśli ona ma rację?

– A jeżeli mógłbyś zapobiec kolejnemu morderstwu?

*Albo przynajmniej pomścić morderstwa, których już dokonano.*

Ta myśl, raz wzniecona, nie dawała się łatwo zagłuszyć. Adrian miał świadomość, że gdy znajdzie się w Oden's Ford, będzie bliżej wroga. Jednak... to oznaczało, że nie uda mu się szybko uciec od bólu.

Usiłował sobie przypomnieć, czy widział albo słyszał coś, co mogło się okazać przydatne. Jego pamięć jednak jakby odgrodziła się gru-

bym murem, zbyt bolesna, by ją rozgrzebywać. Sięgnął ręką do głowy i wyczuł guza. Czyżby ktoś go uderzył? A może się przewrócił? Albo i jedno, i drugie? Spojrzał na swoje odrapane dłonie.

Taliesin westchnęła.

– Co do Oden's Ford. Szkoła jest trudna nawet w sprzyjających warunkach. Chciałabym, żebyś miał jak najlepsze możliwości rozwoju, jeżeli mam przekonać dziekanów Mystwerku do współpracy.

– Będę ciężko pracował. Nie zawiodę was – obiecał Adrian.

Taliesin przyglądała się mu uważnie przez chwilę.

– Naprawdę sądzisz, że to ci pomoże... wyjazd stąd na jakiś czas?

– Nie wiem. Może. Prawdopodobnie. – Herbatka zaczęła już działać i jego myśli stawały się coraz powolniejsze, coraz bardziej chaotyczne.

– Jeśli obwiniasz się o śmierć ojca, jedną z metod poradzenia sobie z tym jest pomoc innym. – Brzmiało to tak, jakby przekonywała samą siebie. – Tylu ludzi umiera niepotrzebnie, a chcieliby żyć. Uratowanie życia może rekompensować odebranie życia. – Zauważyła, że powieki mu opadają. – Chodź, połóż się, zanim się przewrócisz.

Podszedł do posłania na podłodze i wyciągnął się.

Taliesin usiadła na stołku obok niego.

– Prawdę mówiąc, może być dla ciebie bezpieczniej jechać ze mną na Południe i pozwolić wszystkim myśleć, że nie żyjesz. Możesz uleczyć siebie, lecząc innych. Może taki właśnie jest zamysł Stworzyciela.

– Nie rozumiem – rzekł Adrian. – Jaki to ma sens, że Stworzyciel zabrał mi tatę i Hanę, a mnie pozostawił?

– Umrzeć jest łatwo, magiku. – Taliesin pogładziła go po głowie. – Utrzymać się przy życiu to prawdziwe wyzwanie.

## 6

### DŁUGI LONT



Dużo czasu minęło, od kiedy Jenna Bandelow ostatnim razem przebywała drogę do kopalni Numer Dwa. Gdy tamten szyb zamknięto, otwarto nowe, dalej na zachodzie i nieco niżej.

Trochę się zmieniło przez te cztery lata od śmierci Maggi i Rileya. Znikła większość drzew, które spalono, by zasilić nienasyconą stalownię, albo ścięto, żeby uniemożliwić zasadzki na drodze do koszar. Ardeńczycy przenieśli tu swoją kwaterę główną, żeby żołnierze (wszyscy nazywali ich błotnistymi z powodu barwy mundurów) nie musieli przejeżdżać niebezpiecznymi ulicami miasta, gdzie regularnie na nich napadano.

Cztery lata temu dzień był marcowy, ponury, padał deszcz ze śniegiem i groźnie huczał wiatr z wiedźmiej Północy. Teraz była bezchmurna, zimna noc październikowa, ale tak jak wtedy wiał wiatr, niosący zapowiedź zimy wraz z zapachem świeżego śniegu pokrywającego szczyty Gór Duchów.

Wtedy Jenna siedziała z tyłu wraz z Rileym i Maggi, którzy mieli pożegnać się z życiem, choć żadne z nich jeszcze o tym nie wiedziało. Teraz siedziała na miejscu woźnicy w towarzystwie trochę starszego

chłopca o imieniu Byram. Z tyłu z beczkami jechał młodszy od nich Mick.

Nie powinni sobie wiele mówić, ale mimo to Byramowi przez całą drogę usta się nie zamykały.

Byram to raczej nie było jego prawdziwe imię, w każdym razie tak podpowiadałby rozsądek. Jennę znano jako chłopca o przydomku Zaklinacz Ognia albo po prostu Ognik. To wiele ułatwiało. Od tak dawna ukrywała się pod tą postacią, że sama nie wiedziała, czy pamięta, jak to jest być dziewczyną.

Starła się mówić o sobie jak najmniej. Dzięki temu, gdyby kogoś z nich schwytano, nie miałby wiele do powiedzenia gawrońcom.

Kiedy nie działała dla ruchu Patriotów, przedstawiała się jako Riley Collier, górnik strzałowy z Sercowych Kłków. Jeździła od kopalni do kopalni, drążyła dziury w skałach, wkładała w nie proch i wysadzala, by umożliwić górnikom dostęp do głębszych pokładów węgla.

Było to dobre zajęcie jak na pracę w kopalni, jeśli miało się pewną rękę i mocne nerwy. Inaczej niż w przypadku innych robót do tego nie były potrzebne silne mięśnie. Nie było to też tak wyczerpujące jak inne prace górnicze, po których robotnicy nie mieli już sił na nic. Jej dni robocze były krótsze, nikt nie patrzył jej na ręce, bo żaden z nadzorców nie palił się do tego, żeby wchodzić wraz z nią w głąb skały. Więcej czasu spędzała na świeżym powietrzu, a mniej pod ziemią, a przy tym zdobyła przydatne umiejętności – między innymi te, które miała wykorzystać podczas tej akcji.

Zbliżali się do rozwidlenia, gdzie odbijała droga w kierunku koszar, kiedy Byram powiedział:

– Zatrzymaj. – Jenna szarpnęła za lejce. Byram wcisnął jej do ręki jakieś dokumenty. – Masz tu papiery, gdyby nas zatrzymali. Wie-

ziemy mąkę i olej do kuchni. Jeśli bez przeszkód dojedziemy do mostu, zawróć i zjedź na bok. Jak się zatrzymasz, ja i Mick wtoczmy beczki pod most i podpalimy. Po wybuchu wskoczmy na wóz i uciekamy. Tylko nie panikuj, bo nie chcemy, żeby ktoś nas zobaczył. Rozumiesz? – Wyraźnie sprawiało mu przyjemność dowodzenie akcją.

Jenna rozumiała, ale nie podobał jej się ten plan. Plusem jazdy w nocy było to, że droga powinna być pusta, minusem natomiast – że kiedy nastąpi wybuch, oni staną się pierwszymi podejrzanymi dla każdego żołnierza, który przypadkiem znajdzie się w pobliżu. Zwłaszcza że będą się oddalać od mostu, podczas gdy wszyscy inni będą zmierzać w kierunku miejsca wybuchu, by zobaczyć, co się stało.

– Będziemy jedyni na drodze, oprócz błotnistych i gawrońców. Po wybuchu wszyscy skupią uwagę na nas, a tu nie ma się gdzie ukryć.

Byram parsknął.

– Jakie są szanse, że błotniści znajdą się po tej stronie mostu w środku nocy?

– Nie tyle błotniści, ile gawrońce. Z tego, co słyszałam, nowy dowódca jest podły jak wąż. Chcę być jak najdalej, kiedy to wybuchnie.

– Jeśli się boisz, trzeba było zostać w domu – powiedział Byram.

– Jeśli się nie boisz, jesteś głupi.

– Słuchaj – Byram przemawiał jak do małego dziecka. – Ktoś musi to wysadzić; po wybuchu mamy najwyżej dwie minuty. – Przymrużył oczy. – A może byś wolał zostawić tu mnie i Micka i wrócić sobie do miasta?

Jenna pokręciła głową.

– Przywiozłem to. – Wyciągnęła z torby długą, wąską tubę. Była zrobiona z bawełny, posmarowana smolą, wypchana czarnym prochem.

– Co to jest? – Byram ostrożnie dźgnął w tę rzecz palcem.

– Coś nowego. Górnicy strzałowi w Sercowych Kłach zaczynają ich używać w głębszych szybach. Zapalasz jeden koniec i to się pali jeszcze jakieś pół godziny.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem – stwierdził Byram takim tonem, jakby kończył rozmowę.

*Bo za dużo gadasz, a za mało słuchasz,* pomyślała Jenna.

– Powiedział mi o tym jeden górnik, który przejeżdżał przez miasto w drodze na Północ. – Jenna nie lubiła wyjawiać źródeł informacji, tak na wszelki wypadek.

– Skąd mamy wiedzieć, że to zadziała? – upierał się Byram. – Nawet nie wiemy, jak tego użyć.

– Ty nie wiesz, ja wiem. Wy zniesiecie beczki na dół, a ja zajmę się resztą – oświadczyła Jenna. Szarpnęła lejcami i konie ruszyły. Serce dziewczyny zaczynało bić mocno, jak zawsze podczas wykonywania takich zadań. Starła się nie zaprzętać sobie głowy tym, co się stanie, jeśli wpadną w ręce Ardeńczyków. Zamiast tego skierowała myśli ku Rileyowi i Maggi, którzy nie żyli, oraz ku swojemu tacie i każdemu w Delphi, kto cierpiał pod butem Ardeny.

Wyobrażała sobie Arden w płomieniach, po których nie pozostaje nic prócz zgliszczy. To zawsze mobilizowało ją do działania.

Zjechali z głównej drogi w kierunku koszar wojskowych. Mieściły się one w posiadłości, którą przejęła armia, gdy wyprowadziła się z miasta. Teraz po obu stronach drogi rozciągał się obóz wojskowy, a za stajniami i zabudowaniami gospodarczymi powstały brzydkie niskie magazyny. Wokół głównego budynku zachowały się fragmenty czegoś, co kiedyś musiało być ogrodem, ale teraz było tak rozdeptane przez ludzi i konie, że ziemia zamieniła się w błoto. Kilka krzewów,

zwiądnętych o tej porze roku, wciąż rosło przy domu. Cały ten teren otaczał wysoki kamienny mur.

Ten mur był nowy. Wyglądało na to, że młody dowódca garnizonu, Halston Matelon, miał już dość ataków, których sprawcy zjawiali się nie wiadomo skąd i błyskawicznie znikali.

Droga dojazdowa do koszar przecinała rzekę mniej więcej w połowie odległości między rozwidleniem a murem. Jenna przejechała przez most, znalazła szerokie miejsce, w którym mogła zawrócić, ponownie przejechała przez most i zatrzymała konie.

Mick i Byram ściągnęli z wozu cztery beczki prochu i potoczyli je na brzeg. Jenna ustawiła hamulec i poszła za nimi. Na ramieniu niosła swoją torbę.

– Mick, idź na górę i stań na czatach – powiedziała, choć wolałaby wyznaczyć do tego Byrama, żeby się go pozbyć. Kiedy ją obserwował, uśmiechając się przebiegle i wywracając oczami, palce plątały jej się bardziej niż zwykle, przez co zamocowanie wszystkiego – dwóch beczek z każdej strony mostu i tuby z lontem przy każdej z nich – trwało dłużej, niż się spodziewała.

– Może powinniśmy poczekać i zobaczyć, czy to naprawdę zadziała – powiedział Byram.

– Możesz czekać, jeśli chcesz – odparła Jenna, ruszając pod górę do drogi. – Ja wracam do miasta. – Po chwili usłyszała za sobą jego kroki.

Wdrapali się z powrotem do miejsca, w którym czekał Mick. Jenna usiadła na koźle, zwolniła hamulec i powoli ruszyli w kierunku głównej drogi. Konie wiedziały, że idą do domu, więc ciężko było nad nimi panować. Nim dotarli do skrzyżowania, ujrzeli kilkunastu jeźdźców pędzących im naprzeciw.



– Szlag! – warknął Mick. Nigdy nie mówił wiele, a gdy już się odzywał, zwykle padało właśnie „szlag”.

Kiedy jeźdźcy się do nich zbliżyli, Jenna zauważyła, że jadą na czarnych koniach ze srebrnymi elementami uprzęży i są ubrani w czarne peleryny, czarne tuniki i szare spodnie.

– Gawrońce – mruknęła i pomyślała „szlag”.

– Gawrońce? – Byram mrużył oczy. – Niemożliwe, żebyś ich rozpoznała z takiej odległości, i to po ciemku.

– Mam lepszy wzrok niż ty. Zaraz sam zobaczysz.

Już po chwili nie mogło być wątpliwości, kto jedzie im naprzeciw.

Jenna wolałaby, żeby to byli błotniści, którzy jeśli nie weszło się im w drogę, zostawiali człowieka w spokoju. Na ogół byli to rekruci z południowych królestw lub najemnicy, którzy robili, co do nich należało, bez większego zaangażowania. Chcieli tylko odbębnić służbę na Północy i wrócić do domu.

Gawrońce natomiast byli wykonawcami woli króla na terenie imperium, tak samo okrutni i bezwzględni jak on sam. W tym momencie Jenna miała jeszcze za plecami most, który w każdej chwili mógł wylecieć w powietrze.

Jej serce już wcześniej biło mocno, ale teraz zaczęło tak łomotać, że była pewna, iż gawrońce to słyszą.

Byram wiercił się niespokojnie, jakby myślał o ucieczce.

– Nie ruszaj się. – Jenna, chwyciła go za rękę i mocno ścisnęła. – Oni są szybsi, a już sama ucieczka wygląda jak dowód winy. I nie odzywaj się. – Byram kiwnął głową; jego twarz w blasku księżyca była trupio blada. W tym stanie wyraźnie nie miał ochoty nic mówić.

Oddział gawrońców otoczył ich wóz i zagroził im drogę. Jeden z nich podjechał tak blisko, że gdy Jenna obróciła głowę, widziała

tylko jego czarne buty. Skierowała wzrok przed siebie, mocno ściskając lejce i starając się opanować szczękanie zębami.

Jedno działało na ich korzyść: strach przed Gwardią Królewską nie był niczym niezwykłym – bardziej podejrzane byłoby, gdyby się nie denerwowali.

– Późna pora na przejażdżki – powiedział gawroniec. Coś w jego aksamitnym głosie sprawiło, że Jennie zjeżyły się włoski na karku.

– Tak, panie – odparła.

– Mógłbyś to wyjaśnić?

– My... zawieźliśmy prowiant do kuchni, o tam – wskazała na ko-szary.

– W środku nocy?

Skinęła głową, wpatrzona w konie.

– Patrz na mnie, chłopcze.

Jenna podniosła wzrok na mężczyznę. Jego oczy były jak dwa węgle umieszczone w czaszce, a może bardziej jak szklane kulki osadzone nad prostym nosem i niemal bezwargimi ustami. Był całkowicie pozbawiony brwi i rzęs, a głowę miał gładką jak kula bilardowa. Nosił insygnia oficerskie.

*Szlag, pomyślała. To Clermont.*

Mark Clermont był dowódcą Gwardii Królewskiej w Delphi, pają-kiem, który oplatał ziemie północne siecią swojej kontroli. Mówiono o nim, że ma upodobanie do tortur. Kto dostał się w jego łapska, zaczął mówić. A gdy już wszystko wyśpiewał, umierał. Powoli.

*Dobrze chociaż, że nie jest magiem; nie może rzucić na mnie zaklę-cia, żebym mówiła prawdę,* oceniła Jenna w myślach. Zawsze potra-fiła rozpoznać maga – otaczał ich ten szczególny blask widoczny dla niej, chociaż inni mówili, że tego nie dostrzegają. Bardzo niewiele

magów przybywało do Delphi, a ci, którzy się tu zjawiali, byli albo w armii, albo w Gwardii Królewskiej.

Nagle zorientowała się, że dowódca powiedział coś, czego nie usłyszała.

– Prze... przepraszam, panie. Co takiego?

– Nie ma powodów, żeby się bać – stwierdził Clermont z uśmiechem. Położył dłoń na jej ramieniu. Kiedy się wzdrygnęła, ścisnął mocniej. Jego dotyk był dla niej nieprzyjemny, lecz nie miała odwagi go odepchnąć. Teraz to ona miała ochotę uciekać na oślep, byle dalej.

– Jak się nazywasz, chłopcze?

– Munroe, panie. – Sama się zdumiała, że to kłamstwo tak łatwo jej przyszło. A więc jednak można oszukiwać Niszczyciela.

– Munroe. Niezwykle imię. – Jego głos brzmiał dziwnie kojąco. Byram wpatrywał się w niego jak królik w jastrzębia. Jenna kopnęła go w łydkę, żeby wrócił do rzeczywistości.

– Teraz mów prawdę... co tutaj robicie w środku nocy? – zapytał Clermont.

Spróbowała kolejnego kłamstwa.

– Nie mogliśmy przyjechać wcześniej, bo w dzień pracujemy w kopalni. Nikogo tam nie było i musieliśmy sami wyładować towar. Dlatego wszystko się opóźniło. – Przypomniała sobie o papierach Byrama. Wyciągnęła je przed siebie. – Tu są nasze papiery.

Clermont nawet na to nie spojrzał.

– Czy dzienna zmiana w kopalni nie zaczyna się za parę godzin?

– Dlatego nam się śpieszy. Żeby jeszcze chociaż trochę się przespać.

Clermont popatrzył na nią badawczo, po czym puścił jej ramię i poprawił się w siodle, marszcząc czoło, jakby nie wiedział, co z nią począć.

– A ty? – zwrócił się do Byrama. – Masz coś do powiedzenia?

– Nie, panie – wychrypiał Byram.

– Przeszukać wóz! – rozkazał Clermont swoim podwładnym.

Nie trwało to długo, bo na wozie nie było wiele do oglądania, z wyjątkiem Micka, skulonego w rogu i trzęsącego się ze strachu. Dla Jenny jednak była to cała wieczność.

Siedziała przygarbiona, czekając na wybuch, który położy wszystkim kres.

Wreszcie gawrońce zeskoczyli z wozu.

– Nic tu nie ma – oznajmił jeden z nich.

Clermont pocierał podbródek, wpatrując się w nią, jakby coś go zaintrygowało.

– Twoje oczy – powiedział – mają niezwykły kolor. Jak stare złoto albo płomień świecy oglądany przez miód. – Sposób, w jaki to mówił, przyprawił ją o dreszcze. Nie chciała, żeby zauważył w niej coś charakterystycznego. Ucieszyła się, że jest przebrana za chłopaka.

– Panie? – odezwał się jeden z gawrońców. – Zabieramy ich do dowódcy garnizonu?

Clermont wahał się chwilę, po czym pokręcił głową.

– Nie, już i tak zmarnowaliśmy tu dość czasu. – Gdy Jenna siedziała nieruchomo, bojąc się poruszyć, warknął: – Głuchy jesteś? No, jazda stąd! – Machnął ręką, by przepuścić wóz.

Jenna poluzowała lejce i zacięła konie. Usłyszała, jak jeden z gawrońców rzucił niewybredny żart i pozostali wybuchnęli śmiechem.

Słuch miała tak samo dobry jak wzrok. Jej tata twierdził, że ona z odległości kilku kilometrów słyszy wyjmowanie cukierka ze słoika.

Gdy oddalali się od gwardzistów, słyszała tętent koni, najpierw wolny, potem coraz szybszy, niczym werbel.

– Szlag! – szepnął Mick.

Byram wydał przeciągłe, niespokojne westchnienie. Cała jego buńczuczność gdzieś wyparowała.

Kiedy znaleźli się na niewielkim wzniesieniu, Jenna zatrzymała konie i obejrzała się za siebie. Księżyc wisiał wysoko i oddział jeźdźców ciągnął za sobą długie cienie, zbliżając się do mostu. Nawet z tej odległości Jenna słyszała stukot kopyt po deskach.

Byram wiercił się obok niej.

– Mało brakowało – powiedział. – Chyba to nawet lepiej, że nie zadziało. Gdyby wybuchło, już bylibyśmy w drodze do mamra.

– Czekał. – Jenna obserwowała, jak ostatni z gawrońców wjeżdża na most. Zobaczyła błysk ognia, któremu towarzyszył dziwnie cichy trzask. Zaraz potem rozległ się huk i po chwili jeszcze jeden. Most runął, a wraz z nim ludzie i konie. W miejscu przęśła powstała wielka, postrzępiona dziura, z której unosiła się połyskująca smuga kurzu. Po przeciwnej stronie rzeki garstka tych, którzy uszli z życiem, rzuciła się do galopu. Zatrzymali się na krawędzi klifu.

Byram zawył radośnie i klepnął Jennę w plecy. Po jego sceptycyzmie nie było już śladu.

– Widziałeś? Widziałeś to?!

Nawet Mick szeroko się uśmiechał.

Dobrze, że gawrońce, którzy przeżyli, pozostali po drugiej stronie rzeki. Z miejsca, w którym znajdowała się Jenna, nie dało się stwierdzić, czy był wśród nich Clermont, ale coś jej podpowiadało, że tak. Widział ich – widział wszystkich troje – i teraz na pewno zechce ich odnaleźć.

Jeśli szczęście jej dopisze, będzie szukał chłopca o imieniu Munroe.

**ODEN'S FORD**

– Ostatnio w ogóle mnie nie odwiedzasz, chyba że idziesz kogoś zabić – powiedziała Taliesin.

Było to na tyle bliskie prawdy, że Ash nie zaprzeczył.

Wagabunda, chociaż zwrócona do niego tyłem, od razu go rozpoznała. Zawsze rozpoznawała go po krokach czy zapachu, a może po prostu był tak nieskomplikowany, a ona na tyle bystra, że potrafiła go przejrzeć.

– Jestem już na drugim roku Mystwerku – odparł. – Mam znacznie więcej pracy niż rok temu. Mistrzowie i dziekani nas nie oszczędzają.

– Rozumiem. – Kuciała boso między rzędami marchewek, które umiejętnie wyrywała motyką i wrzucała do torby przewieszanej przez ramię. Taliesin Beaugarde była dziekanem Spiritas, ale swoim zachowaniem nikomu nie dawała odczuć, jak ważną zajmuje pozycję. Pod tym względem diametralnie różniła się od każdego przeciętnego mistrza z Mystwerku. Czarownicy byli arogancy z natury, a Taliesin twardo stąpała po ziemi.

Od śmierci ojca Ash co lato prowadził własną wojnę z Ardenem. Zawsze w porze kampanii wojennych udawał się na Południe, gdzie pra-

cował jako wędrowny weterynarz. Weterynarze byli wszędzie chętnie przyjmowani – w armii, w miastach, w każdym gospodarstwie po drodze, w stajniach tanów najwyższej rangi – wszędzie, gdzie były konie.

Przedstawiciele tego fachu nie wzbudzali podejrzeń tak jak inni obcy. Większość musiała wędrować z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pracy. To zajęcie było jakby stworzone dla Adama Freemana pochodzącego z Tamronu. Mimo młodego wieku znał się na swoim fachu jak mało kto, więc chętnie korzystano z jego usług. Było nie było, zawsze dobrze sobie radził z końmi.

Znał się też na truciznach, garotach i małych sztyletach zwanych kozikami. Najchętniej posługiwał się trucizną. Dzięki Taliesin używał takich składników, o których nikt nigdy nie słyszał i których żaden południowy uzdrowiciel nie potrafił wykryć. Na jego korzyść działało to, że w Ardenie zielona magia była traktowana jako czary i przez to zakazana.

Nawet gdyby wykryto jego trucizny, i tak zawsze byłoby za późno. Kiedy kogoś dopadł, ten ktoś nieuchronnie rozstawał się z życiem. W chwili gdy do tego dochodziło, młody Adam Freeman zazwyczaj był już w drodze w inne miejsce. W ten sposób pozostawiał za sobą szlak usłany trupami.

Jego ofiarami często padali arystokraci – na przykład tanowie popierający króla. Mógł to być major albo generał, albo jakiś gawroniec słynący z wyjątkowego okrucieństwa. Bywało, że cała kolumna najemników nagle zachorowała i przez kilka tygodni nie była w stanie maszerować na północ. Nazywano to chorobą letnią i przypuszczano, że wywołują ją komary. Zdarzało się, że cały obóz rekrutów dostawał wysypki, tak dokuczliwej, że paraliżowała działania wojenne. Albo

biegunki, która na kilka dni wyłączała żołnierzy z wszelkich akcji. Takie wypadki przypisywano brudnej wodzie. Gdy zawodziło wszystko inne, Adrian używał ostrzy. Starał się jednak tego unikać, bo rozlew krwi nie pozostawiał wątpliwości, że w pobliżu znajduje się wróg.

Rzadko odbierał życie szeregowym żołnierzom, jeśli nie było to konieczne. Wielu z nich wcielano bowiem do armii z okupowanych królestw pod przymusem. Ze strategicznego punktu widzenia i tak nie mieli wielkiego znaczenia. Dla króla Ardeny byli niewiele wartym mięsem armatnim.

Nigdy też jego ofiarami nie padały konie. Przede wszystkim dlatego, że to wzbudziłoby zainteresowanie jego osobą. Poza tym wołał konie od większości ludzi.

– To nie jest twój typowy sezon łowiecki – zauważyła Taliesin.

– Pomyślałem, że wypróbuję nową taktykę. Południowcy, których chcę dopaść, latem wszyscy są w Felis i zabijają mieszkańców Północy. Jesienią mógłbym ich zastać w domach.

Wreszcie obróciła się w jego stronę. Osłoniła oczy przed zachodzącym słońcem.

– Ale wyrosłeś, magiku, przez te cztery lata – powiedziała, jakby od dawna go nie widziała. – I wyprzystojniałeś. Czy jesteś już wyższy, niż był twój ojciec?

– Nie wiem. Niezbyt dobrze to pamiętam. – To było kłamstwo. Pamiętał dokładnie długość ojcowskiej ręki, która go obejmowała, odległość między nimi, gdy tata pochylał się, by mu coś powiedzieć, nawet jego zapach: wyprawionej skóry, potu i świeżego górskiego powietrza.

– Inni chłopcy w twoim wieku przychodzą do mnie po eliksiry miłosne. – Ponownie obrzuciła go wzrokiem. – Podejrzewam, że tobie



to niepotrzebne.

– Nie – odparł, przestępując z nogi na nogę. Taliesin zawsze potrafiła wytrącić go z równowagi. Odkąd przybył na Południe, była dla niego osobą, która nieomal zastępowała mu matkę. I to mądrą matkę.

– Przestań się bawić tym czaromiotem – burknęła. – To mnie denerwuje. – Wiedźmy nie używały amuletów. Przedramieniem otarła pot z czoła, pozostawiając brudną smugę, a potem rzuciła mu kijek i wskazała grządkę. – Tutaj. Skończ ten rząd.

Bezczyność też ją denerwowała. Ash kucnął obok niej. Śpieszył się, ale wiedział, że nie należy jej poganiać. To była cena za dostęp do jej obszernych zasobów roślin i wiedzy o truciznach.

– Dokąd to się wybierasz tym razem? – zapytała. Miała wyjątkowy talent do przeganiania jego ponurych myśli.

– Ja? Będę na Wyspach Południowych studiował księgi i zbierał zioła do infirmerii.

– A tak naprawdę?

– Lepiej, żebyście nie wiedzieli – odparł. Chociaż nigdy by tego nie przyznała, on dobrze wiedział, że zawsze się niepokoiła, kiedy był daleko.

– Oni zabili ci ojca, a teraz ty zabijasz ich. Czym się od nich różnisz?

Część ich relacji opierała się na tym, że musiał wysłuchiwać takich kazań raz na jakiś czas.

– To oni wystrzelili pierwszą strzałę – powiedział Ash. – Gdyby siedzieli na Południu i zostawili nas w spokoju, nic bym do nich nie miał.

– Trucizna jest jak strzała – zauważyła Taliesin. – Nigdy nie masz pewności, w kogo trafi.

– Jestem ostrożny. I znam się na tym, co robię. Uczyła mnie najlepsza nauczycielka.

Jeśli miała to być gałązka oliwna, to ona jej nie przyjęła.

– Ja nie uczyłam cię, jak znaczyć swój szlak trupami – burknęła. – Myślałam, że chcesz uleczyć siebie, lecząc innych.

– Leczę innych... przez trzy pory roku. Co do reszty, można to nazwać działaniem na rzecz zdrowia publicznego. Weźcie pod uwagę, ilu przedwczesnym zgonom zapobiegam.

Życia, które odbieram, równoważą się z tymi, które w ten sposób ratuję.

– Powinieneś zostać tutaj i pracować ze mną – stwierdziła Taliesin.

– Może tego nie widzisz, ale jeszcze dużo musisz się nauczyć. – Urwała na moment i czekała na jego reakcję, lecz on milczał. – Przyjdzie taki czas, kiedy pożałujesz, że nie jesteś lepszym uzdrowicielem.

Ash zdecydowanymi ruchami wbijał kijek w glebę.

– Nauczcie mnie przywracać zmarłych do życia. Wtedy zostanę i będę słuchał.

Po tych słowach Taliesin zamilkła na jakiś czas. W końcu powiedziała:

– Kiedy wrócisz, może mnie tu nie być.

– Jak to? – Ash zmarszczył czoło, przekonany, że ona blefuje, by go przekonać do pozostania w szkole. – Dokąd się wybieracie?

– Lepiej, żebyś nie wiedział – odparła. – Raczej powinieneś zapytać dlaczego.

– No dobrze, dlaczego wyjeżdżacie? – zapytał z niezadowoleniem, świadom tego, że ona ma rację: mogła go jeszcze wiele nauczyć, nawet kiedy dawała mu w kość. Zwłaszcza wtedy gdy dawała mu w kość.

Taliesin oparła się na piętach i położyła przedramiona na kolanach.

– Coś się zmieniło. Tu jest niebezpiecznie, jakby zaciskał się wokół nas stryczek.

– Ale nie tu, w akademii – zauważył Ash.

– Właśnie tutaj. Nie wiem, jak długo obdarzeni mocą będą tu jeszcze bezpieczni.

– Hm. – Trudno mu było w to uwierzyć. Akademia w Oden's Ford, leżąca między Ardenem a podległym mu Tamronem, od wieków pozostawała neutralną enklawą, prawdziwym azylem w okresie trwających wojen. Bez wątplenia Mystwerk był łakomym kąskiem dla ardeńskich handlarzy magami. A Szkoła Świątynna nigdy nie podporządkowała się wymaganiom Ardenu co do nauczania historii i religii.

Reputacja wykładowców utrzymywała jednak obcych z daleka. Najpotężniejsi czarownicy, najgroźniejsi, najlepiej wyszkoleni wojownicy, najzmyślniejsi inżynierowie, uzdrowiciele o niezwykłych umiejętnościach – wielu z nich wracało do Ford, by przekazywać młodszym swoją wiedzę. Poszczególne uczelnie nie we wszystkim się zgadzały, ale żadna z nich nie dopuszczała możliwości jakiegokolwiek naruszenia swojej niezależności.

Pokój Oden's Ford utrzymywał się przez pięćset lat. Wojna na Północy zasługiwała ledwie na drobną wzmiankę w historii tych ziem.

– Chcesz mojej rady? – Taliesin znowu wyrwała go z zamyślenia.

– Nie.

Jak zwykle zignorowała jego zdanie.

– Masz rzadki talent, sul'Hanie, zwłaszcza jak na maga. Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś podobnego. Szkoda marnować go w taki sposób. Nie tak to sobie wyobrażałam, kiedy zgodziłam się przyjąć cię do szkoły.

*Nie tak sobie wyobrażałem swoje życie, pomyślał Ash. Ale co zrobić.* Taliesin jeszcze nie skończyła.

– Niektóre stworzenia nadają się do mordowania... – Wyciągnęła rękę ku rzędom marchewek, a gdy ją podniosła, w jej dłoni wiła się zmija. Uśmierciła ją i wrzuciła do swojej torby. – Ty do nich nie należysz. Nie możesz długo stać okrakiem na granicy między dobrem a złem, życiem a śmiercią. To cię zniszczy.

– A czy nie na tym polega uzdrawianie? – zauważył Ash, wciągnięty w tę rozmowę wbrew sobie. – Idziemy za naszymi pacjentami do tej granicy, gdzie spotykają się życie i śmierć.

– Owszem – przyznała Taliesin. – Ale tam albo ich zawracamy, albo delikatnie pomagamy przekroczyć tę granicę. – Zmrużyła oczy, jej głos zabrzmiał ostrzej. – Nie popychamy ich.

– Czy to nie wy zawsze powtarzacie, że lepiej jest zapobiegać, niż leczyć?

– Racja, to moje słowa, ale...

– Byłem przy tym, jak zabili mojego ojca – powiedział Ash. – Byłem tam i nic nie mogłem zrobić. Tego dnia nauczyłem się, że uzdrawianie ma swoje granice.

– Zabójców nigdy nie brakuje. Wystarczy byle osiłek z pałką. Za to dobry uzdrowiciel to rzadkość. – Taliesin podniosła się lekko i przesunęła torbę na swoje obfite biodro. – Musisz znaleźć sposób, żeby się pozbyć gniewu. Opuść Oden's Ford, póki jeszcze możesz. Jedź do domu i bądź uzdrowicielem, jakim powinieneś być.

– Akurat teraz bycie martwym ma swoje zalety. Żadnych oczekiwań, obowiązków, ograniczeń. Daje mi to swobodę robienia tego, co muszę robić.

– To, że uciekłeś, nie znaczy, że możesz zapomnieć, kim jesteś.

– W końcu wrócę do domu.

– O ile dożyjesz. No to czego ci brakuje tym razem?

Kazanie nareszcie dobiegło końca. Ash miał gotową listę.

– Ziolo gedden. Czarna żmija. Słodka śmierć. Oczy kukiel i tojad.  
Słodkie zapomnienie.

– Słodkie zapomnienie?

– Dla świadków. Wbrew temu, co o mnie myślicie, staram się ograniczać rozlew krwi do minimum.

– Nie wiem, dlaczego ciągle do mnie przychodzisz – mruzczała Taliesin. – Twoje wywary, napary i ekstrakty są tak samo dobre jak moje.

– Owszem, są dobre, ale nie tak dobre. Zresztą śpieszę się.

– Ostatnio zawsze się śpieszysz – zauważyła Taliesin. Widać jednak było, że już się poddała. – No dobrze. Chodź ze mną.

Ash podał jej swoją torbę i wszedł za nią do chaty. Od razu poczuł woń oparów wydobywającą się z rondli na piecu. W chacie Taliesin takie mikstury bulgotały o każdej porze roku.

Zmarszczył nos, czując coś nowego, nieprzyjemny odór, od którego oczy zaczęły mu łzawić.

– Coś tu zdechło?

– To węgorze na kolację – odparła Taliesin. – Zapraszam, jeśli masz ochotę.

Potem już szybko zgromadziła potrzebne mu zioła. Gdy wreszcie opuścił jej chatę w Lesie Tamrońskim i szedł z powrotem do szkoły, było już prawie ciemno. Słoneczne dni, choć wciąż ciepłe, stopniowo stawały się coraz krótsze. W powietrzu unosiła się woń nocnej lilii przyprawowej, kolejny znak, że kończyło się lato.

*To czas umierania, do cna przeżarty chorobą, myślał Ash.*

Musisz przestać tyle myśleć. Już i tak zaczynają się ferie. Miał za sobą wiele bardzo ciężkich egzaminów. Był wyczerpany z magii, przemęczony, a następnego dnia chciał wcześniej wyruszyć. Wiedział jednak z doświadczenia, że niełatwo mu będzie zasnąć.

Minął boczną bramę i szedł dalej ścieżką między drzewami, wydeptaną przez studentów, którzy często zakradali się tędy w bardziej lub mniej nieuczciwych celach. Zaraz za bramą skręcił w kierunku Komina, dormitorium proficjuszy, w którym mieszkali studenci starszych lat z kilku uczelni. On był traktowany jak student czwartego roku, bo miał za sobą dwa lata nauki w Spiritas, gdzie kształcili się uzdrowiciele, i dwa w Mystwerku.

Przed wojną uczyli się tu jego rodzice. Mama spędziła jeden rok w Wien House, szkole kształcącej wojowników ze wszystkich Siedmiu Królestw. Ojciec uczęszczał do Mystwerku, szkoły dla czarowników czy też magów, jak ich nazywano na Południu (zwykle wymawiano to z trwogą i nienawiścią).

Cały kampus z zielonymi trawnikami i starymi kamiennymi budynkami przypominał Szkołę Świątynną w Felis, jeśli pominąć niektóre elementy, jak tawerny i gospody na Mostowej. Most o tej porze zapewne pełen był studentów świętujących koniec semestru i początek okresu swobody.

Jacy byli jego rodzice w czasach studenckich, zanim jeszcze doznali tyłu krzywd? Ash podejrzewał, że czas tu spędzony należał do najbardziej beztrudnych okresów w ich życiu.

Nagle poczuł czyjaś obecność, jakby strużka zimnej wody pociekła mu między łopatkami albo trupia dłoń dotknęła mu karku. Odruchowo obrócił się w taki sposób, by ewentualny atak dosięgnął jak

najmniejszej powierzchni jego ciała, chwycił za amulet i spojrzął za siebie.

Księżyc wiszący nad gęstym lasem był częściowo przesłonięty chmurami. Ash z trudem rozpoznawał ciemniejsze kontury drzew po obu stronach szarego pasa kamienistej ścieżki. W tych zaroślach mogła się ukryć cała armia. Nie przypuszczał, by miał do czynienia z armią, ale ktoś na pewno tam był i śledził go wzrokiem. Było ich kilku.

Nie byli obdarzeni mocą, bo widziałby ich w ciemnościach. Tylko dzięki własnej mocy i ich ograniczeniom wyczuł, że tam są. Zobaczył ich, dopiero gdy zamknął oczy: plamy ciemniejsze od otaczającego je mroku. Uczono go rozpoznawać u innych wszelkie odchylenia od normy. Gdyby nie żądza zaspokojenia głodu, którą od nich wyczuwał, zapewne by ich nie zauważył. Byli jak lampy bez światła.

Bardziej się zaciekawił, niż zaniepokoił. Nie należał do najpotężniejszych czarowników ani najlepszych wojowników w Oden's Ford, ale jeśli chodziło o drapieżniki, zajmował miejsce bliżej szczytu łańcucha pokarmowego.

Zrobił dwa kroki w kierunku zacienionej granicy drzew, żeby lepiej się przyjrzeć. Znieruchomiał, czując podniecenie buzujące w obserwatorach. Nie strach, lecz żądzę i niecierpliwość, jakby to była wataha górskich wilków, które zwietrzyły krew.

Włoski na karku stanęły mu dęba.

Powiał lekki wiatr, liście zaszeleściły. Księżyc wydostał się spoza zasłony chmur i oświetlił ścieżkę. W pobliżu odezwała się sowa i zaraz w górze przemknął jej cień. Intruzi trwali nieruchomo między drzewami. Drogą obok nich przeszła niewielka grupa studentów. Obserwatorzy ani drgnęli.

Plamy w ciemności. Lampki. Albo wilki. No tak. Taliesin kazała mu widzieć duchy i potwory. Jedno nie ulegało wątpliwości: w Oden's Ford było mniej duchów i potworów niż tam, dokąd się wybierał.



## 8

# POWITANIE I POŻEGNANIE



Kiedy dotarł do bursy, wspiął się po wytartych kamiennych schodach na pierwsze piętro. Dormitorium wyglądało na opustoszałe. Najwyraźniej wszyscy byli już na moście.

Otworzył drzwi i zapalił lampę. Zmarszczył brwi i zaczął się powoli obracać, by uważnie obejrzeć wnętrze.

Ktoś tu był.

Ash nie umiałby tego wyjaśnić. Wyposażenie pokoju było skromne: łóżko, miednica z dzbankiem, biurko, krzesło, stół przy drzwiach, biblioteczka pełna cennych książek, podniszczona komoda na ubrania. Rozmieszczenie mebli wyglądało na przypadkowe, a jednak miało w sobie konkretny wzór i moc – zakłęcie ochronne, które łagodnie kierowało intruza w inną stronę, tak że on sam nawet tego nie zauważał. Ash zawsze rzucał to zakłęcie niemal odruchowo. Robił to od dzieciństwa, od kiedy tata go tego nauczył. W owych czasach zakłęcie to służyło mu do ochrony jego rzeczy przed młodszą siostrą. Teraz zauważył, że wzór został naruszony. Pojedyncze przedmioty były ledwie dostrzegalnie poprzesuwane, wyraźnie ktoś je podnosił.

Mało kto zamykał drzwi w dormitoriach na klucz. Studenci nie mieli nic takiego, co byłoby warte kradzieży. Często pożyczano sobie jakieś rzeczy, lecz wtedy zostawiano kartkę. Ash nie zauważył żadnej kartki, ale przecież nic nie zginęło. Najbardziej niepokojące było to, że jego zaklęcie nie powstrzymało intruzów.

Przypomniało mu się ostrzeżenie Taliesin: „Nie wiem, jak długo obdarzeni mocą będą tu jeszcze bezpieczni”.

To wydawało się niedorzeczne. Przecież w Oden's Ford mieszkało mnóstwo obdarzonych mocą – wybitnych nauczycieli i praktyków. Nie było powodów, by ktokolwiek miał zaatakować akurat jego. Studenci i wykładowcy znali go jako Asha Hansona, syna drobnego właściciela ziemskiego z terenów nadgranicznych. Jediną osobą w Ford, która wiedziała, kim on naprawdę jest, była Taliesin.

Zamknął drzwi na klucz. Potem podszedł do kominka, uniósł obluźowany kamień i wydobył chroniony zaklęciami skórzany pokrowiec, którego kieszenie i przegródki były wypełnione fiolkami, buteleczkami i sakiewkami. Wszystko znajdowało się w takim stanie, w jakim to pozostawił. Odetchnął z ulgą.

*Może dobrze, że jutro się stąd wynoszę,* pomyślał. Wagabunda trochę go nastraszyła.

Uzupelił swoje zapasy ziołami od Taliesin. Robił to szybko i sprawnie, jak wojownik szykujący broń do walki.

Wyciągnął szufladę spod łóżka i rozłożył swój sprzęt podróżny. Broń – łuk, strzały, mały miecz, niewielkie sztylety zwane ostrzami lub kozikami, które lubił jego tata. Torba z medykamentami, narzędziami chirurgicznymi, opatrunkami i tak dalej. Kolejna torba z narzędziami potrzebnymi do pracy wędrownego weterynarza i uzdrowiciela koni.

Zwijane posłanie, garnki, paczuski górskich herbatek, ziół i przypraw na drogę.

Wymieszane zapachy jak zwykle obudziły wspomnienia. Minął kolejny rok.

Choć powiedział Taliesin, że nie chce się ujawniać, nie potrafił przestać myśleć o swojej rodzinie. Lyss miała teraz piętnaście lat i zapewne przygotowywała się do dnia imienia przypadającego w szesnaste urodziny. Gdy odchodził, byli ze sobą blisko – dwuletnia różnica wieku między nimi wtedy nie miała dużego znaczenia, w dodatku oboje czuli się zbędnymi pionkami w hierarchicznej strukturze królewskiej rodziny. Czy ona nadal tęskniła za nim tak samo jak on za nią? Cztery lata to dużo dla jedenastolatki. Zwłaszcza gdy dźwiga się tak wielki ciężar na swoich barkach.

Czy już kręcą się wokół niej chłopcy, tak jak to było w przypadku Hany? Jaką będzie królową? Z tego, co pamiętał, więcej radości niż sprawowanie rządów przyniosłaby jej gra na bazilce lub klawesynie.

Po śmierci Hany obiecał Lyss, że będzie jej pomagał. Że będzie przy niej, kiedy obejmie tron. Że nie będzie zdana tylko na siebie. Ta obietnica nadal ciążyła mu na sumieniu.

Wciąż mógł jej dotrzymać, powtarzał sobie. Jeszcze miał czas. Jeszcze nie została królową. W głębi ducha zaś z roku na rok coraz bardziej bał się tego, jak zostanie przyjęty. Nie miałby pretensji, gdyby zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

O ile wiedział, jego mama nie wyszła ponownie za mąż, choć domyślał się, że wywierano na nią naciski. Niezameżna królowa stanowiła okazję do zawarcia sojuszy, a Felis bardzo tego potrzebowało. Ash starał się o tym wszystkim nie myśleć.

Mimo to coraz bardziej tęsknił za domem. Dość miał tego ciężkiego południowego powietrza i z radością zamieniłby je na rześkie północne wiatry, które oczyszczały nozdrza i ożywiały umysł. Wiele by dał, by znaleźć się w górach, wśród szczytów, na których nawet teraz leżał śnieg.

Gdyby marzenia były rumakami, to żebracy byliby jeźdźcami. Tak mawiała jego babcia ze strony ojca. Ta, która spłonęła w stajni na długo przed tym, jak Ash się urodził. Jego tata często opowiadał mu o życiu na ulicy, starając się jak najwierniej przedstawiać tę część swojego dziedzictwa.

– Ja nie znałem mojego taty – mówił. – Chcę, żebyś ty znał swojego.

Ash szybko przejrzał swoje ubrania. Postanowił zostawić grubą zimową pelerynę z owczej wełny nasączonej tłuszczem nieprzepuszczającym deszczu i śniegu. Zapakował natomiast ciepłe okrycia przeciwdeszczowe, chronione koralikami i nićmi z klanowymi zaklęciami. Wyroby klanowe były bardzo cenione w Siedmiu Królestwach, więc nosili je nie tylko mieszkańcy Północy.

Z bogatego zbioru książek wybrał dwie. Jedna była podręcznikiem Tisdale'a do zielonej magii, którego używał od przybycia do Oden's Ford. Druga książka to mały, zniszczony tom oprawiony w skórę. Przewodnik po truciznach.

Dostał go od Taliesin, oczywiście wraz z odpowiednim kazaniem.

Gdy wszystko już było gotowe, zaczął się zastanawiać, czy nie skorzysta z tego, że dormitorium jest puste, i nie przenieść swoich sakw do stajni, gdzie mógłby je ukryć. W końcu włożył je do szuflady pod łóżkiem. Nie chciał ryzykować, że znajdzie je jakiś chłopiec stajenny, który będzie czyścił boksy przed wyjazdem. Było to mało prawdopodobne, ale jednak możliwe.

Jak tylko upchnął te rzeczy, usłyszał pukanie do drzwi.

– Ash! To ja, Lila. – Lila Barrowhill, kadetka z Wysp Południowych, uczyła się w akademii wojskowej Wien House.

– Otwarte – powiedział.

– Nie, właśnie że zamknięte.

– Och. – Otworzył drzwi.

Lila ominęła go i opadła na krzesło, jakby była u siebie. Prawdę mówiąc, gdyby nie wiedział, że to ona, nie rozpoznałby jej. Zamieniła piaskowy mundur akademii wojskowej na długą niebieską spódnicę i dopasowaną bluzkę, która odsłaniała jej ramiona i podkreślała ciemną barwę skóry. Upięła wysoko gęste loki i pomalowała usta.

– Czemu zamknęłaś drzwi?

– Nie zauważyłem, że są zamknięte – stwierdził Ash, siadając na łóżku.

Lila była jedną z niewielu Południowych Wyspiarzy w Wien House. Większość z nich chodziła do Szkoły Świątynnej albo Isenwerku, szkoły inżynierskiej. Lila nie wyglądała na typową Wyspiarkę, a raczej na osobę mieszanej krwi. Biegłe posługiwała się kilkoma językami, w tym fellsjańskim.

Aż do tego roku ich ścieżki rzadko się krzyżowały. Wien House leżał po przeciwnej stronie rzeki niż Mystwerk. Lila, podobnie jak Ash, dużo czasu spędzała poza szkołą. Słyszał, że kilka razy została relegowana, ale zawsze udawało jej się przekonać władze uczelni, by ją ponownie przyjęto.

Lila każdą wolną chwilę spędzała w jadalni, tawernach, sali gimnastycznej – wszędzie tam, gdzie studenci się spotykali, grali w karty i rzutki, pili, jedli, plotkowali i flirtowali. Ash nie miał pojęcia, kiedy

się uczyła, ale jak na tak niewielki wysiłek radziła sobie na zajęciach całkiem nieźle.

On nie udzielał się towarzysko, bo połączenie nauki w podwójnym wymiarze godzin z pracą w infirmerii i lekcjami pobieranymi u Taliesin nie pozostawiało mu dużo wolnego czasu. Zresztą w głębi ducha był samotnikiem.

Teraz, gdy Ash był proficjuszem, a Lila kadetką w Wien House, wyładowali w jednym dormitorium. Chociaż widywali się częściej niż przedtem, niewiele ich łączyło. Wyglądało na to, że ona z jakichś względów go nie lubiła. On nie bardzo to rozumiał. Racja, nie był zbyt czarujący, ale z większością ludzi jakoś układał sobie stosunki.

Spojrzał na nią ukradkiem i wciąż rozkojarzony tą nagłą metamorfozą, zastanawiał się, co ją do niego sprowadza.

Lila dostrzegła jego wzrok i powiedziała:

– Nie, Hanson, to nie jest ta scena, w której dziewczyna wkłada spódnice i robi delikatny makijaż, a jej ciamajdowaty kolega nagle sobie uświadamia, że ona jest jego prawdziwą miłością.

– Aha. Dobrze wiedzieć.

– Samo to, że ty jesteś do wzięcia, nie znaczy, że ja też.

– A czemu myślisz, że ja jestem do wzięcia?

– Spotkałam Suze na Mostowej. Impreza na zakończenie semestru zaczęła się już po południu. Suze pytała, gdzie jesteś.

Aha, więc o to chodzi. Suze była na pierwszym roku w Isenwerku. Ona i Ash spotykali się przez kilka miesięcy, ale ostatecznie dali sobie spokój. W każdym razie on dał sobie spokój.

– Byłem u Taliesin, chciałem się pożegnać. Trochę mi się przeciągnęło.

– Zdaje się, że Suze liczyła na to, że wyperswaduje ci ten wyjazd. – Gdy Ash się nie odzywał, Lila mruknęła: – Złamałeś jej serce. Mógłbyś z nią chociaż pogadać.

– Rozmawiałem z nią. W każdym razie próbowałem. Mówiłem jej na początku, że nie szukam dziewczyny na stałe. Myślałem, że oboje się na to zgodziliśmy.

– Kazałeś jej podpisać kontrakt własną krwią? – Lila wybuchnęła śmiechem, ale zabrzmiało to gorzko. – Obiecuję, że ja nie zakocham się w humorzastym, tajemniczym Ashu Hansonie. Nacieszę się jego smukłym ciałem, szerokimi barkami i zgrabnymi nogami, cały czas pamiętając, że to tylko pożyczka, nie zakup.

– Zgrabnymi nogami? – Ash wyrzucił nogę przed siebie, udając, że się jej przygląda, i licząc na to, że w ten sposób powstrzyma tę litanie jego cech fizycznych.

Lila jednak już się rozkręciła.

– Nie oczarują mnie te niebieskozielone oczęta, przepastne niczym toń jeziora między bliźniaczymi górami, nie ulegnę też pokusie jego pełnych warg. No, może ulegnę, ale tylko na chwilę. Do tego zarost... czy wspominałam już o zaroście?

Cierpliwość Asha się wyczerpała. Lila zbyt dobrze władała fellsjańskim jak na jego gust.

– Zamknij się, Lila.

– Nie ma nikogo, kto dorównywałby twoim standardom?

– Przynajmniej mam jakieś standardy – uniósł brew.

– Ojoj, celna uwaga, panie. Celna uwaga. – Jej uśmiech zbladł. – Chodzi o to, że nadziei nie da się ujarzmić regularni ani wcisnąć pod but przykrych doświadczeń. To błogosławieństwo i przekleństwo razem.

Ash spojrział na nią z niedowierzaniem. Byłby chyba mniej zdumiony, gdyby jego kuc zaczął recytować wiersze.

– Kto by przypuszczał, że taki z ciebie filozof? – powiedział w końcu. – No dobrze. Skoro już tu jesteś, to pogadajmy o czymś innym. Na jaki posterunek wysyłają cię w tym semestrze?

– Wracam do Trzęsawisk, gdzie tawerny są taką samą rzadkością jak dzień bez deszczu. Gdzie trzeba bezustannie się ruszać, żeby nie wyrósł człowiekowi mech na tyłku.

*Żegnaj, poezjo*, pomyślał Ash.

– Brzmi wspaniale. Nie możesz poprosić o jakieś lepsze miejsce?

– Nie z moimi wynikami – stwierdziła, unikając jego wzroku. – Ale ty... ty masz wybór, a chcesz wracać do Wolnego Miasta? Nie wystarczy ci tych zakurzonych starych ksiąg i trudnych do odczytania manuskryptów, które masz tutaj?

– Jest ich sporo, ale na Wyspach Południowych mają inne zakurzone stare księgi i trudne do odczytania manuskrypty. Poza tym muszę zmienić otoczenie.

– Jak się tam dostaniesz? Podobno Arden zwiększył liczbę patroli wzdłuż rzeki na całej długości aż do Głębokiej Wody.

– Pojadę przez Piaszczystą Przystań – rzekł Ash. – To trochę nie po drodze, ale ja i tak chcę tam pojechać na targ. – Nauczył się już nie okazywać niczego po sobie. Pijana czy trzeźwa, Lila zauważała niemal wszystko.

Teraz jednak nie miał powodów do obaw. Lila już była niespokojna, wierciła się na krześle i wyraźnie myślała o czymś innym.

– Słuchaj – powiedziała. – Renard Tourant organizuje przyjęcie w Żółwiu i Rybie. Wszystko ma być na jak najwyższym poziomie. Przyjdiesz?



To go zaskoczyło. Lilia już dawno przestała zapraszać go na imprezy.

– Nie, jeśli to ma oznaczać spędzanie czasu z Tourantem.

– No co ty, nie jest jeszcze późno, a ty przez cały semestr prawie w ogóle się z nami nie spotykałeś.

– Byłem zajęty. – Spojrzał na nią ukradkiem, zastanawiając się, czy przypadkiem Suze nie będzie na tej imprezie. – Zresztą, znając reputację Touranta, dziwi mnie, że ty chcesz pójść.

– Umie o siebie zadbać – oznajmiła Lila i zapewne miała rację. – To może być moja ostatnia okazja, żeby spędzić wieczór z tą obleśną ardeńską świnią... na jakiś czas. Poza tym Tourant upiera się, żeby mnie przedstawić jakiejś wschodzącej gwiazdzie armii Ardeny.

– Jeśli to taka wschodząca gwiazda, to co tutaj robi?

Lila wzruszyła ramionami.

– Może chce mnie zwerbować. Poczekaj, aż się przekona, że nie mam odpowiedniego sprzętu.

– W jakim sensie?

– O tutaj. – Lila klepnęła się po spódnicy z przodu. – Nie jestem mężczyzną.

Ash przewrócił oczami.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że lubisz towarzystwo świń. – To było najbardziej nieprzyzwoite zachowanie, na jakie było go stać.

– Dziewczyna wiele się może nauczyć od pijanego Południowca – stwierdziła Lila, posyłając mu ten znajomy uśmiech zaciśniętych ust, który mógł znaczyć wszystko.

– No cóż, mam lepsze rzeczy do roboty. Na przykład spanie.

– Powinieneś przyjść – Lila nie dawała za wygraną. – Tourant zaprosił wszystkich z Ostańca i Komina, więc nie będą tam sami Ardeń-

czycy. W każdym razie towarzystwo trochę się wymiesza.

– Możesz zostać tu ze mną – zaproponował Ash, wiedząc, co ona odpowie. – Możemy poczytać Askella i Byrne’a i przedyskutować kampanie wojskowe z okresu Wojen Czarowników.

– Nie, dzięki. – Lila zrobiła niezadowoloną minę. – Na razie skończyłam z książkami.

– Pozdrów Touranta ode mnie – powiedział Ash na zakończenie. – Przekaż mu, że mam nadzieję, że w przyszłym roku nie będzie taką kanalią.

## 9

### IMPREZA TOURANTA



Stosik monet stale rósł – fellsjańskie panienki, tamrońskie podwójne orły i ardeńskie żeleźniaki, nazywane tak, ponieważ ludzie wątpili, czy w tych czasach jest w nich jakieś srebro. Nawet kilka miedziaków od tych, którzy nie chcieli kłaść na stole prawdziwych pieniędzy.

Były dwie kupki – jedni stawiali na Lilę Barrowhill, inni na Renarda Touranta, komendanta roku. Lila z satysfakcją zauważyła, że jej stosik jest większy. Spędzała wiele czasu w Żółwiu i Rybie i stali bywalcy dobrze wiedzieli, że nie warto stawiać zakładów przeciwko niej. Znana była z tego, że miała mocną głowę i sporo demonów do utopienia.

Na jej przeciwnika stawiali tylko ci, którzy chcieli się mu podlizać. To było ich świadome ryzyko.

Tourant zarezerwował stolik w pobliżu beczek, żeby odgrywać gościnnego gospodarza. Jego ojciec był szychą w armii ardeńskiej, co oznaczało, że młodego Touranta czekała wspaniała kariera. Wszyscy oficerowie ardeńskiej armii byli mężczyznami, gdyż w Ardenie najwyraźniej nie było kompetentnych kobiet.

Tourant uważał się za prawdziwego bawidamka. Lila podejrzewała, że przerabiał standardowe mundury szkolne u swojego krawca, bo zawsze leżały na nim jak szyte na miarę. Nosił śmieszny mały wąsik – taki, który na pewno wymagał wielu godzin pielęgnacji, choć wyglądał jak niedogolony.

Wokół nich roilo się od ciemnobrązowych mundurów takich jak jej, różniących się tylko oznaczeniami stopni wojskowych. Była tu prawie cała akademia wojskowa (niemal wszyscy z Ardeny) i gdzieś czarny punkt oznaczający studenta Mystwerku. Ani śladu świątynnej bieli. Pewnie tak było lepiej.

– To już wszyscy? – zapytała Lila, rozglądając się za następnymi konkurentami. – No dobrze. Gotów? – spojrzała na Touranta.

Ten skinął głową. Jego twarz lśniła od potu, knykie bieląły, gdy ścisnął swoje piwo.

– Hej, nie martw się – powiedziała Lila – zapłacę twój rachunek z mojej wygranej.

Tourant zrobił się czerwony jak burak.

– Start! – rozkazał, odrzucając głowę, po czym głośno zaczerpnął łyk.

Lila odrzuciła włosy, otworzyła usta i zaczęła wlewać sobie piwo do gardła. Odstawiła kufel niewiele przed Tourantem.

– Przegrałeś – oznajmiła, zgarniając swój stosik ze stołu. Zostawiła tyle, żeby wystarczyło na pokrycie rachunku. Ten zakład trafił się w idealnym momencie. Już myślała, że braknie jej pieniędzy na podróz.

Tourant walnął dłońmi w blat. Zrobił się biały ze złości. Dziwne, jak szybko potrafił zmieniać barwę.

– Ty... ty... ty... – Odwrócił się, sięgnął po nowy kufel, nalał trochę piwa z niewielkiej beczki i wyciągnął w stronę Lili. – Spróbuj tego. Porucznik Rochefort sprowadzi! je z samego Ardencourt.

– Jak to sprowadził? Ma własny browar? Zbiera pieniądze na zasilenie armii? – Lila przyjęła kufel z przesadną ostrożnością, cechującą kogoś, kto już jest lekko wstawiony. Zajrzała do środka i zobaczyła błotnistą brązową miksturę o stęchłym zapachu. Nie taki rarytas, jakiego się spodziewała.

Podniosła wzrok i zauważyła, że Tourant się jej przygląda.

– A gdzie jest ten porucznik Rochefort? Nie mogę się doczekać, żeby go poznać.

– Przyjdzie – odparł Tourant. – Miał coś do załatwienia. – Wskazał na piwo. – I jak ci smakuje?

Lila demonstracyjnie przełknęła trochę i otarła usta rękawem.

– Dość... ciekawe, prawda? – powiedziała.

– Istotnie – Tourant uśmiechał się znacząco. – To nie zwyczajne tamrońskie pomyje. – Podniósł wzrok ponad jej ramię. – O, jest Rochefort. Możesz mu osobiście podziękować.

Lila obróciła się i znalazła się twarzą w twarz z nowo przybyłym. Jego strój był dobrze wykonany, lecz, w przeciwieństwie do munduru Touranta, nierzucający się w oczy, bez symboli rangi wojskowej. Przybysz miał szczupłą sylwetkę i drobne dłonie artysty. Jego skóra była blada, pozbawiona wszelkich znamion, jakby nigdy nie widziała słońca. Oczy miał orzechowe – dziwnie jasne pod gęstymi ciemnymi rzęsami, a włosy tej samej barwy co jego piwo.

*Na krew i kości, pomyślała. Destin Karn. Co on tu robi?*

– Niech mi wolno będzie przedstawić: Lila Barrowhill, Denis Rochefort – powiedział Tourant, wyraźnie paląc się do wejścia w układ

trójstronny. – Poruczniku, Lila to kadetka, o której opowiadałem. – Powieka mu drgnęła. Lila zrozumiała, że Tourant próbował mrugnąć i nie bardzo mu się to udało.

Lila pracowała z Destinem Karnem od dwóch lat – na tyle długo, by wiedzieć, że jest on typem kameleona, który potrafi odgrywać różne role i upodabniać się do otoczenia. Dokładnie tak, jak robił to w tym momencie. Nie była tylko pewna, w której postaci Karn był sobą.

Ojciec Destina, Marin Karn, stał na czele armii ardeńskiej i prowadził kampanie wojenne przeciw Tamronowi, Delphi i Felis. To on był twórcą programu wychwytywania magów, do którego wykorzystywano magiczne obręcze, zmuszające czarowników do walki po stronie Ardeny. Obaj Karnowie byli czarownikami, którzy znaleźli sposób, by przetrwać, a nawet rozkwiatać w kraju prześladowującym magię. Naturalnie sami zdołali się wymigać od noszenia obręczy.

– Milo mi was poznać, poruczniku Rochefort – powiedziała Lila, przyoblekając na twarz sztuczny uśmiech, który wyraźnie świadczył o tym, że wcale nie jest jej miło. Odstawiła swój kufel na stół i wyciągnęła rękę. Destin zawahał się, jakby niepewny jej intencji, ale po chwili odwzajemnił się tym samym. Jego dłoń była gładka, pozbawiona odcisków, a w chwili kontaktu Lila wyczuła ukłucie mocy. Dla niego magia była bronią, którą wykorzystywał w interesach swojego króla.

Destin przytrzymał podaną mu dłoń, nie odrywając wzroku od twarzy Lili.

– Tourant miał rację – mruknął, wyginając wargi w ledwie widocznym uśmiechu – Jesteś naprawdę urocza... co za niezwykła mieszanka ras. W naszym kraju nie ma takich oficerów.

Lila ugryzła się w język, by nie powiedzieć tego, co pierwsze przyszło jej na myśl.

– Co racja, to racja – cofnęła rękę. Destin zabawiał się kosztem Touranta. To jej akurat nie przeszkadzało, ale też nie usprawiedliwiało takiego pojawienia się ni stąd, ni zowąd. Musiała pozbyć się Touranta, żeby móc szczerze porozmawiać z Destinem.

– Skoro już mowa o cechach fizycznych – powiedziała głośno – to muszę zauważyć, że proficjusz Tourant ma imponujące pośladki. Na nikim spodnie nie leżą tak jak na nim. Obróć się, Tourant, niech no porucznik zobaczy. – Palcem wskazującym narysowała w powietrzu koło, poruszając znacząco brwiami.

Przez twarz Touranta przebiegło zażenowanie, a potem strach i gniew.

– W dodatku jego skóra ma barwę pieczonych buraków.

Tourant cofnął się wściekły, nie będąc w stanie odpowiednio tego zripostować.

– Hej, twoje piwo! – Lila wyciągnęła kufel w jego stronę. Tourant odebrał go od niej i oddalił się.

Destin odprowadził go wzrokiem, a potem znowu spojrzął na Lilę, krzywiąc się z niezadowoleniem.

– Czy to rozsądne nastawiać przeciwko sobie komendanta roku? – Mówił oczywiście o Tourancie.

– Rozsądek nigdy nie był moją mocną stroną – odparła Lila.

– Tourant nie powinien z tobą zadzierać.

– Powinien, ale tego nie robi – stwierdziła Lila. – Tak jak ty nie powinieneś się tu zjawiać. – Zaraz potem dodała głośno: – Cóż więc was sprowadza do Oden's Ford, poruczniku? Czy pora kampanii wojennych naprawdę już się w Ardenie skończyła?

– W Ardenie zawsze jest pora kampanii wojennych – powiedział Destin, zaciskając palce na kuflu, z którego nie upił ani kropli. – Król jest wymagającym władcą.

Lila nachyliła się ku niemu, tak że prawie stykali się nosami.

– Jeśli przybyłeś, żeby się ze mną zobaczyć, to tracisz czas.

– Jestem tu w innej sprawie. – Destin rozejrzał się.

To zrodziło pytanie: w jakiej innej sprawie?

– Jednak skoro już tu jestem – ciągnął – postanowiłem skorzystać z okazji, żeby przekazać ci wiadomość od naszego kwatermistrza. Pilnie potrzebujemy tyle...

– Myślałam, że wyraziłam się jasno. Tutaj nie prowadzę interesów. Nigdy. Jak chcesz pogadać, za jakiś tydzień będę jechać na wschód. Możesz mi zostawić wiadomość w Siedmiu Koniach na Zachodniej Drodze albo u Chaunceya w mieście. Daj znać, jak się z tobą skontaktować.

Dłoń Destina powędrowała ukradkiem ku dekolтови, lecz zaraz opadła.

– Przynajmniej mnie wysłuchaj. Król złożył propozycję, która według mnie powinna ci...

– Powiedziałam nie. Czy nie rozumiesz czegoś w słowie „nie”?

– Jakiś problem? – Owionął ją czyjś nieświeży oddech. Lila podniosła głowę i zobaczyła Touranta, który wrócił jak zły sen i właśnie wysuwał dla siebie krzesło. Prawie na nie upadł, głośno uderzając kuflam o stół. Jego piwo było już niemal całe wypite.

– Tourant – odezwał się Destin wściekłym głosem. – Idź sobie. Dama i ja prowadzimy prywatną rozmowę.

– Dama? – parsknął Tourant. – Chyba żartujesz. Mogę ci o niej opowiedzieć takie rzeczy, że...



– Nie ma sprawy – powiedziała Lila uspokajającym tonem. – I tak już skończyliśmy. Jak się czujesz, Tourant? – podparła głowę dłońmi.  
– Wyglądasz nie najlepiej.

– Ja? – Tourant mrugał zaczerwienionymi oczami, jakby nie mógł się skupić. – To ty! To ty... jak ty się czujesz?

Lila wzruszyła ramionami.

– W porządku. Ale ty już chyba powinieneś iść do domu.

– Jesteś pijany, Tourant – wtrącił Destin lodowatym tonem. – Zrób, co ci radzi. Idź się przespać.

Tourant oblizwał wargi. Jeszcze raz. Zmarszczył czoło. Przysunął kufel do siebie i powąchał. Wyciągnął rękę w stronę kufła Lilii, ale ona odsunęła go poza jego zasięg.

– Wara ci od mojego piwa! – zawołała. – Idź się położyć, zanim padniesz.

Tourant skierował w jej stronę trzęsący się palec.

– Ty... ty... podmieniłaś drinki! – Z miną pokrzywdzonego zwrócił się do Destina: – Poruczniku Karn, ja...

Karn. Nagle wokół zapadła cisza, w której od ścian odbijał się jedynie dźwięk tego nazwiska. Destin Karn starał się nie zwracać na siebie uwagi, ale nazwisko jego ojca było znane we wszystkich królestwach.

Karn położył obie dłonie na stoliku i nachylił się ku Tourantowi.

– Imbecyl! Czyś ty oszalał?!

Lila dostrzegła żądzę mordy w jego oczach i zaniepokoiła się, czy jej własna twarz, na której zwykle mogła polegać, nie zdradza emocji w taki sam sposób.

– Spokojnie, poruczniku Rochefort – powiedziała. – Tourant jest tylko trochę skołowany i tyle. Alkohol tak na niego działa. Nic się nie

stało.

– Ale... ona podmieniła drinki – powtarzał Tourant. – Sam zobacz.  
– Przesunął swój kufel w stronę Rocheforta/Karna. Porucznik chwycił go i wrzucił do kominka z taką siłą, że roztrzaskał się w drobny mak.

*Co za temperament,* pomyślała Lila, wyciągając z ręki odłamek szkła. Destin najwyraźniej tłumił wiele gniewu pod tą ulizaną powierzchnością.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała. – Po co miałabym podmieniać drinki? I w ogóle co to ma za znaczenie, skoro wszystko i tak jest lane z tej samej...

Tourant obrócił się na krześle i na jej oczach opadł twarzą na blat.

*Niech to, naprawdę sądziłeś, że dam się nabrać na numer z żółtym ziele!* – pomyślała Lila.

Rozejrzała się. Powinna była zrobić to o wiele wcześniej. Ujrzała istne pobojuwisko – goście spali z głowami na stolikach, pochrapywali po kątach, porozwalani po podłodze. Z wyjątkiem kilkunastu ardeńskich kadetów. Ci byli zupełnie trzeźwi i spoglądali na nią surowo. Ustawili się w taki sposób, by odgradzać ją od wyjścia.

*Ale dałaś się podejść,* pomyślała Lila, czując, jak ogarnia ją strach. *Tak się skupiłaś na piwnej pułapce, że nie zauważyłaś drugiego podstępu.*

– No cóż, Rochefort – powiedziała spokojnie. Zimna strużka potu sunęła między jej łopatkami. – Kto mógł wiedzieć, że to piwo powali Touranta?

– Właśnie, kto mógł wiedzieć? – odparł Destin z równym spokojem.

Lila podniosła się i podeszła do szeregu beczek, szukając wzrokiem możliwości wyjścia. Niczego nie znalazła. Obróciła się w stronę De-

stina.

– Pić mi się zachciało. Chcesz jeszcze jedno piwo?

Pokręcił głową.

Lila napełniła nowy kufel i postawiła go na stoliku. W jej głowie kłębiły się niespokojne myśli. To nie miało sensu. Arden nie naruszyłby pokoju Oden's Ford po to, żeby pozbyć się wykolejonej kadetki, która stała się cennym ardeńskim szpiegiem i ważnym dostawcą dla czarnego rynku.

Czy naprawdę mogli ją tak szybko rozpracować? Jeśli tak, to ich nie doceniała.

Chyba że to nie ona była celem. Chyba że chcieli tylko utrzymać ją... i wszystkich innych... z dala od czegoś na tyle długo, żeby...

Kości. Krwiste, krwiste kości! Ash. Ich celem był Ash!

Destin obserwował ją uważnie, czujny jak wąż gotowy do ataku.

– Popilnuj mi piwa – powiedziała. – Zaraz wracam.

Nagle chwycił ją mocno za nadgarstek.

– Siadaj, Lila – nakazał. – Proszę, zostań jeszcze chwilę.

*Puszczaj mnie, Karn, bo stracisz rękę, zagroziła mu w myślach.*

– Mówię, że zaraz wrócę.

– Gdzie chcesz iść?

– Tam gdzie król piechotą chodzi. Puszczaj już, jeśli nie chcesz, żeby ci zasikała kolana.

Widziała niezdecydowanie w jego oczach. Domyślała się, że on i jego ludzie chcieli załatwić to, po co tu przybyli, i wynieść się niezauważenie. Na to liczyła.

– Niech ci będzie – puścił jej rękę. – Tylko się pośpiesz. Jeszcze nie skończyliśmy.

*Może ty nie, pomyślała. Ale ja skończyłam. Mam tylko nadzieję, że się nie spóźnię.*

## ŻĄDZA KRWI



Ash wpadał z jednego koszmaru w następny. Obudził się, czując ucisk na klatce piersiowej, jakby ktoś położył na niej kowadło. Otworzył oczy i ujrzał mężczyznę o wyglądzie demona ze starych opowieści. Jego twarz przysłaniał kaptur zgrzebnej sutanny, blada skóra była opięta na kościach wokół zapadniętych oczu i ust. U jego szyi swobodnie zwisał medalion, zapewne jakiś amulet. Nie, to był maleńki złoty pucharek, podobny do tych, którymi dawkowano lekarstwa. Coś w twarzy mężczyzny przypominało Ashowi ludzi, którzy mieszkali w jaskiniach w Górach Duchów, gdzie w ciemnościach hodowali grzybki wywołujące wizje i omamy.

Chciał podnieść rękę, żeby odsunąć ten ciężar z piersi, lecz nie dał rady poruszyć nawet palcem. Spojrzał w dół na swoje ciało i nie znalazł nic, czym można by to wytłumaczyć.

Próbował użyć mocy, lecz bez rezultatu. Jakby pompował wodę z suchej studni. Nie mógł też sięgnąć po ostrza pod poduszką ani za wezgłowie, ani po te ukryte w książce na szafce nocnej.

Mężczyzna w sutannie złapał łańcuch węzowego amuletu Asha, przełożył go przez głowę chłopca i wrzucił do swojej torby. Następnie

wydobył nóż ze złowieszczo wygiętym cienkim ostrzem i trzonkiem pokrytym symbolami runicznymi. Przesunął nim Ashowi przed oczami, by wzbudzić w nim jeszcze większy strach.

Nieznajomy cicho, rytmicznie wymawiał słowa modlitwy po ardeńsku. Potem przeszedł na mowę powszechną.

– Raduj się, magu, bom jest kapłanem prawdziwego Kościoła, który przybył, by oczyścić cię z brudu czarów.

Ash poczuł chłód metalowego ostrza na przedramieniu i zaraz potem gwałtowny ból świadczący o tym, że rozcięto mu skórę. Napastnik uniósł rękę chłopca do swoich ust i przyssał się do rany. Wysysając krew, drżał i przymykał oczy, jakby pił syrop makowy. W końcu otarł umazane krwią usta, odkorkował małą buteleczkę i zalał ranę czymś, co mocno zapiekło. Ash wrzasnął, ale nie wydał żadnego dźwięku, wił się i wyrywał, lecz nie przesunął się ani o jotę. Czuł pot gromadzący się pod plecami i zwilżający pościel.

Mężczyzna wsunął dłoń we włosy swojej ofiary, po czym uniósł zakrwawiony nóż. Odciął Ashowi kosmyk włosów, obwiązał go nicią i wrzucił do sakiewki przy pasie. Trofeum. Chłopiec znowu próbował się poruszyć, wzniecić magiczny płomień, wołać o pomoc. Nic. W tym momencie zrozumiał, że to już koniec.

Kapłan ponownie napił się krwi z rany. Uśmiechnął się błogo, obnażając zakrwawione zęby.

– Bardzo żałuję, że nie mamy więcej czasu i jakiegoś odosobnionego miejsca, żeby zrobić to porządnie – rzekł, przesuwał zimne palce po obojczyku Asha w poszukiwaniu tętna. – Wypiłbym cię małymi łydkami, powoli odsysałbym z ciebie grzech i ciało, aż mana'in opuściłaby cię jak szept w ciemnościach. U takiego zdrowego młodego demona jak ty rytuał oczyszczania może trwać wiele godzin. – Wes-

tchnął. – To wspaniały rytuał i spokojny koniec. – Westchnął po raz kolejny. – Ale wkrótce będą tu moi bracia i wtedy, niestety, zamieni się to raczej w coś w rodzaju gorączkowego zerowania.

Jakby na zawołanie ktoś otworzył drzwi. Kapłan mruczał zakłęcie, a jego ruchy stały się teraz szybkie i zdecydowane. Ash zamknął oczy i wysłał modlitwę do Stworzyciela, spodziewając się dotknięcia stali na szyi w miejscu, gdzie żyła przednia zbliża się do skóry.

Asasyn wydał nowy dźwięk, jakby skrzyżowanie okrzyku zdumienia z charczącym bulgotaniem. Na gołą pierś Asha plasnęło coś ciepłego i mokrego i w tym samym momencie napastnik puścił jego brodę. Chłopiec otworzył oczy w chwili, kiedy mężczyzna osuwał się bokiem na łóżko. W jego szyi tkwił jego własny nóż.

– Ash – głos Lilii był delikatny i zdenerwowany. – Nic ci nie jest? Dziabnął cię? – W jego polu widzenia zjawiała się jej twarz; w przy-mrużonych oczach widać było niepokój.

Ash mógł jedynie wpatrywać się w nią bezradnie. Lila nabrała powietrza w płuca i powoli przesuwiała dłonie po jego ciele, szukając punktu zaczepienia. Zatrzymała rękę nad jego sercem.

– Co to jest?

Przytłaczający go ciężar znikł. Ash wsparł się na łokciach.

Lila trzymała coś na dłoni, jakąś ciemną plamę. Gdy przysunęła to do okna, Ash zauważył, że był to kamień barwy palonego cukru z żyłkami kryształu.

– To magia – jęknął. – Nie mogłem się ruszać, nawet nie drgnąłem. I... i to coś wysssało ze mnie całą moc.

Lila przez chwilę ważyła kamień w dłoni, po czym wsunęła go do kieszeni.

– A poza tym jesteś ranny?

Potrząsnął głową.

– Tylko ręka. Ale to nic.

– Nic? To skąd ta cała krew? – zapytała drżącym głosem.

Rozejrzał się. Pościel w miejscu, gdzie spoczywała jego ręka, przesiąknięta była krwią, a w jego przedramieniu brakowało całych płatów ciała. Taka rana w normalnych warunkach mogłaby wywołać przerażenie, lecz w tej sytuacji wydawała się bez znaczenia. Poruszył palcami. Ściągną i nerwy były nienaruszone. Z ręki wciąż ciekła krew, więc Ash docisnął ją mocno do boku, by zatamować krwotok. *Środek przeciwnkrzepliwy, pomyślał. Żeby wywołać tak obfite krwawienie, używają środka hamującego krzepnięcie.*

– Zabrał mi amulet – wychrypiał. – Jest w jego torbie. Na podłodze. Tam – wskazał. – Możesz... go odebrać?

– Wy, magowie, i te wasze amulety – westchnęła Lila z wyraźną ulgą w głosie. Odwróciła się od niego, uklękła na ziemi i wsunęła dłoń do torby asasyna.

Nagle Ash dostrzegł mignięcie cienia ponad jej ramieniem: ktoś wchodził przez drzwi i kierował się w stronę łóżka.

– Lila! – krzyknął i osłonił się ciałem asasyna niczym tarczą, w którą natychmiast wbiło się ostrze nowo przybyłego. Kiedy napastnik próbował je wyciągnąć, Lila natarła na niego z całych sił i odepchnęła na bok. Upadł, uderzając mocno głową w szafkę.

Lila natychmiast na nim usiadła. Obiema dłońmi chwyciła swój nóż, uniosła go i...

– Czeka! – krzyknął Ash.

Ostrze było już w połowie drogi, popychane wszystkimi siłami Lilii, lecz w jakiś sposób udało jej się zmienić jego kierunek, tak że wbiło się w podłogę obok gardła mężczyzny. Zakłęła paskudnie i wyciągnęła



je, a zaraz potem wypuściła z rąk. Nóż upadł blisko obojczyka nieznanego. Mężczyzna się nie ruszał. Lila spojrzała na Asha.

– No co?! – Jej głos brzmiał dziko, krwiożerczo, całkiem obco.

Ash odsunął od siebie ciało pierwszego napastnika i podniósł się chwiejnie.

– Chyba powinniśmy spróbować się dowiedzieć, co to za ludzie i dlaczego chcą mnie zabić.

Lila wpatrywała się w niego przez moment, po czym bezwiednie przesunęła dłonią po twarzy, jakby chciała coś z niej zmasać. Kiwnęła głową.

– Racja.

– Ty idź sprowadzić dozorców i gwardię rektorską, a ja przeszukam tych dwóch.

– W porządku. – Skądś wyciągnęła jeszcze jeden sztylet i wcisnęła go Ashowi do ręki. – Zaraz wracam. Jak się poruszy, pchnij go.

Ash wpatrywał się w nóż w swojej dłoni.

– Właściwie to mam własny... – zaczął, ale jej już nie było.

Na początek to, co najpilniejsze. Włożył spodnie, potem wsunął sztylet Lilii do pokrowca przy pasie. Uklęknął, pogrzebał w torbie pierwszego asasyna i wydobył swój amulet. Zawiesił go sobie z powrotem na szyi. Objął go dłonią i poczuł przyjemny przepływ magicznej mocy. Ash był całkowicie pozbawiony magii – miał jej tylko tyle, ile zgromadził w amulecie. Odzyskanie sił musiało trochę potrwać.

Za pomocą amuletu zapalił lampkę przy łóżku. Wyjął bandaż z zestawu uzdrowiciela i owinął nim ranną rękę, pomagając sobie zębami. Przeszukał dokładniej torbę napastnika i znalazł w niej kieszonkowe wydanie *Księgi Malthusa*, kilka wisiorków z symbolami re-

ligijnymi, dwa sztylety z inskrypcjami runicznymi, zatkaną butelczkę i zwitek tkaniny.

Rozłożył tkaninę na szafce, myśląc, że to mapa albo jakiś szkic. Okazało się, że to chusteczka do nosa, zrobiona z białej bawełny z We'enhaven, pokryta brązowymi plamami zaschniętej krwi. Był to prosty użytkowy wyrób, popularny w Oden's Ford. W rogu widniał nawet znak pralni szkolnej.

Ash przeniósł wzrok z chusteczki trzymanej w jednej ręce na różowawą bliznę przecinającą kciuk jego drugiej dłoni. Zaciął się paskudnie, siekając bukwicę lekarską miesiąc temu. Przyłożył wtedy do rany taką chusteczkę jak ta.

Czyli nie był to przypadkowy atak. Ale dlaczego chcieli go zabić? Czyżby ardeńscy szpiedzy dowiedzieli się, jak spędzał wakacje? Albo, co gorsza, jakimś sposobem odkryli jego prawdziwą tożsamość?

Do pokoju niczym zjawa wsunęła się Lila. W ręce ścisnęła miecz. Zamknęła za sobą drzwi na klucz, a następnie zatrzasnęła okiennice.

– W korytarzu było jeszcze trzech – powiedziała. Na twarzy i dłoniach miała plamy krwi, które wyglądały jak ciemne krosty. Możliwe, że były też na jej tułowiu, ale stała plecami do lampy, więc Ash nie mógł tego stwierdzić.

– Jeszcze trzech? – Ash wpatrywał się w nią ze zdumieniem. – Coś ty...?

– Zabiłam ich – oznajmiła, rozcierając sobie kark. – Trochę się napaskudziło. Niełatwo znaleźć ten punkt między... nieważne. Przepraszam. No więc miejmy nadzieję, że ten tutaj ma coś do powiedzenia.

– Trąciła butem mężczyznę na podłodze. Ten jęknął.

– Miałaś iść po dozorców i rektorskich.

– Dozorcy nie żyją – oznajmiła obojętnie. – Przynajmniej tutaj, w Kominie. Musieli ich zabić, kiedy wchodzili. Dwaj rektorscy też.

Ta wiadomość omal nie zwała go z nóg. Po czterech latach ciężko było pozbyć się przekonania, że to miejsce jest bezpieczne, że są tu ustalone reguły i ludzie, którzy czuwają nad ich przestrzeganiem. Ash zdążył się już przyzwyczać do bycia drapieżcą, nie ofiarą.

Widząc jego reakcję, Lila powiedziała:

– Rektorscy potrafią sobie radzić z pijanymi studentami i zwykłymi bójkami. Nie z płatnymi zabójcami.

Dowiadywał się o Lili Barrowhill rzeczy, o których nie miał pojęcia, i nie był pewien, czy chce to wszystko wiedzieć. Jego rozrywkowa współlokatorka właśnie wysłała na tamten świat grupę uzbrojonych mężczyzn i w żaden sposób jej to nie poruszyło.

Ash miał swoje sekrety i ona, jak się okazało, również.

– Dzięki za uratowanie mi życia – powiedział. – Dobrze, że wcześniej wróciłaś.

– Jeszcze mi nie dziękuj – parsknęła Lila.

Ash pokazał jej chusteczkę.

– Miał to w torbie.

Lila wzięła ją do ręki, obejrzała przy świetle lampki i zwróciła mu.

– Nie rozumiem.

– Myślę, że idą za zapachem krwi – oznajmił Ash, ściskając chusteczkę w garści. – To moja krew. Ktoś stąd musiał im ją dać. – Urwał, bo zdał sobie sprawę, że sam nie wie, po co ktoś miałby to zrobić.

– Taa... – Lila skrzywiła się. – To musiał być ktoś stąd. – Wyraz jej twarzy wskazywał, że miała kogoś konkretnego na myśli. Oparła się o ścianę w miejscu, z którego widziała i mężczyznę na podłodze, i drzwi. – No to na co czekasz? Przesłuchaj go.

– Ja? – Umysł Asha nie działał tak sprawnie jak zwykle.

– Nie, inny mag obecny w tym pokoju. – Skierowała podbródek w stronę asasyna na podłodze. – Czas goni. Musimy się stąd wynosić.

Obiekt przesłuchania był blady i wymizerowany niczym zwłoki na marach. Ash jedną ręką chwycił za amulet, a drugą przyłożył do piersi asasyna. Skoncentrował się i zmusił go do przytomności, używając nacisku magicznego zwanego perswazją. Zakładał, że jako mieszkaniec nizin mężczyzna ma niewielką wiedzę na temat technik przesłuchań stosowanych przez czarowników i sposobów obrony przed nimi.

Kapłan otworzył oczy i wbił wzrok w chłopca. Jego dłonie drapały po podłodze niczym szpony usiłujące pochwycić ofiarę. Ash cofnął się odruchowo, lecz zaraz zaczerpnął powietrza, by się opanować.

– Kim jesteś? – zapytał w mowie powszechnej zimnym i twardym głosem. – Jak się nazywasz?

Mężczyzna rzucił się gwałtownie, jakby chciał uniknąć mentalnej presji ze strony czarownika, lecz nie miał gdzie się ukryć.

– Nazywam się Usepia – wychrypiał w języku powszechnym z ardeńskim akcentem. – Jestem z Gildii Darianów.

– Gildia Darianów – powtórzył Ash. – Co to takiego?

– Wybawiciele magów – odparł Usepia. Przestał się szarpać i patrzył na Asha wzrokiem pełnym pożądania. – Jesteśmy Ostrzami Malthusa, które oczyszczają świat z czarów.

– Tutaj jest wielu magów. Dlaczego wybraliście mnie?

– Czuliśmy twoją krew. Posmakowaliśmy jej, kiedy wyznaczono nam cel.

– Ktoś wyznaczył wam cel? Kto kazał wam mnie zabić?

– Jeden mag – rzekł Usepia, mrużąc oczy, jakby blask czarownika go raził.

– Mag? Jaki mag? – Ash pochylił się nad nim. – Jak się nazywał? Usepia wzruszył ramionami, jakby magowie niczym się nie różnili.

– Powiedział, że tu jest dużo magów, ale to ciebie trzeba wybawić.

– Tak się wyraził? Słyszałeś, jak to mówił? – naciskał Ash. – Rozmawiałaś z nim?

Darianin pokręcił głową.

– Ten mag rozmawiał z naszym mistrzem, a nasz mistrz przekazał nam jego słowa. Zdaje się, że ten mag jest wyznawcą wiary.

– Jakiej wiary?

Przez twarz Usepii przemknął wyraz rozdrażnienia.

– Prawdziwej wiary. Kościoła Malthusa. Nie udawaj, że...

Usepia zamilkł, bo nagle coś przyciągnęło jego uwagę. Gwałtownie wyciągnął rękę, pożądliwie nadstawiając dłoń. Ash podążył wzrokiem za jego gestem. Bandaż na ręce chłopca już przesiąkł i krew znowu kapłała na ziemię. Darianin próbował łapać spadające krople. Ash odsunął rękę, a Lila butem przygwoździła mężczyźnie nadgarstek do podłogi.

Darianin pisnął, jakby go torturowano.

– Ajaaajjjajjjj! To boli!

– No to przestań! – powiedziała Lila. Może sprawiło to światło lampki, ale twarz dziewczyny przybrała dziwny, szarzielony kolor. Darianin osłabł i Lila zdjęła z niego stopę.

Ash znowu użył mentalnego nacisku.

– Czy powiedział wam, dlaczego mam zostać zabity?

– Jesteś Adrian sul'Han, owoc bezbożnego związku potężnego maga Hana sul'Algera i wiedźmy królowej z Północy.

Ash słyszał, jak Lili zapało dech. Spojrzał na nią, napotkał jej zaintrygowany wzrok i odwrócił głowę.

Szlag by to. Nigdy nie zadawaj pytania, nie uwzględniając możliwej odpowiedzi.

Nie dało się już wepchnąć tego szydła z powrotem do worka. Po czterech latach w Oden's Ford Ash został zdekonspirowany.

Potwierdziło się też to, co podejrzewał. Że nie była to przypadkowa napaść.

– A jeśli się mylicie? Jeśli nie jestem magiem, którego szukacie?

Mężczyzna uśmiechnął się oblesnie.

– Ależ jesteś. A nawet gdybyś nie był, i tak mamy swoje powody, żeby zabijać magów. Wypijając ich krew, uwalniamy ich od grzechu czarów. – Usepia wyraźnie palił się do głoszenia dobrej nowiny.

Na myśl o małym puchariku, który zwisał na szyi asasyna, Ash aż się wzdrygnął.

Lila podsunęła mężczyźnie przed oczy coś, co trzymała między kciukiem a palcem wskazującym.

– Co to jest? – Był to kamień, który sparaliżował Asha.

Usepia mówił w taki sposób, jakby te słowa zadawały mu ból.

– To kamień darianów. Unieruchamia magów, żeby móc ich oczyścić. Odbiera im mana'in, grzeszną moc, żeby można ją było wykorzystać dla dobra ogółu.

– Widzieliśmy pięciu z was – stwierdził Ash. – Jest was więcej?

– W gildii jest wielu braci i wszyscy znamy twój zapach – szepnął Usepia. – Jesteś już martwy, magu. Nie mamy sobie równych i nigdy nie rezygnujemy. Jeśli się poddasz, załatwię to szybko i bezboleśnie. Mam... dużą wprawę... we władaniu nożem. – Wciąż leżąc płasko

na plecach, wyciągnął obie ręce, jakby chciał objąć Asha. Światło lampki wydobyło błysk metalu.

Ash odskoczył, kiedy ostrze mignęło mu przy szyi. Później instynkt wziął górę. Jednym ruchem wyciągnął pożyczony sztylet i przebił nim klatkę piersiową darianina. Lila omal nie zrobiła tego samego.

– Na krew i kości! – Lila przeniosła wzrok z martwego kapłana na Asha i z powrotem, po czym z oburzeniem potrząsnęła głową. – Nawet nie przeszukałam tego krwio pijczego kruka. Ale ze mnie idiotka.

– Ja też go nie przeszukałem – zauważył Ash.

Lila wyciągnęła swój sztylet, odpychając zwłoki nogą.

– Przykro mi, Hansonie czy sul'Hanie, czy kimkolwiek jesteś. Ten gość przyprawiał mnie o dreszcze.

Nie dało się temu zaprzeczyć. Ash również czuł się nieswojo. Oczy Usepii wciąż były otwarte, jakby go śledziły. W końcu chłopiec rzucił na twarz darianina swoją zakrwawioną chusteczkę. *Masz, naciesz się,* rzekł w myślach.

– Chodź. – Lila przełamała ten moment konsternacji. – Owińmy ci znowu tę rękę, żebyś nie wykrwawił się na śmierć. Musimy się przebrać, spakować i wynosić jak najdalej stąd.

Ash wpatrywał się w nią zdezorientowany. Utrata krwi poważnie spowalniała jego myślenie.

– O czym ty mówisz?

Lila wytarła sztylet w sukmanę asasyna i wsunęła swój miecz z powrotem do pochwy. Działała szybko, ale mówiła powoli, jak do niedorozwiniętego.

– Pokój Oden's Ford został naruszony. Najwyraźniej, księżę panie, Arden wie, że tu jesteś, i chce się ciebie pozbyć. Jeśli chcesz się rato-

wać, musimy uciekać.

*Nie jestem księciem*, pomyślał Ash, ale nie powiedział tego na głos.

Lila podeszła do okna, otworzyła okiennice i rozejrzała się po pustym, zalanym słońcem podwórzu. Następnie znowu je zatrzasnęła i zamknęła na zasuwkę.

– Zaraz wracam – powiedziała. – Nie otwieraj drzwi nikomu oprócz mnie. – I już jej nie było.

Ash zaczął odczuwać skutki utraty krwi: kręciło mu się w głowie, ledwie trzymał się na nogach. Musiał coś z tym zrobić, zanim za bardzo osłabnie. Usiadł przy palenisku i wyjął zestaw uzdrowiciela. *Spójrz na to z lepszej strony*, myślał. *Przynajmniej nie musisz się martwić o obecność trucizny. Nawet gdyby jej użyto, już dawno zostałaby wypłukana.*

Jedną ręką oczyścił sobie ranę, po czym przyłożył do niej okład z ziół. Właśnie próbował to obandażować, kiedy ktoś zastukał do drzwi.

To była Lila, w czystym, niczym niewyróżniającym się stroju, z sakwami podróżnymi przewieszonymi przez ramię. Zmyła też krew z twarzy i rąk.

Rzuciła torby na podłogę, chwyciła Asha za łokieć i poprowadziła go z powrotem do kominka.

– Daj, pomogę ci. Musimy się śpieszyć, a nie mogę pozwolić, żebyś spadł z konia.

Usiadła przy nim i zaczęła owijać mu rękę. Skrzywiła się, czując woń ziół.

– Może ten smród odstraszy tych krwio pijców goniących za twoim zapachem.



– Pewna jesteś, że stoi za tym Arden? – Ash oparł głowę o kominiek.  
– To dziwne, że zabójstwo zlecił jakiś czarownik. Chociaż... moja rodzina ma wewnętrznych wrogów. To mógł być ktoś z nich.

– Może – powiedziała Lila, wyraźnie chcąc poprawić mu humor – ale nie sądzę. Moim zdaniem Renard Tourant w jakiś sposób odkrył, kim jesteś, i przesłał informację do Ardena, razem z twoją chusteczką. Ktoś zlecił zabójstwo darianom. Tourant urządził imprezę, żeby w dormitoriach nikogo nie było, ale wiedział, że ty nie pójdziesz, czyli zostaniesz tu sam. – Spojrzała na niego surowo. – Takie są skutki bycia nudziarzem.

– Jak się zorientowałaś?

– Wsypali mi do piwa żółwie ziele. Wiedziałam, że coś się święci, więc od razu tu przybiegłam.

– Jeśli brali w tym udział, to czemu cię nie zatrzymali?

– Podmieniłam kufle z Tourantem, tak że on odpadł z gry. Arden nie chce zadzierać z akademią. Jestem pewna, że chcieliby nadal kształcić tu swoich żołnierzy. Chyba liczyli na to, że jeśli coś źle pójdzie, to wina za naruszenie pokoju spadnie na darianów, nie na nich.

Ash wiedział, że Lila coś przed nim ukrywa, coś, co pominęła w tej opowieści.

– Dlaczego żółwiowe ziele w piwie kazało ci wracać i sprawdzić, co ze mną?

Wzruszyła ramionami.

– Wróciłam po broń, nie żeby sprawdzić, co z tobą. Jak zobaczyłam krew w korytarzu, uznałam, że trzeba się rozejrzeć. Masz szczęście, że to zrobiłam.

– To ciekawa teoria, ale jest w niej sporo przypuszczeń – zauważył Ash. – Nie jestem następcą tronu Felis, nie mieli powodów, żeby

mnie zabijać. – Chyba że jego drugie życie jakimś sposobem wyszło na jaw.

– Może oni nie rozumieją fellsjańskich zasad sukcesji tronu. A może wszystko im jedno.

– A może król Gerard wciąż obmyśla, jak by tu zniszczyć rodzinę mojej matki i raz na zawsze wyeliminować ród Szarych Wilków. W końcu znalazł kogoś z nas, kogo mógł dopaść. – Gniew, który stale się w nim tlił, wybuchnął z nową siłą. – To znaczy, że królowa i księżniczka następczyni tronu mogą być następne. – Zakładając, że jeszcze do tego nie doszło. Ta myśl zadała mu ból niczym cios noża w brzuch.

– One na pewno cały czas są na celowniku – stwierdziła Lila. – I nic nie możesz na to poradzić.

*Owszem, mogę, odpowiedział jej Ash w myślach. Coś, co powinienem był zrobić, albo przynajmniej spróbować zrobić, znacznie wcześniej. Przez cztery lata odcinałem pająkowi odnóża, zamiast zadać mu cios prosto w serce.*

– Ash? Słuchasz mnie?

Podniósł głowę i ujrzał jej zaniepokojoną twarz.

– Oj, wybacz. Co mówiłaś?

– Wiemy na pewno, że oni wiedzą o tobie. Dlatego tutaj nie jesteś już bezpieczny. Jeśli w ogóle kiedyś byłeś. A to znaczy, że musimy się stąd wynosić.

My? Ash nie zamierzał podróżować w niczym towarzystwie.

– Lila, posłuchaj. Nie chcę, żebyś zmieniała swoje plany. Jedź na posterunek w Trzęsawiskach. Ja pojedę dzisiaj do Wolnego Miasta. I po problemie.

Lila spojrzała znacząco na ciało leżące na podłodze, a potem na drugiej na łóżku.

– Świetny plan – westchnęła z gorzkim uśmiechem. – Ile osób tutaj wie o twoim zamiarze podróży do Wolnego Miasta? Jak myślisz, ile zajmie tym pijawkom, żeby cię tam dopaść?

– Umiem o siebie zadbać – odparł sztywno. – Drugi raz już mnie nie zaskoczą.

– Nie. – Lila pokręciła głową. – Teraz, gdy twój sekret wyszedł na jaw, najbezpieczniejszy będziesz w Fellsmarchu.

I tam cię właśnie zabiorę. – Spojrzała na niego z ukosa. – Wszystko lepsze od cholernych Trzęsawisk.

– Czemu ci na tym zależy? Dlaczego myślisz, że powinniśmy zostać współnikami?

– Nie mówię o zostaniu współnikami – odparła Lila. – Mam nadzieję, że dostanie mi się jakaś nagroda. Jak tylko ją zgarnę, znikam. No, a teraz się przebierz. Nie zajedziemy daleko, jeśli będziesz wyglądał, jakbyś się kąpał we krwi. – Skrzyżowała ręce na piersiach i przyglądała się mu, tupiąc jedną nogą niczym nadzorca czuwający nad wykonaniem robót.

Uratowała mu życie. Wyglądało na to, że przyszedł czas zapłaty. Póki nie uruchomi własnej gry, jak mawiał jego tata, lepiej było nie pozostawiać tej sprawy niedokończonej.

– Może się chociaż odwrócisz – powiedział.

Lila westchnęła z przesadą, ale obróciła się twarzą do drzwi.

– Nie wierzę, że robisz takie ceregiele po tym wszystkim, co tu się działo.

Szybko zdjął z siebie zakrwawione ubrania i sięgnął po czystą bieliznę, spodnie i lnianą koszulę.

– Mogę chociaż spakować twoje rzeczy, kiedy ty będziesz się popisawał swoją nieśmiałością?

- Jestem już spakowany. – Ash wyciągnął swoje sakwy spod łóżka.
- Chodźmy.

## PODRÓŻ NA WSCHÓD DROGĄ ZACHODNIĄ



Albo Ash Hanson sul'Han nie chciał zostać uratowany, albo brak mu było zdrowego rozsądku. Lila nie oczekiwała od razu medalu, a jednak... miło by było, gdyby choć trochę współpracował. Nie planowała spędzenia miesiąca czy dwóch na niańczeniu maga o błękitnej krwi. Miała swoje sprawy, którymi musiała się zająć. I to pilnie.

Zostawili ciała tam, gdzie były, i znieśli swoje rzeczy na parter. Strażnicy, którzy zwykle stali przy wejściu, zniknęli, a korytarze ziały pustką i grozą.

Na podwórzu kuchennym, tak ruchliwym w ciągu dnia, zastali jedynie blask księżyca i Resztkę, kochanicę doświadczonego w bojach kuchennego kocura. Lila bez trudu poradziła sobie z zamkiem do kuchni. Resztką obserwowała z zawiścią, jak pakowali tyle prowiantu, ile byli w stanie udźwignąć: solone mięso, chleb, ser, suszone owoce, dwa bukłaki wina. Kiedy ta rzeź w dormitorium zostanie zauważona, mało kto zwróci uwagę na braki w zapasach kuchennych.

Pakując żywność, spierali się o to, którą drogę wybrać.

Lila optowała za Drogą Tamrońską, która szybciej doprowadziłaby ich na przyjazne terytoria i pozwoliłaby ominąć Ardencourt. Nie

uważała za konieczne wspomnieć, że przy okazji znacznie mniejsze byłoby prawdopodobieństwo natknięcia się na kogoś, kogo by znała. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było paradowanie w towarzystwie księcia sul'Hana.

Ash upierał się, żeby jechać na wschód do Ardencourt, a potem na północ przez Delphi.

– Droga Tamrońska to najbardziej oczywisty wybór, a to znaczy, że będą ją obserwować – przekonywał. – Tylko idiota pojechałby prosto do Ardencourt.

– No właśnie – przytaknęła Lila. – Tylko idiota by tam jechał. To mi się nie podoba. Ta droga jest ruchliwa, zawsze pełno na niej Południowców.

– Jesteśmy na Południu – zauważył Ash, przewracając oczami. – Większy ruch oznacza, że łatwiej będzie nas przeoczyć.

– Chyba że się natkniemy na więcej takich krwiożerczych kruków Malthusa – argumentowała. *Albo na innych, których chętnie bym uniknęła*, dodała w myślach.

– W takim razie rozdzielimy się – zaproponował Ash. – Ja pojedę przez Ardencourt, a ty przez Tamron. Załóżmy się o to, kto dotrze pierwszy.

*Próbujesz się mnie pozbyć*, pomyślała Lila, *żebyś mógł jechać do Wolnego Miasta, tak jak planowałeś. Nie mogę ci na to pozwolić.* To jednak oznaczało zgodę na jego warunki.

Kiedy trasa została już ustalona, udali się do stajni. Ash nalegał, żeby ukradli jakieś konie, bo skoro mają udawać martwych, nie mogą zabrać własnych. On wybrał Maribel, ognistą klacz srokatej maści, która należała do służby kurierskiej, więc była bardziej eksploatowana niż prywatne wierzchowce większości studentów. Lila zdecydo-

wała się na Gniadosza, ogiera wojskowego, który niedawno przybył z Ardeny wraz z jakimś studentem Wien House.

Niecałą godzinę od śmierci ostatniego z napastników Lila i Ash opuścili Oden's Ford. Lili udało się jeszcze przekonać Asha, żeby nie zostawiał wiadomości dla Taliesin – dziekan akademii dla uzdrowicieli. W tej sprawie była nieugięta.

– Nie chcę, żeby się o mnie martwiła – tłumaczył Ash, patrząc na swoje dłonie.

– Może to ona cię wydała – zasugerowała Lila. – Zna cię lepiej niż ktokolwiek inny, nie?

Skrzywił się, gdy to mówiła, ale po chwili potrząsnął głową.

– Gdyby chciała, żebym nie żył, już dawno byłbym martwy.

– Dziwne słowa o uzdrowicielce – zauważyła Lila. – Tak czy siak, nie będzie się o ciebie martwiła. I jak na razie chyba najlepiej będzie, jeśli wszyscy tak pomyślą. Zwłaszcza póki będziemy podróżować przez Arden.

Na razie potwierdzało się wszystko, czego się spodziewała po takim błękitnokrwistym książątku. Był prawdziwym wrzodem na tyłku. Ale mimo wszystko... Lila nie mogła wyrzucić z pamięci obrazu krwiopijczych kruków.

Najpierw jechali w blasku księżyca, potem w ciemnościach po zachodzie księżyca, a w końcu we mgle wczesnego ranka, który zastał ich na wspinacze po długim zboczu nad rzeką. Gdy słońce się podnosiło, po obu stronach wyłaniały się dostojne drzewa Lasu Tamrońskiego, które wyglądały jak szeregi żołnierzy. Konie posuwały się szybko, roztrącając kopytami błoto i rozchlapując wodę z kałuż powstałych po niedawnych deszczach. Przez większość czasu milczeli.

– Ciekawe, jak wielką sieć zarzucą – powiedział Ash po godzinie jazdy.

– Kto wie. To zależy od tego, jak bardzo chcą cię zabić. – Lila przyjrzała się mu uważnie. – Twój wzrost i ta ruda czupryna za bardzo rzucają się w oczy.

Ash sięgnął ręką do włosów, jakby nagle sobie przypomniał, jakiego są koloru.

– Szkoda, że nie jest zimniej – stwierdziła Lila. – Wtedy mógłbyś włożyć kaptur, nie wzbudzając podejrzeń.

W miarę upływu dnia pojawiały się wokół nich kolejne elementy krajobrazu o stonowanych, szarych barwach. Jesienna mgła przylegała do ziemi, wypełniała rowy po obu stronach drogi, przepływała i drgała, gdy konie się w nią zanurzały. Raz na jakiś czas w gęstym lesie pojawiała się jakaś polana, a na niej gospodarstwo i niewielkie zabudowania. Gdzieś tam przemykały ludzkie postaci. Rolnicy zaczęli dzień wcześniej.

Las Tamroński ciasno otaczał drogę, jakby próbował się na nią wdrzeć. Korzenie wielkich drzew wychodziły aż na pobocze, a korony często się ze sobą stykały, tworząc gęste sklepienie, odcinające dopływ światła. Gdyby przy drodze ukrywał się jakiś asasin, mógł się znajdować nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Lila podskakiwała przy każdym najmniejszym dźwięku. Zdawało jej się, że słyszy szmery w zaroślach, że widzi żylaste ręce wyciągające się w stronę Asha, pragnące ściągnąć go z konia i rzucić nim o ziemię, a chwilami nawet, że otacza ich krąg bladych, wychudzonych twarzy w ciemnych kapturach.

W pewnym momencie usłyszeli za sobą tętent kopyt. Przedarli się przez niewielkie zarośla i ukryli za grubym pniem omszałego dębu.



Drogą przemknęło kilkunastu czarno odzianych mężczyzn w połyskujących kolczugach. Wśród nich Destin Karn, jedyny bez kolczugi, ze wzrokiem wbitym przed siebie, choć wiatr i pył zmuszały go do mrużenia oczu.

– Gwardia króla Ardeny – mruknął Ash, gdy ten konny oddział ich minął. – Ciekawe, dokąd im tak śpieszno.

*Kości, pomyślała Lila. Destin Karn mógł podejrzewać, że tędy pojedę. Sama mu mówiłam, że taki mam zamiar. Czy poluje na mnie po tym, jak go zostawiłam na Mostowej, czy szuka Asha? Czy podejrzewa, że pomogłam mu w ucieczce?*

Może po prostu śpieszy się do domu ze złymi wieściami.

Teraz posuwali się ostrożniej niż wcześniej, świadomi, że widziani żołnierze mogą zawrócić, kiedy stracą trop. Gdy na drodze zaczęli się pojawiać podróżni, Lila poprowadziła z powrotem w głąb lasu. Po przejechaniu kilkuset metrów wybrała bezpieczne miejsce na obóz, osłonięte od tyłu niewielkim wzgórzem. Nie palili ognia; nie chcieli ryzykować. Nie rozsiodłali koni, lecz nakarmili je i przywiązali długimi linami, by mogły się poruszać po lesie. Potem rozłożyli koce na ziemi.

Pożywili się chlebem z serem, który popijali winem. Przekazywali sobie bukłak, póki go nie opróżnili. Lila była cała obolała. Przyczyniły się do tego zdarzenia w Kominie, ale też długa jazda na koniu pierwszy raz w tym sezonie. Ash siedział oparty o pień drzewa, z jedną nogą podkurczoną, a drugą rozprostowaną. Niewiele mówił, lecz ona zauważyła, że ostrożnie przechyla rękę.

Kiedy wypili całe wino, Lilę ogarnęła senność.

– Ja wezmę pierwszą wartę – zaproponował Ash.

– Nie, dam radę – mruknęła Lila, czując dziwne odrętwienie warg.  
– Pewnie jesteś wykończony wpływem krwi i całym tym wysysaniem mocy i ciała, i w ogóle. Muszę tylko wstać i trochę się poruszać. To mnie obudzi.

– Hej – Ash dotknął jej ramienia. – Połóż się. Nie musisz przy każdej okazji zgrywać bohaterki.

– W porządku – ziewnęła. – Ale obudź mnie w południe, to cię zmienię. – Wsunęła się pod swój koc i w jednej chwili zasnęła.

Gdy się obudziła, telepały nią dreszcze, a słońce wisiało nisko nad horyzontem; światło dnia już słabło. Dopiero przy drugiej próbie udało jej się usiąść, a i wtedy tak kręciło jej się w głowie, że musiała ją objąć dłońmi. Była zdrętwiała i obolała od długiego leżenia na ziemi pod cienką warstwą liści. Smak w ustach kojarzył jej się z nieuprzątniętą stajnią.

– Ash? – Rozejrzała się po polanie. Już sam ten ruch wywołał taki ból, że omal z powrotem nie upadła na wznak. – Ash! – zawołała nieco głośniej. Gniadosz stał w pobliżu i przyglądał się jej, żując trawę i strzygąc uszami. Drugi koń zniknął. Do pobliskiego pnia jej własnym nożem przybity był skrawek skóry z wypisanym jednym słowem. *Przepraszam.*

Wtedy zrozumiała.

– Kości – mruknęła. – Ty dwulicowy, przebiegły draniu.

Chwiejnie się podniosła. Obok niej leżał pusty bukłak.

Kopnęła go w krzaki.

*Naprawdę, Hanson? Myślałeś, że dam się nabrać na numer z żółtym zielem? Na to wygląda. Ale ze mnie idiotka.*

Pewnie wyruszył, jak tylko zasnęła. Zaryzykował podróż za dnia. Nikt nie będzie się go spodziewał na trasie do Oden's Ford. O tej po-

rze mógł już być w połowie drogi do Wolnego Miasta. Albo w drodze do lochów w Ardencourt. Albo martwy w rękach wysysających krew kapłanów.

No właśnie. Lila miała swoje tajemnice, ale Ash pokazał, że on też miał swoje. Teraz nie dało się już stwierdzić, dokąd się kierował ani co naprawdę zamierzał.

## W KRÓLEWSKIM OGRODZIE



Destin Karn szykował się na spotkanie z królem Ardeny, Gerardem Montaigne'em, doskonale zdając sobie sprawę, że może nie wyjść z tego cało. Znał cenę, jaką płacili ci, którzy zawiedli oczekiwania władcy, i był świadomy swojej porażki w Oden's Ford.

Nie czuł się winny tej sytuacji. Wiedział z wiarygodnego źródła, że na terenie i wokół Komina znaleziono dziesięć ciał, z których żadne nie należało do studenta. Było wśród nich pięciu darianów i pięciu przedstawicieli władz szkolnych – straży rektorskiej i dozorców. Wszyscy zostali zabici w sposób konwencjonalny, o ile za konwencjonalne można uznać podcięcie gardła. Nikt nie zginął od użycia czarów, co znaczyło, że nie załatwił ich syn królowej wiedźmy. To się zgadzało ze słowami Touranta, że chłopak kształcił się na uzdrowiciela, więc łatwo będzie go zlikwidować.

Jak się dowiedział na uczelni, zaginęło dwoje studentów: Lila Barrowhill, kadetka z Wien House, i Ash Hanson, student z Północy, który był proficjuszem w Mystwerku. Wyglądało na to, że w pokoju Hansona doszło do prawdziwej rzezi – wszystko spływało tam krwią. Jednak dwa znalezione w dormitorium ciała należały do darianów.

Czy darianie i rektorscy pozabijali się nawzajem? Czy Lila się w to wmieszała? Dlaczego? Z tego, co mówił Tourant, wynikało, że ona i sul'Han nie bardzo się lubili. Nie była też typem bohatera. W każdym razie Destin jakoś nie mógł uwierzyć, żeby kobieta mogła spowodować taki rozlew krwi. Król rozkazał mu na wszelki wypadek trzymać Lilę z dala od miejsca zabójstwa. Montaigne nie chciał ryzykować utraty jednego ze swoich najbardziej obiecujących agentów, gdyby w nagłym porywie szlachetności zachciało jej się interweniować.

Ironia losu polegała na tym, że to Destin zwerbował Lilę i od dwóch lat ją prowadził. Teraz jednak coraz częściej kontaktowała się bezpośrednio z królem. Destinowi nie podobało się, że traci nad tym kontrolę.

Nie powinien był pozwolić jej wyjść – teraz to wiedział. Jeżeli Lila i sul'Han nie żyli, to Destin zawiódł. Jeżeli uszli z życiem, Destin również zawiódł.

Była jeszcze jedna ofiara tych zająć – Renard Tourant, kadet z Ardeny, zaginął tamtej nocy i został znaleziony w rzece Tamron kilka dni później; najwyraźniej utonął. Destin żałował, że nie mógł poświęcić więcej czasu na wykończenie tego półgłówka, ale musiał się śpieszyć, żeby wynieść się z miasta, zanim komuś przyjdzie do głowy przesłuchać Denisa Rocheforta, który przybył z wizytą z Ardeny.

Ciągle istniała możliwość, że spisek się udał. Mogło być więcej niż pięciu darianów i ci, którzy przeżyli, wywieźli ze sobą ciała kadetki Barrowhill i sul'Hana, by użyć ich do któregoś ze swoich makabrycznych rytuałów. To były żądne krwi kanalie. Niczym hieny walczyli ze sobą o to, kto ma dokonać tych potworności. Destin wolał mniej

namiętne podejście do zabijania. Czasem zabójstwo było konieczne, ale na ogół nie sprawiało mu to przyjemności.

Owszem, taki scenariusz był możliwy, lecz jakoś Destina nie przekonywał. Obiecano mu dowód morderstwa, który mógłby zabrać ze sobą do Ardencourt, a do tej pory niczego takiego nie otrzymał. Jego źródła donosiły, że o dwojgu zaginionych studentach słuch zaginęła. Od tygodni nie widziano ich żywych ani martwych, ani w Ardenie, ani w Felis.

Podejrzewał, że tylko temu marginesowi niepewności zawdzięcza, że jeszcze żyje. Temu oraz faktowi, że dziekani z Oden's Ford nie byli w stanie udowodnić ingerencji Ardeny.

Oczywiście istniało wiele podejrzeń. Gildia Darianów miała powiązania z Kościołem Malthusa, będącym religią państwową Ardeńskiego Imperium. Król Ardeny od dawna rościł sobie prawo do wtargnięcia na kampus w poszukiwaniu sabotażystów, szpiegów i przemytników, ale jak dotąd nigdy tego nie zrobił. Administracja Oden's Ford wysyłała utrzymane w surowym tonie listy do króla i do władz Kościoła Malthusa z pytaniem, czy coś wiedzą na temat naruszenia pokoju w Oden's Ford. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że zamieszane w to osoby uciekły do Ardeny, później w listach tych żądano schwytania winnych i przekazania ich władzom akademii, by te mogły zorganizować im proces sądowy.

Przedstawiciele Kościoła i imperium zaprzeczali jakimkolwiek związkom z napaścią na akademię. Podkreślali, że nie mieli powodów, by atakować studentów w Oden's Ford, skoro szkoła nie ukrywa na swoim terenie wrogów państwa. Sugerowali, że winnych należałoby szukać na Północy. Zwłaszcza że jedna z ofiar była obywatelem Ardeny. Możliwe, że zabójstw dokonało dwoje zaginionych studen-

tów. Król Ardeny zaoferował przysłanie własnych wojsk do Oden's Ford dla ochrony studentów i wykładowców.

Akademia odmówiła.

Od tego dnia król nie ukrywał swojego niezadowolenia. Mimo młodego wieku – miał dopiero osiemnaście lat – Destin był uważany za wschodzącą gwiazdę i ulubieńca monarchy. Aż do wydarzeń w Oden's Ford. Od tego momentu Montaigne nie udzielił mu audiencji ani nie zlecił żadnego zadania. Destin nie miał więc do roboty nic innego, jak martwić się, że król okaże swoje niezadowolenie w bardziej konkretny sposób. Czasami w nocy, gdy nie mógł zasnąć w dusznym upale tej pory, którą na Południu nazywano jesienią, zastanawiał się, czy nie uciec z kraju.

Jego ojciec przewidział, że przyjdzie mu to do głowy, i zawczasu udzielił mu ostrzeżenia.

– Od takiej decyzji nie będzie odwrotu. Król ma długą pamięć, a macki Ardeny sięgają daleko. Już wkrótce opanujemy wszystkie Siedem Królestw. Co wtedy zrobisz... będziesz szukał szczęścia w Kartezji? – W oczach ojca kryła się groźba, ostrzeżenie i wyzwanie, wszystko w jednym. Tak więc po tygodniach milczenia w końcu miało dojść do spotkania. Czemu teraz? Destin podejrzewał, że Montaigne podjął decyzję w sprawie jego przyszłości.

Jak powinien się ubrać na własną egzekucję? Nie lubił wymyślnych strojów. Nawet gdyby lubił, to jego ojciec dawno temu wybiłby mu to z głowy. Tak czy owak, umiał się zaprezentować stosownie do okazji. Czerń była zawsze w dobrym tonie. Włożył na siebie odzież z czarnej wełny ze skórzanymi dodatkami. Koszula miała koronkowe wykończenia przy kołnierzu i mankietach. Buty i pokrowiec na miecz były proste, lecz wykonane ze szlachetnej skóry. Amulet spoczywał

dyskretnie pod koszulą, gdzie pozostawał niewidoczny i wchłaniał mana'in, demoniczną energię, wypływającą z Destina dniem i nocą niczym strużki wody z siarkowego źródła. Lepiej było nie obnosić się z tym w obecności króla.

Magiczna moc stanowiła na Południu obosieczną broń. Sprawiała, że Destin i jego ojciec byli przydatni władcy, a jednocześnie narażała ich na niebezpieczeństwo. Kościół Malthusa zwykł palić czarowników, którzy nie nosili obręczy, a król zwykł im na to pozwalać. Montaigne traktował współpracujących z nim obdarzonych mocą jako zło konieczne.

Destin przejrzał się w lustrze w garderobie. Spodobało mu się to, co zobaczył. *W tym mogą mnie pochować*, pomyślał. Zakładając, że zostanie z niego coś, co nada się do pochówku. Następnie poszedł na spotkanie z ojcem, który wyjątkowo był w swoim apartamencie.

Jako generał ardeńskiej armii Marin Karn mieszkał w samym pałacu. Miał też posiadłości nad rzeką Arden i nad Zatoką Bastońską, ale kiedy przebywał w stolicy, zwykle przesiadywał w koszarach, gdzie grywał w karty i upijał się w towarzystwie żołnierzy. Destin nie czuł się dobrze w takich spelunkach.

Zasalutował żołnierzom pełniącym wartę przed drzwiami.

– Powiadomcie generała, że przyszedłem.

Wiadomość została przekazana i Destina wpuszczono do poczekalni – pierwszego kręgu w labiryncie prowadzącym do jego ojca.

Kiedy wreszcie wszedł do prywatnej komnaty generała, ten akurat zdejmował lnianą koszulę.

– Podaj mi inną – rozkazał synowi, rzucając koszulę na podłogę. – Już przepociłem takie dwie. Całe to podróżowanie z tych zapyziałych peryferiów na upalne tereny Bruinswallow kiedyś mnie wykończy.



Obietnice, obietnice. Destin podszedł do szafy i wyjął świeżą koszulę, a potem niczym lokaj pomógł ojcu ją włożyć. Następnie przyniósł ręcznik, by otrzeć z potu twarz i szyję mężczyzny. Karn wyrwał mu go i gwałtownym ruchem odrzucił od siebie.

– Przestań – powiedział. – Człowiek się poci, to normalne. Ale może ty o tym nie wiesz.

Destin poznał, że ojciec się denerwuje, po tym, że był bardziej uszczypliwy niż zwykle. To znaczyło, że martwił się spotkaniem syna z królem. Martwił się, bo jego pozycja była wystarczająco niepewna nawet bez dodatkowego uszczerbku spowodowanego niepowodzeniami syna.

W końcu generał był gotowy, przebrany w świeży zestaw ubrań. Destin podał mu górną część munduru.

– Najpierw pas. Potem bluza – powiedział ojciec przez zaciśnięte zęby. – Kiedy wreszcie się tego nauczysz?

– Przepraszam – sztywno odparł Destin. – Rzadko noszę mundur, więc...

– No właśnie – rzekł generał, jakby w tej chwili sobie to uświadomił. – Nienosisz.

Destin zacisnął zęby. Żadna ich rozmowa nie mogła się obyć bez kąśliwych uwag ojca. Zamiast armii Destin wybrał tajną służbę podlegającą bezpośrednio królowi. Chociaż miał stopień porucznika, w oczach ojca nie był prawdziwym żołnierzem. Poza tym generałowi nie podobało się, że nie ma nad synem kontroli.

Destinowi natomiast taka sytuacja bardzo odpowiadała.

Dzwony na katedrze oznajmiły kwadrans.

– Pora iść – stwierdził Destin. – Masz dla mnie jakąś radę? – W zasadzie po to tu przyszedł. Jego ojcu jakimś cudem udało się prze-

trwać trzydzieści lat w służbie temu królowi. Na pewno miał jakąś strategię.

– Przestań się trząść jak panienka – powiedział Karn, nawet nie starając się ukryć rozczarowania.

– Mylicie się, generale – rzekł Destin spokojnie. – Nie trzęsę się. Jestem ledwie zaniepokojony.

Karn parsknął.

– Jeśli król zechce cię zabić, nawet się nie zorientujesz, kiedy się to stanie. Dlatego nie ma sensu się przejmować, bo i tak nic nie zmienisz.

Nie była to bardzo pomocna rada.

– Ponadto o cokolwiek cię poprosi, zgadzaj się. Jeśli sobie zażyczy, żebyś wygrzebał swoją matkę z grobu i wywiesił jej ciało na murach, zgódź się. Jeśli będzie chciał, żebyś zrobił mu futro z kociąt, zgódź się. Jeśli ci każe pocałować go w królewski tyłek, zrobisz to bez mrugnięcia okiem. Jasne?

– Tak – odparł Destin. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie dodać: – A jeśli każe mi cię zabić? Czy na to też mam się zgodzić?

Ich spojrzenia się spotkały. Żaden nie odwrócił wzroku. Po chwili Karn parsknął szczekliwym śmiechem.

– Proszę bardzo, chłopcze, zrób to, jeśli myślisz, że ci się uda. Jeśli odmówisz, król znajdzie kogoś innego, kto zabije nas obu. A tak jeden z nas może wyjść z tego cało.

Destin miał się spotkać z królem w ogrodzie. Król Gerard lubił omawiać w tym miejscu sprawy, które nazywał „delikatnymi”. Na terenie ogrodu było mniej postronnych oczu i uszu niż w pałacu.

Miejsce to nadawało się też do działania w delikatnych sprawach. Zawsze istniało ryzyko, że jeśli się tam wejdzie, można już nie wyjść.

Czekał na Montaigne'a na dziedzińcu prowadzącym do królewskich ogrodów. Ostry wiatr z północy zwiastował porę, którą na Południu nazywano zimą. Destin poczuł chłód i pożałował, że nie ubrał się ciepiej.

Wreszcie pół godziny po umówionym terminie spotkania Montaigne zszedł po schodach z tarasu. Był w prostej wełnianej pelerynie z kapturem, który narzucił na brązowe włosy. Towarzyszyła mu wysoka, smukła dziewczyna w schludnym niebieskim stroju przypominającym mundur.

Lila Barrowhill.

Destin osłupiał. Zaraz jednak się opamiętał, zamknął usta i przykląkł na jedno kolano.

Przynajmniej dowiedział się, że Lila wciąż żyje.

– Poruczniku Karn – powiedział Montaigne, dając mu znak ręką, by się podniósł. Jego zimny wzrok przesuwiał się po Destinie, przyprowadzając go o dreszcze na całym ciele. – Właśnie o was rozmawialiśmy.

– Karn! – zawołała Lila serdecznie. – Gdzie się podziewałeś? Co u ciebie?

Destin przełknął ślinę.

– W porządku – skłamał. Spojrzał jej w oczy. – Miło cię widzieć. Świetnie wyglądasz. – To nie było kłamstwo.

– Bo mogłam już nie żyć? – Uniosła brew.

– Tak, bo mogłaś już nie żyć – przytaknął. – Kiedy zniknąłeś po tym nieszczęsnym incydencie w dormitorium, obawiałem się najgorszego.

– Jak już mówiłam Jego Królewskiej Mości, ja też obawiałam się najgorszego – stwierdziła Lila.

– Jak wicie, ubiegłej nocy zginął syn jednego z naszych oficerów – oznajmił Montaigne. – Pułkownik Tourant naciska na przeprowadze-

nie śledztwa. Lila zgodziła się odpowiedzieć na kilka pytań w związku z tym, co się stało.

Destin wpatrywał się w twarz Lilii, próbując z niej coś wyczytać. A więc odbyło się spotkanie... na które jego nie zaproszono. To nigdy nie był dobry znak.

– Doskonale. Chętnie się wszystkiego dowiem – oświadczył. Z trudem opanował chęć sięgnięcia po sztylet ukryty pod czarną wełnianą tuniką albo rzucenia się biegiem przez ogród niczym rączy jeleni.

Co powiedziała królowi? Czy to dla niego oznacza życie czy śmierć?

Lila oparła się o kolumnę.

– Chyba już znasz część tej historii – powiedziała – więc będę się streszczać. Kiedy wróciłam do dormitorium, wszędzie wały się martwe ciała. Hansona nie było. Zaniepokoiłam się, że mógł wyjść polować na mnie.

– Na ciebie? – Destin wpatrywał się w nią zdumiony.

– To moja wina. Wiedziałam, że jest bardzo pobudzony, i miał do tego prawo, ale myślałam, że zrozumiał, że między nami nigdy nic nie będzie. – Westchnęła. – Bardzo się od siebie różnimy... w ogóle nie pasujemy do siebie. On tylko się uczył i uczył, gadał i gadał, no wicie, a ja lubię się zabawić.

– Racja – przytaknął Destin, czując się jak głupek.

– Uważał się za teologa. – Lila przewróciła oczami. – Wiecznie się wymądrzał, jaki to Kościół Malthusa jest straszny i że powinno się trzymać kruki... to znaczy kapłanów malthusjańskich... z dala od Ford. Ciągłe mnie namawiał, żebyśmy utworzyli małą grupkę fanatyków i wysadzali świątynie i tak dalej.

Spojrzała przepaszająco na króla.

– Wiem, że jesteście człowiekiem wiary, Wasza Królewska Mość – powiedziała bez cienia ironii – ale mnie nie interesują debaty religijne. Zresztą nie mogę sobie pozwolić na kolejne kłopoty w szkole.

– Oczywiście – rzekł król Gerard z życzliwą wyrozumiałością.

Destin chrząknął.

– Zdaje się, że młody Hanson to prawdziwe utrapienie.

Lila przytaknęła.

– Właśnie tak o nim myślałam... był jak wrzód na tyłku, ale tylko gadał, nic nie robił. Ostatnio żuł sporo brzytwicy, żeby siedzieć do późna i się uczyć, i znowu zaczęło mu odbijać. W końcu go zrugalam... to było w dzień przyjęcia, które organizował Tourant. Wiedziałam, że się wściekł, ale nie spodziewałam się czegoś takiego. – Kręciła ze smutkiem głową.

Destin nie rozumiał.

– Nie spodziewałaś się... czego?

– Nie spodziewałam się, że zaczniesz masakrować kapłanów – wyjaśniła Lila.

*Na krew ofiar. Ona myśli, że sul'Han dokonał tych zabójstw? Poważnie?* Destin przyglądał się jej twarzy. Nie widział dowodów oszustwa, ale zaczynało do niego docierać, że Lila potrafi świetnie kłamać.

I tak nie zamierzał jej demaskować w obecności króla. Zwłaszcza że Montaigne zdawał się chętnie tego słuchać.

– To znaczy... – skomentował Destin, pocierając podbródek – że to zrobił Hanson?

Lila wzruszyła ramionami.

– Tak myślę. Nie wiem tylko, jak mu się udało zwabić kapłanów do dormitorium. W pierwszej chwili byłam kompletnie skołowana,

bo nie użył do tego czarów. Może chciał coś udowodnić... że jest w stanie poradzić sobie bez magii.

– Bo...? – Destin przechylił głowę.

Zarumieniła się.

– Bo... hmm... powiedziałałam mu, że ja się, no wiesz, nie zadaję z magami... bez obrazy, poruczniku.

– Nie ma sprawy – odparł Destin. – To znaczy, że Hansona nie było wśród tych ciał?

– Ja go nie widziałam, ale nie szukałam dokładnie. Jak już mówiłam, bałam się, że może poluje też na mnie. Poza tym miałam inne plany, a bałam się, że jak zacznę odpowiadać na pytania, to utknę tam do Przesilenia. Więc od razu wyjechałam. Mam nadzieję, że do następnego semestru cała sprawa przycichnie.

– My też mamy taką nadzieję – powiedział Destin. Wciąż oswajał się z faktem, że Lila Barrowhill, według wszelkiego prawdopodobieństwa, uratowała mu życie przez to, że przeżyła tę masakrę. Co więcej, oczyściła Arden z podejrzeń, sugerując, że to „Ash Hanson” dokonał tych zabójstw. Jedynym lepszym wyjściem z tej beznadziejnej sytuacji byłoby, gdyby przyniosła ze sobą głowę tego magika i przeprosiny od władz akademii.

Destin szukał odpowiednich słów, żeby się jej odwdzińczyć za tę przysługę.

– Mam nadzieję, że zimą znowu będziemy razem pracować – powiedział w końcu. – Jak ci mówiłem przy naszym ostatnim spotkaniu, są...

– Właściwie to mam co do ciebie inne plany – odezwał się król. Destin znowu poczuł skurcz żołądka. Montaigne zwrócił się do Lilii: – To już wystarczy. Muszę porozmawiać z porucznikiem na osobności.

Obaj spoglądali za nią, gdy się oddalała.

– To niezwykła historia – stwierdził król Gerard, gdy Lila znalazła się tak daleko, że nie mogła ich usłyszeć. – Myślisz, że mówi prawdę?

– W każdym razie to brzmi wiarygodnie – odparł Destin. – Ten mag, su’Han, był w szkole samotnikiem, co wydaje się pasować do osoby, która stara się ukryć swoją tożsamość. Spędzał dużo czasu z Wagabundką, wiedźmą od guseł, Taliesin Beaugarde.

Montaigne wygiął usta w pogardliwym grymasie.

– Wagabundy są jak szczury. Mimo naszych wysiłków, by je wytepić, ciągle wracają. Nie da się ich ucywilizować.

*Chcesz powiedzieć, że nie da się ich podporządkować*, pomyślał Destin.

– Próbowaliśmy znaleźć Beaugarde po tych zabójstwach, żeby ją przesłuchać, ale ona także zniknęła. To wszystko wydaje się podejrzane. Nie słyszałem, żeby su’Han był zagorzałym wyznawcą religii, ale może ta wiedźma nabiła mu głowę jakimiś skrajnymi wyobrażeniami. Jeśli tak, to tym lepiej dla nas.

– Dziekani akademii chyba o tym wszystkim nie wiedzą – zauważył król. – W każdym razie ich śledztwo nie bada tego tropu.

– Myślę, że z góry przyjęli winę Ardeny i nie brali pod uwagę innych możliwości. Poza tym, jak widać, Lila nikomu nic nie powiedziała przed wyjazdem. – Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął: – Radziłbym nie informować o tym władz uczelni. Jeżeli Lila ma się nam do czegoś przydać, to lepiej, żeby nikt jej z nami nie łączył.

Król rozważył te słowa.

– Racja – rzeki. – Dziekani mają swoje podejrzenia, ale niczego nie mogą udowodnić. Dopóki przyjmują i szkolą naszych kadetów, nie obchodzi mnie, co sobie myślą.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość. – Destin zaczął mieć nadzieję, że uda mu się uniknąć ciężkiej ręki wymierzającej królewską sprawiedliwość.

– A co sądzisz o Lilii? – zapytał nagle Montaigne.

To było wyraźnie pytanie z podtekstem.

– Do tej pory można było na niej polegać – odpowiedział. – Zna wszystkich w Oden’s Ford i nic nie ujdzie jej uwadze.

– Wojny nie będziemy prowadzić w Oden’s Ford.

– Może nie – przyznał Destin – ale w akademii spotykają się ludzie z różnych stron i jak dotąd informacje z tego źródła zawsze były prawdziwe.

– Jaką ma w szkole reputację? Naprawdę tak marnie się uczy, jak nam to przedstawia?

– Jest w Wien House, jak wiecie. Tourant był komendantem jej roku i nie miał o niej do powiedzenia wiele dobrego. Kilka razy stała przed komisją dziekanów. Tourant twierdził, że tylko dzięki spadkowi liczby studentów nie wyrzucono jej z uczelni.

– Może to dla niej za trudne – zastanawiał się król. – Zawsze uważałem, że kobiety nie nadają się do wojska. Ale możliwe też, że odgrywa przed nami swoją rolę. Jak ci się wydaje?

– W wojsku chodzi o zasady, regulaminy, a to nie pasuje do Lilii. Myślę, że Tourant był głupi. Dla nas to nawet lepiej, że wpadł do tej rzeki, zanim zdążył się rozmnożyć.

Król odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Ojej, Karn, brakowało mi tych naszych rozmów. Ale mam tyle rzeczy na głowie, że ciężko znaleźć wolną chwilę.

– Rozumiem, Wasza Królewska Mość.

– Co jeszcze wiemy o tej dziewczynie?



Destin zdał sobie sprawę, że to coś więcej niż zwykle zainteresowanie Lila – to test jego zdolności wywiadowczych.

– Jest sierotą wojenną. Dorastała na Wyspach Południowych, wychowywana przez ciotkę. Potem wraz z inną ciotką zajmowała się przemytem na wschodnim wybrzeżu. Taki rodzinny interes.

– Co przemytniczka robi w Oden's Ford?

– Zdaje się, że rodzina ją tam posyła w nadziei, że nawiąże jakieś korzystne znajomości z wojskowymi na wysokich szczeblach.

– I tak się stało – wtrącił Montaigne. – Z twojego polecenia.

– Przesłuchałem ją z użyciem perswazji, kiedy ją werbowałem – powiedział Destin. – To, co mówiła, potwierdziło się.

– To prawdziwa przyjemność gościć ją na dworze – zauważył król. – Wczoraj uczestniczyła w kolacji i rozbawiła wszystkich do łez. Nawet lorda Matelona.

– Lila ma cięty dowcip. I odwagę mówić rzeczy, które inni myślą, lecz nie wypowiadają na głos. – W obecności króla takie zachowanie zawsze było ryzykowne. Montaigne uważał takie wypowiedzi za zabawne, ale do czasu.

– Będę musiał ją przekonać, żeby dostarczyła nam magiczne wyroby, których potrzebujemy. Nie chcę, żeby armia niekontrolowanych magów rozpełzła się po całym imperium.

– Mam ludzi w Zatoce Bastońskiej, przy Wodnej Bramie i na Wyspach Południowych – stwierdził Destin. – Zobaczę, czego jeszcze uda się dowiedzieć.

Może Lila stanie się nową protegowaną króla. Montaigne miał zwyczaj nadawać ludziom z gminu wysokie pozycje na swoim dworze. Takie osoby miały dług wdzięczności i okazywały większe posłuszeń-

stwo niż szlachetnie urodzeni, dla których sprawowanie władzy nie było niczym nadzwyczajnym.

Czy jednak wprowadziłby do tego grona kobietę? To byłoby działanie bez precedensu.

Król chętnie nastawiał jednych dworzan przeciwko innym. Może teraz robił to samo. Destin też lubił Lilę, ale jej nie ufał.

– Przejdźmy się. – Montaigne ruszył wzdłuż niskiego kamiennego muru oddzielającego zadbane ogród od lasu. Drzewa błyskały barwami na tle jasnego nieba. W ogrodach wciąż kwitło mnóstwo kwiatów, a ich zapach był tak przytłaczający, że wręcz obrzydliwy, przywołujący na myśl woń rozkładu.

Król szedł lekkim krokiem niczym jeleni biegnący ścieżką w dzikim terenie.

– Astry – powiedział, wyciągając rękę w stronę różowych i fioletowych kwiatów rosnących przy alejce. Zerwał kilka i wręczył je Destinowi, który przy pierwszej nadarzącej się okazji niepostrzeżenie wypuścił je z ręki.

Destin nie przypominał sobie, by w królewskich ogrodach kiedykolwiek nie kwitły kwiaty. Jego matka najbardziej lubiła fiołki. To były jedyne kwiatki, które rozpoznawał, mimo że Montaigne ciągle od nowa pokazywał mu wszystkie pozostałe i podawał ich nazwy.

Może Destin nie był w stanie tego zapamiętać, ponieważ ile razy znajdował się w tym ogrodzie, jego myśli zaprzętało co innego: kogo tym razem będzie musiał zabić.

W końcu dotarli do jednego z pawilonów, jakich wiele było na terenie ogrodu. Zatrzymali się nad sztucznym stawem porośniętym jakimiś dziwacznymi roślinami.

– Usiąźmy – zaproponował król i usadowił się na ławce przy murze.

Destin usiadł. I czekał.

– Byłeś w Kartezji, prawda?

Dobrze, że już siedział. To pytanie było jak uderzenie obuchem w głowę, tak niespodziewane, że gdyby stał, mógłby się przewrócić.

To, że król je zadał, znaczyło, że znalazł odpowiedź. Ale skąd wiedział? Było mało prawdopodobne, że od ojca Destina.

– Tak, Wasza Królewska Mość, mieszkałem tam jakiś czas w dzieciństwie. – W myślach zaraz dodał: *Mama i ja tak bardzo chcieliśmy uciec od ojca, że przepłynęliśmy przez ocean. Okazało się jednak, że to nie było dość daleko.*

– Opowiedz mi o tym.

Jak zwykle nie było wiadomo, co król już wie, a czego nie miał możliwości się dowiedzieć.

– Hm, to głównie piach i skały. Mimo że Kartezja leży na dalekiej północy, dzięki prądom oceanicznym jest tam ciepło. W zasadzie nie da się tam prawie niczego uprawiać, więc ludzie są bardzo biedni. Dlatego tylu z nich zostaje piratami.

Nagle wróciły do niego wspomnienia małego domku nad morzem, który zajmowali wraz z matką, i wioski, po której biegał boso, wzbijając stopami tumany kurzu. To były jedne z najszcześniejszych chwil w jego życiu.

– Nie rozumiem tylko, skąd tam tak potężna magiczna moc – zauważył Gerard. – Podobno stamtąd wywodzą się magowie.

– Poniekąd to prawda, Wasza Królewska Mość. Magowie pochodzą z Wysp Północnych, które, jak wiecie, niegdyś były częścią Siedmiu

Królestw. Po Rozłamie wyspy połączyły się z Kartezją. One... yyy... chyba wciąż mają jakieś luźne związki.

– Byłeś na wyspach?

– Nie, panie.

– Znasz ich język?

Destin pokręcił głową.

– Kiedyś znałem. Teraz już nie pamiętam.

Nagle król zmienił temat.

– A więc kolejna pora kampanii za nami, a my wcale nie przybliżyliśmy się do celu. Miałem nadzieję, że to lato przyniesie nam przełom.

Destin wołał na to nie odpowiadać.

– Nie zajęliśmy nowych ziem. Tracę już cierpliwość. Może potrzebujemy nowej strategii.

*Czy on oczekuje, że będę bronił ojca? W zasadzie moje życie bez taty byłoby o wiele prostsze.*

Destin nie dał się wpuścić w tę pułapkę.

– Wolałbym się nie wypowiadać na ten temat, Wasza Królewska Mość. Nie znam się na strategiach wojskowych. Jestem przekonany, że ostatecznie zwyciężymy, bo przewaga militarna i wasze twórcze przywództwo działają na naszą korzyść.

– Zrobię, co będzie konieczne, żeby wygrać tę wojnę – oznajmił król niskim, groźnym głosem. – Zniszczę ich ducha, złamię im serca, aż ta wiedźma z Północy klęknie przede mną i będzie błagać o litość. Będzie błagać, ale nic nie wskóra.

– Tak jest, panie.

– Musisz znaleźć dla mnie dziewczynę.

Tym razem zmiana tematu nie zbiła Destina z tropu.

– Znajdę wam ich tuzin. Jakie macie życzenia?

Montaigne się roześmiał.

– Masz mnie za głupca? Jeśli wyślę takiego młodzieńca jak ty na polowanie, zatrzymasz dla siebie, co najlepsze.

– Wasza Królewska Mość, znam swoje miejsce – odparł Destin. – Byłbym marnym rywalem dla kogoś takiego jak wy. – To przynajmniej mówił szczerze.

Montaigne parsknął i pokręcił głową.

– Nie, chodzi mi o konkretną dziewczynę, którą muszę znaleźć, o ile rzeczywiście istnieje. A jeżeli tak, to prawdopodobnie jest w Delphi.

– Delphi! – Destin starał się nie okazać rozczarowania. Był już w Delphi i wyniósł stamtąd jak najgorsze wspomnienia. Nie palił się do powrotu w tamte strony. – Mam jechać do Delphi?

– To się wydaje logiczne, poruczniku, skoro chcę, żebyś znalazł tę dziewczynę, a ona jest właśnie tam.

– Rozumiem. Zastanawiam się tylko, czy nie można by... – zamilkł, przypomniawszy sobie radę ojca. „O cokolwiek cię poprosi, zgadzaj się”. Przełamał swoje opory i powiedział: – Dziękuję za zaufanie, Wasza Królewska Mość. Jestem zawsze do usług.

Król rozciągnął usta w uśmiechu, który mówił, że nie dał się oszukać.

– Ma około szesnastu lat i na karku taki znak jak symbol runiczny.

– Montaigne podał Destinowi kartkę z naszkicowanym symbolem przedstawiającym pajęczynę linii otaczającą układ trójkątów, coś w rodzaju oszlifowanego klejnotu.

Destin wpatrywał się w ten rysunek, po raz kolejny czując, że został wciągnięty w pułapkę. Serce biło mu mocno, z trudem łapał oddech. Przesunął palcem wskazującym po narysowanych liniach, jakby

chciał je odczytać za pomocą dotyku. Ten symbol był znajomy, a jednocześnie obcy.

Odwrócił wzrok od króla i skierował go ponad stawem w miejsce, gdzie starannie przycięte rzędy żywopłotu niknęły pośród drzew. Dobrze, że już się zmierzchało i Montaigne nie widział wyraźnie jego twarzy.

– Wasza Królewska Mość – powiedział chrapliwie. – Jeśli wolno mi spytać... co to za dziewczyna i dlaczego jest taka ważna?

– Jest ważna dla kogoś – odparł Montaigne. – Potencjalnego sojusznika z Wysp Północnych.

– Z Wysp Północnych – powtórzył Destin. Znowu poczuł się tak, jakby dostał obuchem. Ponownie obrócił głowę w stronę króla. – Ale... czy to rozsądne, Wasza Królewska Mość? Bratać się z guślarzami, bałwochwalcami i im podobnymi z terenów, z których wyszło tyle zła?

Przez twarz króla przemknął wyraz irytacji i Destin natychmiast się zorientował, że popełnił błąd.

– Gdzie mam wyznaczyć granicę, magu? – W głosie władcy zabrzmiała groźba. – Chyba nie chciałbyś znaleźć się po niewłaściwej stronie.

– Nie, Wasza Królewska Mość, nie chciałbym – szybko zapewnił go Destin. – Codziennie dziękuję losowi za waszą łaskawość.

*I codziennie przeklinam zdolność króla do ustawiania się po dowolnej stronie tej granicy, zależnie od tego, co bardziej mu pasuje w danej chwili.*

– Chodzi o to, że tanowie się niepokoją i coraz trudniej uzyskać od nich pieniądze i wsparcie wojskowe. Dość już mam tego zabiegania o ich względy, błagania o to, żeby wywiązywali się ze swoich obo-

wiązków. Muszę znaleźć potężnego sprzymierzeńca, kogoś, kto mi pozwoli wystawić taką armię, która przyniesie nam ostateczne zwycięstwo. Odnalezienie tej dziewczyny może być kluczem do pomyślnego zakończenia wojny.

– Będziemy się modlić i mieć nadzieję, że tak się stanie, Wasza Królewska Mość – rzekł Destin. – A skąd wiecie, że ona jest w Delphi?

– Nie wiemy tego na pewno – odparł król. – Wiemy, że mieszkała tam jako dziecko. Jest niezwykle ważne, żeby te poszukiwania odbywały się w tajemnicy. Nie wiemy, co ona wie. W Delphi są setki dziur, w których można się ukryć. Nie chcemy, żeby zaszyła się w którejś z nich.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość. – Destin próbował uporządkować niespokojne myśli.

– I jeszcze jedno. Masz ją sprowadzić całą i zdrową, rozumiesz?

– To znaczy, że to nie jest rozkaz zabicia dziewczyny?

– Właśnie tak.

Sprawa wyglądała coraz gorzej. Destin wiedział z doświadczenia, że o wiele łatwiej jest kogoś zabić, niż schwytać i przetransportować, nie zadając mu żadnych ran.

Nie był pewien, jak bardzo może naciskać, ale potrzebował jak najwięcej informacji.

– Wiecie, co znaczy ten symbol? I jak ona wygląda? To by ułatwiło...

– Nie mam pojęcia. – Montaigne wzruszył ramionami, jakby te rozważania nie miały żadnego sensu. – Jeśli ją znajdziesz, uzyskamy odpowiedź bezpośrednio od niej.

– Oczywiście, panie. – Destin nie mógł uspokoić myśli. Powierzenie tego zadania akurat jemu mogło być łutem szczęścia albo wręcz przeciwnie. To się dopiero miało okazać.

– Będziesz pracował z Markiem Clermontem, kapitanem mojej gwardii w Delphi. To człowiek, który w razie konieczności nie waha się podejmować zdecydowanych działań, ale mimo to nie udało mu się do końca podporządkować tego miasta. Co miesiąc czy dwa mamy tam jakieś rebelie, zamieszki w kopalniach, przypadki sabotażu, przemyt przez granicę z Felis. Ostatnio dokonano bezpośredniego ataku na szwadron gwardzistów i kilku zabito. Masz się dowiedzieć, co się tam dzieje.

*A więc mam szpiegować komendanta w Delphi, pomyślał Destin. A on z kolei będzie donosił na mnie. Wspaniała perspektywa, nie ma co.*

– Zastanawiam się jeszcze... Ta dziewczyna. Czy ma przynajmniej jakieś imię? – To ostatnie sarkastyczne pytanie wymknęło mu się, nim zdążył ugryźć się w język.

Montaigne wbił w niego lodowaty wzrok.

– Urodziła się jako Jenna Bandelow. Może nadal tak się nazywa. Jej rodzicami byli Bill i Erien. Nie byli młodzi, kiedy przyszła na świat. Jeśli jeszcze żyją, to teraz będą już w podeszłym wieku. – Po chwili milczenia dodał: – Dziewczyna mogła przyjść na świat w Ardenscourt. W każdym razie tutaj zarejestrowano jej narodziny, ale wkrótce potem rodzice wywieźli ją do Delphi.

Zakonnicy malthusjańscy w Ardenscourt skrupulatnie rejestrowali narodziny każdego, niezależnie od warstwy społecznej, odnotowując wymiary dziecka i znaki szczególne. Widocznie w ten sposób ją zidentyfikowano.

– Po co ktokolwiek przenosiłby się do Delphi? – mruknął Destin.

– Może szukali miejsca, żeby się ukryć. Delphi idealnie się do tego nadaje, nie sądzisz? – rzekł Montaigne.



**WĘDROWNY WETERYNARZ**

Ash zachował się wobec Lili paskudnie i zdawał sobie z tego sprawę. To było podłe z jego strony, tym bardziej że zawdzięczał jej życie. Właściwie chodziło o to, że nie ufał Lili Barrowhill. Coś w przedstawianej przez nią wersji brzmiało fałszywie, a on już nieraz się przekonał, że powinien słuchać swojej intuicji. To, że Lila tak bardzo chciała jechać z nim do Felis, wydawało mu się podejrzane. Może faktycznie chodziło jej o nagrodę, a może nie. On i tak miał inne plany.

Wyglądało na to, że Gerard Montaigne chciał wymordować całą królewską rodzinę Felis, niezależnie od tego, czy ktoś był w kolejce do tronu, czy nie. To znaczyło, że matce i siostrze Asha groziło niebezpieczeństwo, on zaś znał tylko jeden skuteczny sposób, by je ochronić.

Jechał do Ardencourt, wprost w paszczę lwa. Miał zamiar tam zamieszkać do śmierci Gerarda Montaigne'a. Albo własnej. Albo dopóki obaj nie zginą. Starał się nie słuchać wewnętrznego głosu, który szeptał mu, że ani jego mama, ani Lyss nie chciałyby pójść na taki układ.

Niczego sobie nie obiecywał, ale pod wpływem tych podszeptów postanowił ująć z życiem, jeśli to będzie możliwe.

Dotarł do Ardenscourt pewnego ranka dwa tygodnie po tym, jak pozostawił Lilę śpiącą w lesie. W przeciwieństwie do miejscowości w Felis, usytuowanych w dolinach między górami, to miasto było rozciągnięte na ardeńskich równinach niczym jaskrawa suknia tamrońskiej damy. Ashowi zawsze trudno było się odnaleźć w tym płaskim krajobrazie, pozbawionym jakichkolwiek punktów orientacyjnych.

Planował zatrudnić się w służbie medycznej w pałacu. Miał nadzieję, że to mu pomoże zbliżyć się do króla. Ponieważ wędrowni uzdrowiciele na ogół nie podróżowali na wojskowych wierzchowcach, zostawił konia w stajni na obrzeżach miasta. Pół dnia zajęło mu dojście do Wzgórza Cytadeli, gdzie nad rzeką Arden mieścił się bastion Gerarda Montaigne'a.

Idąc zatłoczonymi krętymi ulicami, wprawnym okiem oceniał warunki życia w stolicy wrogiego państwa. Wszędzie widać było żołnierzy: przepychali się między ludźmi, gromadzili się na rogach ulic, całymi grupami wysypywali się z gospód i tawern. Równie częstym widokiem byli członkowie Gwardii Królewskiej. W czarnych ubraniach, z dłońmi na rękojeściach mieczy, bacznie obserwowali tłum, wypatrując wszystkiego, co mogłoby zwiastować kłopoty.

Poza nimi na każdym kroku obecni byli podobni krukowi kapłani kultu Malthusa z kluczami zwisającymi przy pasie. Całe miasto najezone było wieżami świątyń, które nadawały mu ponury i groźny wygląd.

Na ulicznych straganach, które mijał, mimo pory żniw ceny były wysokie i towarów niewiele, a przecież równiny Ardeny i Tamronu niegdyś zaopatrywały w żywność wszystkie Siedem Królestw. Wszędzie kręcili się ulicznicy z żebraczymi kubkami, nachalnie zaczepiający przechodniów. Ash wiedział, że nie należy im nic dawać, bo i tak zo-

stanie im to odebrane. Zresztą każdy podróżny, który pokazał, że ma w kieszeniach monety, natychmiast stawał się celem złodziei.

Ash nie miał teraz głowy do zabijania rabusiów. Polował na grubszą zwierzynę. Szedł w stronę cytadeli, mijając coraz liczniejsze grupy gawrońców. Przy samej bramie utworzyła się kolejka osób, które chciały się dostać na teren podzamcza. Ash wmieszał się w ten tłum. Słońce piekło mocno, nawet jak na tę porę, i chłopiec docenił kapelusz z szerokim rondem, który kupił po to, by zasłonić świeżo wysmarowane ziołową papką włosy. Kolejka posuwała się powoli. Przechodzących kontrolowała grupa gawrońców i jeden długonosy wartownik, który sprawdzał nazwiska na liście. Większość osób zawracano.

Kiedy przyszła kolej na Asha, oficer przy bramie zapytał go o nazwisko i wykonywane rzemiosło.

Chłopiec trzymał głowę nisko, żeby rondo kapelusza zasłaniało mu twarz.

– Adam Freeman, uzdrowiciel, szukam pracy w służbie u króla – dotknął krawędzi ronda.

Wartownik spojrział na swoją listę.

– Nie ma tu żadnego Adama Freemana – powiedział. – Mistrz Merrill z infirmerii sam sobie dobiera czeladników.

– Rozumiem. Gdybym mógł porozmawiać z mistrzem Merillem, może...

– Masz jakiś list polecający? – zapytał wartownik. – Dyplom ze Szkoły Świątynnej?

– Chodziłem do Spiritas, szkoły dla uzdrowicieli w Oden's Ford – oznajmił Ash. Pomyślał przy tym, że Taliesin raczej nie poręczyłaby za niego w tej sprawie. – Jeszcze nie ukończyłem nauki, ale mam umiejętności, które...

– Merrill jest zajęty – burknął mężczyzna, spoglądając z zaciekawieniem na wypchane torby Asha. – Nie ma czasu zajmować się każdym wędrownym zielarzem, któremu się zachciało zobaczyć duże miasto. Z twoimi referencjami, a raczej ich brakiem, lepiej szukaj roboty w wiejskich posiadłościach. – Popatrzył ponad ramieniem chłopca. – Następny!

Jeden z gawrońców chwycił go za rękę, żeby odciągnąć od bramy, ale Ash mocno zaparł się w miejscu. Nie miał zamiaru dać się tak łatwo odprawić po tak długim czekaniu.

– A stajnie?! – zawołał.

Wartownik z powrotem przeniósł na niego wzrok.

– Co stajnie? – zapytał tonem kogoś, kto już dawno stracił cierpliwość.

– Czy nie potrzebujecie pomocy w stajniach?

– Zdecyduj się, chłopcze. Jesteś uzdrowicielem czy wyrzucasz obornik? A może jedno i drugie? – Wszyscy gawrońce zarżeli ze śmiechu.

– Jestem uzdrowicielem koni i ludzi, a do tego wędrownym weterynarzem. – Ash poklepał swoją torbę. – Mam tu list polecający od masztalerza z Fetters Ford.

Wartownik już kręcił głową, ale wtedy odezwał się jeden z gawrońców.

– Lordzie Pettyman. Masztalerz Bellamy skarżył się wczoraj, że jego weterynarza kopnął koń i teraz nie ma nikogo do pracy w stajni, póki tamten się nie obudzi. Jeśli w ogóle się obudzi. Może ten tu by się nadał.

Pettyman znowu spojrział na Asha.

– Jeszcze raz, jak cię zwać?

– Adam Freeman.

– Skąd jesteś?

– Z Tamronu. Ale podróżowałem po wszystkich częściach Siedmiu... imperium.

Wartownik westchnął ciężko.

– Niech będzie – powiedział z ociąganiem. – Chyba nie zaszkodzi, jak ci pozwolę porozmawiać z Bellamym. Ale jeśli on się nie zgodzi, ruszasz dalej, rozumiano?

– Tak jest.

Gawroniec, który się wtrącił, miał zaprowadzić Asha do stajni i wyprowadzić go z powrotem, jeżeli masztalerz go nie zatrudni. Przechodząc przez zewnętrzną bramę, Ash poczuł ciarki na plecach. Przybywał tu we własnym, jasno określonym celu, a mimo to miał wrażenie, że wchodzi w zastawioną na niego pułapkę.

Wystarczyło, że przekroczył próg stajni, a od razu zauważył rękę dobrego gospodarza. Podściółka była świeża, konie nakarmione, zadowolone, czujne, wystawiały głowy z boksów, kiedy przechodził obok nich. Masztalerz stał przed spichlerzem i spierał się z dostawcą ziarna.

– Nie taka była umowa – mówił Bellamy. Otworzył dłoń, by pokazać garść brudnego owsa. – Mówiliście, że ta dostawa będzie czysta, bez plew, słomy i piachu. A to wygląda jak zdrapane z ziemi.

– To najlepsze ziarno, jakie mogłem znaleźć – żalił się handlarz. – Spróbujcie znaleźć dobre ziarno na terenie imperium. Wszystko zabiera armia.

– To wasze zadanie, nie moje – odparł masztalerz. – Zapłaciłem dobrą cenę i należy mi się dobre ziarno. Tym nie nakarmiłbym nawet psa mojego najgorszego wroga. A teraz zabierajcie to z powrotem.

Kupiec odwrócił się, mruczając przekleństwa pod nosem.

– Panie – powiedział gawroniec, który przyprowadził Asha – ten chłopak twierdzi, że jest weterynarzem.

– Naprawdę? – Bellamy otaksował Asha wzrokiem. – Gdzie wcześniej pracowałeś?

– W Oden's Ford i w Tamronie. – Ash wyjął z torby list polecający. Bellamy rzucił na to okiem.

– Z tego wynika, że jesteś niemal cudotwórcą – stwierdził oschle. – Skoro tak, to czy potrafisz wyczarować dobre ziarno?

Chłopiec pokręcił głową.

– Chciałbym, panie.

– No cóż. Zobaczmy, czy znasz się na tej robocie. Chodź ze mną.

Kiedy gawroniec chciał ruszyć za nimi, Bellamy uniósł dłoń.

– Zajmę się nim – powiedział. – Obiecuję, że jak mi się nie spodoba, odstawię go do bramy.

Poprowadził Asha do boksu na tyłach. Kiedy się do niego zbliżali, jeden z koni wystawił łeb. Uszy miał oklapnięte, oczy szeroko otwarte, parskał głośno, okazując nieufność. Był karodereszowaty z czarnymi cętkami, nietypowy jak na standardowe gniade wierzchowce armii ardeńskiej.

Ash zatrzymał się po kilku krokach i położył torby na ziemi. Z miejsca, w którym stał, wyczuwał infekcję.

– Co się dzieje? – mruknął, bardziej do konia niż do Bellamy'ego. Odpowiedział mu jednak ten drugi.

– Ma trzy lata i w tym roku brał udział w kampanii. Wrócił w złym humorze, a od powrotu jeszcze mu się pogorszyło. Kuleje na prawą przednią nogę, ale nie pozwala nikomu się zbliżyć, żeby to obejrzeć. Ostatnim, który próbował, był mój weterynarz i skończyło się kopnię-

ciem w głowę. Teraz przestał jeść i martwię się, że już nie da się mu pomóc.

Weterynarzowi czy koniowi? – chciał zapytać Ash, ale tego nie zrobił.

– Jaki był przed tą kampanią?

– To dobry koń – odparł Bellamy tonem, w którym czuć było chęć obrony zwierzęcia. – Zawsze był chętny do współpracy, jeśli wiedziało się, jak do niego podejść. Jak to koń, nie lubi być karany, ale nigdy nie miał gwałtownego usposobienia. Nie tak jak teraz.

Ashowi podobało się to, że Bellamy bronił swego podopiecznego.

– Jak długo już nie je?

– Dwa tygodnie.

– Jak się nazywa?

– Taran.

Ash wygiął brew.

– Taran? – Na dźwięk tego słowa ogier zastrzygł uszami.

– To koń wojskowy. Kto chciałby ruszać do walki na koniu o imieniu Stokrotka?

– Racja. – Ash podparł się pod boki i przyglądał się rumakowi. Zwrócił uwagę na sterczące żebra i kości kręgosłupa. – Stracił na wadze?

– Raczej tak.

– Czy ktoś sprawdzał mu uzębienie?

Bellamy podrapał się po nosie.

– Droga wolna.

Ash się roześmiał. Ten masztalerz coraz bardziej mu się podobał.

– Może później, jak już się lepiej poznamy.

– Tak czy inaczej zdaje się, że problem tkwi w jego nodze.

Ash przykucnął i pogrzebał w swojej torbie. W końcu wyjął jabłko, które znalazł podczas podróży. Podszedł do boksu. Ruszał się powoli i ostrożnie, unikając kontaktu wzrokowego z ogierem. Ten jednak skierował uszy do tyłu, obnażył zęby i cofnął się, a wtedy Ash miał okazję zobaczyć, w jaki sposób zwierzę oszczędza jedną nogę.

– Hej, ty – mruknął chłopiec, nie pokazując zwierzęciu jabłka. – Coś cię boli, tak? Nic dziwnego, że tak się wściekasz. Ale my próbujemy ci pomóc. – Uszy znowu skierowały się naprzód, a nozdrza rozszerzyły się, gdy koń wyczuł zapach owocu. To, że zainteresował się jedzeniem, było dobrym znakiem.

Ash nie przestawał do niego przemawiać. Podtrzymywał tę jednostronną rozmowę, jednocześnie obserwując, jak mięśnie na karku zwierzęcia się rozluźniają. W końcu wyciągnął przed siebie płasko rozłożoną dłoń z jabłkiem pośrodku. Taran zgarnął jabłko językiem i rozgniół je między zębami.

Bellamy z ulgą wypuścił długo wstrzymywane powietrze.

Ash odczekał, aż Taran obwąchał mu dłoń, a potem przesunął rękę po karku i kłębie zwierzęcia, wlewając w nie moc niosącą ukojenie i ulgę w bólu. Już po chwili koń mocno szturchał chłopca pyskiem, domagając się więcej tego znieczulenia. Kilka minut później Ash otworzył drzwi boksu i wszedł do wnętrza.

Ogon Tarana opadł, uszy znowu skierowały się do tyłu.

– To tylko ja – mruknął Ash. – Znasz mnie, prawda? – Kolejne dziesięć minut pracy i na łeb konia udało się nałożyć kantar. Potem już pozostało tylko przekonać wierzchowca, żeby pozwolił sobie obejrzeć nogę. Przydała się do tego umiejętność łagodzenia bólu. Niestety to wymagało wzięcia go na siebie.

Na szczęście Ash miał wysoki próg tolerancji bólu.



Obejrzał kopyto, które pilnie wymagało oczyszczenia. Podkowa była niemal całkowicie zdarta. Widać było, że tego konia nie oszczędzano. Kopyto miał rozgrzane, tętno nad pęcina rozszalałe. Ze szczeliny w linii białej i wokół jednego z gwoździ wyciekała ropa.

Ash podniósł wzrok na Bellamy'ego.

– To ropień – oznajmił. – Wydrenuję go. Jak zajrzycie do mojej torby, to znajdziecie... nie ta! – ostatnie słowa niemal wykrzyknął. Bellamy spojrział przerażony.

*Tylko tego mi brakowało, pomyślał Ash, żeby królewski masztalerz wyciągnął z mojej torby zestaw ostrzy i trucizn.*

– W tej drugiej. Biała torba z napisem „gorczyca”. Odmierzcie kubek, wymieszajcie to z wodą i przynieście mi.

Kiedy Ash skończył opatrywać dereszowatego rumaka, miał zapewnioną pracę w stajni i przytulną izdebkę obok masztalerza. Liczył na to, że zostanie zakwaterowany wewnątrz twierdzy i z dala od Bellamy'ego, ale i tak nie miał powodów do narzekań.

– Szkoda tylko – rzekł, gdy skończył pakować swoje przyrządy – że tak długo się męczył. Gdyby zauważono to wcześniej, można było od razu coś poradzić i zaoszczędzić biedakowi sporo bólu. A tak będzie niesprawny przez wiele miesięcy. Chętnie powiem coś do słuchu jego właścicielowi, żeby na przyszłość lepiej dbał o konia podczas wypraw.

– Możesz spróbować – odparł Bellamy z dziwnym wyrazem twarzy – ale na twoim miejscu nie robiłbym tego.

Ash spojrział na masztalerza zaskoczony. Mężczyzna nie wyglądał na kogoś, kto unikałby nieprzyjemnych rozmów.

– A to czemu?

– Ten koń należy do Jego Królewskiej Mości, króla Ardeny.

## NA ZESŁANIU W DELPHI



Destin Kara miał już dość szukania Jenny Bandelow. Po miesiącu spędzonym w tej zapadłej dziurze nie był ani o krok bliżej znalezienia jej niż w chwili, gdy tu przybył. Zdawał sobie sprawę, ile będzie go kosztowała porażka; sam dostatecznie często wymierzał kary w imieniu Korony. Najgorsze było to, że nie miał żadnej gwarancji, czy sukces w ogóle jest możliwy. Nie było sposobu, żeby dowiedzieć się, czy ta dziewczyna jeszcze żyje i czy nadal jest w Delphi.

Przyszło mu do głowy, że król celowo wyznaczył mu zadanie niemożliwe do wykonania, jak w tej starej balladzie, w której elf prosi dziewczynę, żeby uszyła mu koszulę bez użycia igły i nitki. W dodatku Montaigne wysłał go z tym zadaniem do najbardziej ponurego miejsca w całym imperium.

Jeśli już znajdzie dziewczynę, to co wtedy? Co to będzie znaczyło dla jego własnej przyszłości – dla nadziei, którą wciąż nosił w sercu?

Dopił piwo i stuknął kuflem w stół. W gwarze panującym wokół ten odgłos nie zwrócił niczyjej uwagi. Metalowe okucia pozostawiły głęboką rysę w podniszczonym drewnie blatu.

Mark Clermont, kapitan Gwardii Królewskiej, wybuchnął śmiechem i dał znak służącej, żeby przyniosła następną kolejkę.

– To miejsce wrasta w człowieka jak paskudny wrzód – powiedział.  
– Jedyna rada to mocne piwo. – Odsunął swoje krzesło i demonstracyjnie położył dłoń na rękojeści miecza. – Jak już robi się naprawdę źle, po prostu zabijam kilka delphiańskich szczurów. To mi zawsze poprawia humor.

Destin rozmyślał o swojej sytuacji. Miał do wykonania niemożliwe zadanie w żalonym miejscu, w którym nie mógł liczyć na żadną pomoc. Chyba jedynie zniknięcie Clermonta mogłoby poprawić mu humor. To nie wydawało się aż tak nierealne. W końcu Delphi to niebezpieczne miejsce. Ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Destina, co nie umknęło uwadze kapitana. Karn uniósł świeżo napełniony kufel i mrugnął do swojego współbiednika. Był w tak ponurym nastroju, że perspektywa zostania zamordowanym zaczęła wyglądać kusząco.

On i Clermont siedzieli przy stoliku w rogu zatłoczonej tawerny, a otaczała ich pusta przestrzeń, niewidzialna granica, której nikt nie śmiał przekroczyć. Tawerna nosiła nazwę Kufel i Jagnię i przyciągała różnorodną klientelę: górników, chętnych do wypitki żołnierzy, palaczy i kowali odpoczywających po pracy, a nawet podróżnych, którzy wbrew wszelkiemu rozsądkowi przybywali w te strony.

Kilka lat temu skierowano tu generała Karna z zadaniem stłumienia kolejnej rebelii. Destin przyjechał wraz z nim, tak samo niechętny wtedy, jak i teraz do odgrywania roli giermka i chłopca do bicia. Było to niedługo po tym, jak on i jego matka zostali siłą ściągnięci z Kartezji, w której znaleźli bezpieczne schronienie.

– Czas, żebyśmy się poznali, chłopcze – burknął wówczas ojciec. – Twoja matka starała się, jak mogła, żebyś został mięczakiem, ale ja jeszcze zrobię z ciebie mężczyznę.

Jego wspomnienia z Delphi były koszmarne. Jeśli pominąć nieobecność ojca, teraz to miasto wydawało mu się jeszcze gorsze, niż je zapamiętał. Większość tych negatywnych zjawisk miała związek z komendantem Gwardii Królewskiej.

Clermont w ogóle nie trzymał w ryzach swoich gawrońców, którzy grasowali po mieście niczym drapieżniki atakujące najsłabszych. Pod pretekstem szukania dziewczyny z runicznym znakiem wciągali w ciemne zaułki te kobiety, które mieli ochotę „przebadać”.

Gdy Destin argumentował, że to nie przynosi pożądanych rezultatów, Clermont tylko się roześmiał.

– Tutaj jest zimno, poruczniku. Ludzie muszą się jakoś ogrzać.

Zgłaszanie tego królowi nie miało sensu. Król Gerard raczej nie był skłonny uwierzyć w teorię Destina, że buntownicze nastroje w mieście narastają nie dlatego, że Clermont jest nie dość okrutny, ale wręcz przeciwnie: ponieważ jest zbyt okrutny. Tymczasem regularnie dochodziło do wysadzania i palenia majątku Ardeny. Górnicy mieli łatwy dostęp do materiałów wybuchowych i najwyraźniej potrafili ich używać.

Montaigne’a nie interesował proces poszukiwań, tylko rezultaty, a w tej dziedzinie jak na razie Destin nie miał się czym pochwalić. Jeżeli chciał wydostać się z Delphi, musiał się wykazać większym sprytem. Zdawał sobie sprawę, że porusza się po omacku, ale nie potrafił nadać tym działaniom systematycznego charakteru. Wzywał do siebie najróżniejszych mieszkańców: górników, sklepikarzy, wytapiaczy, służące i urzędników. Wszystkich dokładnie przesłuchiwał. Umiał

wydobywać z rozmówców informacje, co czyniło z niego cenne narzędzie w rękach Montaigne'a. Dzięki temu tortury często nie były konieczne, chyba że miał do czynienia z innymi magami, bo ci potrafili oprzeć się jego sile perswazji. Ludzie rozmawiali z Destinem i mówili mu prawdę. Potem on wymazywał im to wspomnienie, tak że nie pamiętali, o co pytał ani co mu wyjawili. Ta zdolność zdecydowała o jego szybkiej karierze w tajnej służbie.

W Delphi jednak jak dotąd jego talent do przesłuchiwania nie przyniósł nic wartościowego, z wyjątkiem kilku informacji o spekulantach i innych drobnych oszustach. Nikt nie przypominał sobie rodziny o nazwisku Bandelow i nikt nic nie wiedział o dziewczynie ze znamieniem na szyi.

Sprawę utrudniało też to, że kobiety w Delphi nosiły długie włosy i większość z nich owijała twarze ciężkimi czarnymi szalami, by nie wdychać pyłu węglowego, kiedy pracowały w kopalni lub chodziły po ulicach. To uniemożliwiało przypadkowe spostrzeżenie znaku. Czemu znamię tej dziewczyny nie znajdowało się na nosie?

Po blaszanym dachu stukotał deszcz ze śniegiem. Destin dopił swoje czwarte piwo i pomyślał o wyjściu w tę zawierję.

– Mogło być gorzej – powiedział Clermont, drapiąc się po kroczu. – Mógłbyś być w Felis i tam walczyć z potworami i demonami. Powiadają, że iść w te przeklęte góry to jak upaść na własny miecz. – Parsknął. – Oficerowie trzęsą portkami tak samo jak rekruci. Oczywiście, oni wszyscy nie znaleźliby nawet własnej męskości w gaciach, i to z mapą. Te czarne kruki Malthusa mogą gadać o poświęceniu i Raju, ile im się podoba, ja i tak się na to nie piszę.

Destin wzruszył ramionami. To była najbezpieczniejsza reakcja. Nie wiedział, co lepsze: słuchać Clermonta czy wyjść w tę zawieruchę.

Trudny wybór.

– A co najgorsze, w Felis rządzi kobieta! Podobno nosi zbroję i udaje wojownika. Ludzie z Północy całymi dniami snują się po łąkach i z rozmarzeniem zrywają dzikie kwiaty, a w nocy cudzołożą pod gwiazdami. To zwykła banda oszustów i mistyków.

– Czemu więc jeszcze nie jesteśmy w Fellsmarchu? – zapytał Destin obcesowo, myśląc, że snucie marzeń i cudzołożenie brzmi o wiele lepiej niż to, z czym ma tutaj do czynienia. – Musimy przestać wierzyć własnej propagandzie i zacząć traktować tę królową wiedźmę poważnie.

– Głowa do góry – odparł Clermont. – Ta dziewczyna, której szukasz, pewnie od dawna nie żyje. Jeśli w ogóle kiedyś tu była.

– Ciszej – syknął Destin, rozglądając się, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. Im więcej Clermont pił, tym głośniej mówił.

Miał jednak rację. Dzieci w Delphi masowo umierały.

– Nie wiem, czemu to taka tajemnica – mówił Clermont. – Przecież wystarczy w całym mieście wywiesić obwieszczenia z żądaniem, żeby oddała się w nasze ręce. Potem wykańczać to robactwo, jednego po drugim, aż dziewczyna się zjawi. A jak nie, to wykończymy ich wszystkich. Tak czy inaczej wygramy.

Nagle Destin zorientował się, że za jego plecami ktoś stoi. Jedna z obsługujących ośmieliła się podejść, ale nie miała odwagi przerwać im rozmowy.

– Czego?! – burknął. Dopiero kiedy spojrzał na nią uważniej, zauważył, że jest młoda, ma jedwabiste blond włosy i przerażone niebieskie oczy. Nigdy wcześniej jej nie widział, musiała więc być tu nowa.

– Chciałam zapytać, czy nie przynieść więcej piwa – powiedziała nerwowo, z delikatnym akcentem pogranicza. – A może kolację, teraz albo później? – Postawiła ich puste kufle na tacy trzymanej w rękach.

Destin uśmiechnął się, próbując ją uspokoić.

– Ja już dość wypilem. – Obrócił się w stronę Clermonta akurat w momencie, gdy ten się poderwał, chwycił dziewczynę za włosy i zmusił ją do klęknienia. Taca się przechyliła i kufle zjechały na drewnianą podłogę.

– Oto, co powinniśmy zrobić, poruczniku! – zawołał Clermont. Wciąż ściskając włosy dziewczyny, drugą ręką wyciągnął nóż. Służąca zobaczyła błysk ostrza i pisnęła z przerażenia. Zamknęła oczy, jej wargi poruszały się w cichej modlitwie.

Destin uniósł się na krześle.

– Clermont! Czyście oszaleli?!

Kapitan owinął sobie dłoń jej włosami, machnął nożem, po czym rozprostował palce i upuścił złoty kosmyk na podłogę. Dwa kolejne szybkie ruchy i fryzura dziewczyny przybrała kształt postrzępionego hełmu, który nadawał jej wygląd rozczochranego pazia. Clermont tak mocno odchylił jej głowę, że niemal docisnął ją do podłogi, żeby obejrzeć szyję. Nic tam nie było.

– Widać to nie ta – stwierdził, wzruszając ramionami. – Trudno. – Usiadł i wsunął nóż do pokrowca. Służąca nie podnosiła się z kolan, łzy ciekły jej po twarzy, barki drżały od szloch, który jednak był bezgłośny. W tawernie zapadła cisza.

Destin spoglądał w milczeniu to na przerażoną dziewczynę, to na Clermonta, oniemiały z ulgi i obrzydzenia. Nie odzywał się również dlatego, że Clermont przewyższał go stopniem. Po chwili nachy-

lił się nad dziewczyną i wsunął dwa palce pod jej brodę, żeby otworzyła oczy.

– Nic ci nie będzie – mruknął. – To tylko włosy. – Ruchem głowy dał jej sygnał do odejścia.

Dziewczyna podniosła tacę i zebrała kufle.

– Dziękuję, panie – bąknęła drżącymi wargami. Nie wyglądała jednak na wdzięczną i czym prędzej się oddaliła. Jej włosy leżały na zdezelowanej podłodze niczym złote nici.

– Chyba nie trzeba było tego robić – mruknął Clermont. – Teraz nie wiadomo, czy jeszcze dostaniemy coś do picia.

– Racja – rzekł Destin. – Nie trzeba było tego robić. A ja nie powinienem wam przypominać, że naszej dziewczynie nie może spaść włos z głowy.

W każdym razie ten incydent podsunął Destinowi pewien pomysł. Nie był niezawodny, ale lepszy od dotychczasowej strategii, która właściwie nie istniała. Był też mniej niebezpieczny niż napuszczanie pozbawionych wszelkiej kontroli gawrońców na ludność miasta.

– Kapitanie, moglibyście zorganizować jutro spotkanie z burmistrzem?

– Po co? – Oczy Clermonta zwięzły się. – Co miałbym mu powiedzieć?

– Zróbmy mu niespodziankę.



**PAKT Z DIABŁEM**

Lila ubierała się starannie w swojej komnacie w piwnicy. Pomieszczenie było małe, ale przeznaczone tylko dla niej.

W Ardencourt zawsze miała trudności z dobraniem odpowiedniego stroju. Inne kobiety na dworze były albo arystokratkami, albo służącymi, brakowało jej więc wzorca do naśladowania. W końcu natrafiła na coś w rodzaju munduru w tym samym niebieskim kolorze, który był przypisany nadwornym skrybom. Wkładała to na lnianą koszulę z długim rękawem i czarną spódnicę. W rezultacie wyglądała jak schludna nauczycielka, jak alumna jednej ze świątyń o łagodnym rygorze. Gdy już znalazła ten styl, kazała sobie uszyć kilka takich zestawów.

Jej ciemna karnacja pomagała wtopić się pomiędzy służących, którzy pochodzili na ogół z podbitych ziem Południa. Jeśli jej się poszczęści, jej ardeńscy koledzy w ogóle przestaną zauważać, że jest kobietą.

Dla szlachetnie urodzonych była kupcem i przemysłowikiem. Z czasem zaczęto ją uważać za osobę, która pomimo wojny potrafi zaspokajać wszelkie potrzeby mieszkańców Południa, przyzwyczajonych

do dostawania tego, czego chcą. Dostarczała im klanową biżuterię, medykamenty, perfumy, osprzęt jeździecki, szklane kule, w których znudzone ardeńskie damy próbowały zobaczyć przyszłość.

Oceniła swój wygląd w lustrze przy drzwiach i sprawdziła, czy zębowy talizman jest dobrze ukryty pod koszulą. Wykonany z jarzębiny, hebanu i kości słoniowej, był podarunkiem od jej przyjaciela i niegdyś współnika, Tancerza Cieni. Po raz kolejny okazał się użyteczny, kiedy Destin przesłuchiwał ją za pomocą perswazji niedługo po spotkaniu w ogrodzie.

Potem młody Karn zniknął. Przepadł jak kamień w wodę i Lila nie była w stanie niczego się o nim dowiedzieć. Miała nadzieję, że jeszcze żyje. W końcu nadstawiała karku, żeby go uratować. Prawdę mówiąc, z przyjemnością obserwowała jego reakcję, gdy opowiadała o napadzie szалу młodego księcia.

Dzwon na świątyni wybił kwadrans, przypominając jej, że czas wyjść. Przerzuciła torbę przez ramię i otworzyła drzwi.

Była umówiona na spotkanie z królem i Marinem Karnem, generałem armii Południa i autorem planów wojny przeciwko Felis. Lila nie poznała jeszcze generała, bo zwykle przybywała do Ardencourt w porze kampanii wojennych, kiedy on znajdował się w terenie. Przekonywała samą siebie, że cały czas właśnie o to jej chodziło – żeby zyskać dojścia, dzięki którym będzie mogła przystąpić do poważnej gry. Brakowało jej jednak Destina Karna jako bufora między nią a królem.

Szła szybko, zaniepokojona, że przygotowania zajęły jej za dużo czasu. Nie chciała się spóźnić. Wspięła się schodami z piwnicy na poziom parteru i energicznym krokiem zanurzyła się w labirynt marmurowych korytarzy, które głośnym echem powielają każdy odgłos. Był to zamierzony efekt, nastawiony na to, by nieprzywykłe osoby czuły

się niepewnie. Wreszcie znalazła się przed nieoznaczonymi drzwiami do królewskich apartamentów.

Rozpoznała czarno odzianych strażników. Fleury i DeJardin. Choć Lila nie należała do niskich, Fleury przewyższał ją o kilka głów. Miał groźnie wyglądający miecz u boku i mundur Gwardii Królewskiej. DeJardin z kolei był magiem z obręczą na szyi, o smutnej twarzy i nieufnym spojrzeniu. Niewolnik. Lila mocniej ścisnęła torbę.

– Co tam masz? – zapytał Fleury. Znal jej imię, lecz nigdy go nie używał.

Rzuciła mu torbę, wiedząc, że i tak nie uniknie przeszukania.

– Proszę bardzo – powiedziała, starając się nie patrzeć na DeJardina.

Fleury obmacał torbę i uśmiechnął się znacząco do DeJardina, nim ją zwrócił.

Teraz przyszła kolej na czarownika. Ten dokładnie obszukał Lilę. Oczywiście nic nie znalazł. Nie wzięła ze sobą broni, wiedząc, że i tak nie wniosłaby jej do środka.

Mag chwycił ją za nadgarstki i wlał w nie strużkę mocy.

– Mów prawdę – powiedział łagodnie. – Po co tu jesteś?

– Idę na spotkanie z królem – odparła. – Mamy sprawy do omówienia.

– Czy masz zamiar skrzywdzić Jego Królewską Mość albo kogoś z jego otoczenia?

– Nie. Nie mam takiego zamiaru. – *W każdym razie nie dzisiaj*, do rzuciła w myślach.

– Czy masz przy sobie broń lub truciznę, których nie zauważyłem?

– Nie. – Palce Lilii zaczęły drętwieć mocno ściskane dłońmi maga. Talizman palił ją w skórę. Ochrona przeciwko magii.

DeJardin zwrócił się do Fleury'ego.

– Coś jeszcze?

Fleury pokręcił głową i mag puścił Lilę. Fleury dał znak szambelanowi o nazwisku Greenberry, który zniknął za drzwiami. Wrócił po chwili i rzekł:

– Król czeka.

Otworzył drzwi i Lila przekroczyła próg komnat królewskich.

Ścianę na wprost pokrywała mapa królestwa i okolicznych terytoriów. Duże łukowate okna po obu stronach miały zapewniać przewiew podczas dusznych upalnych dni lata. Akurat tego dnia było ciepło jak na tę porę roku, więc okiennice pozostawały otwarte i do wnętrza wpadało słabe światło wschodzącego słońca.

Pomieszczenie było skromnie urządzone. Obok kominka znajdował się niewielki stół, wokół którego zgromadziło się trzech mężczyzn. Przed nimi, mimo wczesnej pory, stały butelki i szklanice. Nie było widać nikogo ze służby poza gawrońcami przy drzwiach. Zanosilo się więc na spotkanie w bardzo wąskim gronie.

Jednym z obecnych był Michel Botetort, tan, z którym Lila już wcześniej handlowała. Ślepe posłuszeństwo królowi przyniosło mu ziemie i tytuły pozyskane kosztem mniej uległych arystokratów. Drugi, przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, musiał być Marinem Karnem – pieszczotliwie zwanym Rzeźnikiem. Trzeci w tym gronie był Gerard Montaigne, król Ardeny.

Lila podeszła do nich na odległość kilkunastu kroków i pokłoniła się. Król dał znak ręką, by wstała.

– To nie jest formalne spotkanie. Proszę, zachowujmy się swobodnie.

Jakby to było możliwe w obecności tego monarchy.

Montaigne miał na sobie elegancki perłowszary kaftan, a pod nim koszulę i czarne spodnie. Paznokcie jego dłoni były wypolerowane do połysku. Na szyi na ciężkim złotym łańcuchu wisiało godło sprawowanego urzędu.

Błędem byłoby uważać go za łatwy cel. O ścianę za jego plecami oparty był zdobiony miecz i nawet z tej odległości Lila zauważyła, że nosi on ślady częstego używania. Słyszała z wiarygodnych źródeł, że król sprawnie posługuje się mieczem i rzadko się z nim rozstaje. Co, wzięwszy pod uwagę jego rządy, z pewnością było słuszne.

Obok eleganckiego monarchy siedział Marin Karn – krępy, z oczyma koloru tabaki. Jego mundur ciasno opinał się na plecach i barkach. Możliwe, że generał z wiekiem nabrał ciała, ale Lila uznała, że tę masywną posturę tworzy nie tłuszcz, lecz mięśnie. Niełatwo byłoby go pokonać w walce, zwłaszcza że był obdarzony mocą.

Siłą rzeczy porównała go w myślach z Destinem. Jedynym podobieństwem, które między nimi dostrzegła, był taki sam jasnobrązowy kolor włosów. Właściwie mogła się tego jedynie domyślać, bo starszy Karn miał tak krótką fryzurę, że to, co widziała na czubku jego głowy, równie dobrze mogło być brązową plamą.

Destina cechowała giętkość typowa dla akrobaty czy też tancerza. Przypominał Lili klanowych biegaczy, którzy umieli pokonywać długie dystanse bez odpoczynku. Gdyby go ubrać jak studenta, wyglądałby na mola książkowego. Odziany w strojne szaty łamałby niewieście serca na królewskim dworze. W chłopskim odzieniu wtopiłby się w każdy tłum.

*Nie masz pojęcia, kim on właściwie jest, myślała Lila. Odgrywa różne role, tak samo jak ty. Nie zapominaj o tym. Z pewnym wysił-*

kiem oderwała myśli od młodego Karna i skupiła się na starszym, którego miała przed sobą.

Ten Karn długo jej się przyglądał i chyba nie był pod wrażeniem.

– To ma być ta twoja przemytniczka, Botetort? – Lila zauważyła, że kierował swój sceptycyzm w stronę tana, a nie króla.

– Pracuję z Lilą od trzech lat – oświadczył Botetort – i nigdy mnie nie zawiodła.

– Ach tak – parsknął Karn. – Mnie kobiety cały czas zawodzą.

– Może to nie wina kobiet, tylko wasza, generale – pomyślała Lila. Jakimś cudem jednak te słowa wydobyły się z jej ust.

Wszyscy zamarli i wpatrywali się w nią w osłupieniu. Kilku gawronów położyło dłonie na rękojeściach mieczy i wbiło wzrok w Karna, czekając na jego reakcję.

Generał ruszał się nadszpodziewanie żwawo jak na tak zwalistą posturę. Poderwał się z krzesła, chwycił Lilę za przód ubrania i przyciągnął do siebie tak blisko, że niemal stykali się nosami.

– Coś ty powiedziała?

*Dobry początek*, pomyślała Lila. Jedyłą rzeczą bardziej przerażającą niż Marin Karn był Marin Karn z bliska.

*Nie okazuj strachu, nie okazuj strachu, nie okazuj strachu.* Spojrzała w te oczy przypominające tabakę i odparła:

– Przepraszam, generale, jeśli was uraziłam. Chciałam powiedzieć, że tylko wyjątkowa kobieta mogłaby być dla was odpowiednia. – Szybko zamilkła, niepewna, czy poprawiła sytuację, czy jeszcze ją pogorszyła. *Przestań gadać głupstwa*, skarciła się w myślach, *bo zaraz będziesz po uszy w gównie*.

Po chwili, która zdawała się trwać całą wieczność, król Ardeny wybuchnął śmiechem. Gdy już zaczął, śmiał się tak serdecznie, że aż

z oczu pociekły mu łzy. To wystarczyło, żeby rozładować napięcie.

– Musisz przyznać, Karn, że coś w tym jest – powiedział, przecierając oczy rękawem.

Karn jednak nie miał zamiaru niczego przyznawać.

– Jak nie będzie trzymać tej swojej niewyparzonej gęby na wodzy, to kiedyś tego gorzko pożałuje. – Zrozumiał jednak intencję króla. Puścił Lilę, wrócił do stołu i usiadł.

– Botetort. – Montaigne skinął w kierunku drzwi. – Porozmawiamy później.

Botetort wyraźnie chciał zostać. Wiedział jednak, że z królem nie należy się spierać. Ukłonił się i opuścił komnatę.

Widocznie uznali, że Lila nie stanowi zagrożenia, bo Karn odesłał również gawrońców.

Jedno krzesło było teraz puste, lecz nikt nie poprosił Lilii, by usiadła. Kusilo ją, żeby mimo to zająć wolne miejsce, ale nie była pewna, na ile może sobie pozwolić. Stała więc przy krześle, trzymając ręce za plecami. Zresztą i tak lepiej jej się myślało w pionowej pozycji.

Bez dalszych ceregieli król skinął głową, by Karn przystąpił do rzeczy.

– Skąd jesteś? – Generał obserwował ją uważnie spod obwisłych powiek.

– Wychowałam się na Wyspach Południowych, generale.

– Ale zdaje się, że jesteś mieszanej krwi.

– Tak. Mój ojciec był żołnierzem. Rzadko bywał w domu.

– Aha. – Karn kiwnął głową, jakby rozumiał, lecz były to tylko pozory. – To znaczy najemnik. Dla kogo walczył?

Lila spojrzała mu w oczy.

– Felis. Dlatego tak dobrze znam ten język. Ale ja pracuję na własny rachunek. Można mnie nazwać najemnikiem, chociaż sędzę, że moje talenty marnowałyby się na polu walki.

Montaigne i Karn spojrzeli po sobie.

– No dobrze – rzekł król. – Przyniosłaś obręcz, o której wspominałaś?

– Tak, Wasza Królewska Mość. Jak wiecie, czasem w przeszłości udawało mi się zdobyć magiczne artefakty, ale to bardzo trudne zadanie. Klany niechętnie udostępniają swoje wyroby, bo nie chcą, żeby trafiły do Ardeny. Ale mam coś do pokazania. Mogę? – Klepnęła dłonią w swoją torbę.

– Proszę.

Uniósłszy klapę, sięgnęła do środka i wydobyła obręcz wykonaną z kutego srebra i pokrytą poczerńniętymi runami. Wyciągnęła ją w kierunku króla, ale ten cofnął ręce i pokręcił głową.

– Ty to obejrzyj, Karn.

*Ostrożny drań*, pomyślała Lila chyba po raz setny.

General odebrał od niej obręcz i obracał ją w rękach, oglądając ze wszystkich stron. Srebro zaśniło, kiedy wlał w nie trochę mocy.

– To wyrób magiczny, Wasza Królewska Mość. Zrobiony przez miedzianolicych. Ale wygląda na bardzo stary.

– Bo jest stary – wtrąciła Lila. – Z okresu Wojen Czarowników. Ma ponad tysiąc lat.

Karn gwałtownie poderwał głowę.

– Naprawdę? Skąd to masz?

Lila odwróciła wzrok.

– Mam kogoś, kto od czasu do czasu dostarcza mi magiczne artefakty. Nie tylko obręcze. Talizmany, zbroje, amulety.



General odpiął obręcz, otworzył, złączył ponownie, wypróbował zamknięcie.

– Kto to jest i skąd bierze te wyroby?

– Nie wiem – odrzekła Lila. – Ale jest godny zaufania.

– Godny zaufania? – Montaigne uniósł brew. – Istnieje ktoś taki?

– Chodziło mi o to, że on wie, że lepiej ze mną nie zadzierać.

Karn przewrócił oczyma, jakby to uznał za mało prawdopodobne.

– Wolelibyśmy pracować bezpośrednio z tym twoim kontaktem – powiedział.

– Po pierwsze, ta osoba nie chce się spotykać z żadnym z was – odparła Lila, czując strużkę potu między łopatkami. – A po drugie, gdyby się wybrał na Południe, zwróciłby na siebie uwagę. Ja, jako studentka i żołnierz, mam dobrą przykrywkę.

– To cholerny miedzianolicy! – stwierdził Karn, jakby natrafił na cenne znalezisko. – Dlatego nie może do nas przybyć, mam rację?

Lila zwlekała z odpowiedzią na tyle długo, by można to uznać za potwierdzenie.

– Zrozumcie jego położenie. Już i tak dużo ryzykuje.

Montaigne napełnił swoją szklanicę.

– No więc, Karn, co o tym sądzisz?

General wbił w Lilę spojrzenie tych swoich oczu barwy błota.

– Myślę, że taka mała strużka tych wyrobów nie przyniesie nam żadnej korzyści. Potrzebujemy dostawcy, który sprowadziłby dla nas dużą ilość obręczy w krótkim czasie. Jeśli jesteś tak dobra, jak twierdzisz, znajdziesz na to sposób. W przeciwnym razie nie jesteśmy zainteresowani.

– A jaka ilość was interesuje?

– Na początek pięćset.

– Pięćset?! – zdumiała się Lila. – To nie jest produkcja masowa. No i jeśli wyprowadzimy od nich taką liczbę obręczy, to na pewno zostanie zauważone.

– Niech zauważą – odrzekł Karn. – O ile wcześniej dostaniemy obręcze. Jeśli ci się to uda, wszystko inne będzie bez znaczenia. A jeśli nie... – obnażył zęby w złowieszczym uśmiechu, który przerażał bardziej niż wszystkie grymasy, jakie Lila widziała w swoim życiu. – Potraktuj to jako sprawdzian. Demonstrację swoich możliwości.

Lila zaczerpnęła powietrza i powoli je wypuściła, zanim odpowiedziała.

– To będzie kosztowało. Będę musiała sobie powetować utratę tego dostawcy.

– Jestem pewien, że będziemy w stanie zapłacić wymaganą cenę – stwierdził Montaigne.

*To dziwne, bo słyszałam, że skarbiec jest pusty, pomyślała Lila.*

*Oczywiście nie ma potrzeby płacenia komuś, kto jest martwy.*

– Potrzebuję czasu, żeby to zorganizować. – Mówiąc to, Lila rozważała w myślach różne możliwości. Musiała się skontaktować z Tancerzem Cieni i musiała zrobić to tak, żeby nie naprowadzić nikogo na jego trop.

– Oby to tylko nie trwało zbyt długo, bo znajdziemy sobie kogoś innego – przestrzegł ją Karn.

– Bez obaw, generale. – Lila sięgnęła po obręcz, którą Karn wciąż trzymał w dłoni.

On jednak cofnął rękę.

– Zatrzymam to – powiedział. – Chcę się temu lepiej przyjrzeć.

*Zanim dzień się skończy, włożysz ją na szyję jakiegoś nieszczęsnego czarownika, pomyślała Lila.*

– Jak chcecie. Będę was informowała, jak sprawy stoją.

Kiedy wychodziła, król i jego generał już nad czymś rozprawiali z pochylonymi ku sobie głowami. To spotkanie przyniosło więcej pytań niż odpowiedzi. Po co im pięćset obręczy? Gdzie mają zamiar znaleźć aż tylu czarowników? Czy to część planu najazdu na Felis? Lila nie miała pojęcia, co o tym wszystkim sądzić.

Wiedziała natomiast jedno: zawarła pakt z diabłem i może tego pożałować.

**FUNKCJONARIUSZ KORONY**

Kiedy Jenna weszła do Wyrobów Rymarskich Fletchera, właściciel stał przy swoim warsztacie i polerował parę butów. Wokół pieca zgromadziło się trzech starych mężczyzn, którzy wyciągali szponiaste dłonie, by się ogrzać. O ladę opierał się jakiś chłopak czekający na odbiór swojego zlecenia. Spojrzała jeszcze raz. Ach tak. To mag, a więc musiał służyć w armii albo w gwardii.

Ten warsztat był jednym z niewielu w Delphi odwiedzanych przez tak różnorodnych klientów: mieszkańców, górników, podróżnych, gawrońców i błotnistych. Bywali tu wszyscy, którzy potrzebowali wyrobów ze skóry: butów, pokrowców na broń, rękawiczek czy uprzęży. Zwykle chodziło o naprawę, gdyż większość ludzi nie mogła sobie pozwolić na zakup nowych wyrobów. Poza gospodami i tawernami było to idealne miejsce, by zasięgnąć języka. Odkąd Brit Fletcher przejął ten warsztat trzy lata temu, przeniosła się tu także główna kwatera Patriotów.

– Riley! – Fletcher podniósł głowę i uśmiechnął się. – Rzadko cię ostatnio widuję.

– Bo zawsze, jak tu przychodzę, zostawiam jakieś pieniądze – odpowiedziała Jenna chropawym chłopięcym głosem. Uniosła skórzany woreczek, taki, w jakich przechowywała proch. – Możecie to naprawić? Przypadkiem wypaliłem w tym dwie dziury.

– Jasne – powiedział Fletcher. – Wezmę się za to, jak tylko skończę z tym tu porucznikiem.

Porucznik! Jenna znowu spojrzała na mężczyznę przy ladzie. Wyglądał młodo jak na porucznika. O ile naprawdę nim był – coś nie chciało jej się w to wierzyć, bo miał niewiele więcej lat niż ona. Na jego ubraniu nie zauważyła żadnych insygniów. Peleryna młodzieńca była nowa, starannie wykonana, a futrzane obszycie kaptura świadczyło o tym, że sporo kosztowała.

– Nie śpieszy mi się. – Odwróciła się od porucznika w stronę pieca, gdzie trzech żołnierze siedzieli sztywno, udając, że nie dostrzegają młodego oficera, choć przy każdej okazji spoglądali w jego kierunku.

Fletcher stuknął gotowymi butami o kontuar.

– Proszę bardzo, poruczniku. Na pewno w tych będzie wam cieplej niż w tych starych. I podeszwy będą się lepiej spisywać na śniegu.

– Mam nadzieję – odparł porucznik, sięgając po portfel. – Ile się należy?

Jenna ze zdumienia otworzyła usta.

Fletcher chrząknął.

– Clermont wam nie powiedział? Gwardia Królewska za nic w mieście nie płaci.

– Co? – Porucznik poderwał głowę. – Jak to? Dopisujecie to do rachunku czy...

– Jesteście tu, żeby nas chronić, tak? Więc po prostu zabieracie, co chcecie, dla dobra nas wszystkich.

– Mnie to nie dotyczy – oznajmił młody porucznik stanowczo. – Ile się należy?

Fletcher przez chwilę wpatrywał się w niego zdumiony.

– Dziesięć żeleźniaków – powiedział w końcu.

Kiedy oficer odliczał monety, Fletcher oparł łokcie o blat i powiedział:

– Jesteście funkcjonariuszem Korony, tak? To pewnie wy jesteście tym porucznikiem Karnem, który zawiaduje akcją higieny. To wy będziecie zatwierdzać wszystkie wjazdy i wyjazdy z miasta.

Wskazał palcem obwieszczenie na ścianie przy drzwiach. Jenna dopiero teraz zwróciła na to uwagę. Z miejsca, w którym stała, odczytała nagłówek:

*Z rozkazu Ministra Zdrowia  
w sprawie ZDROWIA I HIGIENY*

– Owszem, to ja – przyznał oficer. Nie wyglądało, by robił to z zadowoleniem.

– Miło słyszeć, że król interesuje się naszym zdrowiem i higieną – zauważył Fletcher.

Porucznik uśmiechnął się, a przynajmniej rozciągnął usta, choć reszta jego twarzy pozostała obojętna niczym kamienna ściana.

– Miłego dnia – powiedział i opuścił warsztat.

Upewniwszy się, że mężczyzna wyszedł, Jenna podeszła do obwieszczenia.

*W związku z wybuchem epidemii wśród żołnierzy Jego Królewskiej Mości oraz w celu ochrony mieszkańców Delphi ministerstwo zarządza, co następuje:*

*Po pierwsze: Bramy miasta zostają zamknięte i pozostaną zamknięte, póki epidemia nie zostanie opanowana. Wszyscy podróżni i mieszkańcy opuszczający miasto będą musieli okazać dowód leczenia przebytego przed wyjazdem.*

*Wszystkie zezwolenia będzie wydawał porucznik Destin Kam, funkcjonariusz Korony.*

*Po drugie: Ponieważ epidemia prawdopodobnie przenoszona jest przez insekty żyjące we włosach kobiet, wszystkim mieszkankom Delphi w wieku powyżej dwunastu lat niniejszym nakazuje się, by zgłaszały się do stacji higienicznych zorganizowanych na terenie miasta.*

*Tam ich włosy zostaną podcięte, umyte leczniczym mydłem i przebadane. Każdej kobiecie po takim zabiegu zostaną założone srebrne kolczyki na znak tego, że poddała się wymaganej procedurze.*

*Po trzecie: Każdy mężczyzna z włosami sięgającymi za kark będzie traktowany podobnie.*

*Po czwarte: Walkę z epidemią należy rozpocząć natychmiast i zakończyć przed świętem Przesilenia.*

*Po piąte: Każda kobieta w mieście, która do tego czasu nie podda się leczeniu, będzie podlegać karze grzywny i więzienia.*

– Szlag – mruknęła Jenna. – Epidemia? Znacie kogoś, kto by na to cierpiał?

– Nie – burknął Fletcher. – Szukają czegoś albo kogoś. No, co tam dla mnie masz, Riley?

Jenna pochyliła się nad kontuarem. Między nimi spoczywał woreczek na proch.

– Ile zajmie naprawa tego? – powiedziała głośno. Potem dodała szeptem: – Dwa wozy błotnistych będą pojutrze na Drodze Południowej. Pod wieczór.

– Towar? – Głos Fletchera zdradzał niepokój.

– Proch, broń, prowiant – mruknęła. – Podśluchałam wczoraj, jak dwaj żołnierze mówili o tym w Kuflu i Jagnięciu.

– Nie wiem, czy warto się tym zająć, ale jeśli nalegasz, to jakiś tydzień.

– Tydzień?

– Mam ci to dać na piśmie czy jak?

– Nieważne. – Jenna zabrała woreczek i obróciła się w stronę wyjścia. Wiadomość przyjęta. Ten wóz nie dotrze do kwatery.

– Uważaj na siebie, słyszysz?! – krzyknął za nią Fletcher.

Zawsze to mówił, gdy wychodziła.

Przez całą drogę do Łaskawej Pani Jenna wracała myślami do tego, co zdarzyło się w warsztacie rymarskim. Na początku była po prostu rozdrażniona tą nową formą ingerencji w codzienne życie miasta. Potem jednak wymacała symbol na swoim karku i zaczęła się zastanawiać: czy to możliwe, że ktoś jej szuka po tylu latach? W pierwszej chwili odsunęła tę myśl od siebie. *Musisz przestać słuchać opowieści taty, pomyślała. Po co zajmować się wydumanymi potworami. Mamy ich dość w prawdziwym życiu.*

Nie czekała jej żadna wspaniała przyszłość, istniało tylko tu i teraz. Tego nauczyła się, kiedy zginął Riley.

Wieczorem wykapała się i umyła włosy. Drapała się mocno po szyi, jak zawsze, jakby mogła zetrzeć ten magiczny znak. Zmywała jednak tylko pył węglowy.



Na zewnątrz szalała zamieć. Jej pokój na poddaszu był słabo ocieplony, przez co czasami wewnątrz hulał wiatr, jakby w ogóle nie było ścian. W rogu znajdował się mały piecyk z rurą, która przez dach odprowadzała dym. Trochę podnosił temperaturę w izbie i pozwalał zagrzzać wodę na herbatę czy kąpiel. Jenna zawsze starała się umyć przed snem. Mycie raz dziennie musiało w Delphi wystarczać.

Raz dziennie mogła zrzucić z siebie te różne maski, które nakładała – górnik strzałowego, sabotażysty, szpiega – i być sobą. Cokolwiek to znaczyło. Coraz trudniej było jej to sobie przypomnieć. W oczach otaczających ją osób nie widywała tej dziewczyny, którą naprawdę była. Tamta dziewczyna zniknęła dawno temu.

Kiedy skończyła z włosami, podniosła czajnik z pieca i zalala wrzątkiem liście w filiżance. Nie potrzebowała żadnej osłony dłoni, kiedy rozpalala ogień, przesuwala garnki czy detonowała ładunek. Jej tata wspominał, że kiedy była mała, gołymi rękami wyjmowała pieczywo z pieca i wyjadała ciasto z gorących blach.

Zwinęła się w fotelu i siedziała z filiżanką w dłoniach, wpatrzona w niewidoczny punkt przed sobą. Filiżanka była z porcelany; Jenna wyczuwała pod palcami wzory rozkwitłych róż. Należała do jej matki – kobiety, która była jej matką pod każdym względem oprócz więzów krwi. Jenna zawsze używała tej jednej filiżanki i co wieczór starannie ją myła.

Niewiele miała pamiątek po matce, a w całym Delphi piękna było jak na lekarstwo.

Usłyszała pukanie – szybkie i ciche staccato – na znak, że przybysz jest sam i że Jenna może bez obaw otworzyć. Westchnęła i odstawiła filiżankę, by podejść do drzwi. Jej stopy w miękkich pantoflach nie

robiły hałasu na drewnianej podłodze. Zwolniła zasuwkę i przytrzymała drzwi, żeby go wpuścić.

Jej ojciec niósł tacę, na której leżały plastry kurczaka, ziemniaki, marchew oraz duży kawał chleba. Było to znacznie więcej, niż mieli na talerzach przeciętni mieszkańcy Delphi – bycie córką właściciela gospody miało swoje zalety. Postawił tacę na stoliku obok fotela i ucałował ją w czoło. Przez chwilę ścisnął ją mocno, po czym zrobił krok w tył, by się jej przyjrzeć. Wyglądał na zmęczonego, zmarszczki na czole, które już nabrały trwałego charakteru, świadczyły o licznych troskach.

Jenna gwałtownie wciągnęła powietrze. Ojciec zaraz wyjdzie i ona znowu zostanie sama. Potrząsnęła głową, by odegnać tę myśl, a on spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

Uśmiechnęła się.

– Zawsze przynosisz za dużo jedzenia, tato. Kogo według ciebie karmisz, dwóch żarłocznych synów? – Mówiła cicho, żeby głos nie przedostał się przez ściany. Usiadła z powrotem na fotelu i zaczęła jeść, chociaż żołądek miała ściśnięty. Nie chciała marnować jedzenia. Jej ojciec usiadł na drugim fotelu, przeznaczonym dla niego. Nikt inny tu nie przychodził.

– Musisz trochę przytyć – stwierdził. – Gdyby mama cię zobaczyła, powiedziałyby, że cię zaniedbuję.

– Nic takiego by nie powiedziała!

To był jeden z ich rytuałów. Pokroiła kurczaka na drobne kawałki i uniosła jeden z nich do ust.

Ojciec przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Kiedy zaspokoila pierwszy głód, sięgnął do kieszeni i wyjął złożoną kartkę. Rozprostował ją i podał córce.

Ona obrzuciła to wzrokiem i zwróciła mu, kiwając głową.

– Widziałam. Pierwszy raz słyszę, że w Delphi jest minister zdrowia. I ciekawe, kto zapłaci za to całe srebro. Na pewno my.

Długo nic nie mówił, jakby dźwięk jego głosu mógł przywołać demony.

– Myślisz, że to ma coś wspólnego z tobą?

Spojrzała na swoje dłonie.

– Nie mam robaków – odpowiedziała, udając, że nie rozumie.

– Może szukają magicznego znaku? – Nachylił się w jej stronę, na jego twarzy pojawił się ból.

– Nigdy nie zapomnisz tej starej wiedźmy i jej opowieści, prawda, tato? Przez nią, odkąd pamiętam, żyjemy w strachu. Czemu w ogóle jej słuchaliście?

Uczył znak odpędzający zło.

– Była twoją babcią.

– To ona tak twierdziła.

– Ja jej wierzyłem. Jestem pewien, że szczerze chciała cię chronić. Zależało jej na tobie, na ile mogę to ocenić, i wydawała się... miałem wrażenie, że jest śmiertelnie przerażona. Powiedziała, że twój ojciec nie żyje, że ma wrogów, którzy będą cię szukać i rozpoznają cię po tym znaku na karku. Dlatego cię oddała. I ostrzegła nas.

– Z tego, co wiemy, ukradła mnie moim rodzicom i nie chciała, żeby mnie znaleźli. Ty jesteś moim tatą, a moja mama jest pochowana tutaj, na cmentarzu. To ją wspominam w Dniu Zmarłych! – Jenna zorientowała się, że podniosła głos, więc zamilkła. – Tylko ciebie potrzebuję – dodała cicho.

Ojciec westchnął.

– Nie powinniśmy byli pozwolić mnichom zarejestrować twoich rodzin. Ale tak bardzo chcieliśmy, żebyś oficjalnie była nasza, tak bardzo baliśmy się, że ktoś cię nam odbierze. .. A Delphi wtedy wydawało się bardzo daleko od Ardeny.

To była stara historia. Ich życie stale zataczało kręgi, krążyło wokół tych samych obaw, tych samych rozmów.

– Tato – powiedziała łagodnie. – Nie mam czasu martwić się straszidłami i piętnami wiedźm. Jeśli będą mnie szukać, to na pewno nie z powodu jakiejś starej klątwy, ale dlatego, że ktoś mnie zdradzi, ktoś wyda mnie gawrońcom.

– To już zupełnie inna sprawa. Chciałbym, żebyś nie... nie robiła tego, co robisz. To zajęcie dla kogoś innego. Ty już wchodzisz w wiek, kiedy powinnaś myśleć o małżeństwie, rodzinie.

– Jak niby mam się z kimś spotykać, kiedy cały czas jestem w stroju chłopaka? – bąknęła Jenna. – Zresztą po co sprowadzać dziecko na taki świat?

– To nie może trwać wiecznie – odparł jej ojciec. – Coś się zmieni. Stworzyciel...

– Stworzyciel pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. Czy nie to mi zawsze powtarzałeś? Sytuacja się zmieni, jeśli sami ją zmienimy.

– Mimo to... Nikt nie ryzykuje tak jak ty. Wcześniej czy później gawrońce połączą ze sobą fakty i wyciągną odpowiednie wnioski.

Jenna westchnęła. Miała nadzieję, że przynajmniej część jej akcji udało się przed nim ukryć.

– Wszystko jest ryzykowne – powiedziała. – Czy mniej niebezpieczne jest dla kobiety spacerować ulicami tego miasta? Czy mniej nie-

bezpieczna jest praca w kopalni, podkładanie ładunków i ich wysadzanie? Gdyby nie Riley, już i tak bym nie żyła.

– Właśnie dlatego każdy dzień jest darem od Stworzyciela – rzekł ojciec. – Nie marnuj darowanych ci dni. To nie przywróci Rileyę.

– Nie robię tego dla Rileyę. Robię to dla siebie, dla ciebie i dla każdego, kto cierpi pod butem króla Gerarda. Nie mam czasu martwić się o wymyślone demony, kiedy całkiem realny demon siedzi na tronie.

– Proszę, Jenno. Przynajmniej trzymaj się z dala od tawern.

– Przecież dorastałam w tawernie. I spędzając tam czas, dużo się dowiaduję... rzeczy, które mogą pomóc w ratowaniu ludzi.

– Czemu właśnie ty to robisz?

– To, co robię, jest ważne, a ja robię to lepiej niż ktokolwiek inny, przynajmniej odkąd Bowman zginął. Nie mam zamiaru siedzieć bezpiecznie w kącie, kiedy inni za mnie walczą.

– Jeśli nie możesz się ukrywać, to może wyjedź z Delphi na jakiś czas. Mam przyjaciół w Tamron Seat... myślę, że jeszcze tam mieszkają. Nie chcę, żebyś poddała się tym badaniom, nieważne, jaki one mają cel.

– Czytałeś to obwieszczenie. Bramy miasta są zamknięte, póki wszystkich nie przebadają. Każdy, kto chciałby wyjechać, musi zdobyć zezwolenie. Poza tym zaczęły się wichury i podobno za miastem już grasują wilki. – Mówiła tym samym: Nie mam zamiaru wyjeżdżać.

Dobrze pamiętała swoje słowa skierowane do Rileyę cztery lata wcześniej. Jesteśmy wybrani, ty i ja, i przeznaczeni do wielkich rzeczy. Napiszemy własną opowieść, zobaczysz.

Nie przypuszczała, że będzie to krótkie opowiadanie ze smutnym zakończeniem. Teraz już nie wierzyła w przeznaczenie, cuda ani magiczne znaki.

– Będę uważać, tato – powiedziała. – Nic mi się nie stanie. Obiecuję.

Ojciec przyglądał się jej, przygryzając dolną wargę.

– Coś ci pokażę – rzekł w końcu. Położył się na podłodze i wyciągnął spod łóżka małą szkatułkę. Leżała tam, odkąd Jenna sięgała pamięcią, i zawsze była zamknięta. Teraz jednak ojciec wyjął z kieszeni klucz i obrócił go w zamku. Podniósł pokrywę i wydobył coś zawiniętego w wiele warstw tkaniny. Rozwinął materiał i rozłożył zawartość na łóżku. Dłoń Jenny najpierw powędrowała ku sztyletowi. Przykuł jej wzrok jak zawsze wszelkie błyskotki. Trzonek miał kształt dwóch splecionych ze sobą smoków wysadzanych czerwonymi kamieniami – rubinami i granatami, jak się domyśliła, choć nigdy jeszcze nie widziała takich klejnotów z bliska.

Wolną ręką sięgnęła do swojego znamienia na karku. Przesunęła palcami po kamieniu w środku. Magiczny znak zatętnił mocą.

– Tak – powiedział jej ojciec. – To takie same kamienie.

Ostrze, które wysunęła z pokrowca, było lśniące i ostre, jakby nie leżało pod łóżkiem przez ponad dziesięć lat. Na niebieskawej stali zaślniły czerwone runy – litery nieznanego języka.

Był wśród tych rzeczy skórzany napierśnik, również pokryty runami, przeznaczony dla kobiety, oraz para pięknych skórzanych rękawiczek. Nie takich, których używa się do ochrony przed chłodem, lecz damskich rękawiczek do jazdy konnej. Przymierzyła je i okazało się, że leżą idealnie – nie tylko na dłoniach, ale i na przedramionach. Wyciągnęła ręce przed siebie, by je lepiej obejrzeć, a następnie ściągnęła

rękawiczki i położyła z powrotem na łóżku. Nie były przydatne dla górnika z Delphi.

Ostatnim przedmiotem był pęknięty wisior na łańcuchu, fragment przyrzędu, który trochę przypominał koło zębate. Wyglądał na wykonany ze złota (był to prawdopodobnie mosiądz), wzdłuż krawędzi miał rowki, a pośrodku coś w rodzaju pokrętła. Jenna poczuła lekkie mrowienie dłoni, co oznaczało, że trzyma wyrób magiczny.

Gdy podniosła głowę, jej ojciec powiedział:

– To część astrolabium albo tylko ma tak wyglądać. – Odebrał to od niej i przełożył jej łańcuch przez głowę tak, że wisiolek spoczął poniżej obojczyka. – Może ci pomóc odnaleźć drogę.

*Nie, jeśli jest połamane*, pomyślała.

– Skąd to wszystko pochodzi?

– Twoja babcia zostawiła to dla ciebie. Wisiolek należał do twojego ojca. Nie wiem nic o sztylcie i reszcie. Może były własnością twojej matki.

Jenna pogłaskała skórzany napierśnik. Powiadano, że kobiety z Północy ruszały do boju, wrzeszcząc jak oszalałe.

– Była... wojowniczką?

– Nie wiem – ojciec uśmiechnął się smutno. – Wojowniczką. To chyba pasuje do ciebie w jakiś sposób.

*Nie*, pomyślała Jenna. *Jestem wojowniczką, która skrada się zaułkami i ukrywa się w ciemnościach. Nie taką, która konno rzuca się do ataku.*

Ponownie sięgnęła po sztylet. Obracała go na różne strony, podziwiając, jak odbija światło. Własność jej matki. Zdawał się idealnie wyważony, jakby stworzony specjalnie dla niej. Przyjęła pozycję, jaką widziała u młodych błotnistych wymachujących mieczami. Oczywiście

ście, to nie był miecz. To broń przeznaczona do tego, by trzymać ją w ukryciu i używać potajemnie.

*Może jednak to do mnie pasuje*, pomyślała.

Szybko wsunęła sztylet do pokrowca. Bez sensu było zakochiwać się w przedmiocie, którego sprzedaż mogła im zapewnić pożywienie i dach nad głową.

– Powinieneś był to sprzedać – powiedziała do ojca. – Mogliśmy stąd wyjechać. Nadal możemy. Nie będziesz musiał się martwić o to, że zostawisz gospodę. Zaczniemy od nowa, w jakimś obcym miejscu, i zbudujemy coś jeszcze lepszego. Może nad oceanem.

Ocean zawsze ją przyciągał, chociaż widziała go tylko w książkach.

– Nie. To twoja scheda i nie sprzedam tego. Powinienem był ci to dać dawno temu. Wiem, jak kochasz piękne rzeczy, a miałaś w życiu tak mało piękna. Noś go przy sobie, a może w jakiś sposób cię ocali, gdyby... – Pokręcił głową i wierzchem dłoni otarł oczy. – Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

Jenna dała się przekonać. Powiesiła sztylet na ścianie obok swoich ubrań. Kiedy poprawiała sobie kołnierz, wyczuła magiczny znak. Przesunęła palcami po metalowej pajęczynie i chłodnym kamieniu. Choćby nie wiadomo jak próbowała temu zaprzeczać, ten znak miał w sobie siłę i znaczenie. Jenna musiała się pilnować, by nie dotykać go odruchowo, kiedy się zamyślała.

Niechętnie odsunęła rękę.

– Nie obchodzi mnie, co mówiła moja babcia. Na pewno nie mam żadnej mocy, nic, przez co ktoś mógłby na mnie polować.

– Skąd wiesz?

– Bo gdyby tak było, król Ardeny już dawno by nie żył.



## KRÓL WYRUSZA NA POLOWANIE



Ash obracał się w centrum padoku, zachęcając królewskiego wierzchowca, by przeszedł ze stępa w kłus. Ruchy konia były płynne, jednostajne, bez żadnych oznak utykania na przednią nogę. Ash trzymał go na lonży przymocowanej do ogłowia – nie najlepszy sposób na utrzymanie narowistego rumaka pod kontrolą, ale Taran szybko stawał się najgrzeczniejszym koniem w stajni – przynajmniej wtedy, kiedy zajmował się nim Ash. Na okrzyk „Hola!” ogier podbiegł kłusem i wcisnął łeb pod rękę chłopca, domagając się pogłaskania.

– Dobra robota – pochwalił go Ash. – Ale się nie rozleniwiaj. Wrócę po obiedzie na kolejną rundkę. – To już się stało ich codziennym rytuałem: godzina ćwiczeń na lonży rano i wieczorem.

– Nie do wiary, co zrobiłeś z tym koniem. Zupełnie jakbyś go zaczarował.

Ash obrócił się gwałtownie. Przed nim stał Bellamy.

– To żadne czary. Po prostu nic go już nie boli.

– Może i tak, ale przy innych ludziach trudno przewidzieć jego zachowanie.

– Musi się wyzbyć wielu złych nawyków – przyznał Ash. – Popracuję nad tym. Zresztą teraz nikt nie powinien na nim jeździć, a i bez jeźdźca potrzebuje miękkiego gruntu. Za jakieś dwa tygodnie możemy zacząć go siodłać. Rolley może przejąć ode mnie ujeżdżanie go na lonży, jak go poinstruję. – Rolley był jednym z chłopców stajennych, według Asha najlepszym.

– A myślałem, że to ja tu rządę – powiedział Bellamy cierpko. Uniósł dłoń, kiedy Ash otworzył usta, by przeprosić. – Nic się nie stało. Umiejętności i talent dają ludziom pewien poziom władzy. No a teraz chcę, żebyś spojrział na jedną wojskową klacz.

Po kilku tygodniach pracy z Bellamym Ash ze zwykłego stajennego stał się doradcą weterynaryjnym stajni królewskich, ujeżdżalni i psiarni. Może wolałby pracować w infirmerii zamiast stajni, ale stale coś go tutaj zatrzymywało.

A przecież nie przybył tu w poszukiwaniu pracy. Nie przybliżył się ani o krok do swojego celu, którym było zabicie króla Ardeny, i nic nie zapowiadało, by to miało się zmienić. Poznawał stajennych, ich pomocników i różnych służących, ale od chwili przybycia nie spotkał żadnego członka rodziny królewskiej. Najwyraźniej Jego Królewska Mość nie spędzał wiele czasu w stajni. Ash musiał w jakiś sposób sam postarać się o dojście do pałacu.

*Cierpliwości*, powtarzał sobie. *Wiedziałaś, że na to potrzeba czasu.* Nie był tylko pewien, ile czasu mu jeszcze pozostało. Z tego, co wiedział, atak na jego siostrę i matkę był już przygotowywany.

Kiedy po południu przyszedł zająć się Taranem, boks był pusty. Zdezorientowany, szukał konia wzrokiem, zastanawiając się, kto i dlaczego go wyprowadził. Pozostałe boksy też były opróżnione.

W tym momencie usłyszał jakieś głosy na zewnątrz – krzyki, przekleństwa, trzask bata i rzenie konia.

Do stajni wpadł pobladły Rolley z biczem w ręku.

– Adam! Chodź szybko! Ten dereszowaty... próbowałem mu powiedzieć, że jeszcze nie można go dosiadać, ale nie słuchał.

Ash wybiegł ze stajni i omal się nie zderzył z grupą gawrońców w myśliwskich strojach, którzy tłoczyli się z boku wraz ze swymi końmi, podczas gdy chłopiec stajenny próbował uspokoić sforę mastifów na smyczach. Za nimi wszystkimi zobaczył Tarana. Z płasko położonymi uszami i rozszalałym wzrokiem wierzgał, podskakiwał i wszelkimi innymi sposobami starał się zrzucić z siebie jeźdźca. Jednocześnie masztalerz Bellamy próbował podejść do konia na tyle blisko, by chwycić za wodze i nie zostać stratowanym.

Jeździec był wprawny, skoro utrzymał się w siodle tak długo, ale w końcu ogier uderzył w kamienną ścianę i zdołał go zrzucić. Stało się to akurat w momencie, kiedy zjawił się Ash. Mężczyzna spadł i poturlał się, tak by uniknąć kopyt rozszalałego zwierzęcia.

W pierwszym odruchu Ash chciał pozwolić Taranowi stratować tego głupca, ale Bellamy nie dawał za wygraną, aż wepchnął się między konia a leżącego na ziemi jeźdźca i desperacko usiłował odegnać ruma na tyle, żeby umożliwić mężczyźnie ucieczkę. Obawiając się o życie masztalerza, Ash podszedł z boku, chwycił jedną z wodzy i odciągnął konia. Udało mu się dotknąć kłębu Tarana i wlać w niego trochę kojącej mocy. Obracał nim na lonży i wołał „Hola!”, aż wreszcie zwierzę się uspokoiło, skierowało uszy w przód i zatrzymało się. Taran stał, drżąc i ciężko dysząc. Na trzech nogach.

Z czwartej kończyny spływała krew. Nie z tej z zaropiałym kopytem. Ash nie musiał nawet oglądać tego z bliska, by zauważyć kość zła-

maną zaraz nad pęcina i wyzierającą spod skóry. To się czasem zdarzało, kiedy okulały koń za bardzo obciążał trzy zdrowe nogi. Ash położył palce między oczami ogiera, by zdjąć z niego ból, i pod wpływem siły tego cierpienia omal się nie przewrócił.

Bellamy ruszył w jego stronę.

– Nic ci nie jest, Adamie?

Ash potrząsnął głową i w milczeniu wskazał na złamaną kończynę. Twarz Bellamy'ego poszarzała.

– Szlag! – mruknął masztalerz i odwrócił wzrok.

Jeździec już zdążył się podnieść. Otrzepywał ubranie i rozprostowywał rękawy. Był w pięknej myśliwskiej pelerynie, zdobionej czerwonymi jastrzębiami, teraz ubłoconej. Z długiej rany na policzku ciekła krew, jego jasne włosy były rozczochrane.

Wszyscy z grupy myśliwych natychmiast go otoczyli, przekrzykując się nawzajem.

– Wasza Królewska Mość, nic się wam nie stało? Mamy wezwać mistrza Meilla? Dzięki Stworzycielowi uszliście z życiem!

Wasza Królewska Mość.

Czas jakby zwolnił, kiedy serce Asha przyśpieszyło i boleśnie tłukło się w piersi. Młody weterynarz obserwował w milczeniu, jak król Ardeny odepchnął swoich dworzan, chwycił chłopca stajennego za przód ubrania i przysunął do siebie.

– Ty imbecylny! Mówiłeś, że z tą bestią jest już lepiej. A jest jeszcze gorszy niż wcześniej. – Potrząsnął chłopcem mocno.

– W... wasza Królewska Mość – wychrypiął Rolley, szczękając zębami. – Prze... przepraszam.

Na to król Gerard uderzył go w twarz z taką siłą, że chłopiec aż się zatoczył.

Ash ujrzał czerwoną mgłę przed oczami. Oto człowiek, który usiłował zmusić jego mamę do małżeństwa. Który odpowiadał za zamordowanie jego siostry i taty. Który próbował zamordować i jego, i na pewno spróbuje jeszcze raz.

To był potwór, który miał tyle krwi na rękach. Bez niego świat byłby lepszy.

Zacisnął palce na amulecie i zrobił krok w kierunku króla, ale nagle Bellamy zagroził mu drogę, chwycił go za barki i gniewnie spojrzał w oczy.

– Nie trać głowy, Adamie.

– Zejdźcie mi z drogi.

– Nie – rzekł masztalerz. – To biednemu Taranowi nie pomoże, a prawdopodobnie zniszczy nas wszystkich. To ja cię zatrudniłem, pamiętaj.

– I tak będzie warto – burknął Ash, próbując mu się wyrwać, ale Bellamy trzymał go mocno.

– Ja i Rolley tego pożałujemy – przekonywał Bellamy. – Ty też, bo go nie pokonasz, nie magią. Coś chroni go przed magią, jakieś czary.

– Czary go chronią przed magią? – Ash spojrzał na króla, znowu otoczonego przez dworzan. – Macie na myśli talizman czy...?

– Nie znam się na tych rzeczach. – Bellamy wykonał znak Malthusa.

– Jeśli już musisz to zrobić, zrób to gdzie indziej, nie w mojej stajni.

Masztalerz zwrócił się do króla.

– Przepraszam za to, co się stało, Wasza Królewska Mość. Ten tu chłopiec stajenny miał rację, ogierowi się poprawiało. Nie wiem, co w niego dziś wstąpiło. Teraz, niestety, będziemy musieli go uśmiercić.

Król uderzał rękawicami o otwartą dłoń.

– Zróbcie to – powiedział. – To prawdziwy diabeł. – Odwrócił się i odszedł, nie oglądając się za siebie. A wraz z nim oddaliła się okazja, by Ash spełnił daną sobie obietnicę.

Ash spoglądał w ślad za królem. Czy zachował się rozsądnie, zapobiegliwie, rozważnie? A może okazał się zwyczajnym tchórzem?

## ŁASKAWA PANI



Destin Karn był w dobrym humorze. Pierwszy raz od przybycia do Delphi czuł, że robi postępy w polowaniu na dziewczynę z runicznym znakiem. Nawet jeśli jej nie znajdzie, przynajmniej będzie mógł wykazać, że prowadził skrupulatne poszukiwania. Z drugiej strony w Ardencourt porażka zawsze była tylko porażką, niczym więcej.

Właśnie skończył nadzorowanie strzyżenia setek kobiet schodzących z dziennej zmiany w kopalni. Do górników wyjątkowo trudno było dotrzeć, bo zawsze albo pracowali, albo spali. Dlatego zorganizował „stację higieniczną” w obozie wojskowym na drodze do kopalni, żeby kobiety nie musiały daleko chodzić.

W ciągu kilku tygodni usprawnił procedury strzyżenia i wybrał fryzjerów spośród najmniej brutalnych i najzręczniejszych gawrońców Clermonta. Każda ostrzyżona kobieta otrzymywała srebrne kolczyki na znak, że została przebadana. Srebro na tę biżuterię Destin wydobyl od lorda burmistrza, który był tak skorumpowany, jak tylko się dało.

Liczył na to, że jeśli procedury będą jak najmniej uciążliwe, mieszkańcy bez oporów się im poddadzą. Im szybciej załatwi tę sprawę,

tym bliższy będzie opuszczenia tego miasta. Żałował, że nie może się pozbyć Clermonta, który nachalnie oferował mu swoją pomoc. W zasadzie kapitan Gwardii Królewskiej przyczepił się do niego niczym kleszcz.

Destin i towarzyszący mu gawroniec jechali w burzy śnieżnej do miasta. Coraz grubsza warstwa śniegu tłumiała tętent kopyt. Kiedy dotarli do bramy miejskiej, musieli przywołać strażników, by ich wpuszczono. Była to konsekwencja niedawno wydanego zarządzenia. Po wjechaniu do miasta Destin nie miał ochoty jechać do Kufla i Jagnięcia, gdzie czekały go wciąż te same podejrzane typy i przerażone służące, pierzchające na widok gwardzistów.

Zapragnął odwiedzić którąś z mniejszych oberży, jakieś miejsce, w którym jeszcze się nie zatrzymywali. Może jedzenie będzie lepsze, a przynajmniej inne. Słyszał dobre opinie o Łaskawej Pani położonej w cichym zakątku na północy, postanowił więc się tam udać. Clermont, oczywiście, zrobił to samo. Szyld gospody zdobił wizerunek pięknej szlachcianki. Po przekroczeniu progu wchodziło się do dużej izby z kominkiem po jednej stronie i piecem po drugiej. Karczma była pełna. Destin pomyślał, że to dobrze świadczy o jakości posiłków. Nim wybrał stolik, przeszedł przez całą salę i zajrzał do mniejszego pomieszczenia na tyłach. Tam również znajdował się kominek, a dodatkowo stoły do gry w kości.

Destin i Clermont usadowili się w rogu głównej sali i zamówili piwo i placek z mięsem. Kiedy zamówienie znalazło się na stole, okazało się, że mięso i warzywa są otoczone delikatnymi warstwami kruchego ciasta. Destin zajął się jedzeniem i póki nie zaspokoił pierwszego głodu, nie zwracał uwagi na nic innego. Dopiero potem zaczął znowu przyglądać się otoczeniu.



Klientela Łaskawej Pani była wytworniejsza niż w Kuflu i Jagnięciu. Przede wszystkim od razu rzucała się w oczy obecność kobiet, i to nie tylko wśród służby. Znaczną część gości stanowili kupcy, sprzedawcy, podróżni – zgodnie narzekający na zamknięcie bram. Przy dużym stole z tyłu siedziała grupa wojskowych. Jak zwykle, wszyscy trzymali się z dala od Destina i Clermonta, ale było to mniej widoczne niż w zapyziałej atmosferze Kufla i Jagnięcia.

W jednym z kątów odbywało się coś – jakaś forma rozrywki – co przyciągnęło uwagę niemal wszystkich, także żołnierzy, strażników i podróżnych. Część z nich siedziała, inni stali pochyleni nad stołem. Głowy stojących przesłaniały Destinowi przyczynę tego zbiegowiska, widział tylko, że zgromadzeni obserwowali coś w napięciu i raz na jakiś czas wybuchali śmiechem, czasem przy tym trącąc się łokciami, jakby mówili „A to dobre”. Mógł to być jakiś bazarz, chociaż trudno było pojąć, po co taki wędrowny opowiadacz przybył do Delphi o tej porze roku. I pogoda, i napiwki były znacznie lepsze dalej na południu.

Grupka zgromadzona w rogu wciąż dobrze się bawiła, gdy Destin skończył jeść i zamówił kolejne piwo. Wreszcie widowisko jakby dobiegło końca. Część gapiów wróciła do swoich stolików. Destin zobaczył jakąś postać siedzącą przy ścianie, lecz zaraz kolejni goście przesłoniли mu widok.

Kiedy służąca przyniosła mu piwo, zapytał, co tam się dzieje.

– To jasnowidz. Czyta z kart, wędruje od gospody do gospody. Ludzie go lubią. Każe się nazywać Lyle Prawdomówca. – Uśmiechnęła się. – Czasem mówi za dużo prawdy, o czym niektórzy już się przekonali. Ale zawsze przyciąga tłumy.

To wzbudziło ciekawość Destina. Jasnowidz był rzadszą formą rozrywki niż bajarz czy muzykant. Owszem, większość z nich to oszuści – umieli rozpoznawać, z kim mają do czynienia, i to wykorzystywać. Ktoś, kto naprawdę potrafił przewidywać przyszłość, nie marnowałby swego talentu w tawernie. Tak czy inaczej to mogło być zabawne, a on miał jeszcze trochę czasu do zabicia przed końcem nocnej zmiany w kopalni.

Kiedy służąca wróciła z piwem dla Clermonta, Destin położył jej dłoń na ramieniu i powiedział:

– Poproś Prawdomówcę, żeby do nas dołączył. – Skinął głową w kierunku tłumu w rogu. – Chcemy z nim porozmawiać.

Spojrzała z powątpiewaniem w miejsce, gdzie siedział wróżbita, a potem z niepokojem na Destina.

– Zrobię, co będę mogła, panie.

Kiedy wróciła, jej twarz była blada, oczy rozszerzone.

– Mówi, że dziękuje, ale woli pozostać tam, gdzie jest. Panie – dodała szybko, jakby naśladowując sposób, w jaki dorzucił to słowo sam jasnowidz po krótkim namyśle.

Destin wyprostował się zaskoczony. Większość tych, którzy występowali publicznie, z ochotą skorzystałaby z możliwości popisania się przed kimś z otoczenia króla. A w każdym razie baliby się odmówić.

– Czy powiedziałaś, kim jestem? – Obracał kufel w dłoniach.

– Tak, panie. – Dziewczyna oblizła wargi. – Chyba jest w transie. Nie jestem pewna, czy on dobrze mnie rozumie... wiecie, o co chodzi. Na waszym miejscu nie traktowałabym tego poważnie.

Clermont chwycił ją za nadgarstek, aż krzyknęła z bólu. Przyciągnął ją do siebie tak, że jej głowa znalazła się na wysokości jego głowy, i syknął:

– Powiedz temu beczelnemu bladolicemu szczurowi, żeby...

– Dajcie jej spokój, Clermont – warknął Destin, czując, jak opuszcza go dobry humor. – To nie jej wina, zresztą nie ma o co kruszyć kopii.

Clermont zmrużył oczy z irytacją. Puścił dziewczynę, która natychmiast uciekła, rozcierając nadgarstek. Wtedy kapitan pochylił się nad stołem.

– Jesteście tu nowi, poruczniku, i nie wiecie, jak tu jest. Nie wolno dopuścić, żeby te delphiańskie kundle myślały, że może im ujść na sucho...

Destin uderzył kuflem w stół i nagle chwycił Clermonta za rękę. Kapitan zawył z bólu i próbował się wyrwać, spoglądając na kompana zdumionym wzrokiem.

Wszyscy wokół skupili się na swoich posiłkach, udając, że nic nie słyszą.

Destin nachylił się ku kapitanowi.

– Powiem to tylko raz, więc radzę słuchać uważnie. Chciałbym się napić w tawernie, gdzie obsługa nie drży ze strachu, kiedy się do mnie zbliża. Myślę, że w ten sposób dowiem się znacznie więcej. Podważanie moich decyzji wcale mi w tym nie pomaga. Jeśli nadal będziecie tak robić, mogę zapomnieć, że jesteście wyżsi stopniem. – Po tych słowach puścił jego rękę.

Clermont spojrział na swój poparzony nadgarstek, a potem z powrotem na Destina.

– Wy... wy... jesteście...

– Tak, jestem – przyznał Destin. – A teraz zamknijcie się i zostańcie tu. – Wstał, sięgnął po swoje piwo i podszedł do stolika, przy którym siedział wróżbiarz. Nie odwrócił głowy, by sprawdzić, co robi Clermont.

Klientami jasnowidza byli elegancki młody mężczyzna w jedwabnej pelerynie z marszczonym kołnierzem i przystojna starsza kobieta w dobrze skrojonym stroju jeździeckim. Można by pomyśleć, że to matka i syn, ale trzymali się za ręce i uśmiechali do siebie jak nowożeńcy lub kochankowie. Nie zauważyli, że Destin się zbliża, bo byli zwrócenii twarzą do ściany, o którą opierał się wróżbita. Porucznik stanął za plecami tej pary. Miał stąd dobry widok na to, co się działo przy stoliku. Pozostali obserwatorzy, widząc Destina, jeden po drugim odchodzili do innych części tawerny.

Wróżbita był młodym mężczyzną, a właściwie chłopcem, średniego wzrostu, o delikatnych rysach, w dziwacznym stroju, którego poszczególne elementy zupełnie do siebie nie pasowały. Miał na sobie luźno zwisającą tunikę, która kiedyś zapewne była wytworna, ale już się wytarła i postrzępiła na krawędziach. Rękawy sięgały mu palców, a przy mankietach i kołnierzu wystawały zużyte koronki. Na głowie miał dużą, płaską czapkę w starym stylu, jakby był potomkiem bogatego rodu, który zubożał w tych trudnych czasach.

Jeżeli nawet wróżbita zauważył Destina, to nie dał tego po sobie poznać. Tasował karty tak szybko, że zdawały się pojawiać i znikać w jego dłoniach. Kazał kobiecie je przełożyć, a potem jeszcze raz sam to zrobił. Następnie wyciągnął z talii kilka kart i ułożył na stole w równych rzędach.

Destin zauważył, że nie były to zwykłe karty do gry, chociaż na niektórych widniały powszechnie znane symbole. Chłopiec obejrzał je i podniósł wzrok na kobietę. Jego oczy były wyjątkowe – zdumiewającej złotej barwy, niczym u kota albo gada. Destin zastanawiał się, jak on to robi – czy używa jakiegoś eliksiru czy czegoś innego, żeby

uzyskać taki efekt. Jakkolwiek to osiągnął, te oczy z pewnością nadały mu wygląd istoty nie z tego świata.

– Widzę długą podróż – powiedział chłopak. Rzeczywiście wyglądał, jakby był w transie, a jego głos brzmiał jak tajemniczy szept, przez co odnosiło się wrażenie, że jego wiedza pochodzi z jakiegoś uświęconego źródła w nim samym, a nie z kart.

– Zgadza się! – powiedziała kobieta z radością. – Garren i ja przybyliśmy dzisiaj rano z Portowych Wrót. – Wydawała się niezwykle podniecona tym, że ktoś wyjawiał jej to, co już wiedziała.

*Ja też bym na to wpadł*, pomyślał Destin, widząc kurz na dolnej krawędzi sukni kobiety i błoto na butach mężczyzny. Garren wyraźnie sądził tak samo, bo zrobił powątpiewającą minę i dotknął łokcia swej towarzyszki.

– Chodźmy na górę, Catherine. Rano musimy wcześniej wyruszyć.

– Jeszcze kilka minut, kochanie – odparła kobieta. – Chcę usłyszeć, co on jeszcze ma do powiedzenia.

Chłopiec podniósł kolejną kartę. Tym razem spojrzał bezpośrednio na Garrena.

– Stracisz dużo pieniędzy.

Młodzieniec wywrócił oczyma.

– Też mi coś. Co za przestroga! Kiedy dokładnie się to stanie?

Lyle Prawdomówca uśmiechnął się tajemniczo.

– Niebawem. Szybciej, niż przypuszczasz.

– Zostanę okradziony? Postawię na złego konia? – Mężczyzna dopił swoje piwo i gestem zamówił następne.

Prawdomówca obrócił kartę, przesunął palcem po jej powierzchni i spojrzał na Catherine.

– Jesteś oszukiwana przez kogoś bliskiego – oznajmił.

– Ach tak. – Catherine zerknęła na Garrena. – A kto to jest?

– Karty mówią, co chcą, a nie to, czego chcemy się dowiedzieć.

*Kolejna rzecz, której łatwo się domyślić*, podsumował Destin. Z jego doświadczenia wynikało, że rodzina i znajomi zawsze byli gotowi wbić człowiekowi nóż w plecy. Garren wydawał się lekko zaniepokojony. Nerwowo poruszył się na krześle i znowu spojrzał na schody.

Jasnowidz wbił w niego świdrujący wzrok.

– Widzę list zaadresowany do ciebie, od Angeliki.

Mężczyzna zrobił się biały jak śnieg za oknami.

– Ja... jak to? Nie znam żadnej Angeliki.

Catherine spojrzała na niego zaskoczona.

– Jak to, Garren. Przecież znasz Angelikę, pracownicę mojego sklepu w Whitehall?

Garren położył obie dłonie na stole i wstał.

– Chodźmy, to strata czasu.

– W tym liście... – wróżbita zmarszczył czoło, jakby próbował odczytać niewyraźne pismo – są takie słowa: „Nie będę już z tobą sypiać, ty niewierny łotrze”.

Młodzieniec potrząsnął głową, jego wargi ułożyły się w kształt słowa „nie”, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Teraz Catherine wyglądała na szczerze zainteresowaną.

– Można jeszcze raz? Jakie to słowa?

– „Myślę, że coś od ciebie złapałam, Garrenie – ciągnął chłopiec z półprzymkniętymi oczami. – Swędzi mnie tam, gdzie wcześniej nic mnie nie swędziało. Jeżeli szukasz tej jedwabnej koszuli nocnej, tej ze smokami...”

– Smokami? – Catherine przerzucała wzrok z Garrena na Prawdomówcę; na jej twarzy nagle pojawiło się zrozumienie.

– „...zostawiłeś ją u mnie, ale nie przychodź po nią, bo wyrzuciłam ją do kibla...” – Prawdomówca skrzywił się. – Chyba miało być „kubła”. „Jeśli myślisz, że możesz tu przychodzić, kiedy tylko zechcesz, i owijać nogi wokół...”

– Dość! – ryknął Garren, jakby próbował zagłuszyć jasnowidza. – Nie słuchaj tego cholernego diabła o parszywym języku. – Przy słowie „cholerny” zająknął się. – Chodź, Catherine. – Ruszył w kierunku schodów i obejrzał się, by sprawdzić, czy dama idzie za nim. Nie szła. W zamyśleniu wpatrywała się w Prawdomówcę, który siedział rozluźniony, nie okazując żadnych emocji, osłaniając ramionami rozłożone na stole karty, jakby chciał je przed czymś ochronić.

Po chwili Catherine poruszyła się, jakby otrząsnęła się z pierwszego szoku wywołanego głębokim rozczarowaniem. Sięgnęła do torebki, wyjęła małą sakiewkę i rzuciła ją na stół, nawet nie przeliczywszy zawartości. Upadając, woreczek brzęknął głucho. Kobieta nie wyglądała na szczęśliwą, ale jak ktoś, komu udało się uniknąć nieszczęścia.

– Dziękuję, Prawdomówco – powiedziała powoli. – Zdaje się, że zaoszczędziłeś mi wiele łez. – Podniosła się z krzesła z dostojeństwem i odeszła wyprostowana ku schodom.

Chłopak zebrał karty i znowu je potasował wpatrzony przed siebie. Sakiewka już zniknęła. Destin usiadł na krześle, które zwolnił Garren.

Cały sceptycyzm Destina wyparował w zetknięciu z tym, co zaprezentował ten jasnowidz. Miejsce powątpiewania zajęła masa pytań.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał.

Chłopiec zwrócił na niego wzrok. Lekko się wzdrygnął, jakby się wystraszył. Opanował się jednak i powiedział:

– Jasnowidzenie to sztuka, nie nauka. Czasem nie widać nic, a czasem otrzymuje się bardzo... wyraźny... obraz. – Karty zniknęły już w jego rękawie i chłopiec wstał. – Za pozwoleniem, mój panie. – Ukłonił się i zaczął się odwracać.

– Czeka! – zawołał Destin. – Usiądź jeszcze na chwilę. Chcę się jeszcze czegoś dowiedzieć o tym... jasnowidzeniu.

Chłopak potrząsnął głową.

– Przykro mi, panie. Mój czas minął. Muszę się przespać. Pracuję w kopalni i zaczynamy bardzo wcześnie. – Uśmiechnął się przeproszająco. Naprawdę wyglądał, jakby ledwie trzymał się na nogach, jakby był wyczerpany z energii.

– Masz jutro wolne – powiedział Destin spokojnie. – Z mojego rozkazu. A teraz siadaj. – Wyciągnął rękę i chwycił chłopca za nadgarstek, tym razem uważając, by nie ścisnąć zbyt mocno i by nie wlać w niego mocy. Kości, które wyczuł pod palcami, były tak delikatne, że mógłby je łatwo złamać. Lyle opadł z powrotem na krzesło. Wszystkie ślady transu już zniknęły, jego twarz zrobiła się blada, jakby nagle zrozumiał, że jest w niebezpieczeństwie.

– Proszę, panie – szepnął. – Nie chciałem nikomu zaszkodzić. To tylko rozrywka, żeby przyciągnąć klientów, zarobić trochę. Zwrócę tej damie pieniądze, jeśli chcecie.

Destin nie puszczał ręki chłopca i bacznie się mu przyglądał. Lyle Prawdomówca nie miał charakterystycznej aury magii i Destin nie wyczuwał, by wypływała z niego moc.

– Myślę, że otrzymała za nie cenne informacje. Chociaż nie każdy zapłaciłby za takie wiadomości.

– No tak. – Lyle opuścił wzrok na blat stołu i w jednej chwili jakby oświetlenie sali przygasło. – Zdarza się. W tych czasach karanie za



mówienie prawdy nie jest niczym niezwykłym.

– Czy ta magia jest w kartach? – Destin lekko się pochylił. – Czy w tobie?

Lyle nie podniósł wzroku, ale pokręcił głową.

– Magia, mój panie? Nie chcę z tym mieć nic wspólnego. Kapłani mówią, że magowie to bałwochwálcy i diabły. – Chłopiec gwałtownie uniósł głowę i zarumienił się. – Nie chciałem was urazić, panie, ja...

– Czemu miałbyś mnie urazić? – Destin ściszył głos. – Uważasz, że jestem magiem?

Teraz Lyle zaczął się trząść.

– Przepraszam, panie, to było aroganckie z mojej strony. Przejęczyłem się. Wy... wy, panie, wyglądacie jak mag, to wszystko.

A więc chłopak nie był magiem, ale potrafił rozpoznać maga. Dziwne. Czy to część jego daru, tak jak jasnowidzenie? Destina zżerała ciekawość. Czy ten chłopak mógł mu się przydać do znalezienia dziewczyny z magicznym znakiem?

– Poruczniku. – Przy stoliku stanął krępy mężczyzna z białym fartuszkem na brzuchu. Klucze przy pasie oznaczały, że był właścicielem tej gospody. Jego twarz nosiła widoczne ślady upływu czasu, włosy miał siwe, lecz wyglądał na krzepkiego i wytrzymałego, jak stare drzewo. – Czy ten chłopiec się wam naprzykrza? – Spojrzał na palce Destina zaciśnięte wokół nadgarstka wrózbity. Destin puścił chłopca i usiadł wygodnie.

– Nie. W zasadzie nie. Chciałbym tylko, żeby przepowiedział mi przyszłość. Czy możemy skorzystać z sali na tyłach?

Oberżysta zeszywniał. Przerzucał wzrok z jasnowidza na Destina.

– Prowadzę tu uczciwy interes, panie, i dbam o pomocników. Nie pozwolę, by ktokolwiek wykorzystywał tego chłopca.

Destin uniósł obie ręce.

– Chcę tylko poznać przyszłość. Na osobności. Czy na to możecie pozwolić?

Oberżysta przyglądał się mu przez chwilę, jakby chciał się upewnić, po czym skinął głową z rezygnacją.

– Sala na tyłach jest wolna – oznajmił i wrócił do baru.

Wtedy odezwał się Lyle.

– Panie, proszę. To chyba nie jest dobry pomysł.

– Czemu nie? – Destin uśmiechnął się przyjaźnie, lecz Lyle tego nie zauważył, bo wzrok miał wbity w stół. – Przepowiedz mi przyszłość, a ja postawię ci kolację.

– Ja... ja nie mówię prawdy za kolację. Tylko za pieniądze. A to niebezpieczne dla kogoś takiego jak ja czytać z kart komuś takiemu jak wy.

Destin wyciągnął rękę i uniósł podbródek chłopca, tak by ten musiał spojrzeć mu w oczy.

– A to czemu?

Na skórze młodzieńca pojawiło się kilka piegów. Wróżbita wiercił się na krześle, przesunął językiem po bladych wargach.

– Może... może się wam nie spodobać to, co powiem. Mogę się pomylić, a wam może się to nie spodobać. Albo mogę mieć rację i to też może się wam nie spodobać. – Głos zaczął mu się łamać. – Nie chcę uzależniać mojego życia od zgadywania, co chcecie usłyszeć. – Zakrył sobie usta, jakby zapragnął cofnąć te słowa. – Oj, przepraszam – dodał tym swoim szepczącym głosem. – Czasem najpierw mówię, a potem myślę.

Destin uśmiechnął się.

– Darujmy sobie resztę. Bardziej od mojej przyszłości interesujesz mnie ty. Zadam ci tylko kilka pytań i możesz iść. Co ty na to?

Wyraz twarzy chłopaka mówił, że wcale mu się to nie podoba, ale szybko skinął głową i powiedział:

– Jak sobie życzycie.

Destin przeszedł za wróżbitą do tylnej sali i zamknął drzwi. Podszedł do stolika przy kominku, gdzie stały dwa krzesła. Usiadł plecami do paleniska, a chłopiec zajął miejsce naprzeciwko niego i obserwował go z nieufnością. Blask ognia wyostrzał kontury jego twarzy.

– A więc zaczynamy – powiedział Destin. Nie czekając na odpowiedź, chwycił obie dłonie Lyle’a. Uważał przy tym, by nie podrażnić swoją mocą jego skóry.

*Jeżeli chłopak jest magiem, wyczuję to w nim, myślał. Zazwyczaj jest coś...*

Uwolnił strumień mocy i pozwolił mu wypełnić rozmówcę. Następnie spróbował za pośrednictwem tej mocy dotrzeć do umysłu chłopca. Nie udało się. Spróbował jeszcze raz. Czuł się, jakby przeszukiwał puste pomieszczenie.

To było niezwykle, to uczucie, że moc wpływa w pustkę, nie gromadzi się, tylko jakimś sposobem się rozprasza. Przelatuje. Destin miał już doświadczenia z rzucaniem zaklęć na szkolonych magów, ale to było coś innego. W tamtych sytuacjach natykał się na barierę, osłonę, która zabraniała mu wstępu. Tutaj, kiedy patrzył w oczy chłopca, widział w nich pustkę. Twarz wróżbity była rozluźniona, jego oddech spokojny. Ten chłopak wyglądał, jakby rzucono na niego urok. Pewnie tak było. Większość ludzi nawet nie wiedziała, gdy ich to spotykało.

– Lyle? – zapytał Destin cicho, próbnie.

– Tak, panie? – Jego oczy były półprzymknięte, głowa lekko zwieszona.

– Jak się naprawdę nazywasz?

– Lyle Talbot.

– Nie Prawdomówca?

– Nie, panie.

– Jak długo wróżysz z kart?

– Rok.

– Szukam czegoś. Wiesz, co to jest?

– Tak, panie.

– Co to takiego?

– Dziewczyna.

– Skąd to wiesz?

– Bo sprowadzacie wszystkie kobiety i obserwujecie je. Czegoś szukacie. I to nie jest zaraza, panie.

– Wiesz, gdzie jest ta dziewczyna?

– Nie.

– Czy znajdziemy to, czego szukamy?

Lyle zmarszczył czoło.

– Nie wiem, panie.

– Czy masz w sobie magiczną moc?

Długie milczenie.

– Nie, panie.

– Czy karty mają magiczną moc?

Kolejne długie milczenie.

– Nie, panie. Ale ludzie chcą tak myśleć.

Destin, poirytowany, wydał przeciągłe westchnienie.

– Jak zrobiłeś to, co zrobiłeś z Garrenem i jego narzeczoną?

Lyle poruszył się niespokojnie. Jego dłonie zaczęły się pocić.

– Oni... rozmawiałem z nimi wcześniej i zgodzili się to odegrać. Czasami bogacze myślą, że odegranie takiej sceny to dobra zabawa. Zrobiłem to dla gapiów. To napędza klientów. Nie przypuszczałem, że podejście i będziecie słuchać.

– Czyli to było przedstawienie? – w głosie Destina słychać było rozczarowanie.

– Tak, panie. Jestem kuglarzem. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

Czy naprawdę liczył na to, że ten chłopak jest obdarzony mocą? Czy naprawdę tak bardzo chciał usłyszeć prawdę?

– Jak ma na imię moja matka? – Po chwili milczenia zapytał cicho.

– Nie wiem, panie. – Chłopak szybko potrząsnął głową. Za szybko.

– A jak ma na imię twoja matka? – burknął Destin.

– Moja mama? – Chłopak wyglądał na zbitego z tropu. – Frances. Miała na imię Frances.

– Co widzisz, kiedy patrzysz na mnie?

– Nie... nie wiem, ja...

Destin ścisnął go tak mocno, że twarz Lyle'a stała się biała jak papier i chłopiec krzyknął z bólu.

– Co widzisz?

– Widzę... widzę statek, panie. Wspinacie się po ożaglowaniu. I widzę plażę. Idziecie po plaży, trzymacie za rękę...

– Dość! – przerwał mu Destin. Powstrzymał przepływ mocy i puścił dłonie Lyle'a. Chłopak siedział z zamkniętymi oczami, drżąc. Destin przyglądał się mu uważnie, pocierając podbródek i analizując w myślach to, czego się dowiedział.

– Panie? Czy chcecie jeszcze o coś zapytać? Czy odpowiedziałem na wasze pytania? – Lyle wydawał się poruszony, niespokojny, jakby się bał, że popełnił ogromny błąd.

– Dobrze się spisałeś, Prawdomówco. Jestem zadowolony. Wracaj do swoich klientów.

Lyle siedział jeszcze chwilę, wpatrując się w Destina, jakby chciał coś dodać.

– Mówiłem, wynoś się!

Wróżbita wstał i powoli opuścił salę. Destin spoglądał za nim, stukając palcami po blacie.

*Zaczarowałem go, więc powinien mówić prawdę. A jednak kłamał, mieszał kłamstwa z prawdą.*

Jasnowidz twierdził, że nie zna imienia matki Destina. Ale zapytany o imię własnej matki, zająknął się i powiedział Frances.

Matka Destina nazywała się Frances.

Zastanawiał się. Chłopak był śmiertelnie przerażony i reagował na ból. Mógłby go sprowadzić z powrotem, zamknąć drzwi i użyć perswazji. Wystarczyłaby odrobina, żeby wydobyć z niego prawdę, jeśli jest czego się dowiadywać.

Widzę plażę. I statek...

Destin czuł zimną strużkę sunącą po kręgosłupie. Miał swoje sekrety, a nie wiadomo, co wyjawilby ten prawdomówca, gdyby go przycisnął. Pewne prawdy Destin chciał zachować w tajemnicy. Nie chciał być zmuszonym do zabicia tego chłopaka.

Młodzik nigdzie się nie wybierał, więc Destin miał dużo czasu na podjęcie decyzji, zanim wróci do Ardencourt. Może zostawi go w spokoju, pozwoli mu przechowywać te wszystkie skrywane tajemnice.

Teraz musiał podjąć decyzję. Wracać do Kufla i Jagnięcia? Nie. Wolał Łagodną Panią z wielu powodów, wliczając prywatną salkę na tyłach.

Kiedy wrócił do głównej sali, nadal było tam tłoczno, lecz Lyle Prawdomówca zniknął. Oberżysta wycierał stoliki. Podniósł głowę i wzdrygnął się na widok Destina.

– Czy chłopak przewidział wam przyszłość, panie? Zadowoleniście?

– Tak. Jest naprawdę niezwykły. Co o nim wiecie?

Oberżysta postawił tacę z kuflami na barze i obrócił się twarzą w stronę Destina.

– Pracuje we wszystkich gospodach w okolicy i zawsze przyciąga tłumy. Ale ma niewyparzony język i niektórzy twierdzą, że czasem posuwa się za daleko. Jeśli to was niepokoi, nie przyjmę go więcej.

– Wprost przeciwnie, uważam, że chłopak ma dar. Mam nadzieję, że go tu zatrzymacie. Wręcz nalegam. – Destin dał jasno do zrozumienia, że to jest rozkaz, a nie prośba.

Mężczyzna skinął głową i przestąpił z nogi na nogę.

– Jeśli takie jest wasze życzenie, dopilnuję tego.

– Jak się nazywacie?

– Will Hamlet, do usług.

– Will, jutro się tu wprowadzę. Przygotujcie mi jeden z najlepszych pokojów, z drzwiami zamykanymi na zamek, i oczywiście wyżywienie.

– Przykro mi, poruczniku – Will Hamlet obliznął wargi – ale w tej chwili nie ma wolnych miejsc...

– To wyrzucicie kogoś – rzekł Destin. – Zresztą i tak przez kilka tygodni będę potrzebował tego pomieszczenia na tyłach.

– Tej małej sali? A po co?

Destin wybaczył mu to pytanie, bo widział, że oberżysta jest niezwykle zdenerwowany.

– Zamierzam ściąć trochę włosów.



## POŻAR



Było późno. Tak późno, że ostatni z chłopców stajennych zagrzebał się już w sianie i spał. Ash pomagał w trudnym porodzie jednej z klaczy w stajniach wojskowych i dlatego wrócił dopiero teraz.

Minął tydzień, od kiedy uspił królewskiego ogiera. Chciał zrobić to sam – użył magicznej mocy do zatrzymania strumienia krwi płynącej główną tętnicą szyjną. Z tego, co wiedział, taka śmierć była bezbolesna, ale to wcale nie ułatwiało mu sprawy. To, że zabijanym był koń, wcale nie zmniejszało znaczenia tej tragedii. Ta sprawa była kolejnym dowodem na to, że w całych Siedmiu Królestwach nie ma takiego miejsca, do którego nie docierałoby zło spływające ze szczytu Imperium Ardeńskiego.

Choćby Ash przybierał najrozmaitsze postaci – Asha Hansona czy Adama Freemana – król Ardeny nigdy się nie zmieni. On nie przestanie zabijać, póki nie zniszczy linii Szarych Wilków.

Szczerze żałował, że nie pozwolił Taranowi zabić tego drania. Zrobiłby to, gdyby wtedy wiedział, z kim ma do czynienia, i gdyby to nie pociągało za sobą zagrożenia dla Bellamy'ego. Nie stać go było na marnowanie takich okazji.

Co teraz? Mógł zatruć rzekę, ale ona już i tak była cuchnącym ściekiem. Nikt nie czerpał stamtąd wody, jeśli miał inną możliwość. Mógł zatruć cysterny i studnie w pałacu, ale wtedy zmarłoby zbyt wiele osób, a nie byłoby gwarancji trafienia w cel. Próbował zobaczyć się z Merillem w infirmerii i ponownie nie został przyjęty. Zgłosił się do pracy w kuchni, lecz w pewien sposób stał się ofiarą własnego sukcesu: masztalerz Bellamy nie zgodził się na przeniesienie go.

Ktoś inny mógłby położyć się z lukiem na dachu i czekać na okazję, ale Ash nie był aż tak dobrym łucznikiem. On przywykł działać z bliska. Był gotów oddać życie w udanym zamachu, ale nie chciał stworzyć królowi możliwości dokończenia tego, co nie udało się w Oden's Ford.

Wyszedł na podwórze, by zaczerpnąć świeżego powietrza, zanim położy się spać. Było już blisko Przesilenia, a uciążliwy upał wcale nie słabł. Ash zatęsknił za chłodem wysokich gór, gdzie życie i śmierć niebezpiecznie się do siebie zbliżają. Czy w domu pada śnieg? Czy jego mama i siostra jeżdżą saniami?

Na stajennym podwórzu nie było nikogo poza Hamonem, nocnym piekarzem. Siedział na cembrowinie studni i popijał z bukłaka, który zawsze miał przy sobie. Właśnie zaczynał zmianę. Miał przygotować ciasto na chleb, który za kilka godzin znajdzie się na pałacowych stołach.

Ash do tej pory zamienił z Hamonem ledwie kilka słów, a mimo to czuł łączącą ich więź. Obaj byli samotnikami i lubili pracować w pojedynkę.

Nagle zobaczył szczupłą postać wyłaniającą się z twierdzy i idącą przez podwórze prosto do stajni. Z bliższej odległości widać było, że to chłopiec w wieku około dziesięciu lat, ubrany w proste bryczesy

i tunikę. W pasie przewiązany był zgrzebnym jutowym sznurkiem, a na stopach miał sandały.

Patrząc na niego, Ash wiedział, że czeka go jakaś praca, i pomyślał o cofnięciu się w cień, ale było już na to za późno.

– Hej! – zawołał chłopiec. – Gdzie znajdę uzdrowiciela, który pomaga masztalerzowi Bellamy’emu?

– To pewnie ja – odparł Ash, żałując, że nie może temu zaprzeczyć.

– Ty! – Chłopiec taksował go wzrokiem z wielką ciekawością. – A jak się nazywasz?

– Adam Freeman.

Chłopiec skinął głową.

– Zgadza się. To ciebie szukam – oznajmił. – Jestem Sam, pracuję przy psach. Zarządca psiarni przysłał mnie, żebym cię sprowadził.

– A to nie może poczekać do rana? Właśnie miałem się umyć i coś zjeść.

Sam wzruszył ramionami.

– Jak chcesz, ale jeśli ulubiony pies Jej Królewskiej Mości zdechnie przed świtem, ty będziesz winny, nie ja.

– Pies królowej? – Ash spojrzał na swoje bryczesy, ubabrane gnojem ze stajni, i na koszulę, z której wystawały żdźbła słomy i końskie włosie. – Jeśli jest tak źle, przyjdę, ale muszę się ogarnąć, zanim...

– Pies nie dba o to, jak wyglądasz – powiedział chłopak. – Jak masz iść, to chodź od razu. Ja też chcę zjeść kolację i iść spać.

*Może pies nie dba o mój wygląd, ale na pewno nie spodoba ma się mój zapach,* pomyślał Ash.

– Niech będzie. Wezmę tylko torbę.

Gdy wyszli ze stajni, Ash chciał skrócić w stronę królewskiej psiarni, lecz Sam poprowadził go prosto przez brukowany dziedziniec

do bocznych drzwi pałacu.

– Idziemy do pałacu? – zdziwił się Ash i znowu zaczął otrzępywać ubranie. – Myślałem, że do psiarni.

– Pies Jej Królewskiej Mości nie mieszka z innymi. – Chłopiec wywrócił oczami. – Nikt nas nie zobaczy, jeśli o to się martwisz. Dostaniemy się tam tylnym wejściem.

Choć miał coraz gorsze przeczucia, Ash szedł za chłopcem po schodach na górę i w dół, i dalej krętymi korytarzami pałacu. Kiedy mijali kuchnię, poczuł falę gorąca wydobywającą się z pieca. Zapewne Harmon przygotowywał wypieki na następny dzień.

Choć próbował zapamiętać drogę, już po kilku zakrętach całkiem stracił orientację. Sam dotrzymał słowa – prowadził go bocznymi przejściami, a nie głównymi korytarzami.

W końcu zeszli na poziom piwnicy, gdzie przywitały ich ściany z nierówno ciosanych kamieni, wilgoć, ciemność i chłód. Szli niczym w labiryncie, wąskimi przejściami, omijając liczne przeszkody i pomieszczenia magazynowe.

– Dokąd właściwie idziemy? – zapytał Ash, żałując, że się na to zgodził. – Chyba mi nie powiesz, że królowa trzyma swojego psa w piwnicy.

– Mówiłeś, że nie chcesz, żeby cię ktoś zobaczył, tak? – odparł Sam, okrążając kałużę na podłodze. – Jesteśmy pod dziedzińcem i wyjdziemy przy apartamentach królowej. To skrót.

Apartamenty królowej? Serce Asha zabiło mocniej. Czy możliwe, że będzie tam król?

W piwnicy pachniało stęchlizną, stojącą wodą i starymi kamieniami. Jedyne źródłem światła były pochodnie umieszczone w ścianach w dość dużych odstępach.

Po pierwszym porywie rozmowności Sam mówił niewiele, tylko raz na jakiś czas udzielał wskazówek co do kierunku. Wydawał się coraz bardziej zdenerwowany. Krzyknął, kiedy szczur szmyrgnął im pod nogami, podrywał się na każdy odgłos w ciemnościach. Gdy Ash dotknął jego ramienia, chłopak wzdrygnął się jak oparzony i wykonał znak Malthusa. Wkrótce Ashowi udzielił się ten niepokój. Sprawdził, czy ma przy sobie nóż, a potem chwycił za amulet, by zasilić go mocą.

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie przechowywano beczki, antałki i worki, ułożone niemal pod sam sufit. Były tam rzędy beczek ze smarem używanym do natłuszczania osi i kół wozów, zapasy żywności i nafty. Sam szedł pierwszy przez cały ten magazyn do drzwi na końcu.

– Chyba zabłądziłeś – powiedział Ash, gdy minęli wąską klatkę schodową.

– Nie zabłądziłem – odparł Sam zdecydowanie. – Jeszcze kawałek.

– Nie martw się – uspokajał go Ash – wróćmy na parter i zapytajmy kogoś.

– Nie, patrz, mam tu mapę. – Sam grzebał w woreczku przypiętym do paska.

– Skoro masz mapę, to czemu z niej nie korzystałeś? – zapytał Ash ze złością.

*Właśnie, czemu?*

Chłopiec obrócił się gwałtownie i zamachnął się na Asha, lecz ten zdążył odskoczyć. Coś zamigotało w powietrzu. Większość połyskującego proszku, który miał wylądować na twarzy Asha, przeleciała nad jego ramieniem. Kiedy resztki proszku sięgnęły jego policzków i oczu, Ash poczuł, jakby przypalano go pochodnią. Wrzasnął i zatoczył się. Pocierał dłońmi twarz i oczy, przez co zaczęły go piec ręce. Nagle

ogarnęły go mdłości, zawroty głowy, zupełnie stracił orientację, w oczach pojawiły się łzy. Gdy uchylił powieki, miał wrażenie, że patrzy w gęstą czarną mgłę. Nic nie widział.

– Zrobiłem to, Ojczy! – krzyknął Sam. – Cisnąłem mu to w twarz, tak jak kazaliście. Teraz dajcie mi zapłatę i znikam. Nie chcę patrzeć na zabijanie demona.

Ash usłyszał otwieranie i zamykanie drzwi na końcu korytarza. Szepotał tkaniny ocierającej się o kamień. Stłumiony krzyk i odgłos ciała uderzającego o posadzkę. *Oj, Sam – pomyślał – wziąłeś bezbożnika za świętego.*

Wyciągnął ręce na boki, by utrzymać równowagę, i poczuł miękkie drewno drzwi po obu stronach korytarza.

– No więc, magu, odebrałem ci wzrok – odezwał się cichy głos. – Zobaczymy, jak sobie poradzisz, gdy będę na ciebie polował w ciemnościach.

Ash czuł ten proszek w ustach, gardło i język piekły go, krztusił się, nie mógł złapać tchu. Po policzkach ciekły mu łzy i nic nie widział.

Cofał się, bo słyszał, że mężczyzna idzie w jego stronę, człapiąc sandałami.

– Co... co to jest? Co mi zrobiłeś?

– Kamień lorda Dariana – odparł głos z ciemności. – Drobnymi zmielony.

Ten sam, którego użyli asasyni w Oden's Ford. Kamień, który wysysał magię. To znaczyło, że ten mężczyzna musiał być kolejnym z darianów skrytobójców. Ash cofał się nieporadnie, desperacko próbując wymyślić jakiś plan.

– Podetnę ci gardło, magu – rzekł darianin cicho, swobodnie, jakby chciał rozproszyć ewentualne wątpliwości Asha co do swoich zamia-

rów. – Oczyszczę cię z brudu i przyjmę sakrament.

Ash chwycił za amulet, wyciągnął drugą rękę i spróbował posłać w stronę napastnika wiązkę płomieni. Nie miał pojęcia, czy mu się to udało.

– Tylko na tyle cię stać? – Głos darianina był coraz bliżej.

Ash wyciągnął nóż.

Kiedy przestał wyczuwać ściany po bokach, wiedział, że znalazł się w dużym magazynie. Obrócił się i rzucił do ucieczki z wyciągniętymi przed siebie rękami. Obijał się kolanami i biodrami o beczki i pojemniki, pokonując ten swoisty tor przeszkód, który miał przed sobą. Poruszał się, jak najszybciej mógł, z nadzieją, że oddali się od ścigającego go mężczyzny przynajmniej na chwilę. Wiedział, że jego jedyną szansą jest wydostanie się na parter i że jeśli szybko nie znajdzie schodów, darianin go dopadnie. Z kolei jeżeli mnich wyjdzie za nim z piwnicy, tożsamość Asha zostanie ujawniona.

Skręcił za róg i wsunął się w szczelinę, którą wymacał między czymś, co uznał za beczki. Opadł na posadzkę z nadzieją, że nie zostanie zauważony.

– Sądziś, że się przede mną ukryjesz, demonie? Znajdę cię po zapachu. Wyczułem ten twój smród już kilka razy na dziedzińcu, ale nie mogłem cię znaleźć. – Głos był coraz bliżej. – Zamordowałeś pięciu moich braci w Oden's Ford. Teraz poczujesz ostrze Świętego Dariusza.

*Mów dalej, nie przestawaj, myślał Ash. Dzięki temu wiem, gdzie jesteś.* Wtedy asasyn zamilkł, jakby przejrzał intencje przeciwnika.

Chłopiec pomachał sobie palcami przed nosem, lecz ich nie zobaczył. Wciąż czuł piekący ból w ustach, nosie, skroniach i wciąż odczuwał zawroty głowy. Przy każdym wdechu miał wrażenie, że wprowa-

dza do płuc ogień. Nie było mowy o użyciu mocy, skoro nawet nie widział napastnika. Zanosił się na to, że zginie, zanim się zorientuje. Poznał już w Oden's Ford działanie kamienia darianów, liczył się więc z tym, że może nie mieć już żadnej mocy poza tą zgromadzoną w amulecie. Nie chciał jej zmarnować.

Nic nie widział i nie słyszał, choć miał świadomość, że mężczyzna się zbliża. Czuł, jak ogarnia go panika, jak ciemności odbierają mu dech. Po całym ciele rozchodziło się mrowienie, każdy nerw wrzeszczał, spodziewając się dotknięcia zimnego ostrza. Zmusił się do oddychania powoli. Zebrał myśli.

Wtem przypomniał sobie, w jaki sposób wyczuł obecność asasynów w Oden's Ford. Nie widział ich w ciemnościach, ale wyczuwał ich głód. Odetchnął i spróbował się uspokoić. Ścisnął amulet i wysłał swoją moc na poszukiwanie mężczyzny ogarniętego żądzą krwi. W jego umyśle pojawił się obraz, jasna postać na tle ciemności. Kapłan znajdował się o kilkanaście kroków od Asha i powoli szedł w jego stronę, obracając głową na boki, jakby węszył w powietrzu. Ash nie widział nic więcej, ale mógł w przybliżeniu określić położenie napastnika.

Ścisnął nóż w dłoni, chociaż zdawał sobie sprawę, że jako ślepiec nie miał dużych szans w walce na noże. Musiał liczyć na to, że wystarczy mu mocy, by pokonać tego kapłana. Póki mnich żył, mógł zdradzić prawdziwą tożsamość Asha.

Począł, aż jasna sylwetka mężczyzny znalazła się dokładnie na wprost. Asasyn za moment miał skrócić i zobaczyć swoją ofiarę. Ash chwycił za amulet i wysunął rękę, z której – miał nadzieję – wystrzeliła wiązka płomieni. Ciemność przed jego oczami na moment się rozjaśniła. Rozległ się wrzask bólu, potem dźwięk upadania cze-



goś ciężkiego. Ash nie czekał dłużej. Zerwał się, okrążył leżącego mężczyznę i chwiejnym krokiem ruszył przez magazyn. Jeśli rzeczywiście byli pod kuchnią, to na końcu powinny znajdować się schody.

Znowu usłyszał za sobą jakiś ruch i znowu odezwał się głos kapłana, tym razem nasycony bólem i złością.

– Za to, co zrobiłeś, będę cię zabijał powoli i wypijał twoją krew wiele razy, zanim wyzioniesz ducha. Urządzimy tu sobie nadzwyczajną ceremonię.

Mężczyzna nadal szedł za nim, lecz posuwał się wolniej, jakby był ranny. Ash popchnął kilka beczek, tak by spadły na przejście i zagroziły drogę mnichowi. Skręcił jak najdalej w lewo i dotarł do ściany. Dalej szedł wzdłuż muru, z nadzieją, że natrafi na schody. Widział w umyśle zarys ścigającej go postaci, pałającej wściekłością i żądzą. Wyczuł pod palcami niewielki antałek umieszczony na beczce, uniósł go i rzucił za siebie, by zahamować pościg. Pojemnik roztrzaskał się na kamiennej posadzce, ochlapując Ashowi kostki. Jednocześnie w powietrze wzbil się ostry odór nafty.

W końcu dłoń, którą Ash obmacywał ścianę, natrafiła na pustą przestrzeń. Wiedział, że znalazł wyjście. Rzucił się w głąb. Schody powinny być gdzieś po lewej stronie korytarza. Chyba że całkowicie stracił orientację. Jeśli tak, to już był martwy.

W korytarzu nie było tyle przeszkód, ile w magazynach, więc Ash posuwał się szybciej, wciąż obmacując ścianę. W pewnym momencie znowu natrafił na otwór. Gdy wszedł w ten korytarz, coś przemknęło mu koło ucha i brzęknęło w zetknięciu z posadzką przed nim. Wzdrygnął się, lecz nie był pewien, w którą stronę uskoczyć. Wtedy wyczuł nogą stopień. Przed nim były schody.

Rzucił się biegiem w górę – częściowo szedł, częściowo się czołgał, bojąc się, że nieuważny krok odeśle go w objęcia asasy. Ten deptał mu po piętach, Ash słyszał za sobą jego oddech. Nagle coś drasnęło go w kostkę. Poczul gwałtowny ból. Darianin próbował przeciąć mu ścięgno, by Ash nie mógł uciekać, a może wciąż miał nadzieję, że zada mu długą i bolesną śmierć. Ash kopnął mocno i poczul pod stopą chrzęst miażdżonej kości. Obrócił się i wyciągnął przed siebie nóż. Kapłan wrzasnął, ale Ash nie czekał na nic, tylko wspinał się dalej, sapiąc ciężko, aż dotarł na szczyt schodów.

Ciemność przed oczami zdawała się nieco rozjaśniać, dookoła poczul suche ciepło z pieców. Musiał być w kuchni.

Zawadził ręką o jakiś wysoki drewniany pojemnik z okrągłym wgiętym wierzchem. Kolejna beczka. Widocznie ktoś wniósł ją po schodach, ale już nie zadał sobie trudu, żeby dostarczyć ją tam, gdzie miała zostać użyta. Ash chwycił za jej górną część i ustawił beczkę nad schodami. Popchnął i usłyszał, jak toczy się po stopniach. Asasyn krzyknął, a zaraz potem, gdy beczka uderzyła w kamienną posadzkę u podnóża schodów, rozległ się odgłos wybuchu. W ślad za beczką Ash posłał jeszcze kule czarodziejskiego ognia, a w każdym razie miał taką nadzieję.

Usłyszał gwałtowny świst, jakby wokół niego odsysano powietrze. Nagle zrobiło się piekielnie gorąco. Ash rzucił się w kierunku, w którym miał nadzieję znaleźć wyjście.

Drzwi były otwarte, żeby część kuchennego żaru wydostawała się na zewnątrz, i fala chłodnego powietrza wskazała mu drogę. Przekroczył próg i poczul pod stopami piach i kamienie. Przed nim, na podwórzu powinna być studnia. Choć zdawał sobie sprawę, że nie powinien się zatrzymywać, tylko uciekać jak najdalej od ścigającego go za-

bójcy, to jednak najpierw musiał zmyć z twarzy ten okropny pył i liczyć na to, że nie jest za późno. Słyszał o ślepych uzdrowicielach, którzy używali jedynie mocy, ale nie chciał stać się jednym z nich.

Omiał nie potknął się o niską cembrowinę studni. Zawsze stało tu wiadro z wodą i naczynie z tykwy, żeby każdy mógł się napić. Szukał ich po omacku obiema rękami, a kiedy znalazł, opadł na kolana, chwycił wiadro z obu stron i zanurzył w nim głowę.

Woda była bardzo zimna i Ash niemal natychmiast poczuł ulgę, choć oczy i policzki nie przestawały go piec. Pocierał twarz dłońmi, przemywał kilka razy, otwierając oczy, by wypłukać z nich piekący proszek. W końcu podniósł głowę.

Strugi wody spływały mu z włosów ku szyi, zalewając oczy. Mimo to coś widział. Rozróżniał zarysy budynków otaczających dziedziniec, widział krwawą mgiełkę wokół pochodni na ścianach. Z uczuciem ulgi ponownie zanurzył twarz.

Raczej poczuł, niż usłyszał, coś w rodzaju wstrząsu pod stopami, i po chwili znów to samo. Usiadł na piętach, otrzepał głowę jak pies, roztrącając wodę na wszystkie strony, i spojrzał za siebie, w kierunku pałacu, akurat w momencie kiedy jedna ze ścian kuchni powoli się zawaliła. W pierwszej chwili – mając świeżo w pamięci zdarzenia z piwnicy – pomyślał, że to dzieło darianina szukającego zemsty.

Zaraz jednak zrozumiał, co się dzieje. Przypomniał sobie wszystkie te beczki w piwnicy, beczkę, którą zrzucił ze schodów, i magiczny płomień, którym atakował napastnika. Gdy zobaczył jaskrawy ogień w kuchennych oknach, wiedział, że to jego dzieło.

Nagle w drzwiach kuchni pojawiła się jakaś postać – ciemna sylwetka na tle rozgorzałej jasności. *To niemożliwe*, pomyślał Ash. *Czyżby tego kapłana nie dało się zabić?* Podniósł metalowy pręt leżący obok

studni i mocno zacisnął na nim palce. Teraz przynajmniej widział, kto go ściga, i miał coś, czym mógł odpowiedzieć na cios noża. Rzucił się w kierunku mężczyzny.

Ten nagle zachwiał się i upadł na twarz. Po jego plecach pełzały płomienie. Miał na sobie fartuch kucharza, a nie sukmanę kapłana. To był Hamon, nocny piekarz.

Ash upuścił pręt i skoczył ku płonącemu. Kiedy dobiegł do Hamona, odwrócił twarz od ognia, wsunął ręce pod bezwładne ciało i przeturlał je na plecy. Hamon zawył z bólu, ale przestał się palić. Ash podniósł głowę i zobaczył stojącego nad nimi Rolleya, pogrążonego w milczącym szoku.

– Wody, szybko! – Ash obrócił piekarza z powrotem na brzuch i zrywał z jego pleców zwęglone pasma ubrania. Po bruku potoczył się buklak Hamona. Widocznie chłopak spał gdzieś w kącie w chwili wybuchu pożaru.

Prawie cała tkanina na plecach spłonęła, ciało pod ubraniem też było poparzone, miejscami czarne, miejscami różowe, jak źle upieczony rostbef. Rolley już czekał z wiadrem wody. Ash wyrwał mu je z rąk i zalał obsypane pęcherzami plecy Hamona. Kucharz wrzasnął, po czym zwisł bezwładnie i zamilkł, co Ash przyjął z ulgą. Rolley znowu pobiegł po wodę, podczas gdy Ash zmagał się z samym sobą.

Najchętniej teraz by zniknął. Nie miał pojęcia, czy asasyn przeżył, czy nie. Jeśli przeżył, to zdradzi jego tożsamość. Jeżeli zacznie mówić, Ash nie wydobędzie się z miasta żywy.

Nie wiedział też, co piekarz mógł zobaczyć i co później opowie. Jednocześnie miał świadomość, że ten pożar to jego wina i że Hamon umrze, jeśli nie uzyska pomocy. Rolley także widział Asha i zadawałby pytania, gdyby ten zniknął.

Wyglądało na to, że nie miał wyboru.

Przykucnął przy głowie Hamona, położył mu dłoń na ramieniu, w miejscu gdzie zachował się nieuszkodzony fragment skóry. Drugą ręką ujął amulet. Miał nadzieję, że opóźnione działanie kamienia darianów nie przeszkodzi mu w tym, co musiał zrobić. Leczenie ciężkich ran było nie tyle kwestią wydzielania mocy, ile wchłaniania bólu i schorzeń w ciało uzdrowiciela. Zamknął oczy, skoncentrował się, odszukał źródło bólu, objął je, powstrzymał przepływ płynów w nieodpowiednie miejsca, zmienił ich bieg, odnalazł świadczące o urazach przerwy w ciągłości, zaczął odbudowywać połączenia. Było to uzdrawianie od samych podstaw, bez żadnych narzędzi, stosowane przez uzdrowicieli obdarzonych mocą.

Czas mijał. Ash się nie ruszał, nieświadomy zamieszania, jakie rozgorzało wokół. Ludzie krzyczeli, nosili wodę ze studni, gasili pożar. Później raczej wyczuł, niż zobaczył, jakąś grupę, która mu się przyglądała, ale nie otwierał oczu. Hamon robił, co mógł, by pozbyć się zniszczeń w swoim ciele. Ash wiedział, że jeśli się zdekongcentruje i straci panowanie nad pacjentem, nie sprowadzi go z powrotem.

W końcu wyczuł, że nie ma już bólu i uszkodzeń, które musiałby wchłaniać, a Hamon wydawał się znowu bezpiecznie osadzony w swoim ciele. Ash zadrżał, puścił pacjenta, opadł na pięty i otworzył oczy.

Plecy piekarza były jaskraworóżowe jak skóra zbyt długo wystawiona na słońce, lecz pęcherze i zwęglone połacie zniknęły. Oddychał powoli i równomiernie, jakby spał.

Blask i żar ognia osłabły. Ash zauważył, że wciąż otacza go tłum ludzi. Bez podnoszenia głowy widział drogie eleganckie pantofle i solidne żołnierskie buty.

– Dobra robota, uzdrowicielu. Właściwie cud. – Ten głos dobiegł zza jego pleców. – Zastanawia mnie tylko, czemu do tej pory nigdy się nie spotkaliśmy.

Ash obrócił się i podniósł wzrok. Spoglądał w zimne niebieskie oczy króla Ardeny.

## UCIECZKA Z DELPHI



Przez ponad miesiąc polowań i strzyżenia włosów ciągle od nowa wracały do Destina słowa króla Gerarda. „Może szukali miejsca, żeby się ukryć. Delphi idealnie się do tego nadaje, nie sądzisz?”

Jak na razie wszystko zdawało się to potwierdzać. Miesiąc łaskawego traktowania, który podarował mieszkańcom, dobiegł końca. Destin przeniósł swoją działalność na stałe do Łaskawej Pani. Jego strażnicy dokładnie przeczesywali miasto, tak że teraz już prawie niemożliwe było spotkanie na ulicy kobiety z długimi włosami. Jeśli już taką znaleźli, nie czekało jej nic miłego. Nikt nie mógł twierdzić, że nie znał rozporządzenia. Każda nieostrzyżona kobieta była traktowana jak ktoś, kto umyślnie nie wykonuje królewskich rozkazów.

Rozpoczęto przeszukiwanie domów. Zajmowało to dużo czasu. W niektórych dzielnicach w mieszkaniach przeznaczonych dla jednej rodziny mieszkało ich pięć. Na małych działkach stało po kilka chwiejnych budynków, których najemcy zmieniali się co noc albo nocowali na zmianę.

Przeszukań dokonywano o każdej porze, gdyż mieszkańcy Delphi pracowali po wiele godzin, w dzień i w nocy. Najskuteczniejsze były

rewizje nocne, ponieważ zaskakiwano ludzi w łóżkach i bez nakryć głowy, w każdym razie tych, którzy mieli czym ogrzać mieszkania. Gdy gwardziści znajdowali kogoś, kto potrzebował strzyżenia, obcinali włosy na miejscu. Najczęściej byli to chorzy (choć nie na wiadomą zarazę), inwalidzi, staruszki i inni prości ludzie. Chwymano także bezdomnych i ich też strzyżono. W ich włosach akurat rzeczywiście były insekty.

Destinowi nie zależało na wtrącaniu ludzi za kraty. Więzienia już i tak pękały w szwach, jego celem było przebadanie każdego i odesłanie z powrotem do pracy. Kilka osób, które nie poddały się wymaganym procedurom, wykorzystał jako przykład dla innych. Parę dni aresztu – jeśli uda im się przeżyć – powinno wystarczyć, by zasiać powszechny strach. Zresztą ludzie Clermonta przeszukiwali także więzienia, bo przecież dziewczyna niezależnie od wszystkiego mogła wdać się w konflikt z prawem. To dopiero byłaby ironia losu. Jednak w więzieniu też jej nie znaleziono.

Destin przeprowadził się do pokoju na piętrze Łaskawej Pani, dzięki czemu mógł odpocząć od Clermonta i jego gawrońców. Lyle Talbot Prawdomówca wciąż pracował w gospodzie raz lub dwa razy w tygodniu. Na razie Destin dał mu spokój. Chłopak unikał porucznika, jak tylko mógł, choć starał się tego nie okazywać. Był blady, wycofany, niespokojny jak ptak na chybotliwej gałęzi.

Pogoda się nie poprawiała. Huczący wiatr zdmuchiwał wszystko, co nie było przymocowane, rozrzucił śnieg, w jednych miejscach tworząc zasy sięgające dachów, a w innych wymiatając biały pył do czysta. W mieście brakowało już miejsc na gromadzenie śniegu, który starano się usuwać z dróg. Zalegający śnieg nie topniał, tylko odrobinę się kurczył pod ciężarem kolejnych warstw. Świeży nato-



miast szybko zamieniał się w zapiaszczoną szarą maź. Destin codziennie przeklinał poszukiwaną dziewczynę, na wypadek gdyby żyła i była podatna na klątwy.

Niewielu podróżnych przybywało do Delphi, tak jak i niewielu prosiło o zezwolenie na wyjazd, co było bardziej zdumiewające.

Pewnego wieczoru Destin siedział w dużej sali Łaskawej Pani. Skończył właśnie kolację i zaczął pić drugie piwo. Była to jedna z tych ponurych chwil, w których zastanawiał się, czy kiedyś uda mu się opuścić to miasto. Musiał znaleźć tę dziewczynę, gdziekolwiek była, albo stworzyć sobie nowy plan na życie. Nawet gdyby miało ono być bardzo krótkie.

Tego dnia gospoda świeciła pustkami. Pogoda była paskudna, do dnia wypłaty jeszcze daleko. Lyle zrobił sobie przerwę i jadł w kącie kolację. Siedział plecami do sali, żeby zniechęcać możliwych intruzów. Kiedy sala była pełna, Lyle rzadko się posilał, bo nie miał na to czasu. Ale kiedy był spokój, Will Hamlet czasami podsunął mu miskę duszonki albo placek z mięsem.

Był tu też Clermont, bo jego ludzie poszukiwali nieostrzyżonych kobiet w okolicy. Siedział ponury w kącie, pochylony nad czwartym piwem. Dwaj gwardziści, Hartigan i Virdenne, zajmowali stolik z tyłu. Byli to najlepsi z wybranych przez Destina fryzjerów.

Destin właśnie się zastanawiał, czy pić kolejne piwo, kiedy wejściowymi drzwiami wszedł jakiś mężczyzna, klnąc pod nosem i głośno uskarżając się na pogodę. Zatrzymał się zaraz za progiem i energicznie otrzepał buty ze śniegu. W zetknięciu z ciepłem bijącym od pieca śnieg natychmiast zamienił się w błotnistą kałużę. Przybysz był owinięty ogromną wełnianą peleryną, z której wypłatał się dopiero po kilku obrotach; następnie zdjął kapelusz, rękawiczki i gruby szal.

Ciężkiej budowy, z rumianą twarzą – jeden z tych, którzy gdziekolwiek się znajdują, samą swoją obecnością prowokują kłopoty. Destin obrzucił go gniewnym spojrzeniem sponad swojego kufla. Mężczyzna miał ze sobą futerał z jakimś instrumentem, który ostrożnie położył na barze.

– Will Hamlet! – zawołał radośnie. – Co u ciebie po tylu latach?

Will podniósł głowę znad baru, który akurat wycierał.

– Czy my się znamy? – zapytał niepewnie.

– Jak to, jestem Hamish Fry. Skrzypek i bajarz o uznanej reputacji. Grałem dla ciebie jakieś dziesięć lat temu. Naprawdę ściągałem klientów, chyba pamiętasz. Pomyślałem, że może znowu przyda ci się trochę rozrywki. – Rozejrzał się po niemal pustej sali. – Zdaje się, że można by rozweselić to miejsce.

Will wzruszył ramionami.

– Nie narzekam na brak gości ostatnimi czasy. Mamy wróżbitę, jest lubiany. – Wskazał głową Lyle’a wciąż zwróconego do ściany.

– Nie gadaj – rzekł Hamish Fry. – Jakoś nie widzę przy nim klientów – dorzucił głośno, jakby chciał sprowokować Lyle’a do wstania. Nic jednak nie wskórał, oparł się więc o bar i zamówił piwo. – Nie widzę, żeby w Delphi coś się zmieniło na lepsze – westchnął. Wypił duży łyk i otarł usta wierzchem dłoni. – Nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie miał kłopotów na Południu.

*Co za głupiec, pomyślał Destin. Pewnie jest poszukiwany za złamanie prawa, i tak bezmyślnie rozgłasza to w publicznym miejscu. Ciekawe, czy zauważył Clermonta siedzącego w kącie. Chyba nie. Komendant miał na sobie pelerynę zasłaniającą mundur, bo widocznie było mu zimno.*

– Wiesz co, jednego mi tu brakuje – powiedział Fry z szerokim uśmiechem. – Najlepszej rzeczy w Delphi. Gdzie jest ta twoja córka, Will? Ładniutka była, jak pamiętam. Siadywała cicho i słuchała moich opowieści. Założę się, że teraz wszyscy się za nią oglądają.

Córka? Will nie wspominał, że ma córkę. Destin podniósł głowę, by spojrzeć na oberżystę. Ten spokojnie polerował kufel, lecz z jego twarzy odpłynęła cała krew. Po długim milczeniu powiedział.

– Zmarła. Cztery lata temu.

– Zmarła? – Fry powtórzył zaskoczony. – A to szkoda. Jak się to stało?

Will rzucił spojrzenie w kierunku Destina i oblizał wargi, jakby obecność porucznika powodowała u niego nerwowość.

– Coś się stało w kopalni – powiedział w końcu. – Kilka osób zginęło, i ona też.

Zachowanie oberżysty było dziwne. Jeżeli jego córka zmarła cztery lata temu, to powinien już przywyknąć do pytań o nią. Chyba że wplątała się w coś, w co nie powinna. Czy cztery lata temu była tu jakaś rebelia albo zamieszki?

– Jak miała na imię?

– Imię? – Will cały czas polerował ten sam kufel.

– Twojej córki. Zwykle nie zapominam imion i twarzy. Taki mam dar. Ale nie mogę sobie przypomnieć... Jacie? Janet? – Fry zmarszczył brwi, co świadczyło o głębokim namyśle.

Will wpatrywał się w niego, kręcąc głową, zszokowany.

– Nie mów, że zapomniałeś imienia własnej córki – upierał się Fry, jakby nie dostrzegając reakcji oberżysty.

Wtedy Destin poderwał się od stolika i podszedł do baru.

– Will – powiedział przyjacielskim tonem. – Nie wiedziałem, że miałaś córkę. – Wyczuł bardziej, niż zauważył, że Clermont także się przysuwa, zataczając luk, tak że zachodzili mężczyznę z dwóch przeciwnych kierunków.

Will nie patrzył już na Hamisha Frya. Jego wzrok był wbity w Destina.

– Nie lubię o niej mówić. Ona... została zabita – powtórzył z rozpaczą. – Nie żyje.

– Przykro mi – odparł Destin. – Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej. Mógłbym zadać ci kilka pytań? – Skinął głową w kierunku zaciszniejszego miejsca w sali. – Chodźmy tam. Porozmawiamy o niej przy piwie. – Wyciągnął rękę, by położyć ją na ramieniu Willa, ale oberżysta gwałtownie się cofnął i potrząsnął głową.

– Jenna! Miała na imię Jenna – zawołał Fry triumfalnie. – Nigdy nie zapominał imion. – Dopiero wtedy ze zdumieniem zauważył trzech mężczyzn otaczających bar.

– Nie chcemy zrobić jej krzywdy, Will – powiedział Destin. – Chcemy tylko ją znaleźć.

– Nie! – krzyknął oberżysta dziko, rozglądając się za drogą ucieczki. Destin usłyszał świst miecza wyjmowanego z pochwy przez Clermonta.

– Nie, Clermont, nie zrańcie go! – zawołał. – Musimy z nim porozmawiać. – Chciał dotknąć Willa Hamleta, żeby użyć mocy. Gdyby nim zawładnął, szybko dowiedzieliby się tego, co musieli wiedzieć. Will jednak nie spuszczał wzroku z Destina. Zdawał się bardziej bać pustych rąk Destina niż uzbrojonego Clermonta.

*On wie, że jestem magiem, pomyślał Destin. Boi się pytań z użyciem mocy.*

Will obejrzał się przez ramię i rzucił się w stronę drzwi. Clermont zagroził mu drogę mieczem, chcąc go zawrócić. Oberżysta zawahał się, a potem z krzykiem skoczył naprzód, chwycił zaskoczonego Clermonta za barki i nabił się na jego miecz tak głęboko, że dzieliły ich zaledwie centymetry. Przez chwilę stali tak twarzą w twarz, gwardzista i właściciel gospody, po czym Will osunął się na podłogę, a Clermont, klnąc, wyciągnął z niego miecz.

Potem nastąpiło prawdziwe pandemonium. Ktoś krzyczał, Destin i Clermont przeklinali, a Hamish Fry pisał histerycznie.

Tylko Lyle zachował spokój. Wstał, jakby był w transie, i z przerażeniem na twarzy wpatrywał się w leżące ciało.

– Lyle! Szybko, chłopcze, znajdź uzdrowiciela! – rozkazał Destin, chociaż widać było, że już na to za późno.

Lyle jednak nie pobiegł po uzdrowiciela. Opadł na kolana obok oberżysty, objął głowę Willa rękami i wydał piskliwy żalospny jęk, pierwotny zwierzęcy okrzyk żalu po czymś utraconym, i to utraconym na zawsze. Ten głos w jakiś sposób do niego nie pasował. Nagle Lyle podniósł wzrok na Clermonta, błysnął złotymi oczami, pałającymi bólem i wściekłością. Wsunął rękę pod kaftan i wydobyl coś lśniącego.

Sztylet. Kształt tego ostrza poruszył jakąś strunę w pamięci Destina.

Chłopiec rzucił się na Clermonta i powalił tego znacznie większego od siebie mężczyznę na ziemię. Ostrze uniosło się i opadło dwa razy. Prawdomówca cofnął się i spojrzał wyzywająco na Destina. Obrócił nóż, objął trzonek obiema dłońmi i zanurzył ostrze we własnej piersi.

– Lyle! Nie! – Destin chwycił chłopca za nadgarstki i ścisnął tak mocno, że sztylet upadł na podłogę. Smoczy trzonek wysadzany granatami i rubinami, ostrze umazane krwią.

Nagle Destin uzmysłowił sobie, gdzie widział taki sztylet. Teraz zadziały odruchy. Jego umysł wciąż próbował to zrozumieć, pojąć, dlaczego chłopak był tak wstrząśnięty śmiercią oberżysty, który traktował go niewiele lepiej niż obojętnie. Dlaczego wróżbita nosił sztylet inkrustowany klejnotami, taki, jakie nosili zaprzysiężeni krwią kartezyjańscy strażnicy? Czyżby ten jasnowidz pracował dla Cele i samodzielnie szukał tej dziewczyny? Czy to wyjaśniało jego niezwykłą magiczną moc?

Nagle zrozumiał.

Najpierw sięgnął do dziwnego aksamitnego nakrycia głowy i pociągnął. Kapelusz był mocno przypięty szpilkami. Destin musiał szarpać kilka razy, nim udało mu się go zerwać. Wtedy jego oczom ukazał się ściśnięty kłęb włosów. Wsunął w nie palce i rozczochrał; spinki brzęknęły o podłogę, a włosy opadły w formie gęstego warkocza, o wiele za długiego dla kogokolwiek w Delphi w tych czasach.

Kiedy odsunął go na bok, zobaczył nieomal czarną szyję, umazaną węglem lub pyłem węglowym. Pomysłowe rozwiązanie. Splunął sobie w dłoń i energicznie roztarł ten brud. Po chwili pod samą linią włosów zaczęła się wyłaniać lśniąca złota pajęczyna z oszlifowanym kamieniem pośrodku, zanurzonym pod skórą. Magiczny znak.

– Clermont! – krzyknął zachrypłym głosem. – To ona! – Gdy nie otrzymał odpowiedzi, spojrział w miejsce, w którym kapitan leżał na plecach w kałuży krwi.

Hartigan, kucający przy nim, potrząsnął głową.

– Odszedł.

*Szkoda, pomyślał Destin, sam chciałem zabić tego drania.*

– Wyprowadźcie wszystkich i zamknijcie drzwi – rozkazał. Delikatnie obrócił dziewczynę. Oddychała ciężko, jej złote oczy utkwione

były w twarzy Destina, jakby chciały ją zapamiętać.

– Idź do Niszczyciela, draniu bez serca! – szepnęła. – Spóźniłeś się.

Nie! Destin rozdarł jej pelerynę i lnianą koszulę, by dostać się do rany. Ostrze weszło pod samą klatkę piersiową i pod dziewczyną szybko pojawiła się kałuża krwi. Przyłożył ucho do jej piersi, nasłuchując charkotu, który świadczyłby o tym, że przebiła sobie płuco. Jej oddech go nie niepokoił, lecz ciało wokół rozcięcia było zimne, co mógł wyczuć tylko mag.

Strach zmroził mu krew w żyłach. Nie udało mu się schwytać jej całej i zdrowej, choć tak mu na tym zależało. Co gorsza, jeżeli prawdą było to, co słyszał o zaprzysiężonych krwią ostrzach, to już było po niej.

Teraz musiał rozstrzygnąć: pozwolić jej umrzeć czy poruszyć niebo i ziemię, by ją uratować? Przed jej śmiercią musiał poznać odpowiedzi na kilka pytań.

Złapał za poły jej peleryny i unióś ją o kilka centymetrów nad ziemię.

– Co to znaczy... ten magiczny znak na twojej szyi? Co on oznacza?

– Ty mi powiedz – szepnęła. – Ja nie wiem. – Zatrzepotała powiekami i straciła przytomność.

– Kim jesteś? – warknął. Miał wielką ochotę mocno nią potrząsnąć.

– Czemu Celestyna cię szuka? Czego od ciebie chce? – Odpowiedź, gdyby ją uzyskał, pomogłaby mu podjąć decyzję.

Nie doczekał się jednak. Ponieważ nie umiał wskrzeszać martwych, a król oczekiwał od niego rezultatów, musiał ją ratować.

Chociaż był magiem, Destin nie znał się na uzdrawianiu. Nigdy nie miał okazji rozwinąć tej umiejętności. A nikomu w Delphi nie ufał na tyle, by powierzyć mu tę dziewczynę.

Musiał zawieźć ją do Ardencourt. Jeśli ktokolwiek był w stanie jej pomóc, to tylko tamtejsi uzdrowiciele.

Podniósł wzrok na Virdenne'a i Hartigana czekających na jego rozkazy.

– Będę potrzebował powozu z zaprzęgiem, jak najszybciej. Do tego zapasów na tydzień podróży. I tuzin mężczyzn gotowych do drogi. – Mówiąc te słowa, zdawał sobie sprawę, że jeżeli podróż do Ardencourt potrwa tydzień, to dowiezie do celu tylko martwe ciało.



## ASH SPOTYKA KRÓLA



Ciało Asha wygięło się w przód niczym łuk i dotknęło czołem ziemi. Po chwili Montaigne coś powiedział i zaraz gawrońce chwycili uzdrowiciela pod pachy i podnieśli do pionu, obracając go twarzą do monarchy. Nie mógł ustać na nogach bez pomocy. Był słaby, dezorientowany, wciąż pod wpływem bólu i spustoszeń w organizmie, które przejął od piekarza. Oczy go piekły, wszystko widział rozmazane i migoczące wskutek działania kamienia darianów.

Był brudny jeszcze przed wejściem do pałacu. Teraz uświadomił sobie, że ma podarte, zakrwawione spodnie, włosy zmoczone wodą ze studni, a do tego śmierdzi naftą. Próbował obetrzeć twarz rękawem, ale strażnicy mocno trzymali go za ręce.

Król stał w otoczeniu grupki arystokratów, ubranych tak, jakby wracali z kolacji. Najwyraźniej nie brali udziału w gaszeniu pożaru, bo ich odzież była w nienagannym stanie. Jednym z nich był przysadzisty mężczyzna w mundurze armii ardeńskiej, z włosami i oczami koloru przeżutej brzytwicy. Szamerunek na jego ramionach mówił, że to wysokiej rangi oficer.

*Marin Karn, domyślił się Ash. Dowódca armii Ardeny.*

Nie to jednak było największym zaskoczeniem. Prawdziwego szoku doznał, gdy jego wzrok poprawił się na tyle, że spojrzawszy ponad ramieniem króla, Ash zobaczył Lilę Barrowhill. Ich spojrzenia spotkały się i na ułamek sekundy w jej oczach pojawił się strach. Zaraz jednak otrząsnęła się z szoku i zastąpiła go lekkim zdumieniem – odpowiednią reakcją na takiego zwęglonego stracha na wróble. Którego widzi się pierwszy raz w życiu.

*Krwiste kości, pomyślał. Co ona tu robi w takiej dobrej komitywie z królem Ardeny?*

Czym prędzej opuścił wzrok, starając się nie dać poznać niczego po swojej twarzy.

– Ktoś ty? – zapytał król.

– Adam Freeman – odpowiedział Ash cicho ze wzrokiem wbitym w bruk dziedzińca, podczas gdy głowę rozsadzały mu kłęby myśli. Gdyby nie był tak wycieńczony, zabiłby tego łotra na miejscu. W tym stanie jednak nie skrzywdziłby nawet muchy. Nie miał żadnej broni. Zestaw uzdrowiciela zgubił gdzieś w czeluściach piwnic, a jedyny nóż rzucił w kierunku wysysającego krew kapłana.

Odnotował sobie w pamięci: zawsze nosić zapasową broń.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytał król.

– Pracuję w stajni, Wasza Królewska Mość. – Miał nadzieję, że Montaigne nie skojarzy go z tym, co się działo w stajni w dniu, w którym Taran stracił życie. Domyślał się, że w tym stanie trudno go w ogóle rozpoznać.

– To uzdrowiciel pracuje w stajniach? – W głosie króla brzmiało niedowierzanie. – Jesteś uzdrowicielem koni?

Pozostali arystokraci zachichotali, trącając się łokciami.

Ash potrząsnął głową, co było błędem, bo znowu zaczęła go boleć.

– Kiedy tu przybyłem, szukałem pracy w infirmerii, ale powiedziano mi, że nikogo nie potrzebują. Wtedy zatrudnił mnie masztalerz Belamy. – Spojrzał ukradkiem w kierunku kuchni. Wyglądało na to, że pożar został już ugaszony.

– Uzdrowiciele są nam zawsze potrzebni – rzekł Montaigne. – Zwłaszcza tacy, którzy działają cuda. Gdzie się uczyłeś?

Ash podniósł głowę. Wreszcie mógł spojrzeć królowi w oczy i mówić bez charczenia.

– Moja matka była uzdrowicielką. Trochę mnie nauczyła. Ojciec tego nie pochwalał, dlatego znam się też na oporządzaniu stajni.

Arystokraci znowu zachichotali.

– Rozumiem. – Król przyglądał się mu w zamyśleniu, gładząc podbródek. – Wygląda na to, że masz dar. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego. – Nie wspomniał o czarach, ale ten temat był wyraźnie wyczuwalny między nimi.

– Zalecałbym ostrożność, Wasza Łaskawość – odezwał się całkiem nowy głos. Ash podniósł głowę, by zobaczyć jednego z kompanów króla: wysokiego, szczupłego mężczyznę w ciemnym stroju kapłana. Jego tabard zdobiło wielkie wschodzące słońce Malthusa, a na ciężkim złotym łańcuchu w pasie wisały klucze.

*Krwiste kości, pomyślał Ash. To sam pryncypus – duchowy zwierzchnik Kościoła Malthusa. Ash nerwowo szukał w pamięci jego imienia. Aha, jest. Cedric Fosnaught.*

*Czy oni wszyscy piją krew magów? – zastanawiał się. Czy tylko ci z Gildii Darianów? Odmówił w myślach modlitwę o tę drugą możliwość.*

– To uzdrowienie może być cudem – ciągnął Fosnaught – przejawem tajemniczej łaski Odkupiciela. Ale możliwe też, że ten człowiek

nie jest prawdziwym uzdrowicielem. – Z ponurą miną rozejrzył się po błękitnokrwistych. Sprawdzał, czy uważnie go słuchają. – Możliwe, że jest magiem.

*Czyli albo zrobił to Malthus, albo już po mnie*, pomyślał Ash. Nie odzywał się jednak. Wiedział, że znalazł się na grząskim gruncie. Nie miał nic przeciwko temu, żeby przypisać to Malthusowi.

Nie doczekawszy się reakcji Asha, pryncypus wskazał na Hamona.

– To uzdrowienie mogło być tylko iluzją. Możliwe, że pod skórą ciało jest zniszczone. – Wyciągnął cienki nóż spod fałdów sukmany. – Możemy go otworzyć i sprawdzić.

Ash szarpnął się gwałtownie, ale strażnicy wciąż mocno go trzymali.

– Nie ruszajcie go! – zawołał z wściekłością. – Już dość się dzisiaj nacierpiał. Zostawcie go w spokoju.

– Może ten mag boi się zdemaskowania – powiedział kapłan spokojnie. – Wasza Łaskawość, ze względów bezpieczeństwa zalecam skierować go do mojego biura, gdzie zostanie przesłuchany przez Dłoń.

Dłonią Malthusa nazywano grupę śledczych utrzymywaną przez pryncypusa Kościoła. Podobno wszyscy jej członkowie byli kapłanami i wszyscy z lubością stosowali tortury. Mówiono, że Dłoń potrafi wymusić przyznanie się do winy na każdym, czy był winny, czy nie. Innymi słowy, nie zdarzyło się jeszcze, by Dłoń przesłuchiwała kogoś, kto był niewinny. Montaigne często wykorzystywał noszących czerwone szaty kapłanów z Dłoni do karania swoich wrogów, kiedy przynosiło mu to polityczne korzyści. Tak przynajmniej mówiono w Felis.

*Ten Kościół w końcu zdobędzie moją krew, w taki czy inny sposób*, pomyślał Ash.

Król pokręcił głową.

– Nie, nie zgadzam się. – W jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta. – Ten chłopak to nie mag. Zawsze wyczuwam nieczystość, kiedy się na nią natknę.

Pryncypus nisko się pokłonił, choć jego mina nie wyrażała zadowolenia. Prawdopodobnie dobrze wiedział, że nie należy się spierać z Montaigne'em.

Pełnym ironii zrządzeniem losu król Ardeny postanowił uratować życie komuś, kogo sam przeznaczył na śmierć.

Dziwne, że nikt nie zaproponował, by poszukać u Asha amuletu. To byłby niezaprzeczalny dowód. Wszyscy zachowywali się, jakby doskonale znali reguły tej obłudnej gry.

Montaigne zwrócił się do swoich strażników.

– Zabierzcie chłopaka do komnat gościnnych. Niech się wykąpie i przebierze. Spotkam się z nim jutro rano. – Te słowa zostały wymówione na głos, do wiadomości wszystkich. Potem król się obrócił i cicho powiedział coś do Karna.

W otumaniony umysł Asha wdarła się podejrzliwość. Co znaczy „komnaty gościnne”: Czy to zastępcze określenie lochów? Czyżby w końcu go rozpoznali?

Dwaj strażnicy szarpnęli nim, by go odprowadzić, ale Ash zaparł się w miejscu.

– Wasza Królewska Mość, czy mam zostać uwięziony za to, że pomogłem człowiekowi? – zapytał. – Czy praktykowanie sztuki uzdrawiania jest w Ardencourt nielegalne?

Król spojrział na niego zdumiony.

– Ależ nie, chłopcze – powiedział cicho, wyraźnie dając do zrozumienia, że jego cierpliwość się kończy. – Tutaj, w Ardencourt, nagradzamy tych, którzy mają talent, zmywając z nich brud i powierza-

jąc im pożyteczne zajęcie. – Skinął na strażników. – Wykonać! – Obrócił się, szeleszcząc aksamitną peleryną, i ruszył przez dziedziniec. Dworzanie podążyli za nim niczym długi ogon komety. Dwaj gawronce zaczęli wsuwać piekarza na nosze, by wnieść go do wnętrza.

Kiedy gwardziści złapali Asha za ręce, wyczuł w ich dotyku mrowienie magii. Wiedział, że musi się podporządkować. Prowadzili go przez znane mu już wejście dla służby, dostosowując swoje kroki do jego wolnego tempa i podpierając go, gdy się chwiało. Przeszli przez pałac, minęli tę samą klatkę schodową, na której spotkał darianina, i szli dalej.

Po tym wszystkim, co przyniósł mu ten dzień, Ash wcale by się nie zdziwił, gdyby nagle wyskoczył skądś tamten darianin i zawołał go po imieniu. Widział jednak tylko zwykłych służących i skrybów, którzy szybko schodzili im z drogi, a po ich przejściu jeszcze przez chwilę śledzili ich wzrokiem. Bez wątpienia wyglądał jak więzień przewyższający wzrostem swoich strażników. Prawdopodobnie mijani ludzie zastanawiali się, o co jest oskarżony.

Wreszcie dotarli do spokojnej, gustownie urządzonej części pałacu, w której znajdowały się eleganckie apartamenty. Nie wyglądało to na drogę do lochów. Okna korytarza wychodziły na ogród, w którym wciąż kwitły kwiaty. Mijali biblioteki i bawialnie, gdzie nikogo nie było. Na końcu korytarza czekały skromniejsze komnaty, prawdopodobnie przeznaczone dla osób towarzyszących gościom, którzy zajmowali apartamenty. Wszystkie miały jednakowe drewniane drzwi. Gwardziści zatrzymali się przed jednymi z nich, otworzyli i odsunęli się, by wpuścić Asha do środka.

Był to niewielki, skromny pokój z kamienną posadzką i porozkładanymi tu i ówdzie jaskrawymi dywanami z We'enhaven. Z jednej

strony mieściły się kominek i mała przestrzeń wypoczynkowa, a z drugiej – łóżko ze skrzynią w nogach. Komnata nie miała okna. Nie było tu żadnej drogi ucieczki.

Strażnicy wyszli na zewnątrz i zamknęli drzwi. Ash stał zdezorientowany na środku, omdlewając ze zmęczenia, nie mógł zebrać myśli. Na ścianie nad miednicą wisiało lustro. Chłopiec przeraził się, gdy zobaczył swoje odbicie. Twarz miał zarumienioną, jakby poparzoną, podobnie oczy – zaczerwienione pod wpływem proszku darianów. Naprawdę wyglądał jak demon, ale król widocznie uznał, że to skutek działania dymu i ognia.

Usiadł na podwyższonym obramowaniu paleniska i nerwowo przecesał palcami brudne włosy.

Głośnie pukanie sprawiło, że poderwał się gwałtownie. Mimo że się nie odezwał, dwie pokojówki otworzyły drzwi, wciągnęły do wnętrza dużą metalową balię, umieściły ją blisko paleniska i wyszły. Wróciły po chwili z wózkiem wyładowanym wiadrami wrzącej wody. Dziewczyny były krzepkie, umięśnione i bez trudu podnosiły wiadra i wlewały wodę do balii. Następnie jedna z nich rozpała ogień i dorzuciła węgla z cynowego pojemnika.

Ash obserwował to wszystko ze swojego miejsca przy kominku, podczas gdy służące wychodziły i wracały jeszcze dwa razy, przynosząc wodę, mydło, szczotki i ręczniki. Potem stanęły po obu stronach balii, jakby czekały na dalsze rozkazy.

Gorąca woda wyglądała kusząco. Ash uznał, że jeśli ma zostać aresztowany czy też zasztyletowany, może się to stać po kąpieli. Podniósł się powoli. Jego ciało pamiętało wszystkie bolesne doznania, których doświadczyło.

– Dziękuję – powiedział. – Teraz, jeśli można, wezmę kąpiel.

Przysunęły się do niego jednocześnie, niczym doskonale dobrane konie w zaprzęgu. Jedna zaczęła rozwiązywać sznurek jego tuniki, a druga sięgnęła do spodni.

– Przestańcie! – Ash cofnął się tak gwałtownie, że omal nie potknął się o palenisko za plecami. Jednocześnie chwycił za pas spodni, które zaczynały się już zsuwać. – Sam dam sobie radę – oświadczył stanowczo. – Może teraz tego nie widać, ale wiem, jak się bierze kąpiel.

Chociaż wychowywał się w pałacu, służba w Fellsmarchu miała ważniejsze rzeczy do roboty, niż go kąpać, kiedy już wyszedł z wieku dziecięcego. Dzięki temu umiał sobie radzić w Oden's Ford, gdzie studenci musieli sami sprzątać swoje pokoje, zmieniać pościel i korzystać ze wspólnej łaźni. Dla niektórych było to szokiem, ale szkołę nie bez powodu zwano „wielkim niwelatorem”, bo zmniejszała różnice między lepiej urodzonymi a tymi, dla których los był mniej łaskawy.

Po chwili nalegań służące wyszły, wiele razy obejrzawszy się za siebie.

Ash odczekał kilka minut, by mieć pewność, że nie wrócą, a potem ściągnął z siebie brudne ubrania i rzucił je na podłogę. Pozostawił na sobie tylko amulet. Z przyjemnością zanurzył się aż po brodę w gorącej wodzie, chociaż odezwały się wtedy siniaki i piekąca rana na nodze. Mimo najszczerzej chęci zmycia z siebie brudu natychmiast zasnął.

Gdy się obudził, zauważył z niezadowoleniem, że ktoś był w komnacie i zabrał jego ubrania. Na krześle leżał zestaw świeżej odzieży. Postanowił szybko zakończyć kąpiel, zanim znowu ktoś wejdzie. Najpierw umył twarz i przepłukał oczy, a dopiero potem włożył do wody mydło. Przy użyciu mydła i szczotek wyszorował się od stóp do głów



i wyczyścił ranę na nodze, jak najlepiej potrafił. Wyglądała na czyste i niezbyt głębokie rozcięcie.

Wyjście z wody wymagało samozaparcia. Mimo że w kominku palił się ogień, pomieszczenie było chłodne. Ash wyszedł z balii i szybko owinał się ręcznikiem. Jakby na zawołanie do komnaty wpadły dziewczęta z ogrzаныmi ręcznikami, gotowe go wytrzeć. Tym razem się nie sprzeciwił. Był zbyt zmęczony, by się opierać.

– Wyglądacie o wiele lepiej, panie, bez tego brudu – zauważyła mniejsza dziewczyna z uznaniem. Przesunęła opuszkami palców po mięśniach na jego klatce piersiowej, wywołując u niego gęsią skórę. – Nieczęsto widzimy tu mężczyzn, którzy zarabiają na życie pracą fizyczną. I macie ładne pośladki, jeśli mogę tak powiedzieć. Same mięśnie, nie jak u tych, co cały dzień siedzą.

– Z przodu też jest niczego sobie – odezwała się druga służąca i trąciła koleżankę łokciem. – Jaki ładny naszyjnik – sięgnęła po jego amulet.

– Nie dotykaj! – Ash odsunął wisiołek od jej rąk.

– Nie chciałam go ukraść. – Dziewczyna wydeła wargi.

– Skąd ta rana na nodze? – zapytała mniejsza z pokojówek. – Wygląda poważnie.

– Nie wiem, skąd się wzięła.

Służące przyniosły kosz pachnących balsamów i maści, by posmarować mu poparzoną twarz i ranę na nodze. On jednak się nie zgodził. Chciał poprosić o przyniesienie jego torby ze stajni, lecz wtedy przypomniał sobie, że prawdopodobnie albo spłonęła w pożarze, albo leży gdzieś w labiryncie piwnicznych korytarzy.

W końcu służące zostawiły go samego, by się ubrał. Strój, który mu pozostawiono, składał się z bielizny, tuniki i spodni z miękkiej tka-

niny o prostym splocie i ciemnobrązowej barwie, przypominającej korę drzewa. Wszystko było wygodne i dopasowane, jakby szyte na miarę. Całości dopełniały miękkie brązowe buty. Zastanawiał się, co zrobiono z jego starymi ubraniami – mogły być mu potrzebne, gdyby po audiencji u króla musiał zwrócić te nowe.

Podszedł bosy do drzwi i uchylił je. Dziewcząt kąpielowych już nie było, ale stali tam dwaj gawrońce. Obaj natychmiast zwrócili głowy w jego stronę, a ich dłonie powędrowały ku mieczom. Zamknął drzwi i westchnął. Usiadł na jednym z krzeseł przy kominku. Był śmiertelnie zmęczony, głodny, pozbawiony energii, a przy tym czuł się osaczony i bezradny. Odzyskanie sił po uzdrowieniu Hamona musiało trochę potrwać, a tymczasem Ash będzie niemal całkiem bezbronny.

*No cóż, sul'Hanie*, pomyślał, *chciałeś się dostać do pałacu i oto jesteś*. Przekonywał się w myślach, że kiedy odzyska siły, wykorzysta tę sytuację.

Położył się na łóżku i już prawie zasnął, kiedy usłyszał podniesione glosy w korytarzu. Trwało to kilka minut – wyraźnie się o coś spierano – po czym drzwi się otworzyły. Stała w nich Lila, ubrana tak samo jak na dziedzińcu: w białej bluzce, czarnej spódnicy i ciemnoniebieskim fartuchu z koronkowym gorsetem.

Ash gwałtownie usiadł na łóżku i zsunął nogi na jedną stronę, w jednej chwili całkiem rozbudzony.

Lila docisnęła palec do ust, zamknęła drzwi i po chwili przyłożyła do nich ucho. Następnie obeszła komnatę, zaglądając za zasłony, pod dywany, a nawet pod łóżko. Wreszcie stanęła przed Ashem, podparła się pod boki i powiedziała:

– Czyś ty rozum postradał? Nie wystarczyło ci, że asasyni próbowali cię zamordować we własnym łóżku? Uratowałam ci tyłek i tak mi

dziękujesz? Wsypujesz mi zółwiowe ziele do wina i przyjeżdżasz tutaj, żeby dać im następną okazję?

Jedno trzeba było jej przyznać: wiedziała, jak przypuścić atak.

Ash wpatrywał się w nią w milczeniu. Nigdy nie umiał przemawiać, za to wiedział z doświadczenia, że w kontaktach z Lilą często milczenie dawało rozmówcy przewagę.

– No więc? Co tu, u diabła, robisz? – Wytrzymała jego spojrzenie, jakby to miało jej zapewnić uzyskanie odpowiedzi, a potem zaczęła chodzić obok łóżka tam i z powrotem. – Coś ty sobie myślał, używając magii na środku dziedzińca? Wiem, że jesteś nadzwyczajnym uzdrowicielem, ale czy nie mogłeś chociaż raz pozwolić komuś innemu odegrać rolę bohatera?

– Gdyby nie ja, Hamon już by nie żył – odparł Ash spokojnie.

– To nie ma nic do rzeczy – powiedziała Lila, zapewne dlatego, że nie mogła temu zaprzeczyć. – Nikt nie oczekuje od ciebie, żebyś poświęcał własne życie dla ratowania kogoś innego.

– To przeze mnie się poparzył – wyznał Ash. – Miałem obowiązek go uratować.

Lila przestała chodzić i obróciła się.

– Co to ma znaczyć?

– Nieważne. – Póki się nie dowie, w co ona gra, im mniej informacji jej dostarczy, tym lepiej. – Co ty tu robisz? Oprócz tego, że się na mnie wyżywasz.

– Mam cię zapytać, czy potrzebujesz jakichś ziół albo medykamentów, które mogłabym ci dostarczyć.

– Chodziło mi o to, co robisz w Ardencourt. Zawsze tutaj spędzasz wakacje? W miłym towarzystwie króla Ardenu? Mogłaś wspomnieć, że jesteście przyjaciółmi.

Przez moment Lila wyraźnie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi – bąknęła w końcu, unikając wzroku Asha. – Jestem tu w interesach.

– Jakich interesach?

– Nie twoja sprawa. Nie odpowiadam przed tobą.

– A przed kim?

– Przed samą sobą – odparła.

– Może to ty mnie wydałaś darianom w Oden's Ford?

– No tak – Lila przewróciła oczami – a potem zmieniłam zdanie i cię uratowałam. Znasz kobiety... zmienne jak kwietniowa pogoda. Czasami po prostu nie umiemy się zdecydować.

– Może uznałaś, że zarobisz dwa razy: weźmiesz zapłatę od darianów za wystawienie mnie, a potem od mojej matki za sprowadzenie mnie do domu.

Lila wróciła do atakowania.

– Chyba nie chcesz zrobić czegoś głupiego, co?

– Jak na przykład?

– Jak na przykład zamach na Montaigne'a? Wydaje ci się, że nikt wcześniej o tym nie myślał? Sądzisz, że zawodowcy nie próbowali? Jesteś amatorem, sul'Hanie. Nie bądź zbyt pewny siebie tylko dlatego, że jesteś czarownikiem. Ten król jest otoczony przez magów i nie rozstaje się z klanowym talizmanem, który go chroni przed magicznymi atakami.

*Bellamy miał rację, pomyślał Ash. Dobrze wiedzieć.*

– Łyka antidota na wszystkie znane trucizny, a poza tym zatrudnia sewera, który musi próbować wszystkich potraw.

*A co z nieznanymi truciznami?*

– Skąd bierze te antidota?

Lila głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Powinnam zaoszczędzić sobie kłopotów i wydać cię królowi. Jestem pewna, że zaoferowałby sowitą nagrodę. Zamiast tego muszę teraz znaleźć sposób, jak cię stąd wyciągnąć, a to nie będzie łatwe, bo Jego Królewska Mość zupełnie stracił dla ciebie głowę. – Znowu zaczęła chodzić w kółko. – Nie mam na to czasu.

– Chyba przegapiłem ten moment, kiedy prosiłem cię o pomoc – powiedział Ash. – Czemu tak się przejmujesz? Nie masz nic do stracenia, o ile wiem. Jeśli o mnie chodzi, to chcę tylko, żebyś zajęła się swoimi sprawami i zostawiła mnie w spokoju.

– Z przyjemnością zajęłabym się swoimi sprawami – mruknęła Lila. – I nie potrzebuję, żeby utytułowany błękitnokrwisty książę czarownik uciekinier wszystko mi zepsuł.

– Nie ma sprawy – odparł Ash. – Nie wchodź mi w drogę, a ja nie będę wchodził w drogę tobie.

– Ha, zobaczymy – westchnęła Lila. – Sam się przekonasz, że w tym pałacu ciężko jest nie wchodzić komukolwiek w drogę.

## POWRÓT DO DOMU



Ku zaskoczeniu Jenny Karn i jego gawrońce nie zawracali sobie głowy sprowadzeniem uzdrowiciela, który opatrzyłby jej ranę pod żebrami. Karn zrobił to sam: przyłożył opatrunek i owinął jej klatkę piersiową lnianymi bandażami. Niemal natychmiast krwawienie ustało, a rana zrobiła się lodowata.

W pierwszej chwili Jenna zaniepokoiła się, że cios nie był na tyle głęboki, by ją zabić, ale sposób, w jaki Karn wykrzykiwał rozkazy, powiedział jej, że według niego jej śmierć jest wielce prawdopodobna. Zostawili na niej zakrwawiony strój jasnowidza, owinęli ją w futra i wrzucili do zamkniętego powozu, w którym wraz z nią siedzieli trzej gawrońce i Karn. Więcej gwardzistów jechało na dachu i po bokach. Padał gęsty śnieg i było bardzo zimno.

Odebrali jej sztylet, ale wciąż miała przy sobie wisiorek. Chyba nikt go nie zauważył w całym tym zamieszaniu spowodowanym jej raną i wykryciem magicznego znaku. Wepchnęła go do podszewki peleryny, kiedy nikt nie patrzył. Raz na jakiś czas wsuwała tam palec i dotykała wisiorka, zastanawiając się, jak długo jeszcze uda jej się go za-

chować. Jeśli szczęście jej dopisze, będzie już martwa, zanim go znajdą.

Na początku wyrywała się i kopała, i raz omal nie wypadła z powozu, lecz z czasem opadła z sił, aż wreszcie zasnęła i większość drogi przespała, wciąż czując ten pełzający chłód, który stopniowo ogarniał całe jej ciało. Karn próbował karmić ją zupą i herbatą, ale ona się opierała, tak że więcej rozlał, niż wlał jej do ust.

Miała wrażenie, że odczuwa każdy wybój na drodze. Raz musieli się zatrzymać, by nałożyć płozy konieczne do podróży w głębokim śniegu. Karn ze złością walił pięścią w ściankę powozu.

Jenna słyszała żołnierzy, którzy przepędzali podróżnych z drogi. Czowała na sobie wzrok Karna, jakby mag sądził, że obserwując ją, nie pozwoli jej uciec w niebyt. Jakby mógł zajrzeć w jej duszę i zobaczyć, co tam się kryje.

W miarę jak temperatura jej ciała spadała, powietrze wokół stawało się coraz cieplejsze, wilgotniejsze, przesycone wonią roślin.

Nie wiedziała, jak długo trwała ta podróż. W końcu pewnego dnia, gdy znajdowała się w tym dziwnym stanie między snem a jawą, usłyszała dźwięki na zewnątrz, po których rozpoznała, że znajdują się w mieście. Słyszała stukot końskich kopyt po miejskim bruku i szczekanie psów. Znajomy smród palonego węgla drażnił jej nozdrza, w pobliżu ludzie pokrzykiwali na siebie nawzajem w taki sposób, w jaki zazwyczaj robią to w dużej ciżbie.

*Musi być blisko Przesilenia, pomyślała mgliście. Może zabierają mnie gdzieś na to święto.* Ta myśl wywołała uśmiech na jej twarzy.

Miasto musiało być duże, bo dopiero po jakiejś godzinie odgłosy powiedziały jej, że są na moście, a potem na dziedzińcu stajennym. Kiedy otwarto drzwiczki powozu, wyczuła smród końskiego łajna.

A może to fetor od rzeki? Wiedziała, że znalazła się w Ardencourt, mieście swojego urodzenia. A w każdym razie mieście, w którym jej babcia przekazała ją – wraz z inkrustowanym sztyletem i przestrogą – jedynym rodzicom, których Jenna знаła.

Zastanawiała się, czy uda jej się znaleźć tutaj jakieś odpowiedzi.

Zdziwiło ją, że sprowadzili członka Patriotów z Delphi tak daleko na przesłuchanie. Może po śmierci Clermonta zabrakło im specjalistów od torturowania.

Znowu ją czymś owinięto i Karn osobiście niósł ją do pałacu. Jego nieogolona twarz wyglądała żałośnie. W tej pozycji Jenna widziała nad sobą ponurą kamienną fasadę, a ponad nią nocne niebo rozjaśnione plamami miejskich świateł.



**KRÓLEWSKI UZDROWICIEL**

Ash nie miał pojęcia, która była godzina, kiedy przyniesiono mu śniadanie, ale czuł się, jakby ledwie przyłożył głowę do poduszki, a tu już obudziły go stukoty i pobrzękiwania. Przybycie służby o tak wczesnej porze uznał za sygnał, że zbliża się chwila jego audiencji u króla, więc niechętnie wygramolił się z łóżka. Wszystko go bolało, miał na ciele rany i siniaki, ale żył, był wykąpany i widział, nawet w słabym świetle paleniska. W sumie miał powody do zadowolenia.

Mimo wyczerpania nie spał dobrze. Wciąż słyszał słowa Lilii. „Jesteś amatorem, sul’Hanie. Nie bądź zbyt pewny siebie tylko dlatego, że jesteś czarownikiem”. Był gotów rzucić się na króla w stajni, nieświadomy, że nosi on talizman. A potem omal nie stracił panowania nad sobą na dziedzińcu po uleczeniu Hamona.

Zdawał sobie sprawę, że będzie miał tylko jedną szansę, by dopaść króla, i to jeżeli mu się poszczęści. Miał świadomość, że nie może jej zmarnować. Teraz, gdy znajdował się w pałacu, obserwowany przez tyle par oczu, musiał mądrze to rozegrać.

Obmył twarz w miednicy i spojrzął w lustro. Poparzenia na policzkach zbladły, oczy były mniej zaczerwienione. Włożył nowe buty,

uważając na ranę w nodze. Leżały jak ulał. Przeczesał włosy palcami, by choć trochę rozdzielić splątane kosmyki. Był gotów.

Na śniadanie podano mu owsiankę i krojone owoce. Nie było chleba. Podejrzewał, że miało to związek ze zniszczeniami w kuchni. Pomyślał o Hamonie – zastanawiał się, w jakim był teraz stanie i dokąd go zabrano. Co widział? Czy zadawano mu jakieś pytania?

Mimo tych niepokojów Ash był głodny jak wilk, jak zawsze po trudnym leczeniu. Zjadł więc wszystko z apetytem.

Jedząc, ścisnął w jednej ręce amulet i zasilął go tą niewielką strużką mocy, którą był w stanie z siebie wykrzesać. Liczył na to, że po jakimś czasie zgromadzi jej tyle, że będzie mógł komuś naprawdę zaszkodzić.

Właśnie kończył posiłek, gdy usłyszał jakiś hałas w korytarzu. Drzwi gwałtownie się otworzyły i do komnaty wpadło sześciu gawrońców. Wszyscy byli magami z obręczami na szyjach i wyglądali, jakby przysłano ich z konkretnym zadaniem. Jeden z nich zamknął drzwi i oparł się o nie plecami, a pozostali otoczyli Asha. Zanim zdążył sięgnąć po amulet, dwaj magowie złapali go za rękę.

Znowu ogarnął go strach. Czyżby tamten darianin jednak przeżył? Czy ci tutaj przybyli zabrać go do lochów?

Co gorsza – czyżby Lila go zdradziła?

– Spokojnie – powiedział jeden z nich. – Nie ma sensu się opierać. Po jakimś czasie się przyzwyczaisz. – Pogrzebał w torbie i wyciągnął srebrną obręcz z wrytymi runami. Ash rozpoznał w niej jedną z magicznych obręczów wykonywanych przez klany w okresie Wojen Czarowników. Teraz Arden używał ich do zniewalania obdarzonych mocą.

Może opór rzeczywiście nie miał sensu, ale Ash nie chciał potulnie się poddać, więc dopiero kiedy wszyscy razem przygwoździli go do podłogi, dali radę zamocować tę rzecz na jego szyi. Gdyby dysponował większą ilością zgromadzonej w amulecie mocy, może w ogóle by do tego nie doszło. Kiedy już było po wszystkim, jeden z magów krwawił z nosa, inny miał podbite oko, a na szyi Asha lśniła magiczna obręcz.

Chłopiec skulił się w kącie jak osaczony wilk i badał dłońmi tę obcą rzecz na swym ciele. Wymacał zapięcie, które teraz sprawiało wrażenie stopionego z całością. Pod wrażliwymi palcami czuł wyryte runy. Obręcz była szeroka i Ash musiał trzymać głowę wyprostowaną, żeby nie wrzynała mu się w brodę lub w obojczyk.

Gawronce obserwowali go z różnym poziomem współczucia, zależnym od tego, jak zostali potraktowani podczas wcześniejszych przepychanek. Niektórzy w ogóle na niego nie patrzyli.

Mag, który przyniósł obręcz, wyciągnął do niego rękę, aby pomóc mu wstać. Po krótkim wahaniu Ash chwycił ją i podciągnął się.

– Jak to działa? – zapytał. – Uniemożliwia używanie magii czy co?

Mag potrząsnął głową.

– Chcą korzystać z magii, o to właśnie chodzi. Potrzebują nas do rzucania zaklęć. Tutaj, w zamku, te obręcze nie pozwalają nam używać ataków magicznych i zaklęć zabijających. To główne ograniczenie.

– Działają samoczynnie czy ktoś musi nimi sterować?

– Działają same. Generał Karn ma kilku mistrzów magii, którzy nadzorują ten program i mogą zmieniać ustawienia, kiedy wysyłają nas na pole bitwy.

– Kiedy się włączają?... To zależy od rodzaju zaklęcia czy od intencji?

– Próbujesz rozgryźć, jak to obejść? Powodzenia. – Mag podał mu rękę. – Jestem Mark DeJardin. Mów mi Mark.

– Adam Freeman. – Po chwili dorzucił: – Jesteś z Południa, tak? Mark skinął głową.

– Są magowie na Południu, chociaż Kościół Malthusa udaje, że ich nie ma. Przez całe wieki udawało nam się przeżyć, o ile nie wychylaliśmy się i nie ujawnialiśmy swojej mocy. Aż wreszcie król Gerard postanowił nas wykorzystać. – Palcem wskazującym stuknął we własną obręcz. – Kiedy jesteśmy w terenie, za pomocą tego można śledzić nasze ruchy, kontrolować użycie mocy i sterować naszym zachowaniem w walce. Te obręcze umożliwiają też zabicie albo torturowanie maga, który jest nieposłuszny.

– Co to znaczy „nieposłuszny”?

Mag parsknął.

– Taki, który nie wykonuje rozkazów, próbuje uciec, opiera się. O ile będziesz robił, co ci każą, w zasadzie zostawią cię w spokoju.

Ash zauważył, że skóra wokół obręczy Marka była zgrubiała, obrzmiała, z brzydkimi bliznami, jakby w przeszłości regularnie ją przypalano.

Mark dostrzegł jego spojrzenie. Uśmiechnął się przebiegle i przesunął palcem wzdłuż obręczy.

– Tak, bywałem nieposłuszny – powiedział. – Chodźmy już. Król czeka.

Szli w kierunku centralnej części pałacu, gdzie mieściły się komnaty rady i apartamenty królewskie. Strażnicy musieli zwolnić kroku, by

dostosować się do tempa Asha. Mimo wczesnej pory wokół kręciło się wiele osób, na ogół spośród służby. Ash nie przyciągał już tylu spojrzeń co wcześniej, bo teraz był czysty i ubrany w brązowe szaty uzdrowicieli.

Wyglądało na to, że król Ardeny lubił segregować ludzi według kolorów.

Jego obstawa zatrzymała się przed drzwiami, które różniły się od innych jedynie tym, że były strzeżone przez królewskich gwardzistów.

– Klęknij przed królem – mruknął gwardzista stojący przed drzwiami i mocno popchnął go do środka. Mark wszedł za Ashem.

Znaleźli się w niewielkiej komnacie, urządzonej z przepychem, z wysokimi oknami wychodzącymi na ogród. Król kończył śniadanie przy małym stoliku obok kominka. Jajka z szynką, nie niemowlęta i kocięta, jak można by się spodziewać.

*To tylko człowiek, pomyślał Ash. Taki sam śmiertelnik jak wszyscy.*

W pomieszczeniu znajdowało się czterech gwardzistów oraz Mark. Wszyscy obdarzeni mocą. Ash nie miał z nimi szans, nawet gdyby był bez obręczy. Nawet gdyby król nie nosił talizmanu.

*Ale jesteś z nim w jednej komnacie. To już coś, przekonywał się w duchu.*

Tego ranka Montaigne ubrany był dość skromnie, w czarne spodnie i czarny kaftan ze złotym obszyciem, ciężkie buty i złoty wisior z gołdłem. Do pasa miał przypięty kunsztownie zdobiony sztylet.

– Wasza Królewska Mość, oto Adam Freeman, skuty obręczą zgodnie z rozkazem. – Mark cofnął się o kilka kroków, pozostawiając zniewolonego więźnia bezpośrednio przed królem.

Ash opadł na kolano i nie podniósł się, póki Montaigne mu tego nie nakazał. Gdy się rozprostował, król siedział wygodnie rozparty

na krześle i obserwował go, bawiąc się trzonkiem sztyletu.

– Dzisiaj wyglądasz znacznie lepiej – zauważył. – Ufam, że noc w areszcie nie była zbyt straszna? – powiedział z nutą sarkazmu w głosie.

– Nie, Wasza Królewska Mość. Spałem bardzo dobrze – odparł Ash. Stał z głową uniesioną i ze wzrokiem skierowanym przed siebie. Z pewnym wysiłkiem rozluźnił szczękę.

Montaigne wyduł wargi.

– Mam rozumieć, że nie chciałeś włożyć obręczy?

– Czy to nie oczywiste?

– Konieczny środek ostrożności. To nie powinno zakłócać twoich zdolności, o ile będą wykorzystywane w interesach Korony. Jeśli będziesz się wzbraniał, dosięgnie cię kara.

– Tak mi powiedziano.

– Skoro ubrania pasują, powiedz DeJardinowi, żeby przygotowano ci drugi taki komplet. Będziesz mógł je prać raz na jakiś czas.

– Dziękuję za ubrania, Wasza Królewska Mość. Są o wiele ładniejsze niż te, w których tu przybyłem.

Montaigne uniósł brew i wygładził swoje koronkowe mankiety.

– Zdaje się, że noc w pałacu pozytywnie wpłynęła nie tylko na twój wygląd, ale też na maniery.

– Przepraszam za moje wczorajsze zachowanie. Nie byłem sobą. To się często zdarza po trudnym uzdrawianiu.

Król spoglądał na niego podejrzliwie, jakby nie przekonywało go to przedstawienie.

– Cieszę się, że odzyskałeś rozsądek. – Po chwili dodał: – Byłem pod wrażeniem tego, co wczoraj zrobiłeś. Mam tu na dworze wielu zdolnych uzdrowicieli, ale nigdy nie widziałem, żeby któryś z nich

skutecznie uleczył kogoś w tak ciężkim stanie, i to bez użycia ziół i eliksirów.

– Zioła i eliksiry są bardzo pomocne, Wasza Królewska Mość – rzekł Ash. – Ale ja nie miałem ich pod ręką.

– Nie, nie miałeś. – Król podparł głowę jedną ręką. – Magowie od lat są nieodłączną częścią naszej armii. Do tej pory nie rozważałem korzyści, jakie może przynieść zatrudnianie ich w służbie medycznej... oczywiście selektywnie. Ale do rzeczy. Proponuję ci nowe stanowisko, i to już od dzisiaj. Chcę, żebyś dołączył do mojej gildii uzdrowicieli.

A więc po tygodniach czekania Ash w końcu będzie miał dostęp do króla. O to chodziło mu od samego początku. Nie za darmo jednak. Przesunął palcami po obręczy. To już wchodziło mu w nawyk. Chwilami miał wrażenie, że ta rzecz na szyi odcina mu dopływ powietrza.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość – powiedział.

– Moim głównym uzdrowicielem jest mistrz Merrill. On przygotuje ci zestaw do leczenia, wszelkie narzędzia, zioła i balsamy, jakich sobie zażyczysz. Chyba będziemy w stanie wszystko dostarczyć. Jeśli potrzebujesz czegoś szczególnego, co nie jest powszechne na terenie królestwa, zwróć się z tym do Barrowhill.

– Już ze mną o tym rozmawiała – odparł Ash.

– DeJardin wyjaśni ci, czego oczekujemy od magów, którzy służą Koronie. – Król wskazał ręką Marka stojącego za plecami Asha. – Odprowadź Freemana do kwater uzdrowicieli i przedstaw Merrillovi. Niech znajdzie dla niego miejsce.

Uzdrowiciele mieszkali w spokojnej części pałacu, która wychodziła na ogrody dla służby. W bok od korytarza mieściła się mała biblio-

teka, wypełniona ziółkami, poradnikami i księgami medycznymi. Ash odnotował sobie w pamięci, by tu wrócić. W ciągu dwóch dni w pałacu widział więcej książek, które chciałby przeczytać, niż przez ostatnie sześć miesięcy.

Prowadząc go, Mark udzielał mu informacji. Infirmeria była przeznaczona przede wszystkim dla służby pałacowej i urzędników niższych szczebli, których kwatery nie nadawały się do opieki nad chorymi. Arystokraci, którzy chorowali, zwykle kazali się leczyć w swoich prywatnych komnatach.

Infirmeria była mała, ale pobielone mury sprawiały, że wydawała się przestronna. Na terakotowej posadzce wzdłuż ścian stało sześć łóżek. Ash ocenił krytycznym okiem, że wszystko wygląda czysto. Zwykle uważał, że takie miejsca są niebezpieczne i należy ich unikać za wszelką cenę.

Tylko jedno łóżko było zajęte. Leżała na nim duża postać okryta kocem, najwyraźniej śpiąca.

Pielęgniarz poszedł szukać mistrza Merrilla. Kiedy na niego czekali, Ash układał sobie w myślach listę rzeczy potrzebnych do zestawu uzdrowiciela. Miał na to mnóstwo czasu. Gdy mistrz wreszcie się zjawił, okazało się, że to wysoki mężczyzna z rzednącymi włosami i obwisłym podbródkiem, ubrany w brązowe szaty. Choć nie był gruby, miał w sobie pewną wiotkość i słabość, jakby nigdy nie pracował fizycznie. Nie próbował ukryć irytacji.

– O co chodzi? – Merrill obrzucił ich wzrokiem i uznał, że Mark jest tym, z kim będzie rozmawiał. – Właśnie sporządzam bardzo skomplikowany ekstrakt, a wy mi przeszkadzacie.

– To jest nowy uzdrowiciel Adam Freeman. – Mark wskazał Asha.



– Uzdrowiciel! Sam sobie dobieram czeladników, a tego chłopaka nie znam. – Otaksował Asha wzrokiem, jego twarz zrobiła się jak gradowa chmura. – Gdzieżeś ukradł te ubrania? – Zaraz jednak zauważył srebrną obręcz i wykonał znak Malthusa. – Sprowadzasz mi tu maga? – Wycelował palec w twarz DeJardina. – Nie będę trzymał tutaj takich jak ty. Zresztą nie potrzebuję pomocnika. Wystarczy mi kłopotów z tymi czeladnikami, których już mam.

– Król Gerard rozkazał przyjąć Freemana do Królewskiej Gildii Uzdrowicieli – oznajmił DeJardin spokojnie. – Czy mam przekazać wasze zastrzeżenia Jego Królewskiej Mości?

To zamieszanie obudziło pacjenta leżącego w łóżku. Poruszył się i usiadł, przecierając oczy. Na widok Asha zawoła! zdumiony:

– Adam! Na Stworzyciela, to ty! – To był nocny piekarz. Wyciągnął ręce do Asha i po jego twarzy potoczyła się duża łza. – Uwierzyć nie mogę w to, co mi tu opowiadają! Podobno byłem już martwy i uratowałeś mi życie. Podobno wyciągnąłeś mnie z pożaru, a potem uzdrowiłeś. Mówią, że to cud. Chodź no tu, mój chłopcze, niech cię dotknę, boś z pewnością był narzędziem w rękach Świętego Malthusa.

Ash niechętnie podszedł do łóżka i zniósł uścisk kucharza.

Kiedy Merrill zrozumiał, kim jest Ash, wyglądał na jeszcze mniej zadowolonego.

– Jesteś tym chłopcem stajennym! – burknął tonem oskarżenia.

Hamon ciągnął swoją opowieść.

– Pamiętam, jak niosłem naftę z piwnicy. Chyba ją upuściłem. Nie pamiętam. Ale teraz już wszystko się zmieni dzięki Stworzycielowi. Przysiągłem sobie, mówię ci. Jestem całkiem innym człowiekiem.

Ash zrozumiał, że Hamon winą za pożar obciąża siebie i swoją słabość do alkoholu.

– Będziesz miał szczęście, jeśli Jego Królewska Mość nie zamknie cię w lochach – wtrącił Merrill surowo.

Hamon nie zwracał na niego uwagi.

– Cały dzień ludzie przychodzą oglądać moje plecy. Jestem sławny. Pomyśleć tylko: uzdrowił mnie chłopiec stajenny. Poczekaj, aż się dowiedzą, że tu pracujesz.

Ash zaczynał rozumieć, skąd u Merrilla taki wisielczy humor.

Mistrz wbił w Asha dumny wzrok świętego, który napotkał grzesznika.

– Z tego, co słyszałem, to były czary. – W ostrzegawczym geście wy-celowwał palec w piekarza. – Marny to interes, jeśliś prehandlował przyszłość nieśmiertelnej duszy za zdrowe ciało.

Dopiero w tym momencie Ash zauważył emblemat wschodzącego słońca Malthusa wiszący na łańcuchu na szyi mistrza. To znaczyło, że uzdrowiciel był zarazem kapłanem – dość częste połączenie powołań w Ardenie.

– Nie, nie! To był cud, mistrzu! – upierał się Hamon. – Nigdy nie czułem się tak bliski wiary jak teraz.

– Poparzenia nie mogły być zbyt poważne – stwierdził Merrill z grymasem. – Już się prawie zagoiły.

– Ależ przeciwnie. – Hamon nachylił się ku rozmówcom. – Rolley mówił, że byłem spalony do kości. Widział to na własne oczy.

– Jego Królewska Mość chce, żebyście zrobili zestaw dla Freemana – odezwał się Mark – i przygotowali mu kwaterę.

– Chłopak nie potrzebuje zestawu – mruknął Merrill. – Nie będzie przecież uzdrawiał.

Praca z lordem Vegą w Felis uodporniła Asha na ludzi o rozbuchanym ego.

– Wiem, że nie macie czasu, mistrzu – powiedział, pokazując swoją listę. – Na początek potrzebuję tylko kilku rzeczy. Mogę je zebrać sam, jeśli mi powiecie, gdzie je znajdę. Chętnie sporządzą też wszelkie potrzebne ekstrakty.

Merrill wyrwał listę z ręki Asha.

– Nie będzie mi chłopiec stajenny grzebał w aptekarium. – Rzucił okiem na listę i zaskoczony podniósł wzrok. – Skąd wiedziałeś...

– Mama uczyła mnie o ziołach i medykamentach. I jakiś czas chodziłem do akademii.

– Zgromadzenie tego trochę potrwa. – Uzdrowiciel w końcu wyrażnie się poddał. – Zaczekaj. – Zniknął na tyłach.

Ash podszedł do Hamona.

– Skoro już tu jestem, to może pokażesz mi plecy. Boli cię jeszcze? – Uznał, że lepiej będzie zbadać go pod nieobecność Merrilla.

Hamon posłusznie zadarł koszulę i obrócił się plecami do Asha.

– Skóra jeszcze jest bardzo delikatna, jak zawsze po oparzeniach.

Ash lekko ucisnął jedno miejsce i z zadowoleniem obserwował, jak krew odpływa i powraca.

– Smarowali to czymś?

– Jakąś maścią – powiedział piekarz przez ramię.

Pewnie aloesem. Na to wskazywał zapach.

– Chyba nie będziesz miał blizn. Pamiętaj, żeby pić dużo wody. Trzymaj dzbanek przy łóżku i wypij cztery do końca dnia. Jedz jak najwięcej. Od teraz żadnego alkoholu. Jeśli nagle ci się pogorszy albo coś zacznie cieknąć, puchnąć, pojawi się gorączka, daj mi znać. – Lata praktyki sprawiły, że zachowaniem Asha zaczynały rządzić odruchy. – Od tej pory będę tutaj, nie w stajni. – Hamon z powagą kiwał

głową, zapamiętując te wszystkie zalecenia. Po chwili Ash dodał: – Nie wiesz, czy znaleźli... czy ktoś jeszcze ucierpiał w tym pożarze?

Natychmiast tego pożałował, bo ten potężny mężczyzna znowu się rozkleił.

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Nikt mi nie powiedział, czy ktoś jeszcze tam był. – Ze smutkiem potrząsnął głową. – To wszystko moja wina.

Ash położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie wiesz na pewno, czy miałeś z tym coś wspólnego. Pożary się zdarzają, zwłaszcza w kuchni, a tu jeszcze były materiały łatwopalne. Może po prostu znalazłeś się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

– Może – westchnął Hamon ponuro. – A ty znalazłeś się we właściwym miejscu o właściwej porze. Widzę, że poparzyłeś sobie twarz, kiedyś mnie ratował. Będę się modlił co noc do Świętego Malthusa. – Im więcej piekarz mówił, tym bardziej Ash czuł się niezręcznie.

Merrill i tym razem kazał na siebie długo czekać. W końcu wrócił z tacą i torbą. Na tacy znajdowało się wiele małych woreczków i buteleczek. Były też małe narzędzia chirurgiczne i len na opatrunki.

Ash położył tacę na stole. Następnie z listą w dłoni sprawdzał, czy wszystko się zgadza, i po kolei wkładał przyniesione rzeczy do torby. Otwierał buteleczki i wąchał, a czasem nawet smakował; rozsznurowywał sakiewki i z niektórych wytrząsał odrobinę suszonych ziół na dłoń. Merrill czekał niecierpliwie, wyraźnie poirytowany tym, że jego nowy czeladnik sprawdza wyniki jego działań. W końcu Ash podniósł głowę i wyciągnął w kierunku mistrza dłoń z czymś brązowym, co przypominało korzeń.

– To jest szalej. Prosiłem o rumianek.

Merrill spojrział na niego ze zdumieniem. Nagle wyrwał mu sakiewkę z ręki.

– To ci dopiero! Przeklęci czeladnicy! Już ja im skórę wygarbuję!

– Jeżeli można, sam pójdę do ogrodu i znajdę rumianek – zaproponował Ash.

Uzdrowiciel z furią potrząsnął głową.

– Zaraz będę z powrotem.

– Liście i kwiaty, nie korzeń! – krzyknął za nim Ash.

– Co to takiego ten szalej? – szepnął Mark.

– Trucizna – odparł Ash spokojnie.

Tym razem mistrz uzdrowiciel wrócił szybko. Ash skompletował swoją torbę i podziękował.

– Nie mamy żadnych wolnych komnat, chłopcze – powiedział Merrill. – Będziesz musiał się do kogoś wprowadzić.

– Nie szkodzi – odparł Ash. – Jestem do tego przyzwyczajony. – Prawdę mówiąc, lepiej czułby się w stajni niż w pałacu, gdzie z jednej strony musiał się mierzyć z darianami, a z drugiej, z wrogo nastawionym mistrzem. – Mam na imię Adam – dorzucił, raczej nie żywiąc nadziei, że Merrill kiedykolwiek tak się do niego zwróci.

Mężczyzna puścił to mimo uszu.

– Możesz przynieść swoje rzeczy w każdej chwili. Zamieszkaś z Haroldem i Boydem. Masz być gotów do pracy dziś po południu.

– Właściwie nie mam nic do przyniesienia. Mogę zacząć już teraz.

– Jak chcesz. Możesz zacząć w ogrodzie, skoro uważasz się za eksperta od roślin.

## RANNE WEZWANIE



Ash dzielił niewielką izdebkę na tyłach z dwoma innymi czeladnikami. Obaj byli od niego znacznie młodszy. Harold i Boyd wydawali się zaskoczeni tym, że mają współpracować z kimś prawie dorosłym. Po kilku dniach, gdy się zorientowali, jak bogatą Ash ma wiedzę, zwracali się do niego z najróżniejszymi pytaniami. Merrill nie był najlepszym nauczycielem. Sprawiał wrażenie, jakby się obawiał każdego, kto wykazywał choć odrobinę talentu czy umiejętności.

Ash pomagał młodszym kolegom z radością, ale tylko wtedy gdy w pobliżu nie było Merrilla.

Od czeladników oczekiwano, by sprząтали laboratorium i gromadzili materiały dla mistrzów uzdrowicieli. Kiedy w laboratorium ktoś pracował, w sypialni czeladników nie dało się przebywać z powodu nieprzyjemnych zapachów. Dlatego Ash spędzał tam bardzo mało czasu.

Ponieważ kwatery uzdrowicieli znajdowały się na uboczu, trudno było obserwować stąd wszystko, co się działo w pałacu i wokół niego. Stwarzało to jednak możliwość ukrycia się na jakiś czas, co miało dla Asha duże znaczenie, bo obawiał się, że darianie będą go szukać. Kiedy przez kilka dni nie dali o sobie znać, poczuł się trochę pewniej.

Mógł przypuszczać, że kapłan, który go wytropił, zatrzymał tę informację dla siebie. Ash liczył na to, że praca w infirmerii umożliwi mu dostęp do najważniejszego mieszkańca pałacu, ale tak się nie stało. Gdy spytał Harolda i Boyda, kto opiekuje się królem, odparli, że od-  
kąd oni tu są, Montaigne ani razu nie wzywał uzdrowiciela.

– Nigdy nie choruje? – zdziwił się Ash.

– Nawet jeżeli coś mu dolega, nie wzywa nas – oznajmił Harold.

Szlachetnie urodzonych, w tym ardeńskich tanów, leczyli mistrzowie uzdrowiciele. Czeladnicy często im pomagali, lecz Asha nigdy o to nie proszono. Pozostali uzdrowiciele omijali go szerokim łukiem, a gdy zdarzyło mu się podejść do któregoś bliżej, wykonywali znak Malthusa.

Na ogół jego praca polegała na sprzątaniu, zrywaniu i suszeniu roślin, siekaniu korzeni i ucieraniu ziół w moździerz. Wszystko to robił dla Taliesin już w wieku dwunastu lat. Czasem pozwalano mu rozlewać i opisywać ekstrakty po sporządzeniu. Podejrzewał, że Merrill nie chciał stwarzać mu kolejnej okazji do wykazania się swoimi umiejętnościami.

Tymczasem od dnia kiedy Hamon opuścił infirmerię, stale napływał potok służby, żołnierzy i niższych urzędników, którzy przybywali ze swoimi chorobami i dolegliwościami, prosząc o pomoc „Adama Freemana”. Najwyraźniej gdy piekarz znalazł się wśród osób chętnie nadstawiających ucha, z zapalem rozповідаł o swoim uzdrowieniu. Mistrz Merrill nie był tym zachwycony, lecz jego irytację łagodził fakt, że nie miał żadnego interesu w tym, by leczyć przedstawicieli nizin społecznych.

Dopiero kiedy przyjęto pacjenta z dyzenterią, znalazło się zajęcie dla Asha. Musiał go umyć i przygotować mu łóżko. Merrill wyraźnie czer-

pał przyjemność z wynajdywania Freemanowi prac fizycznych. Wszystko więc wskazywało na to, że o ile król Ardeny nie zażyczy sobie obcięcia paznokci u nóg, Ash raczej nie znajdzie się w jego pobliżu. Ash zabrał ze stajni swój zestaw zabójcy i ukrył go starannie pod kamieniem w ogrodzie, zabezpieczając zaklęciem ochronnym. Wciąż nie wpadł na pomysł, jak tego użyć. Mógł próbować zatruć żywość w kuchni, ale nie miał gwarancji, że trucizna dotrze tam, gdzie powinna. Król nie brał do ust niczego, co nie zostało wcześniej przetestowane przez sewera, natomiast pozostali mieszkańcy pałacu nie mieli takiej możliwości. Zginęłyby niewinne osoby, służba kuchenna zostałaby ukarana, a król nadal by żył.

To samo dotyczyło ziół i medykamentów w aptekarium. Ash miał świadomość, że wprowadzenie takich środków do organizmu króla nie będzie możliwe, jeżeli sam Montaigne nie zwróci się z prośbą o lek do uzdrowicieli. Taliesin powtarzała, że używanie trucizny w tłumie jest jak wypuszczanie strzały w niebo – nigdy nie wiadomo, gdzie spadnie. Tak czy inaczej Merrill bacznie obserwował nowego czeladnika, jakby czekał na jego potknięcie. Ash nie miał cienia wątpliwości, że gdyby pojawił się jakikolwiek problem, podejrzania natychmiast padną na niego.

Pewnego ranka, jakieś dwa tygodnie po tym jak wprowadził się do kwater dla uzdrowicieli, Ash porządkował i oznaczał rozpuszczalniki i różne preparaty, a dwaj młodszy czeladnicy przynosili składniki z magazynu. Mistrza Merrilla nie było i obaj chłopcy mieli wielką ochotę podzielić się z Ashem tym, co wiedzieli na ten temat.

– Słyszałeś, co się stało wczoraj wieczorem? – zapytał Harold, rzucając na stolik pęk ziół. – Z lady Estelle i w ogóle?



Ash pokręcił głową, nieobecny myślami. Akurat odmierzał dawki kory wierzby.

– Nie, nie słyszałem. – Lady Estelle była obecną faworytą króla, a Harold i Boyd uwielbiali powtarzać wszelkie plotki. Asha zupełnie nie interesowało to, kto nosi w swym łonie królewskiego potomka z nieprawego łoża.

– Wczoraj król omal nie położył się na żmii.

To go zaintrygowało.

– Żmija? Jak to możliwe?

– Z tego, co słyszałem, to była żmija zdradliwa – ciągnął Harold. – Są cienkie jak mały palec, ale jak taka ukąsi, to po człowieku.

– Żmija była w jego komnacie?

Harold pokręcił głową.

– Jak mówiłem, to był apartament lady Estelle.

Ash przestał udawać, że pracuje.

– Ukąsiła króla? – zapytał z nadzieją.

– Nie sędzę. Wybiegł z komnaty i wezwał strażę. Pięciu gawrońców wpadło do środka i rozwaliło całe łóżko, aż znaleźli i zabili gadzinę. Lady Estelle i wszystkie jej damy wpadły w histerię.

Ash usiadł. Serce biło mu głośno.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Mistrz Merrill zabrał mnie ze sobą, żebym mu pomógł nosić leki. Uznał, że będzie potrzebował pomocy przy pięciu rozhisteryzowanych niewiastach. – Harold pękał z dumy, że to on przyniósł tak ważne wiadomości, Boyd zaś był wyraźnie zmartwiony, że nie brał w tym udziału.

– Mistrz Merrill leczy króla? – *Ha! Czyli szanse wyleczenia są nikłe.*

– Nie. Już ci mówiłem, król... on nie wierzy w uzdrowicieli. Merrill poszedł do dam. One były w amoku, a nie mieliśmy niewieściego toniku, więc daliśmy im tyle okowity, że chłopca zwałoby z nóg. Potem przyszli gwardziści i zaczęli zadawać różne pytania lady Estelle i jej damom. Ale one wtedy nie bardzo wiedziały, co się dzieje, no to gwardziści... kazali nam znowu je otrzeźwić. – Harold ściszył głos do konspiracyjnego szeptu. – Bo wiesz, oni myślą, że ta żmija była przeznaczona dla króla.

– Kto chciałby skrzywdzić króla? – Pytanie Asha mogło zabrzmieć sarkastycznie, ale wypadało je zadać w towarzystwie Harolda i Boyda. – Podejrzewają kogoś?

– Chyba nie powiedzieliby Haroldowi, gdyby tak było – wtrącił Boyd, wyraźnie pragnąc wziąć udział w rozmowie.

– Jak już strażnicy wyszli, lady Estelle i jej damy dworu były w wielkiej panice, bo wyglądało na to, że gawronce je o coś podejrzewają.

– A gdzie był król w tym czasie?

– Poszedł do swoich apartamentów, o ile wiem.

W tym momencie usłyszeli kroki w korytarzu. Boyd i Harold szybko rzucili się do pracy, myśląc, że to mistrz Merrill. Tymczasem zjawił się Mark DeJardin.

– Freeman, bierz swoją torbę i chodź ze mną. Król cię wzywa.

Ash próbował odczytać coś z twarzy Marka, lecz bez powodzenia.

– Wzywa konkretnie mnie?

Mag skinął głową.

Czy to możliwe, że król jednak został ukąszony? Pełen obaw i niepokojem, Ash odłożył pracę i umył ręce. Wyciągnął spod łóżka zestaw uzdrowiciela.

– Zaczekaj tutaj – powiedział – muszę jeszcze przynieść coś z ogrodu. Na wszelki wypadek.

Na szczęście nie poszli za nim. Ukląkł za niskim murkiem, podniósł kamień i wydobył swoją sakwę. Przesunął palcami po paczuszkach i flakonikach, po czym wybrał dwie małe buteleczki. Pierwszą wsunął do kieszeni wszytej w rękaw. Drugą włożył do schowka, który umieścił pod srebrną obręczą. Nawet gdyby go o coś podejrzewano, było mało prawdopodobne, że zdejmą mu obręcz.

W drodze powrotnej zerwał garść ziela na ukąszenia.

Harold z ożywieniem opowiadał wyraźnie zaniepokojonemu Markowi o wydarzeniach w apartamencie lady Estelle.

– Lepiej się pilnuj, Haroldzie – powiedział Mark. – Zdaje mi się, że ta sprawa ma pozostać tajemnicą. Chyba nie chcesz, żeby król się dowiedział, że rozpowiadasz takie rzeczy.

Harold w jednej chwili zamknął usta, a na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia. To wyglądało niemal komicznie. Niemal.

– Możecie to skończyć beze mnie? – zwrócił się Ash do swoich dwóch młodszych kolegów. Obaj pokiwali głowami, wpatrzeni w niego szeroko otwartymi oczyma, niepewni, czy Ash ma kłopoty, czy też przeciwnie, los się do niego uśmiechnął. – Gdyby mistrz Merrill mnie szukał, powiedzcie mu, że zostałem wezwany przez króla. Nie wiem, jak długo to potrwa. – Uznał, że nie musi się śpieszyć. Niezależnie od wszystkiego Merrill i tak przez cały tydzień będzie mu uprzykrzał życie.

– O co chodzi? – zwrócił się do Marka, kiedy szybkim krokiem szli do głównej części pałacu.

– Właściwie nie wiem. – Strażnik potrząsnął głową. – Ale w całym pałacu roi się od Gwardii Królewskiej. Nigdy jeszcze nie widziałem

czegoś takiego. Jeśli to, co Harold opowiadał, jest prawdą, to ta sprawa z węzem musiała ich bardzo poruszyć.

W miarę jak zbliżali się do apartamentów królewskich, spotykali coraz więcej gawrońców.

– Poza tym słyszałem jeszcze plotkę o zarazie – rzekł Mark.

– Zaraza! Tutaj, w Ardencourt?

– Nie, w Delphi. Podobno kilka godzin temu z Północy przybyli jacyś jeźdźcy. Gawrońce eskortowali zamknięty powóz. Nikt nic nie wie, co też jest niezwykle. Może ktoś z przybyszów potrzebuje uzdrowiciela.

– Czemu sprowadzaliby zarazę do Ardencourt?

– Może to ktoś bardzo ważny. Dlatego to taki sekret.

– Mimo wszystko to nie ma sensu. – Ash pomyślał o gęsto zaludnionym mieście i o konsekwencjach ewentualnej epidemii w tym miejscu, gdzie nie ma obdarzonych mocą uzdrowicieli.

– Wiem tylko, że dziś rano król mnie wezwał i kazał cię sprowadzić, i to pilnie.

*To może być ta okazja, na którą czekałem, pomyślał Ash. Chyba że potrzebny im ktoś do pościelenia łóżek.*

Strażnicy wyraźnie się ich spodziewali i po rutynowym przeszukaniu szybko wpuścili ich do komnaty. Ash od razu zauważył zaostrzone środki bezpieczeństwa. Wewnątrz było dziesięciu uzbrojonych gawrońców, a poza nimi Montaigne, Lila i ktoś, kogo Ash dotąd nigdy nie widział. Mag bez obręczy. On i Lila pochyłali głowy nad mapą rozłożoną przy kominku.

Ash przyglądał się królowi, szukając oznak choroby, lecz nie dostrzegł nic szczególnego poza złym humorem.

Nieznajomy był mniej więcej w wieku Asha, umięśniony, miał orzechowe oczy, rudawy niedogolony zarost i brązowe włosy. Jego strój świadczył o tym, że od wielu dni był w podróży i nie miał czasu się przebrać.

Czy to on miał być pacjentem? Nic na to nie wskazywało. Mag wyglądał na zmartwionego, niemal wstrząśniętego, ale Ash nie wyczuwał w nim żadnego fizycznego schorzenia.

Kiedy Ash i Mark weszli do komnaty, Lila i nieznajomy przerwali rozmowę. Chłopak pochylił się, położył dłonie na kolanach i z zainteresowaniem przyglądał się przybyłemu uzdrowicielowi.

*Czy mam się z nim przywitać jak czarodziej z czarodziejem?* – zastanawiał się Ash.

– Poruczniku Karn! – krzyknął Mark. – Wróciliście!

Karn! Ash omal się nie przewrócił.

– Dobrze być z powrotem – powiedział młodzieniec, spoglądając na Marka, a potem znowu na Asha.

To musi być Destin Karn, szef siatki szpiegowskiej Ardeny. Ash nasłuchał się o nim podczas swoich wędrówek przez Arden. Syn Marina Karna, generała ardeńskiej armii. Możliwe, że to on stał za zamachem na Asha w Oden's Ford.

Jeżeli tak, to czy Karn go rozpoznał? Najczęściej zwracano uwagę na jego wysoki wzrost i rudą czuprynę. Dobrze, że teraz miał włosy ufarbowane na brązowo.

Najwyraźniej był to kolejny znajomy Lili. Ash zaczynał się czuć osaczony przez jej znajomych.

– To już wszystko – zwrócił się Gerard do Lili, wskazując drzwi.

Lila przerzuciła wzrok z króla na Asha i zacisnęła wargi. Widać było, że miała ochotę zostać, ale posłusznie wykonała pożegnalne dygnięcie.

cie.

– Kiedy skończycie, poruczniku, przyjdźcie do mnie do biura kwaterymistrza. Będę tam chyba cały dzień organizować dostawy – zwróciła się do Karna.

Ten skinął głową.

– Porozmawiamy wieczorem. Muszę jeszcze załatwić kilka rzeczy, zanim wyjedziemy.

*Wyjadą dokąd? – zastanawiał się Ash. Czy to ma coś wspólnego z tym tajemniczym spiskiem, nad którym pracuje Lila?*

Po jej wyjściu Ash przykląkł w powitalnym ukłonie i zaraz się podniósł.

– Chcieliście mnie widzieć, Wasza Królewska Mość?

– To jest uzdrowiciel, o którym ci mówiłem – zwrócił się Montaigne do Karna. – Niech obejrzy dziewczynę, jeśli naprawdę uważasz, że to konieczne, ale myślę, że nie ma powodów do niepokoju. Merrill twierdzi, że wyzdrowieje, potrzebuje tylko czasu i odpoczynku. Zaproponował, że upuści jej krwi, jeśli będzie trzeba.

– Z przyjemnością obejrzę waszą pacjentkę – wtrącił Ash. – Jeżeli taka wasza wola, panie. – Nie miał dobrego zdania o umiejętnościach Merrilla, wyczuł więc kolejną szansę na zdobycie zaufania króla.

Karn wstał i podszedł do Asha. W jego ruchach była prawdziwie kocia gibkość.

– Skąd jesteś? – zapytał, wpatrując się w obręcz.

*Chyba powinienem zakrywać ją jakimś ozdobnym szalikiem, pomyślał Ash.*

– Z Tamronu.

– Twój akcent wskazuje raczej na tereny dalej na północy.

Ash zeszywniał. Powinien był się spodziewać, że szef siatki szpiegowskiej będzie rozpoznawał różne akcenty. Karn prawdopodobnie torturował jeńców z wielu krain. Jednak Ash w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że mówi z akcentem.

– Moja mama była z Felis, ale ja nigdy nie chciałem tam jechać. Podobno tam są potwory.

– Potwory są też tutaj, uzdrowicielu – stwierdził Karn.

*Co do tego jesteśmy zgodni*, podsumował Ash w myślach.

– Co z tą pacjentką? Czy to jakaś zaraza, Wasza Królewska Mość?

– Zaraza! – król uniósł brew. – Skąd taka myśl?

– Chodzą słuchy, że w Delphi panuje zaraza – powiedział Ash, wyraźnie czując ciężar buteleczki w rękawie. – Ja... jeśli to was martwi, mam wywar ziołowy, który może zapewnić ochronę. Mogę sporządzić napój i...

– Kto ci powiedział, że przybyłem z Delphi? – przerwał mu Karn, mrużąc oczy.

– Nikt, panie. – Ash nie chciał wplątywać w to Marka. *Weź się w garść, sul'Hanie*, skarcił się w duchu. *Ta obręcz odcina ci chyba dopływ krwi do mózgu*. – Słyszałem, że jacyś podróżni przybyli z północy, i założyłem...

– To nie zaraza – burknął Karn – tylko szesnastoletnia dziewczyna z raną kłutą. – Zwinął mapę i wsunął do swojej torby.

– Potrzebujemy kogoś, kto zatrzyma to, co zobaczy, dla siebie – oznajmił król. – Potrafisz to zrobić, Freeman?

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość – zapewnił go Ash. – Dziękuję za zaufanie.

– Będziemy... bardzo niezadowoleni – rzekł Karn – jeśli choć jedno słowo o tym wydostanie się na zewnątrz, rozumiesz? – Dłoń porucz-

nika powędrowała do noża u jego boku, by wzmocnić siłę groźby.

– Rozumiem, poruczniku Karn. – Ciekawość Asha rosła coraz bardziej. Co to za pacjentka? Czemu to taka wielka tajemnica? Czy wybrano go do tego zadania, bo został uznany za zbędnego?

Nagle zrozumiał. Ta pacjentka... szesnastoletnia dziewczyna... przybyła z Północy w zamkniętym powozie. Była to wielka tajemnica, którą musiał zatrzymać dla siebie.

Lyss.

Serce mu podskoczyło i natychmiast ruszyło do galopu. Nie mógł złapać oddechu.

*Może została ranna, wzięta do niewoli i sprowadzona tutaj.*

Nabrał powietrza i wypuścił je powoli, próbując się uspokoić. Po ataku na Oden's Ford wiedział, że Montaigne obrał sobie jego rodzinę za cel. Wiedział, a mimo to tracił czas w stajni. Powinien był działać szybciej. Powinien był znaleźć sposób, by powstrzymać króla, zanim to się stało.

*Jeśli to rzeczywiście Lyss, zrobię wszystko, żeby ją uratować, postanowił. Mimo woli przypomniał sobie słowa Taliesin. „Przyjdzie taki czas, kiedy pożałujesz, że nie jesteś lepszym uzdrowicielem”.*

– Uzdrowicielu? – Karn przechylił głowę i zmarszczył czoło. – Jakiś problem?

– Nie, poruczniku – odparł Ash, czując, jak wnętrzości się mu wywracają. – Najmniejszego.



## W ZAMKOWYCH LOCHACH



Opuścili apartamenty królewskie w towarzystwie dwóch gawrońców i pierwszymi napotkanymi schodami ruszyli na dół. Karn szedł pierwszy, Ash za nim, a strażnicy na końcu. Kierowali się do centralnej części zamku, aż dotarli do solidnych drewnianych drzwi strzeżonych przez dwóch strażników. Za nimi kolejne schody prowadziły w dół, na poziom poniżej piwnicy.

Ash mimowolnie przypomniał sobie swój ostatni pobyt w piwnicach w towarzystwie żądnego krwi darianina.

– Trzymacie pacjentów w piwnicy? – spytał, nie umiejąc ukryć złośliwości w głosie.

Karn posłał mu przeciągłe, krytyczne spojrzenie.

– Tę pacjentkę tak – oświadczył, wskazując kolejne schody. – Tędy.

U szczytu schodów znajdowały się jeszcze jedne drzwi, tym razem metalowe. Przed nimi stali kolejni dwaj strażnicy. Zasalutowali porucznikowi, zlustrowali Asha wzrokiem i wpuścili ich do środka. Drzwi za nimi się zatrzasnęły i rozległ się dźwięk nakładanej z zewnątrz sztaby. Podejrzenia Asha się sprawdziły. Znaleźli się w lochach.

W jednej chwili poczuł się, jakby opadła na niego ciężka płachta i odcięła mu dopływ tlenu. Jeśli tą pacjentką jest Lyss, to będzie musiał ją jakoś stąd wydostać. Jak to zrobić, skoro jest ranna? W dodatku jeśli Południowcy dowiedzą się, kim on naprawdę jest, to albo go zabiją, albo wtrącą do celi obok Lyss. Najprawdopodobniej zamkną go i będą torturować. Syn i córka królowej Felis będą więcej wari w żywi niż martwi.

Wsunął palec pod obręcz i wymacał ukrytą tam buteleczkę. Wiedział, jak pozbać się życia, gdyby zaszła taka konieczność.

Szli ciemnym kamiennym korytarzem, w którym na szerokość mieściły się tylko dwie osoby. Pochodnie w ścianach dawały niewiele światła. Podłóże było nierówne, niedbale wykopane przed wiekami. Powietrze załatywało wilgocią i stęchlizną, jakby wdychano je i wydychano już tyle razy, że nie pozostało w nim nic ożywczeo.

Po obu stronach korytarza znajdowały się drzwi z wąskimi, okrągowanymi okienkami, przez które nie dałoby się przecisnąć barków. Spoza niektórych dobiegały jakieś hałasy: jęki bólu, płacz, zawodzenie obłąkanych. Ash mijał je szybkim krokiem. *Nie możesz uratować wszystkich, sul'Hanie*, pomyślał.

Schodzili coraz niżej. Strażnicy kontrolowali ich jeszcze dwa razy. Po kilku zakrętach odległości między drzwiami się wydłużyły, co znaczyło, że cele były większe. Mimo że znajdowali się głębiej, powietrze tutaj wydawało się świeższe. Ash zauważył szyby wentylacyjne poprowadzone w pewnych odstępach. Większość cel w tej części podziemia była pusta.

Na końcu korytarza znajdowało się duże okrągłe pomieszczenie z wysokim sufitem i trojgiem drzwi w ścianach. Na wprost wejścia był

zwilgotniały kamienny mur pokryty grzybem. Spływała po nim woda tworząca na ziemi kałużę. Ash domyślił się, że są blisko rzeki.

W centralnym pomieszczeniu znajdowały się dwie duże kamienne płyty, a na nich skórzane pasy przymocowane żelaznymi uchwytami, poczerniałe od długiego używania i niedbałego czyszczenia. Ze ścian zwisały metalowe łańcuchy, wyciągi, okowy i inne narzędzia. Wiele z nich przypominało instrumenty chirurgiczne. Unosił się tu mdły odór krwi, celowo zadawanego bólu i trwogi. Ash nabrał powietrza i wypuścił je, czując przeciągły dreszcz.

– Denerwujesz się, uzdrowicielu? – Karn spojrzał na niego z ukosa.

– Czuję wilgoć i tyle – odparł Ash, choć usta zdrętwiały mu ze strachu. Przed jednymi drzwiami stało dwóch strażników. W tych drzwiach nie było otworu. To musiał być ich cel.

Jeżeli to jest Lyss, to czy go rozpozna? Bardzo się zmienił przez te cztery lata, włosy miał teraz zafarbowane, ale przecież... kiedyś byli sobie tak bliscy, więc między nimi była tak silna, że zmiana wyglądu nie powinna mieć dużego znaczenia.

Co jeśli go rozpozna i zawoła po imieniu?

Co jeśli on na widok tego, co jej zrobili, sam się zdradzi? Musiał zachować czujność.

Strażnik przekręcił klucz w zamku i odsunął się na bok, żeby ich przepuścić.

– Zostańcie na zewnątrz – rozkazał Karn gawrońcom. Wyjął dwie pochodnie z uchwytów po bokach drzwi i ruszył do środka.

Pomieszczenie było słabo oświetlone lampami wstawionymi we wnęki w ścianach, tak że światło nie docierało do kątów. Była to wydrążona w skale cela nieco mniejsza od końskiego boksu i znacznie wyższa niż cele w górnej części lochów.

Przy ścianie na wprost wejścia stało niskie łóżko. Na nim, pod stertą koców, ktoś umierał. Ta świadomość uderzyła Asha z siłą rozpędzonego konia, omal nie pozbawiając go tchu.

Karn wsunął pochodnie w uchwyty w ścianie po obu stronach łóżka.

– Witaj, Jenno – powiedział łagodnie. – Sprowadziliśmy ci innego uzdrowiciela.

Jenna. Nie Lyss. Kiedy Ash spojrzał na dziewczynę skuloną na łóżku, zdał sobie sprawę, że jej nie zna.

Omali nie zemdlali z ulgi wymieszanej z konsternacją. Jeżeli to nie Lyss, to kto?

– Uzdrowicielu? – Karn znowu przyglądał mu się badawczo, jakby nie wiedział, co zrobić z tym magiem drżącym jak osika.

Więźniarka obserwowała ich ze znużeniem niczym zwierzę w pułapce. Wyglądała na niewiele młodszą od Asha, leżała pod prostym szarym kocem naciągniętym pod samą brodę. Włosy miała skołtunione, możliwe, że z pasmami farby. Trudno było to stwierdzić, bo pilnie wymagały umycia i uczesania.

Jej ubrania też były obrzydliwe, chociaż niegdyś musiały być wytworne. Miała na sobie coś, co wyglądało na chłopięce spodnie, i portarganą lnianą koszulę, poplamioną krwią i bogowie wiedzą czym jeszcze. Na podłodze obok łóżka leżała skłębiona aksamitna peleryna.

Ręce dziewczyny były spętane i przykute do ściany krótkim łańcuchem. Skórę na jej nadgarstkach pokrywały strupy i pęcherze, powstałe zapewne podczas prób uwolnienia się. Ash sięgnął do obręczy na swojej szyi i żołądek mu się ścisnął ze współczucia.

Oczy tej dziewczyny były niezwykle – zadziwiającej złotej barwy, przejrzyste, przeszywające – umieszczone w dość płaskiej twarzy

z wydatnym nosem. Oczy gada, przed którym nic się nie ukryje. Niepokonana w miejscu przeznaczonym do gaszenia nadziei.

Nie była z tych, którzy mogą długo przetrwać w niewoli, nawet jeżeli nie odniosła śmiertelnych obrażeń. Ash poczuł żal w sercu.

– Ten pierwszy uzdrowiciel powiedział, że nic mi nie będzie. – Jej głos był cichy, lecz brzmiała w nim wielka siła. – Myślałam, że już nie macie nikogo lepszego.

– Merrill powiedział, że nie pozwoliłaś mu się zbliżyć – odparł Karn. *Sprytna dziewczyna*, pomyślał Ash.

Pacjentka poruszyła się na łóżku, ściskając w garściach krawędź koca.

– Tak powiedział? No to kłamał.

– Jenno – mruknął Karn z wyczuwalną frustracją w głosie.

– Zresztą on twierdził, że nie musi mnie dotykać. Że może ocenić mój stan na odległość.

– Na krew męczenników! – westchnął Karn przez zaciśnięte zęby. – Próbuję uratować ci życie. – Wskazał na Asha. – Ten uzdrowiciel jest obdarzony mocą.

Jenna zmierzyła Asha wzrokiem, w jej oczach na moment pojawił się przeblysł strachu.

– Nie – powiedziała, oblizując spękane wargi. – Jest za wysoki. Nie chcę wysokiego uzdrowiciela, sprowadźcie kogoś innego.

*Ona nie chce uzdrowiciela obdarzonego mocą, zauważył Ash. Czyżby się bała, że uda mi się ją uratować? Czy raczej boi się, że wydobędę z niej sekrety, które chce ukryć?*

Odłożył swoją torbę i przykucnął przed dziewczyną, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

Jej oczy płonęły mocno, oddech był szybki i płytki. Prawdopodobnie miała też przyśpieszony puls. Wyczuł płomień rozgrzanej do białości magii w jej klatce piersiowej. Widocznie tam została zraniona. Dziewczyna nie była obdarzona mocą – nie otaczała jej charakterystyczna lśniąca aura. Ręce miała umięśnione, zapewne od ciężkiej pracy. Jadała dobrze, przynajmniej do niedawna. Jej skóra miała niezwykły połysk – migotała w świetle pochodni, jakby pod spodem pełzały płomienie.

– Jestem Adam Freeman – powiedział. – Jak się czujesz?

Jenna długo przyglądała się jego twarzy.

– Jesteś wilkiem – oznajmiła z pogardą. Podniosła wzrok na Karna.

– Po co sprowadziłeś do pałacu wilka?

Ash omal się nie zatoczył. Znowu poczuł strach, który przejawiał się metalicznym posmakiem na języku. Czemu to powiedziała? Skąd mogła to wiedzieć? Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było powiązanie go z linią Szarych Wilków.

– O co chodzi, Jenno? – Karn przerzucił wzrok z dziewczyny na Asha. – Co to znaczy, że on jest wilkiem?

– Porucznik nie wie, tak? – Uśmiechnęła się niczym kot, który upolował ptaka. Oddychała gwałtownie, jakby węszyła w powietrzu. – A to cię wystraszyłam, Wilku. – Uniosła obie dłonie i przyłożyła sobie palec do ust. – Ćśśś – powiedziała i opadła na poduszki, po czym obróciła się na bok, twarzą do ściany, tak że Ash miał przed sobą jej plecy.

Wyglądało na to, że jego pacjentka oceniała ludzi na swój sposób.

– No i? – Karn wiercił się niecierpliwie. – Zaczynasz coś robić czy nie?

Ash podniósł się i stanął w rozkroku.

– Trzeba ją przenieść na górę. Potrzebuje świeżego powietrza i światła.

Karn skrzyżował ręce na piersi i pokręcił głową.

– To niemożliwe, uzdrowicielu. Będziesz musiał zrobić, co się da, tutaj.

– Przynajmniej zdejmijcie jej te łańcuchy, żebym mógł ją porządnie zbadać. I musicie wyjść.

– Nigdzie nie wyjdę.

– Jeśli będzie mogła ze mną porozmawiać w zaufaniu, może chętniej przystanie na współpracę.

– Nie mam zamiaru z wami rozmawiać – powiedziała Jenna do ściany. – Wyjdźcie obaj.

Karn przerzucił wzrok z Asha na Jennę i z powrotem, jakby się zastanawiał, po czyjej stronie jest ten uzdrowiciel.

– Czemu miałbym ci ufać, zostawić cię z nią samego? – zapytał w końcu. – Nic o tobie nie wiem.

– Słowo króla nie wystarczy? – Ash uniósł brew.

Karn spoglądał na niego dłuższą chwilę, po czym powiedział.

– Chodź, muszę z tobą porozmawiać. – Kiwnął głową w stronę drzwi. Gdy tylko wyszli do komory przesłuchań, Karn obrócił się gwałtownie i docisnął Asha do muru, przykładając mu nóż do gardła poniżej obręczy. Ash się tego spodziewał, ale nie zareagował, bo już wiedział, że porucznik potrzebuje Jenny żywej i że nie zabije uzdrowiciela, by postawić na swoim.

– Dlaczego nazwała cię wilkiem? – zapytał Karn. – O co jej chodziło?

Można się było domyślić, że to go zaintryguje. W pierwszej chwili Ashowi przyszło do głowy, żeby zrzucić to na zamroczenie, ale czuł, że

Karn tego nie kupi. Porucznik wiedział o tej dziewczynie coś, co ka-  
zało mu traktować jej słowa poważnie.

– Nie będę rozmawiał z nożem przy szyi. – Spojrzał Karnowi w oczy.  
– Zresztą to i tak niczego nie zmieni.

Karn długo mu się przyglądał, po czym opuścił nóż i zrobił krok  
w tył.

– Według mnie to znaczy, że jest bystra – stwierdził Ash. – Ona  
chce umrzeć i boi się, że uda mi się ją uratować, chociaż Merrill nic  
nie wskórał. Jeśli zasieje w was podejrzliwość i odsuniecie mnie  
od niej, dostanie to, czego chce.

– Ona faktycznie chce umrzeć – przyznał Karn niechętnie. – Sama  
zadała sobie tę ranę. Dlatego nie chce współpracować. Musimy ją  
utrzymać przy życiu, przynajmniej dopóki... musimy utrzymać ją  
przy życiu.

*Skoro ona chce umrzeć, to może powinienem jej pozwolić*, pomy-  
ślał Ash. Wiedział jednak, że nie powinien mówić tego na głos.

– Jeżeli chcecie utrzymać ją przy życiu, muszę poznać odpowiedzi  
na kilka pytań.

Karn zmarszczył czoło, jakby zaskoczony tym, że uzdrowiciel  
ośmiela się stawiać mu warunki.

– Na przykład?

– Czy macie ten nóż?

Przez kilka uderzeń serca Karn zdawał się zastanawiać. Potem po-  
grzebał w swojej torbie, wyjął sztylet w pokrowcu i podał go Ashowi  
trzonkiem do przodu.

Ash wysunął ostrze z pokrowca i obejrzał je. Miało magiczną moc,  
ale użyte zaklęcia były dla niego obce jak fragment pieśni z odległego  
miejsca. Na ostrzu wciąż widniała krew.



– To jej krew?

– Jej i... i jeszcze kogoś. – Karn odchrząknął.

– Wasza?

– Nie. Jednego ze strażników w Delphi. Już nie żyje. Zabiła go wtedy, kiedy została... znaleźliśmy ją.

– To dlatego tu jest... dlatego że zamordowała gwardzistę?

– Nie twoja sprawa.

– Skąd jest ten sztylet?

Karn pokręcił głową.

– Miała go przy sobie. – Wyglądał, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale zmienił zdanie.

– Jak dawno zadała sobie tę ranę?

– Pięć dni temu.

– Jak była leczona?

– Oczyszcilem i obandażowałem ranę.

Ash kiwał głową.

– Dobrze. Bardzo krwawiła?

– Na początku tak. Ale rana szybko się zasklepiła. Jest opuchnięta. Myślę, że mogła się wdać infekcja. Albo coś innego.

Albo coś innego.

– Jadła i piła?

– Niewiele.

– No dobrze. – Ash zwrócił sztylet Karnowi, a ten ważył go w dłoni.

– I co? Dasz radę ją uzdrowić?

– Nie jestem Merrillem – odparł Ash. – Nie umiem tego stwierdzić bez zbadania pacjentki. Mogę tylko powiedzieć, że nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z taką magią. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że pochodzi spoza Siedmiu Królestw.

Szczęka Karna drgnęła, lecz nic nie powiedział.

– Ten fakt i późne podjęcie leczenia sprawiają, że nie jestem optymistycznie nastawiony.

– Słuchaj. – Karn przysunął się do Asha. – Mówisz, że jesteś uzdrowicielem, ale ja wiem, że jesteś magiem skądś na północ od nas. Może pracujesz dla króla, a może dla kogoś zupełnie innego. Może umiesz działać cuda, a może ta dziewczyna już nie żyje. Ale musisz zrozumieć, że jeśli ona umrze, to bez względu na to, czy król cię polecił, czy nie, obaj za to zapłacimy.

– Nie spodziewałem się niczego innego po Jego Królewskiej Mości – oznajmił Ash. – Jestem jedną z dwóch osób w całym imperium, które mają szansę ocalić życie tej dziewczynie. Zrobię, co w mojej mocy, czy będziecie mnie obserwować, czy nie, ale jeśli wyjdziecie, może uda mi się uzyskać jakieś pomocne informacje. To wasza decyzja, ja tylko chcę wykorzystać wszystkie możliwości.

## UZDROWICIEL WILK



*A więc to uzdrowiciel wilk ma być tym sympatycznym*, myślała Jenna, wpatrując się w ścianę. Tym, któremu mogłaby się zwierzyć po tak długim upartym milczeniu. Bezbłędnie odgrywali swoje role, zły porucznik i dobry uzdrowiciel. Potem wyszli, żeby się naradzić.

Może wybrali tego chłopaka ze względu na jego wygląd. Był wysoki, dobrze zbudowany, z szerokimi barkami, umięśnionymi rękami i dużymi dłońmi, jak miody drapieznik w okresie dorastania. Nosił takie same szaty jak ten drugi uzdrowiciel, ale wyglądał w nich zupełnie inaczej.

Miał pociągłą, poważną twarz o ciemnej karnacji i niebieskozielone oczy, które świadczyły o mieszanym pochodzeniu. Dziwny błotnisty kolor włosów nie pasował do rudych brwi i szczątkowego zarostu.

Był magiem. Otaczała go aura mocy, świetlista mgielka wyraźniejsza niż u Karna. To oraz srebrna obręcz na szyi powiedziało jej, że służy okrutnemu królowi. Obdarzeni mocą nigdy nie stawali się uzdrowicielami w Ardenie. Pewnie to kolejny gawroniec, ktoś z umiejętnością wydobywania sekretów ze słabych i bezbronnych.

Kiedy zerknęła na niego z ukosa, dojrzała wilki: szare wilki z ostrymi zębiskami i lśniącymi ślepiami, krążące po niebieskawym śniegu. Jego zapach przywodził jej na myśl wiedzmi wiatr, który wiał od Gór Duchów podczas zimowych miesięcy.

*To musi znaczyć, że jest zabójcą, pomyślała. Jest okrutny. To wszystko.*

Usłyszała, jak drzwi się otwierają, następnie dwie pary stóp kroczą w jej stronę.

– Obróć się, Jenno – odezwał się Karn – żebym mógł ci uwolnić rękę.

To ją tak zaskoczyło, że obróciła się na plecy, aby na niego spojrzeć. On wyciągnął rękę i odpiął jej kajdany, które brzęknęły o ścianę. Stał nad nią dłuższą chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, a potem wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Tymczasem wilk przysunął stołek do jej łóżka i położył sobie przy nogach torbę.

– Porucznik Karn przyniesie ciepłą wodę i mydło, żebym mógł przemyć ci ranę.

Opór wydawał jej się bez sensu, bo wiedziała, że i tak nic nie da.

– Mogę zwracać się do ciebie po imieniu? – zapytał.

– Jeśli ja będę mogła nazywać cię „Wilkiem” – odparła.

Skrzywił się i zacisnął zęby.

– Proszę, nazywaj mnie Adamem.

– Dobrze – powiedziała. – Spróbuję myśleć o tobie jako o wilku o imieniu Adam.

– A więc, Jenno – powiedział Adam Wilk, jakby chciał wypróbować, jak to zabrzmie – co właściwie ci się stało?

– A czemu cię to obchodzi?

Wydawał się zbity z tropu.

– Jesteś człowiekiem – odpowiedział w końcu.

– I ten człowiek chce, żebyś sobie poszedł.

– Nie mogę – oznajmił. Milczał przez chwilę, a kiedy ona nie reago-  
wała, znowu się ku niej pochylił . – Opowiedz mi o tym sztylcie. Wy-  
gląda na zaczarowany. Skąd go masz?

– Opowiedz mi o swojej obroży. – Udawała, że spogląda w sufit, lecz  
kątem oka bacznie go obserwowała. – Ona też jest magiczna. Czy król  
ma dla ciebie także smycz?

– To nie był mój pomysł – mruknął uzdrowiciel.

– A więc coś nas łączy. Oboje jesteśmy na smyczy u króla i teraz ja  
zdradzę ci swoje sekrety. Taki jest plan?

Potrząsnął głową i zacisnął szczęki. Gniew narastał w nim niczym  
mgła. Ten wilk był jak dekoracyjna tkanina – na wierzchu spokojny,  
spleciony równym ścięciem, ale pod spodem utkany ze skłębionych  
ciemnych nici gniewu.

– Nie muszę znać wszystkich twoich sekretów.

– Jak na uzdrowiciela masz bardzo ciemną duszę – Jenna nie prze-  
stawała na niego naciskać.

Wzdrygnął się, jakby przyłapano go na kłamstwie, i zaczął rozcierać  
sobie kark.

– Jedna z moich nauczycielek kiedyś mi powiedziała, że uzdrowiciel  
stoi okrakiem na granicy oddzielającej życie od śmierci. Może dlatego  
taki jestem. – Odczekał chwilę, a kiedy długo nie odpowiadała, zapy-  
tał: – Dlaczego król cię więzi?

– Chyba myślę, że coś wysadziłam. I coś podpaliłam. I może zdra-  
dziłam jakieś tajemnice. – Nie miała zamiaru do niczego się przy-  
znać, chyba że zostanie zmuszona.

– Dlaczego sama zraniłaś się własnym sztyletem?

– W tamtym momencie wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Wargi Adama wygięły się w luk przypominający uśmiech, w kąci-  
kach jego oczu ukazały się delikatne zmarszczki. Ładnie z tym wyglą-  
dał.

– Dlaczego tak im zależy, żeby utrzymać cię przy życiu?

– Nie chcę, żebym umarła, zanim wydobędą ze mnie torturami ja-  
kieś nazwiska. Potem mnie zabiją. Dlatego uzdrawianie mnie  
to strata... czasu wszystkich. – Spojrzała na niego ukradkiem. Wyraz  
jego twarzy mówił wyraźnie, że nie pomoże jej umrzeć.

– Dziękuję, że odpowiedziałaś na moje pytania – powiedział uprzej-  
mie. – A teraz cię zbadam. Nie bój się – dodał, kiedy się gwałtownie  
odsunęła – to nie będzie bolało. To nie jest... skomplikowane. – Ich  
spojrzenia spotkały się na chwilę. Powoli, ostrożnie uzdrowiciel wy-  
ciągnął ręce i chwycił ją za obie dłonie. Poczowała jego rozgrzane palce  
na swojej zmarzniętej skórze, kiedy jego kciuki szukały pulsu na jej  
nadgarstkach.

Próbowała się wyrwać, ale ścisnął ją mocno. Zagryzła zęby, szykując  
się na kontakt z magią, której zechciałby użyć przeciwko niej.

W pierwszej chwili poczuła tylko delikatne muśnięcie... czegoś. Ni-  
czym ciepła smużka słońca przedostająca się przez chmury. Potem  
otworzyły się między nimi połączenia i w obie strony zaczęły płynąć  
obrazy. Jaskrawa, rozdzierająca serce, nieupiększona prawda. Zde-  
rzała się, plątała, mieszała, tak że trudno było stwierdzić, co jest  
czyje, co jest prawdą, a co magią.

Znowu ujrzała wilki, niczym szare duchy nawiedzające kręte uliczki  
górskiego miasta. Małą Maggi, odrzuconą na bok jak popsuta lalka.  
Drobną groźną kobietę z miedzianą skórą i zielonymi oczami, która

ze wzburzeniem chodzi w kółko i uderza pięścią w dłoń. Oczy Riley'a wpatrzone w nią, jego krew parująca w zetknięciu ze śniegiem. Rudowłosego smutnego chłopca ściskającego rączki płaczącej dziewczynki, podczas gdy obok nich przechodzą gwardziści w niebieskich mundurach niosący udekorowane kwiatami mary. Czeluść kopalni, zapach wilgotnego kamienia i ciemność nieprzeniknioną niczym gruba zasłona. Sztylet ze smoczym trzonkiem, jego ostrze umazane krwią. Jasnowłosego mężczyznę leżącego na ubłoconym bruku. Rudowłosego chłopca klęczącego przy nim i ściskającego amulet w kształcie węża. Krew jej taty wsiąkającą w podłogę tawerny. Gwałtowny wybuch magazynu amunicji błotnistych, od którego aż ziemia się zatrzęsała.

Widziała samotnego wilka z dzikimi, smutnymi oczami, kryjącego się w cieniu. Łuski i pazury lśniące w słońcu.

Zerknęła na uzdrowiciela. Adam Wilk siedział jak zauroczony, z lekko rozchylonymi wargami. W oceanie jego oczu przepływały wspomnienia i marzenia, jego twarz zmieniała się za każdym razem, kiedy kolejny obraz wrzynał się w jego serce.

*On też to widzi, uświadomiła sobie zdumiona Jenna. Widzi mnie. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.*

Wspólne doświadczenia smutku i utraty, niezaspokojonego gniewu i pragnienia zemsty. Podobne. Łączące ich dwoje na setki sposobów. Nie było już odwrotu – już wyjawiała za dużo. Teraz była zdana na niego, ale nie wydawało się to bardzo złe, bo jednocześnie on był zdany na nią.

Wilk pierwszy to przerwał. Cofnął ręce i spojrzał na nią z tak zdumionym wyrazem twarzy, jakby patrzył w lustro i zobaczył własne odbicie.

– Co się dzieje? – szepnął grubym, obcym głosem.

– Ty mi powiedz, Wilku – odparła, ocierając łzy rękawem. – Co to było? – Drżąc, z powrotem zagrzebała się w pościeli. – Jak... to miało być nieskomplikowane?

W jednej chwili przestała walczyć z tym uzdrowicielem. W świecie pełnym złych ludzi nie musiała wiedzieć dokładnie, kim był i co robił, żeby rozumieć, że nie jest jej wrogiem.

Adam oblizwał wargi i poruszał barkami jak ktoś, kto chce się rozluźnić. Rzucił ukradkowe spojrzenie na drzwi, jakby myślał o ucieczce.

– Co... co mi zrobiłaś? Co to znaczy?

– To znaczy, że skończyliśmy z okłamywaniem się nawzajem – odparła. – To nie ma sensu. Zgoda?

Spojrzała mu w oczy, lecz nie dostrzegła w nich zgody, a jedynie lęk, jakby nie spodziewał się, że pacjent może go wciągnąć w pułapkę. Wtedy zamknął powieki.

*Boi się, że zdradził za dużo.*

*Przecież widziałeś to samo co ja. Skoro znasz prawdę, musisz ją uszanować.*

Miała ochotę nim potrząsnąć, ale ta rozmowa bardzo ją męczyła. Krawędzie jej świadomości zaczynały się kruszyć jak delikatne strońce starego manuskryptu, jak wilki odrywające się od stada.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Karn z miską i szmatami, naczem lnianych płacht i garnkiem wrzątku.

– Przeszkodziłem w czymś? – zapytał, patrząc na nich oboje. Położył to, co przyniósł, na ziemi obok łóżka.

Wilk zamrugał, jakby obudził się ze snu. Delikatnie poruszył garnkiem, aż rozlał trochę wody.

– Naprawdę gotowaliście to dziesięć minut?



– A nie tak mi kazałeś? – Karn spojrzał uważnie na nich oboje, po czym usiadł pod ścianą przy drzwiach, żeby z odległości obserwować to, co się będzie działo.

Obecność porucznika sprawiła, że uzdrowiciel przestał zadawać pytania i przystąpił do pracy. Przysunął bliżej garnek z wodą i nalał trochę do miski.

– Jenno, oczyszczę ci ranę i zobaczę, co się dzieje. Potem zdecydujemy, co robić.

– My?

To wywołało uśmiech numer dwa. Prawie.

– Dasz radę usiąść? Jeśli ci pomogę?

Skinęła głową.

Znowu chwycił ją za rękę, lecz teraz tak ją obrócił, że jej nogi opadły przez krawędź łóżka. Ona podciągnęła sobie pościel pod samą brodę, jakby budowała bezpieczny fort. W głowie jej się zakręciło i przed oczami pojawiły się mroczki. Zachwiała się, a uzdrowiciel natychmiast złapał ją za barki, żeby nie spadła z łóżka.

Pochylił się nad nią tak, że niemal stykali się nosami. Zwróciła uwagę na długie rzęsy wokół jego niebieskozielonych oczu.

– Chcesz się z powrotem położyć?

– Nic mi nie będzie – sapnęła. – Tylko... daj mi minutę.

– Wsuń głowę między kolana. – Delikatnie popchnął jej głowę w dół w kierunku podłogi. – Oddychaj. – Jedną dłoń trzymał na jej plecach. Jenna czuła się speszona tym dotykiem, jego ciepłem i siłą, tak samo jak kontaktem swoich kolan z jego kolanami.

W końcu poprawiło jej się na tyle, że kiwnęła głową, aby robił swoje.

– Po prostu powiedz, kiedy mam przestać. Jak już dotrę do źródła choroby, będziesz mogła się znowu położyć. Karn! – krzyknął tak gło-

śno, że Jenna aż podskoczyła. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak cicho wcześniej mówił. – Ona będzie potrzebowała jakichś czystych ubrań.

– To znaczy czego?

– Przynieście jakąś luźną męską koszulę – odpowiedział uzdrowiciel. – Bieliznę. I świeżą pościel.

Myśl o Karnie szukającym dla niej bielizny rozbawiła Jennę.

Porucznik podszedł do drzwi, porozmawiał z gawrońcami stojącymi na zewnątrz i wrócił na swoje miejsce.

– Ciągłe masz dreszcze – zauważył Adam. – Dlatego lochy nie są dobrym miejscem na leczenie pacjentów – oznajmił głośno, znowu kierując to do uszu Karna. – Masz, owiń się tym. – Zarzucił jej na ramię koc, a ona przyjęła to z wdzięcznością. – A teraz spójrzmy. – Delikatnie zsunął pościel z jej bioder i rozłożył na wierzchu czyste prześcieradło. Potem szybko rozwinął bandaż, który przytrzymywał opatrunek, i rzucił go na podłogę. Opatrunek przywarł do rany, ale on zerwał go tak szybko, że Jenna nawet nie zdążyła się wystraszyć. Możliwe, że i tak nic by nie czuła, bo ciało wokół rany było całkiem zdrętwiałe, zimne, bez oznak życia.

Dalej znajdował się tampon, śmierzący, z zaschniętymi wydzielinami z rany. Uzdrowiciel przykładał wiele wilgotnych szmat, by go rozmoczyć. To akurat Jenna czuła. Bolało jak przebijanie palca. Starała się tego nie okazywać, ale nie potrafiła ukryć cisnących się do oczu łez. Następnie Adam złapał ją za obie dłonie i wlał w nią swoją moc. Tak samo jak wtedy gdy Karn próbował ją przesłuchać w Łaskawej Pani, nic nie działał.

Zorientował się. Nachylił się ku niej i znowu powiedział cicho, tak żeby Karn nie usłyszał.

– Czy ty mnie blokujesz? Jeśli tak, proszę, przestań. Uwierz mi, próbuję ci tylko zmniejszyć ból.

– Nie jestem magiem. Nic nie robię. To po prostu na mnie nie działa.

– Faktycznie nie czuję, żebyś mnie blokowała – mówił powoli, marszcząc brwi – tylko jakby... jakbym przelewał wodę przez sito. – Pogrzebał w swojej torbie, znalazł starą sakiewkę i wytrząsnął z niej na swoją dłoń postrzępiony szarozielony liść. – Wsuń to pod język – powiedział. – Zobaczymy, czy pomoże.

Liść był gorzkawy w smaku, ale uzdrowiciel miał rację – pomogło. Jenna czuła, jak jej ciało się odpręża. Ból wciąż był obecny, lecz jakby należał do kogoś innego. Dzięki temu przynajmniej można go było znieść.

Adam tymczasem zebrał brudne opatrunki i odłożył na bok.

– To była najgorsza część – oznajmił. – Teraz możesz się już położyć. – Umył ręce i wytarł je w czystą szmatkę. Pomógł Jennie się ułożyć i przykrył ją kocem. Zanurzył szmatkę w wodzie, wykręcił i namydlił. Potem odgarnął pościel, żeby dostać się do rany.

Dotykał jej delikatnie, a zarazem zdecydowanie. Chociaż nie był od niej starszy, Jenna czuła, że robił to już wiele razy. Jego zachowanie pomagało jej znieść tę niezręczną sytuację.

Kilka razy przemył ranę wodą, a potem delikatnie obmacał. Dziwnie było czuć ucisk jego palców pod zdrętwiałą skórą. Wsunął rękę pod swoją tunikę, żeby złapać za czaromiot, i wymruczał zaklęcia. Chyba nic się nie stało.

W końcu pokręcił głową i wyprostował się. Przedramieniem starł sobie pot z czoła, bo dłonie znowu miał umazane krwią.

– A więc oto, co mam do powiedzenia: magia uzdrawiająca zdaje się na ciebie nie działać, a to znaczy, że nie mogę ci pomóc za pomocą czarów. Niestety, nie jesteś odporna na magię, która była w sztylcie. Jeśli ją tam zostawimy, ona cię zabije. Domyślam się, że to nie będzie przyjemne.

Jenna przysunęła się do niego.

– Mógłbyś zadać mi łagodną śmierć.

– Mógłbym – przyznał. – Ale jeśli będę cię leczył, a potem umrzesz, wtedy sprowadzę na siebie bardzo nieprzyjemną śmierć. Potrzebowałbym więcej informacji, żeby zdecydować, czy warto iść na taką wymianę.

– O czym tak szepczecie? – zapytał Karn.

– Jenna opowiada mi o pracy w kopalni! – odkrzyknął uzdrowiciel.

– O tym, że to nie dla każdego, ale kto nie zginie, robi to przez wiele lat.

*Cwany jest, pomyślała Jenna. Podobają mi się tacy ludzie.*

Karn wstał, podniósł swój stołek i postawił go przy głowie Jenny. Usiadł ponownie, tym razem na tyle blisko, by słyszeć każde słowo.

Adam znowu umył ręce. Jenna nigdy jeszcze nie widziała nikogo, kto robiłby to tak często.

– No dobrze, Jenno – powiedział ze smutnym uśmiechem. – Spróbuję jeszcze jednej rzeczy. Miejmy nadzieję, że to zadziała. – Nabrał powietrza, jakby szykował się na ciężką próbę, i położył dłoń na jej ranie. Poczowała mrowienie magii, potem coś w rodzaju szarpnięcia, jakby wyciągał z niej wnętrzności. To było szczególne uczucie, miała wrażenie, że kręgosłup odrywa się od jej ciała i wydostaje przez pępek.

– Co robisz? – spytała, wciskając się głębiej w łóżko.

– Chyba nie uda mi się uzdrowić tego, co jest uszkodzone, ale spróbuję wyciągnąć z ciebie magię, żeby dać ci szansę na walkę z chorobą.

Skoncentrowała się na jego twarzy. Zmrużył oczy w skupieniu, nad jego górną wargą pojawiły się kropelki potu, jakby wykorzystywał całą swoją moc. Trwało to bardzo długo. Jenna miała wrażenie, że jej ciało wywraca się na lewą stronę.

W końcu coś zaczęło się dziać. Stopniowo wokół rany robiło się coraz cieplej. Jednocześnie pojawił się ból, gdyż wraz z krążeniem wróciło też czucie w tej okolicy.

Jęknęła i ich spojrzenia spotkały się.

– Przepraszam. Czasem lek wydaje się gorszy niż choroba.

Odzyskaniu sił towarzyszyła iskra nadziei, która rozpałała w Jennie wolę życia.

Jednak podczas gdy jej stan się poprawiał, Wilk wyglądał coraz gorzej. Jego skóra zrobiła się ziemista, oddychał ciężko, oczy miał zamglone. W pewnym momencie odwrócił się i wymiotował do miski czymś obrzydliwym. Nie zważając na nic, wrócił do uzdrawiania i wyciągał z niej to coś, wyciągał i wyciągał, aż wreszcie wyglądał bardziej jak pacjent niż jak uzdrowiciel.

– Przestań! – powiedziała. – Uzdrowicielu! Już dość. Krzywdzisz sam siebie. – Chwyła go za nadgarstki ze świeżo odzyskaną siłą i próbowała odepchnąć je od rany. On potrząsnął głową i nacisnął jeszcze mocniej. Ta milcząca walka trwała, aż uzdrowiciel zachwiał się, zatoczył i zwałił na ziemię.

– Karn! – krzyknęła Jenna. Wyskoczyła z łóżka i uklękła przy uzdrowicielu. Karn już się nad nim pochylał.

Klnąc pod nosem, porucznik obrócił Adama na plecy.

– Co się stało? Jego też dźgnęłaś?

– Zamknij się – odparła Jenna. – Chyba zemdłał. – Odgarnęła uzdrowicielowi włosy ze spoconego czoła. Jego oczy były zamknięte, powieki wyglądały jak dwa sińce na tle bladej twarzy, ręce i nogi drżały.

Karn kucnął przy nim i trzasnął go dłonią w twarz, najpierw lekko, a potem mocniej. Żadnej reakcji.

Jenna chwyciła Adama za ręce i pocierała je nerwowo. Chętnie przejęłaby od niego z powrotem tę zabójczą magię, ale nie miała pojęcia jak. Sięgnęła mu za dekolt i wydobyla czaromiot. To był ten węzowy wisior, który widziała w jego wspomnieniach. Próbowwała wetknąć mu go w dłonie, ale gdy tylko go puszczała, jego ręce natychmiast opadały bezwładnie na boki.

Nie. Już nikt więcej przez nią nie zginie.

Spojrzała na Karna ze złością.

– Jesteś magiem. Ratuj go!

Pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– Nie umiem.

Zdesperowana chwyciła za dzbanek z wodą i odwróciła go do góry dnem nad głową uzdrowiciela.

Adam zaczął się krztusić i wymachiwać ręką w kierunku dzbanka.

– Nic mi nie jest – powiedział. – Przestań mnie topić. – Potrząsnął głową, rozpryskując wodę na wszystkie strony jak pies. Jenna złapała czystą szmatkę i otarła mu twarz. Teraz jego ręka odnalazła amulet i kurczowo się go chwyciła. – Muszę tylko się nauczyć działać spokojnie i tyle – dodał i oblizał wargi.

– Musisz się nauczyć nie robić głupich rzeczy – poprawiła go Jenna.

Karn oparł się na piętach i po raz pierwszy spojrzał na nią.

– No, no. – Uśmiechnął się z ulgą. – Wyglądasz lepiej, czego nie można powiedzieć o nim. Freeman, naprawdę dobry z ciebie uzdrowiciel. Potwierdziło się, co o tobie mówią.

Jenna opadła na łóżko i sięgnęła palcami do rany, która jeszcze się nie zasklepiała, lecz nie powodowała już takiego dyskomfortu jak wcześniej. Skóra wokół niej stopniowo twardniała. Po raz pierwszy od wielu dni Jenna miała jasny umysł i poczuła się zażenowana tym, że jest tak brudna.

– To... to nadzwyczajne – powiedziała. Spojrzała na wycieńczonego uzdrowiciela. – Jesteś nadzwyczajny.

Wtedy Adam się uśmiechnął. Pełnym, szczerym uśmiechem, który prawdziwie rozgrzał jej serce. Może to było głupie, może oboje wyglądali jak para obłąkanych, gdy tak się do siebie szczerzyli w podziemnej celi. Następnego dnia mogli tego żałować, ale w tym momencie Jenna nie potrafiła się powstrzymać od uśmiechu.

## ZA ZDROWIE KRÓLA



Do rana Ash niemal całkowicie odzyskał siły – w każdym razie fizyczne – po wysiłku włożonym w uzdrawianie Jenny. Miał jednak potwornego magicznego kaca, jego amulet był doszczętnie pozbawiony mocy, a do tego mistrz Merrill surowo go zrugął za opuszczenie miejsca pracy poprzedniego dnia.

– Jak mogłeś tak sobie zniknąć i zostawić wszystko Haroldowi i Boydowi?! Źle dobrali proporcje, przez co musieliśmy wyrzucić całą partię. Masz pojęcie, ile to kosztowało?

Ash wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Nie powiedzieli wam, dokąd...?

– Odpowiadasz przede mną – syknął Merrill. – Nie obchodzi mnie, co jeszcze miałeś do roboty, potrzebujesz mojego zezwolenia, żeby opuścić swoje stanowisko!

Ash nie miał za wiele cierpliwości, a ten jej zasób, którym dysponował, szybko się wyczerpał.

– Król mnie wezwał. Uznałem, że nie mogę odmówić.

Te wyjaśnienia tylko pogorszyły sprawę, a oliwy do ognia dołała tunika Asha, którą mistrz zauważył przewieszoną przez krzesło.



– Czy na twojej tunice jest krew? Przeprowadzałeś operację? Na wielkich świętych, nie masz takich uprawnień! Jeśli Jego Królew-ska Mość jeszcze tego nie rozumie, to dopilnuję, żeby zrozumiał, nim dzień się skończy.

– Proszę bardzo – odparł Ash. – Porozmawiajcie z nim. Przedstaw-cie mu swoje racje. I powiadomcie mnie, jak się to dla was skończy. – Po tych słowach przeszedł obok uzdrowiciela do laboratorium.

Prawie cały dzień nie mógł przestać myśleć o Jennie Bandelow, o jej złotych oczach i rozpalonej skórze. Miał wrażenie, że gdy próbował ją zbadać, ich umysły – co prawda na krótko – w jakiś sposób się zespo-liły. Potrzebował czasu, by się z tego otrząsnąć.

Przebiegał myślami przez obrazy, którymi podzieliła się z nim Jenna. Zjeżdżanie w dół do kopalni w dużym żelaznym wiadrze. Eks-plodujący most, zbyt daleko, by to słyszeć, i strzępy unoszące się w powietrzu przed opadnięciem do rzeki. Król Ardeny na platformie, spoglądający w dół na tłum obdartych górników, mała dziewczynka wierzgająca w jego uścisku, aż w końcu skręcił jej kark i odrzucił ją od siebie. Jakieś imię nagryzmołone na ścianie budynku. Zaklinacz Ognia. Podniszczony budynek z szyldem nad drzwiami: Wyroby Ry-marskie Fletchera. Magazyn w ogniu, rozsiewający iskry wysoko w zi-mowe niebo.

Ash latem zabawiał się w mordercę, a na resztę roku wracał do bez-piecznego azylu w Oden's Ford. Jeśli to, co widział, było prawdą, Jenna niemal codziennie narażała życie w walce i udawało jej się przetrwać. Tym go zawstydziła.

Jeśli wierzyć temu, co widział. Możliwe też było, że miała moc wsz-czepiania kłamstw, które udawały prawdę. Tak czy inaczej – on uwie-

rzył w to, co zobaczył. Gdy ją zapytał, co to znaczy, powiedziała: „To znaczy, że skończyliśmy z okłamywaniem się nawzajem”.

Tyle że z jego strony nie było na to zgody. Wyjawienie prawdy mogło go zbyt wiele kosztować. Możliwe, że ona już wszystko wiedziała. W końcu jak tylko na niego spojrzała, zobaczyła w nim wilka. Czy to znaczyło, że po tylu latach poza domem Ash w głębi ducha wciąż był wilkiem?

Zasiała niemałe spustoszenie w jego umyśle. Czego jeszcze się o nim dowiedziała, co mogłaby wyjawić podczas przesłuchania? Czy w ostatecznym rozrachunku będzie żałował, że uratował jej życie?

Nie. Tego nie żałował – nie mógłby. Od dnia kiedy jego tata został zabity, Ash tak właśnie rozumiał swoją misję: ratować niewinnych i karać winnych.

Miał wrażenie, że w tej krótkiej chwili zespolenia z Jenną opowiedzieli sobie wzajemnie całe życie. Do tej pory jedyną osobą, która znała go tak dobrze, była Lyss. Nie wiedział, czy nadal może myśleć, że ona dobrze go zna, bo przecież bardzo się zmienił.

Czy ona też jest teraz innym człowiekiem?

Wiedział jedno: Jenna Bandelow była niebezpieczna. Uratował jej życie, ale teraz powinien trzymać się od niej z daleka.

Nie mógł jednak. Każda myśl o niej sprawiała, że serce biło mu szybciej i gdzieś w głębi zżerała go tęsknota. Tak długo był samotny. Chociaż w szkole spotykał się z dziewczętami, trzymał swój umysł i emocje pod kontrolą. Czy aż tak brakowało mu tego szczególnego poczucia bliskości, że w tym momencie kompletnie stracił grunt pod nogami?

Ona w żaden sposób nie okazała, by Ash wywarł na niej wrażenie. Poza tym podrywanie pacjentki uwięzionej w lochach byłoby chyba

niezbyt stosowne.

*Nie trać głowy, sul'Hanie. Pamiętaj, po co tu jesteś. Tata zawsze mawiał: myśliwy, który nie skupia się na zwierzynie, kładzie się spać głodny. Przypomnij sobie, co czuleś, kiedy myślałeś, że Montaigne przetrzymuje w lochach Lyss. Najlepszym sposobem, by pomóc Jeanie Bandelow, jest zabicie króla Ardeny – i to raczej wcześniej niż później.*

Prawie do wieczora Merrill był w paskudnym humorze. Harold i Boyd zniknęli zaraz po skończeniu swoich zadań, więc Ash sam posprzątał laboratorium. Potem otrzymał rozkaz prześcielenia wszystkich łóżek, mimo że nikt w nich nie spał. Zanim skończył, infirmeria całkiem opustoszała. Nawet Merrill zrezygnował z wynajdywania dla niego zadań i zniknął.

– Przeżyłeś, jak widzę.

Ash podniósł głowę i zobaczył Lilę stojącą w drzwiach.

– Ledwie – odparł.

– Faktycznie nie wyglądasz najlepiej. – Ostrożnie weszła do środka, rozglądając się, by sprawdzić, czy są sami. Potem usiadła na krawędzi jednego ze stołów. – A więc ktoś to tak pilnie potrzebował twojej uzdrowicielskiej mocy?

Przedstawił jej ocenzone wersję wydarzeń z poprzedniego dnia, wciąż bojąc się dostarczyć jej czegoś, co mogłaby wykorzystać przeciwko niemu.

Lila przekrzywiła głowę i słuchała z uwagą, machając nogami.

– Nazywa się Jenna Bandelow?

– Tak mi powiedziano.

– Jest z Delphi?

Skinął głową.

– Dlaczego jest dla nich taka ważna? To jakaś arystokratka czy...?

– Pracuje w kopalni.

– W kopalni? – Lila pochyliła się, oparłszy dłonie na kolanach. – Serio? No to czego król chce od zwykłego górnika?

– Według niej podejrzewają ją o sabotaż i będą ją zmuszać do wydania przyjaciół.

– A to prawda?

– Może – stwierdził Ash. – Prawdopodobnie.

– No i jak to wygląda? Myślisz, że przeżyje?

– Myślę, że teraz ma spore szanse.

Lila przygryzła wargę, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła tego z siebie wydusić.

– No co? – zachęcił ją Ash.

– Nie, nic. – Uniosła obie ręce i zaraz zsunęła się ze stołu. – Właściwie to przyszłam, żeby cię sprowadzić do Wielkiej Sali.

Ash obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

– Po co?

– Wiedziałaś, że jest Przesilenie?

– Przesilenie? Naprawdę? – Nagle zalała go gwałtowna fala wspomnień. Obchody Przesilenia w Fellsmarchu, czarodziejskie światełka zdobiące choinki przed pałacem, jazda saniami wysoko w góry po sosny i świerki, rozmieszczanie tych drzew w pałacowych ogrodach, zabawa cukierkami przy świątecznej kolacji, wypuszczanie magicznych świetlnych ptaszków, które fruwały po komnacie. Spektakle teatralne jego taty w Wielkiej Sali, które dorównywały tym oglądanym w każdym dużym mieście.

A później Przesilenie obchodzone w Oden's Ford, kiedy chóry świątynne śpiewały na dziedzińcu, a oratorzy ze wszystkich świątyń zwia-

stowali powrót słońca.

Lila się uśmiechnęła.

– Tak przypuszczałam, że możesz o tym zapomnieć. Dlatego po ciebie przyszedłam. W Wielkiej Sali odbywa się miodopicie i jesteśmy zaproszeni, żeby wznieść toast za zdrowie króla.

*Za dobre czy słabe zdrowie?*

– Dzięki, że po mnie przyszłaś. Tylko... muszę jeszcze coś zabrać. Zaraz wrócę.

Znalazłszy się w swojej komnacie, Ash wszedł na łóżko, by sięgnąć po wąski skórzany rękaw, który ukrywał za wyrzeźbioną koroną. Wewnątrz znajdowała się igła usmarowana jadem czarnej żmii. Zaatakowany dopiero po jakimś czasie zorientuje się, że został ukłuty. Gdy już będzie za późno.

Włożył ją do sakiewki pod obręczą, gdzie już poprzedniego dnia umieścił buteleczkę. Zarzucił sobie na ramię torbę uzdrowiciela i wrócił do Lili.

– Chodźmy – powiedział.

Spojrzała na jego torbę.

– Nigdy nie przestajesz pracować?

– Potem zejdem na dół, żeby sprawdzić stan mojej pacjentki – oznajmił.

W Wielkiej Sali zgromadziły się tłumy służących, żołnierzy i drobnej szlachty. Część z nich była już porządnie podchmielona. Po obu stronach sali znajdowały się olbrzymie misy z grzany miodem, a do tego owoce, orzechy i wypieki. Wiele osób spośród służby miało na sobie eleganckie stroje zamiast codziennej odzieży roboczej. Najwyraźniej to miodopicie było bardzo starą tradycją. Ash ze zdumieniem zauważył, jak inaczej ludzie wyglądają w ubraniach, które sami

sobie wybierają. Wprost nie do poznania. Tylko on był w swoich codziennych szatach, bo nie miał nic innego.

Grzany miód z przyprawami był gęsty i mocny. Nad każdym przejściem wisiała jemiola i wiele osób korzystało z okazji, jaką im to stwarzało.

Pośrodku sali urządzono niewielkie podium udekorowane iglastymi gałęziami i biało-złotymi wstążkami. Na podium stał stół, a na nim dwie złote czary. Ash uznał, że chyba tutaj rodzina królewska będzie wznosić toast za powrót słońca.

Ruszył w tym kierunku, licząc na to, że uda mu się wejść na podest przed przybyciem monarchy. Kiedy jednak wszedł na pierwszy stopień, dwaj gawrońce zagrodzili mu drogę.

– To dla króla i jego rodziny – powiedział jeden z nich. – Dla was jest dużo jadła i napitków pod ścianami.

Ash z miodem w ręce kręcił się w pobliżu podium, czekając na okazję. Wreszcie w jednym końcu sali powstało zamieszanie świadczące o tym, że zbliżają się król, królowa i ich świta. Ich odświętne stroje były jak żywiołowy taniec rozbuchanych barw. Orszak otaczało kilkudziesięciu uzbrojonych gawrońców o groźnych obliczach – zapewne z powodu niedawnego zamachu na życie monarchy.

*Kimkolwiek jest ten zamachowiec, jego działania bardzo utrudniają mi zadanie,* pomyślał Ash.

Połysek pancerzy wyraźnie kontrastował z blaskiem klejnotów, jedwabi, złota i tafty. Tłum rozstępował się przed włóczyniami strażników jak woda przez dziobem ogromnego statku, a po przejściu orszaku zaciskał się ponownie.

Strój Montaigne'a ociekał złotem. Królowa Marina miała na sobie białe szaty, co podkreślało jej ciemne oczy i karnację. Jej tren był ob-

szyty białymi gronostajami, które na Południu należały do rzadkości. Ash przyglądał się jej z uwagą. Nie widywał królowej, gdyż ona prawie nie wychodziła ze swoich komnat. Sprawiała wrażenie skrupowanej, szła, patrząc na swoje stopy, jakby bała się zrobić niewłaściwy krok.

Towarzyszył im przystojny ciemnowłosy chłopak mniej więcej w wieku Asha, może trochę starszy, ze złotą opaską na głowie, i młodsza od niego dziewczyna, może siedmioletnia, z włosami ułożonymi w złote pierścienie.

– To książę Jarat, dziedzic tronu, i księżniczka Madeleine – szepnęła Lila, która odnalazła Asha w tłumie.

Dzieci odziedziczyły część urody po matce, lecz jasną cerę wyraźnie miały po ojcu. W twarzy chłopca zwracały uwagę wąskie usta i niebieskie oczy o lodowatym spojrzeniu.

Ash ustawił się przy schodkach, którymi królewska rodzina miała wchodzić na podium. Ścisnął w palcach przygotowaną igłę. Jednak zwarty szereg gawrońców odgrodził go od królewskiego orszaku.

Kiedy rodzina monarchy znalazła się na podwyższeniu, jeden ze służących nalał im miodu z dwóch złotych czar – z jednej dorosłym, a z drugiej, gdzie prawdopodobnie napój był słabszy, dzieciom. Marin Karn stał po prawej stronie, o kilka kroków od podestu, w galowym mundurze obwieszonym wojskowymi odznaczeniami. Ash rozejrzał się i dostrzegł na galerii Destina Karna uważnie obserwującego tłum. Tym razem miał na sobie czarny mundur gwardzisty i miecz przypięty do pasa.

Gdy wszyscy na podwyższeniu zostali obsłużeni, Montaigne i królowa unieśli kielichy. Zgodnie z tradycją mieli wypić pierwszy toast.

– Za zdrowie służby tego gospodarstwa oraz szlacheckich rodów, które są naszą siłą! Za zdrowie narodu i ku chwale wielkiego świętego!

Zgromadzeni wzniesli znacznie mniej kunsztowne kielichy i krzyknęli:

– Za zdrowie Ich Królewskich Mości, króla Gerarda Montaigne'a i królowej Mariny, oraz Ich Wysokości księcia Jarata i księżniczki Madeleine!

Nagle sługa stojący obok czary zachwiał się i runął na podłogę.

Na scenie w jednej chwili rozpętała się burza. Marin Karn wytrącił kielich z rąk króla. Naczynie toczyło się po deskach, rozbryzgując gorący miód, aż spadło przez krawędź. Książęta, poblądłe i przerażone, głośno odstawiły swoje kielichy.

Gawronce otaczający scenę uformowali kordon wokół podwyższenia i zablokowali wszystkie wejścia do sali.

Królowa Marina natomiast odchyliła głowę i piła łapczywie, nim ojciec Fosnaught wyrwał jej kielich z rąk i podał jednemu z gwardzistów. Potem chwycił ją za rękę i przybliżył twarz do jej twarzy, by wygłosić jej kazanie na jakiś temat.

– Kto to był... ten, który upadł? – szepnął Ash.

– Sewer króla Ardeny – wyjaśniła mu Lila. Wciągnęła go do kąta i przysunęła się bliżej. – Wiesz coś o tym?

– O co ci chodzi?

– Na pewno wszystkich nas przeszukają. Nie jesteś... nie masz przy sobie czegoś, czego nie powinieneś mieć? Jeśli tak, daj mi to, a ja się tego pozbędę.

– Poza amuletem? – Ash dotknął amuletu, jednocześnie wsuwając igłę do schowka. – Myślisz, że jestem głupi? Tylko głupiec użyłby tru-



cizny o szybkim działaniu wobec kogoś, kto ma sewera. Przecież wiadomo, że on padnie otruty, zanim jeszcze król wprowadzi truciznę do organizmu.

Lila spoglądała na niego, jakby zaskoczona tym logicznym wyjaśnieniem.

– A ta żmija? – dociekała. – To twoja sprawka?

– Może i znam się na zwierzętach, ale póki nie nauczę żmii kąsać tego, kogo należy, nie użyłbym jej do zabicia kogokolwiek. Albo ten niedoszły zabójca jest prawdziwym amatorem, albo ktoś chce napuścić króla przeciwko strażnikom. – Ash obserwował, jak Merrill przeciska się przez tłum, by wreszcie klęknąć przy boku sewera.

W tym momencie upadła królowa. Natychmiast otoczyły ją jej damy dworu, wzniesając piskliwy gwar niczym stado ptaków. Merrill porzucił sewera i podszedł do królowej.

– Na krew i kości – mruknął Ash. Nie podobało mu się, że żona monarchy znalazła się w rękach tego mało skutecznego uzdrowiciela. Ash i tak nie mógł opuścić sali, chętnie więc by się nią zajął.

*Nie możesz uratować wszystkich, sul'Hanie.* To już zaczynało być jego mantrą.

Nagle, nie wiadomo skąd, zjawił się Destin Karn.

– Chodź ze mną! – Chwycił Asha za rękę – Obejrzysz królową. – Porucznik wydawał się nienaturalnie poruszony. Może martwił się, że jeśli królowa umrze, on zostanie oskarżony o to, że temu nie zapobiegł.

– Mistrz Merrill już przy niej jest – zauważył Ash. – Nie chciałbym się wtrącać. Już i tak jest na mnie wściekły, a ja jeszcze nie bardzo wydobrzałem po...

– Słuchaj, uzdrowicielu – powiedział Karn. – Królowa to najmilsza, najbardziej serdeczna... jedyna naprawdę porządna osoba na całym tym dworze. Pójdiesz teraz ze mną i uzdrowisz ją, jeśli to możliwe, rozumiesz?

– Dobrze. Chodźmy.

– To właśnie nagroda za to, że jest się tak pierońsko zdolnym! – krzyknęła za nim Lila.

## O KROK OD ŚMIERCI



Tłum rozstąpił się, żeby przepuścić Asha i Karna. Wspięli się na podest, gdzie Merrill podsuwał królowej pod nos sole trzeźwiące.

– Odsuńcie się, żeby Jej Królewska Mość miała dopływ powietrza! – zawołał Ash.

Montaigne z założonymi rękami opierał się o marmurową kolumnę. Z obu stron strzegli go gwardziści. Wbił lodowaty wzrok w Destina Karna. Ash pomyślał, że teraz już nie uda mu się zbliżyć do króla.

– Ta trucizna była przeznaczona dla mnie, poruczniku. Jak mogliście do tego dopuścić, wiedząc, że był już jeden zamach na moje życie? Wiedzieliście, że w pałacu jest zabójca! – Gestykulował ze złością, rozsiewając blask pierścienia zdobiącego jego prawą dłoń. – Jak widać, grasuje sobie po pałacu bez przeszkód.

– Nikt nie opuści tej sali bez przeszukania i przesłuchania – oświadczył Karn. – Służba kuchenna jest już przesłuchiwana, dowiemy się, kto to zrobił.

Ash przyklęknął obok królowej. Leżała na plecach jak księżniczka z baśni, jej biała cera przypominała porcelanę, oddech był płytki i nieskuteczny. Wargi i paznokcie zdążyły jej zsinieć.

– Zajmij się sewerem – warknął Merrill. – To tutaj zostaw mnie. Od wielu lat leczę rodzinę królewską.

– To mają szczęście, że jeszcze żyją – mruknął Ash. – Powinienem zostawić wam królową, żeby po jej śmierci na was spadły konsekwencje. Ale składałem przysięgi. Nie mogę tego zrobić. Teraz odsuńcie się, mistrzu.

– Merrill! – zawołał porucznik Karn, kładąc dłoń na ramieniu mistrza. – Róbcie, co mówi, z polecenia króla!

Spojrzenie, którym obrzucił go uzdrowiciel, było przepełnione jadem. Mistrz podniósł się, z wielką godnością rozprostował fałdy swojej tuniki i podszedł do miejsca, w którym leżał porzucony królewski sewer.

Ash pomodlił się w duchu za nieszczęśnika, po czym zajął się królową Mariną. Palcem wskazującym i kciukiem rozchylił jej powieki i nie spodobało mu się to, co zobaczył.

Podniósł wzrok na Karna.

– Przynieście mi kielich, z którego piła.

Porucznik zrobił, co mu kazano.

Kiedy podał kielich po miodzie Ashowi, ten powąchał naczynie. Powąchał raz jeszcze. Oprócz cynamonu, goździków i rumu wyczuł coś znajomego.

Zioło gedden. Robione z grzyba rosnącego na cisach, było łatwo osiągalne na terenie Siedmiu Królestw. Nie miał czasu do stracenia.

Pogrzebał w swoim zestawie, wydobyl małą brązową buteleczkę i wsunął ją Karnowi do ręki.

– Jedna część proszku na jedną część wody, potrzymajcie nad ogniem, aż się rozpuści.

Karn spojrzał w miejsce, gdzie Merrill pochylał się nad sewerem.

– Może mistrz Merrill...

– Nie – powiedział Ash, pamiętając incydent z szalejem. – Cokolwiek będziecie robić, nie mieszajcie go do tego. SZYBKO! – krzyknął, gdy Karn wciąż się wahał. – Chcecie czekać, aż ona umrze?

Ash znowu skupił uwagę na królowej. Oddychała coraz słabiej i wolniej. Widać było, że wkrótce jej serce się zatrzyma. Trucizna krążyła już po jej ciele, polując na ostatni płomyk życia. Nie było łatwego sposobu, by ją zawrócić. Do powrotu Karnu Ash mógł jedynie podtrzymywać oddech i pracę serca kobiety. Nachylił się nad nią, poczuł smuzkę wydychanego powietrza i słabiutkie tętno. Gdy serce przestało bić, położył obie dłonie na jej klatce piersiowej i masował je przy użyciu magicznej mocy.

Zdawało się to trwać wieki, ale w końcu Karn wrócił z butelką ciepłego mętnego płynu. Ash powąchał, skinął głową i powiedział:

– Dobrze. Teraz ją podciągnijcie, żeby usiadła. – Poczuł za sobą obecność Lilii. – Chwyćcie ją pod pachy i przytrzymajcie.

Uniósł podbródek królowej i wlał połowę sporządzonego roztworu w jej usta.

– Wasza Wysokość, jeśli mnie słyszycie, proszę to przełknąć.

Nie był pewien, czy go usłyszała. Rozmasował jej gardło z zewnątrz. Kaszlnęła i zakrztusiła się, ale większość płynu przełknęła. Czekali. Przez jakiś czas, który dłużył się nieubłaganie, królowa leżała nieruchoma i zimna. Potem nagle zaczerpnęła haust powietrza. Wypuściła je. Znowu zrobiła wdech. Jej blade policzki zaróżowiły się. Oddech się uspokoił, bicie serca również.

Karn i Lila odetchnęli, jakby cały czas wstrzymywali powietrze.

– Dobrze się spisałeś, uzdrowicielu – powiedział Karn łagodnie, nie próbując ukrywać ulgi w głosie.

Ash uniósł butelkę z pozostałością antidotum.

– Dajcie to Sewerowi – powiedział.

Lila chrząknęła.

– On nie żyje – wybąkała. – Możesz dać wszystko królowej.

Ash zwrócił się do monarchini.

– Wasza Królewska Mość – mruknął, odgarniając jej z czoła wilgotne włosy. – Czy przelkniecie jeszcze trochę leku?

Otworzyła ciemne oczy i uśmiechnęła się, jakby od dawna go znała, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– Miałam taki cudowny sen – szepnęła. – Śniło mi się, że umarłam.

## ODWIEDZINY



Co innego być uwięzionym w lochu, kiedy człowiek ledwie żyje i nie ma dla niego znaczenia, gdzie się znajduje, a co innego siedzieć tam z pełną świadomością tego, co się dzieje wokół. Jenna czuła się już lepiej i zaczynała się niepokoić.

Chociaż połowę życia spędzała pod ziemią, była typem człowieka, który potrzebuje widoku nieba, choćby na krótką chwilę każdego dnia. Tak bardzo chciała poczuć wiatr na twarzy i wdychać przynieszone przez niego zapachy. Nie znaczy to wcale, że w lochach Ardeny nic nie było czuć, tyle tylko że te wonie nie należały do przyjemnych. Potrzebowała kąpieli. Ciężko jej nawet było wytrzymać samej ze sobą.

Wciąż była przykuta do ściany, ale teraz Karn dał jej dłuższy łańcuch. Może uwierzył, że nie będzie próbowała się powiesić. Dzięki temu mogła chodzić tam i z powrotem, spalając energię i próbując odzyskać siły. Chciała być gotowa na wypadek, gdyby miała okazję uciec.

Wyjęła medalion z podszewki aksamitnej peleryny i ukryła go między dwoma obłuzowanymi kamieniami w ścianie.

Kusiło ją, żeby włożyć go na siebie, bała się jednak, że ktoś go zauważy.

Była głodna jak wilk, jakby jej ciało po tygodniowym poście chciało nadrobić zaległości. Nie miała możliwości kontrolowania upływu czasu, ale zdawało jej się, że odkąd przyniesiono jej ostatni posiłek, minęła cała wieczność.

Nie tylko jedzenia jej brakowało. Miała nadzieję, że ten uzdrowiciel, Adam Freeman, wróci, żeby się z nią zobaczyć.

Coś ją w nim pociągało w sposób, w jaki nikt na nią nie działał od czasów Rileya, kiedy była jeszcze dzieckiem i łatwo jej było zawrócić w głowie. To, że cały czas była zziębnięta, głodna i brudna, nie sprzyjało romantycznym uczuciom. Nie pomagało jej też to, że od śmierci Rileya zawsze zachowywała się i ubierała jak chłopak.

Zresztą po śmierci Rileya doszła do wniosku, że miłość jest tylko pułapką, która łamie ludzkie serca.

*Wilk*, powtarzała sobie w myślach, jak zadurzone naiwne dziewczę. Powinna przestać go nazywać „uzdrowicielem” i „Wilkiem”, ale Adam Freeman jakoś do niego nie pasowało. Nawet w jego ustach brzmiało to jak kłamstwo.

Znudził jej się już ten ciasny krąg wokół łóżka. Rozejrzała się po celi. Wysoko na ścianie umocowane były pochodnie. Gdyby stanęła na łóżku, mogłaby ich dosięgnąć.

I co potem? Pobawić się nimi? Przecież nie roztopią metalu w jej okowach.

Mimo wszystko wspięła się z nudów na materac i wyciągnęła rękę. Poczowała, jak rana na jej brzuchu się rozciąga...

Wtem usłyszała zgrzyt klucza w drzwiach i opadła na łóżko, mocno w nie uderzając. Czy to uzdrowiciel? Serce jej przyśpieszyło.



Nie. Drzwi się uchyliły i stanął w nich Destin Karn z pucharem w jednej ręce i jej sztyletem w drugiej.

Oho.

– Co to był za hałas? – Niespokojnie rozglądał się po wnętrzu.

– Jaki hałas?

– Przed chwilą.

Jenna spojrzała na niego w taki sposób, w jaki patrzy się na dziecko wymyślające niestworzone historie.

– Nic nie słyszałam.

Karn podszedł do łóżka, przysunął sobie stołek i położył nóż na kolanach. Teraz przynajmniej ostrze było czyste. Porucznik uniósł kielich.

– Szczęśliwego Przesilenia, Jenno – powiedział i pociągnął duży łyk.

– To dzisiaj jest Przesilenie? Nie wiedziałam.

Karn znowu uniósł kielich.

– Niech słońce do nas wraca.

– A gdzie miód dla mnie? – zapytała.

– Musisz uważać, pijąc tutaj cokolwiek – odparł Karn, mrugnawszy okiem. Powolny sposób mówienia wskazywał, że on już ma lekko w czubie, chociaż nie był mocno pijany.

– Zaryzykuję. – Gdy nie odpowiadał, dodała: – A mogę dostać coś do jedzenia?

– Jesteś głodna? – zdumiał się Karn.

– Cały dzień nikt tu nie przychodził. Więc tak, jestem głodna.

– O, przepraszam. – Sprawiał wrażenie, jakby był przekonany, że to już dawno zostało załatwione.

Jenna zacisnęła zęby.

– Po coście tu przyszli, poruczniku?

– Muszę ci zadać kilka pytań, skoro już czujesz się lepiej.

Pusty żołądek Jenny ścisnął się. Tego właśnie bała się cały czas... że jeśli przeżyje, będą ją przesłuchiwać. Nie przyniósł ze sobą nic oprócz kielicha miodu pitnego i sztyletu, ale przecież zaraz za drzwiami czekała cała masa narzędzi tortur.

– Słuchajcie – powiedziała. – Nie jestem tym, kim myślicie.

– A jak myślisz, co ja myślę?

Potrzebowała chwili, żeby rozplątać tę gmatwaninę słów.

– Myślicie, że należę do Patriotów, ale to nieprawda. Pracowałam w kopalni i dorabiałam sobie przepowiadaniem przyszłości. Ja i mój tata... próbowaliśmy tylko jakoś się utrzymać i nie mieszać się do niczego. A wy mimo to przyszlście do tawerny taty i go zabiliście.

– To był wypadek – stwierdził Karn.

– Tak czy inaczej nie żyje, prawda? – Ciężko jej było trzymać emocje na wodzy, częściowo dlatego że to ona była winna, a nie jej tata, ale to on zginął, nie ona. Karn machnął ręką.

– Tak czy owak, nie chodzi mi o Patriotów.

– Nie?

Pokręcił głową.

– Chodzi mi o ciebie.

Strach przybrał postać ciężkiego kamienia wyczuwalnego głęboko w brzuchu.

– Jeśli myślicie, że możecie się upić, zejść tu na dół i...

Potrząsnął głową.

– Nie – zaprzeczył szybko. – Powiedz mi, co wiesz o symbolu na swojej szyi.

Tym sposobem prawda, którą Jenna odpychała od siebie obiema rękami, w końcu i tak ją dopadła.

– Chodzi o ten magiczny znak?

– Tak.

– No to pewnie wiecie więcej niż ja – powiedziała, dotykając karku palcami. – Wy go widzieliście, ja nie.

– Urodziłaś się z tym?

– O ile wiem, tak. To... coś jak znamię. Albo raczej klątwa.

– Klątwa? – Przysunął się do niej, mrużąc oczy. – Co to znaczy?

Jenna sama wiedziała niewiele, więc uznała, że nie ma powodu, by coś ukrywać.

– Wiem tylko to, co mi powiedziano. Moi rodzice adoptowali mnie od starej kobiety, która twierdziła, że jest moją babcią. Mówiła, że powinni zasłaniać to znamię, bo ktoś może mnie przez to zabić.

– Kto? I dlaczego?

– Nie powiedziała.

Karn skrzywił się, jakby był zły na jej babcię, że nie pozostawiła jasnych wskazówek.

– Widziałaś to gdzieś jeszcze? Ten symbol? Albo kogoś z takim znakiem w tym samym miejscu?

– Nie, ale też nie szukałam.

– Jak nazywała się twoja babcia?

– Nie wiem.

– Skąd była?

– Chyba nie powiedziała, chociaż tata twierdził, że miała zagraniczny akcent.

Karn przewrócił oczami.

– Twoi rodzice adoptowali niemowlę i o nic nie pytali?

– Chyba zapytali o mój dzień imienia, żeby móc go obchodzić – odparła Jenna. Kiedy Karn nie przestawał kręcić głową ze zdumieniem,

powiedziała: – Zrozumcie, oni bardzo długo czekali na dziecko. Robili się coraz starsi. Może uznali, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Albo nie chcieli usłyszeć czegoś, o czym woleli nie wiedzieć.

– Byłaś kiedyś na Wyspach Północnych? Albo w Kartezji?

Jenna potrząsnęła głową.

– Nawet nie bardzo wiem, gdzie to jest.

– Może twoja rodzina stamtąd pochodziła? A może tam podróżowała?

– Skąd te wszystkie pytania o miejsca, w których nigdy nie byłam? Jesteście pewni, że macie właściwą osobę?

– Dlaczego szuka cię cesarzowa Celestyna? – Karn wyrzucił z siebie to pytanie, jakby chciał ją zaskoczyć.

Jenna czuła, że pogrąża się coraz bardziej i nie ma czego się chwycić.

– Kim jest cesarzowa Celestyna?

– To cesarzowa Wschodu. Władca Wyspami Północnymi i Kartezją – wyjaśnił Karn. – W każdym razie większością Kartezji. No więc: dlaczego się tobą interesuje? I nie mów mi, że nie wiesz, bo i tak ci nie uwierzę.

– W takim razie nie wiem, co powiedzieć. Nigdy o niej nie słyszałam i nie miałam pojęcia, że ona się mną interesuje. Jeśli to ona mnie szuka, może powinniście jej zapytać?

– To dobry pomysł – skrzywił się. Zaraz potem uniósł sztylet. – Skąd go masz?

– Moja babcia dała go moim rodzicom. Powiedziała, że należał do mojej matki.

– Jak nazywa się twoja matka? Gdzie jest teraz?

– Nie wiem, jak się nazywa. Nie żyje. Oboje rodzice nie żyją.

– Naprawdę? – zauważył Karn sceptycznie. – Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Ta twoja broń pochodzi z Wysp Północnych. Noszą ją zaprzysiężeni krwią wojownicy cesarzowej Celestyny.

Jenna spojrzała zaskoczona na sztylet, a potem na Karna.

– Ale... zachowywaliście się, jakbyście nic o tym nie wiedzieli, kiedy ten uzdrowiciel... kiedy Freeman próbował mi pomóc.

– Powiedziano mi, że nikt nie może przeżyć rany zadanej ostrzem zaprzysiężonym krwią. Ta wiedza nie byłaby zbyt pomocna.

Jenna przełknęła ślinę.

– Aha. – To wyjaśniało, dlaczego Karnowi tak zależało, żeby przywieźć ją do Ardencourt. Sądził, że nie przeżyje.

– Wygląda na to, że ten Freeman jest naprawdę dobry w tym, co robi. A teraz – mówiła, jakby zagnał ją w kozi róg – może wy opowiecie mi coś o sobie?

– Nie, chyba że chcesz, żebym zmyślał.

Jenna poczuła się, jakby była w szkole świątynnej i nie odrobiła zadania domowego.

– Celestyna wyszukuje obdarzonych mocą. Jaka więc jest twoja moc? Czego ona chce od ciebie?

Te wszystkie pytania o rzeczy, o których nie miała pojęcia, zaczynały grać jej na nerwach.

– Zastanówcie się, poruczniku – powiedziała. – Gdybym miała jakąś moc, czy siedziałabym zamknięta w lochu?

– Jesteś odporna na działanie magii – zauważył.

– Nie wiedziałam o tym, póki nie próbowaliście rzucić na mnie zaklęcia.

– Masz jeszcze jakąś moc?

- Nic takiego, po co jakaś cesarzowa chciałaby przepłynąć ocean.
- Na przykład...

Jenna westchnęła.

– Widzę rzeczy, których inni nie widzą. No wiecie... wizje. Czasami widzę urywki z przyszłości. Czasem widzę kogoś takim, jaki jest. Albo widzę prawdę, kiedy ktoś kłamie.

Karn poruszył się na stołku, jakby to ostatnie wydało mu się niepokojące.

- Co jeszcze? – nalegał. – Nawet jeśli coś wydaje ci się banalne.
- Mam dobry słuch i bardzo czuły węch. Widzę lepiej niż inni, nawet w ciemnościach. – Zawahała się. – Szybko zdrowieję... czy to jakieś rany, czy co innego. I... i jestem ognioodporna.

– Co?

– Dokładnie tak jak mówię. Moja skóra jest odporna na temperaturę i ogień. Nawet jak byłam mała, mogłam gasić lampki palcami i zdejmować garnki z pieca gołymi rękami.

Karn nie wyglądał na poruszonego.

- Do czego to się może przydać?
- To się przydaje górnikowi strzałowemu albo piekarzowi.

Karn chwycił za łańcuch pętający nadgarstki Jenny i przyciągnął go do siebie wraz z nią.

– Myślisz, że to jakiś żart? Chyba nie rozumiesz swojej sytuacji – syknął. – Cesarzowa cię ściga i musimy się dowiedzieć dlaczego, zanim cię znajdzie.

Jak się to czasem zdarzało, Jenna nagle doznała olśnienia.

– Jacy „my”? Król chyba nie wie, że jesteście tu na dole?

Karn przyglądał się jej długo z twarzą jak kamień fellsjańskich kłów. Poderwał się, wyciągnął rękę i zdjął jedną z pochodni.

– Jesteś odporna na ogień, tak? – Machnął jej głownią przed oczami, aż cofnęła się przerażona. – Udowodnij.

Jenna zasłoniła twarz skutymi dłońmi.

– Nie wiem, co próbujecie...

– Powiedziałem, udowodnij! – Znowu skierował pochodnię w jej stronę. Tym razem zacisnęła obie dłonie na płonącej głowni i przytrzymała, póki jej nie zgasła. Zapalił się przy tym skraj jej rękawa i musiała go docisnąć do tułowia, żeby go zgasić.

– No i coście zrobili – westchnęła, oglądając zwęglony mankiet. – Mam tylko tę jedną koszulę, a wy...

– Na krew męczenników... – szepnął Karn. – Nie chciałem, żebyś... pokaż mi ręce. – Chwyił ją za nadgarstki i dokładnie oglądał jej dłonie. – Żadnych pęcherzy... nawet zaczerwienienia. – Postukał palcem po jej skórze. – Jakby były opancerzone.

– To przychodzi i odchodzi. – Jenna wyciągnęła rękę z jego uścisku. – Nie wiem, czemu zadajecie tyle pytań, skoro nie wierzycie w moje odpowiedzi.

W tym momencie trzasnęły drzwi i oboje obrócili się wystraszeni. To był uzdrowiciel, Adam Wilk, z naręczem paczuszek. Zastygł w wejściu, zaskoczony widokiem jej dłoni w rękach Karn.

– Co się tu dzieje? – Mówił cicho, lecz jego głos miał stalowe brzmienie, i w głębi jego duszy Jenna dojrzała ciemność, której wcześniej nie widziała.

– Freeman – powiedział Karn. – A to niespodzianka.

– Najwyraźniej – rzekł Adam. Położył przyniesione pakunki u wezłowania łóżka i obrócił się w stronę porucznika. Napięcie jego ciała świadczyło o gotowości do skoku. Naprawdę w jakiś sposób przypominał wilka... drapieżnika, który wybrał sobie ofiarę i myśli o zabój-

stwie. – No a wy? Co tutaj robicie? – Zrobił krok w kierunku Karna.  
– Mówiłem, że ona potrzebuje odpoczynku. Nie mogliście z tym poczekać nawet jednego dnia?

– Uważaj, uzdrowicielu – powiedział Karn spokojnie, jedną ręką sięgając do amuletu. – Nie zrób czegoś, czego potem będziesz żałował. Muszę przesłuchać Jennę dzisiaj, bo jestem... to sprawa z rodzaju „teraz albo nigdy”. Owszem, jest twoją pacjentką, ale też naszym więźniem.

– Ale to ja poniosę konsekwencje, kiedy jej stan się pogorszy. – Adam pociągnął nosem i jeszcze raz rozejrzał się po celi. – Co się pali?

– Jedna z pochodni zgasła – odparł Karn, rzucając Jennie ostrzegawcze spojrzenie. Zapalił pochodnię i wstawił z powrotem na miejsce.

*Aha, pomyślała, porucznik nie chce, żeby ten uzdrowiciel... albo król... dowiedział się, co on knuje. Niech mu będzie.* Jej tata zawsze powtarzał, że jeśli ktoś daje ci niespodziewany podarunek, nieuprzejmie jest go nie przyjąć.

– Nie bądź zbyt surowy dla porucznika, Wilku – odezwała się. – Przyszedł mi powiedzieć, że przygotował kąpiel, kilka książek i przeprowadzkę z tych lochów do prawdziwej komnaty.

Nie umiała stwierdzić, który z nich wyglądał na bardziej zaskoczony, Karn czy Adam.

– No, no – rzekł w końcu Adam, patrząc na Karna zmrużonymi oczami. – To... nie do wiary.

Porucznik tymczasem zdołał dojść do siebie. Uśmiechnął się przebiegle, potwierdzając układ.



– Kąpiel i książki to nie problem. Ale przeprowadzka będzie możliwa dopiero po moim powrocie. – Zabrał sztylet i wykonał coś w rodzaju lekkiego ukłonu. – Jenno, jeszcze nie skończyliśmy tej rozmowy. – Po tych słowach opuścił celę.

## UROCZYSTOŚĆ PRZESILENIA



Jak tylko Karn wyszedł, Adam zamknął drzwi i obrócił się w jej stronę.

– Nic ci nie jest, Jenno? – zapytał. Jego oczy lśniły mocno w blasku pochodni.

– Wszystko w porządku.

– Nic ci nie zrobił? Kiedy wszedłem, mógłbym przysiąc, że porucznik Karn ci groził.

Jenna postanowiła nie mówić mu o pochodni. Wydawało jej się to bez znaczenia.

– Nie. W zasadzie nie. Karn bardzo chciał się czegoś ode mnie dowiedzieć, ale nie przekroczył żadnych granic, jeśli to masz na myśli. Może kazano mu mnie nie krzywdzić.

– Trudno sobie wyobrazić króla Gerarda wydającego takie polecenie – zauważył Adam i przysunął sobie stół.

Jenna zawahała się.

– Mam wrażenie, że Karn był tutaj na własną rękę, że król nie wie o tym przesłuchaniu i... – Jej uwagę przyciągnął smakowity zapach. –

Czy w tym jest jedzenie? – zapytała, patrząc na przyniesione przez niego pakunki.

Adam przytaknął.

– Przyniosłem ci trochę z uczty Przesilenia. Dasz radę coś zjeść?

Złapała jedną z paczuszek i powąchała. Pieczeń wołowa. Ostry ser cheddar. Świeży chleb. Praktycznie śliniła się na myśl o tym wszystkim. Rozerwała opakowanie i odgryzła duży kęs kanapki.

Uzdrowiciel spojrział na nią zdumiony, a po chwili obdarzył ją jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

– Widzę, że czujesz się znacznie lepiej – powiedział. – Lepiej, niż mógłbym przypuszczać na podstawie tego, jak wczoraj wyglądałaś.

Pokiwała głową, nie chcąc rozmawiać z pełnymi ustami. Przełknęła i powiedziała:

– Już mi o wiele lepiej. Zawsze szybko zdrowiałam, ale ty... naprawdę czynisz cuda.

– Może. – Przygarbił się, jakby był speszony tymi pochwałami. – Chciałbym jeszcze spojrzeć na twoją ranę. – Chwilę obserwował ją, jak jadła, a potem niczym pies wracający do swojej kości ponownie zajął się tym, co go interesowało: – Jakie pytania ci zadawał? To znaczy Karn.

– To mnie właśnie zdziwiło. Powiedział, że nie chodzi mu o Patriotów.

– Patriotów?

– Tych z Delphi, którzy walczą z królem Gerardem. Myślałam, że o to mu chodzi... że według niego zajmuję się szpiegowaniem i podpalaniem różnych rzeczy. Ale nie, wypytywał mnie o jakąś cesarzową. – Obserwowała go uważnie, żeby się zorientować, czy on coś wie o tej cesarzowej, ale wyglądał na tak samo zaskoczonego jak ona.

– Jaką cesarzową?

– Ma na imię Celestyna, z Kartezji. Albo z Wysp Północnych. Słyszałeś o niej?

Potrząsnął głową.

– Nie. Wiem o Kartezji tylko... no wiesz, że tam są piraci. I że czarownicy... to znaczy magowie... pochodzą z Wysp Północnych. Niezależnie od piratów sztormy na oceanie Indio są takie silne, że już od dawna statki stamtąd do nas nie dopływają.

– Karn mówił, że Celestyna mnie ściga, i chciał wiedzieć, dlaczego i co znaczy ten magiczny znak na mojej szyi. Wypytywał mnie o moją rodzinę. Wydawał się wściekły, że nie mogę mu pomóc.

Adam przez chwilę rozważał te słowa.

– Czy on podejrzewa, że jesteś dawno zaginioną córką tej cesarzowej czy co?

– Chyba nie wie, co myśleć. Ale wie o tym sztylcie więcej, niż się nam wydaje. Mówi, że takie sztylety noszą... zaprzysiężeni krwią wojownicy, którzy służą cesarzowej. Powiedział, że nikt nie może przeżyć ciosu zadanego takim ostrzem.

– Wiedziałem, że ten nóż ma w sobie magię, tylko ja jej nie znam.

Jenna oblizywała palce po zjedzeniu mięsa i sera.

– Czy to zapach brzoskwini? – Spojrzała z ciekawością na torbę Adama.

Uśmiechając się i kręcąc głową, Wilk wyjął z torby dojrzałą brzoskwinię i wyciągnął w jej stronę. Jenna chwyciła owoc łapczywie i natychmiast wbiła w niego zęby. Czuła, jak sok spływa jej po brodzie.

– Łaskawy Stworzyciel – westchnęła. – W Delphi takich nie ma.

– Zostaw sobie miejsce. Przyniosłem jeszcze ciastka i grzany miód – rzekł Adam.

– Grzany miód? – Jenna nawet nie próbowała ukrywać podniecenia. – Przyniosłeś miód pitny?

Uzdrowiciel rozwinął kolejny pakunek i wyjął ciasteczka przesileniowe, które położył obok niej. Następnie wręczył jej bukłak i kubek.

– Aha – powiedziała.

Z wprawą odkorkowała zębami bukłak i naląła sobie napój, po czym oplotła kubek palcami i zamknęła oczy. Oddychała głęboko.

– Każdy przyrządza grzany miód inaczej. Cynamon, goździki. – Pociągnęła łyk. – Rum.

– Uważaj, jest mocny.

– Dobrze – powiedziała i opróżniła kubek.

Adam z niedowierzaniem przyglądał się, jak sięgnęła po ciastko i ugryzła kęs.

– Ostrożnie – przestrzegł ją. – Trucizna i alkohol to niedobre połączenie.

– Nie zgadzam się. Właśnie tego mi trzeba. Mój tata był właścicielem tawerny. Robiłam miód pitny na Przesilenie i na Dzień Zmarłych. Zawsze mówił, że mój trunek nie ma sobie równych. – Zamilkła na chwilę pogrążona w rzewnych wspomnieniach. Kiedy znowu spojrzała na Adama, zauważyła, że on patrzy na jej usta. Wtedy i ona zainteresowała się jego wargami i tym, jak by to było...

*Przestań. Pewnie sok brzoskwiniowy leje ci się po brodzie i dlatego on się tak gapi.* Na wszelki wypadek przetarła twarz rękawem. *Teraz chyba myśli, że wychowywałaś się w stodole.*

Ponownie napełniła sobie kubek, próbując zakryć swoje zażenowanie.

– A ty lepiej się czujesz? – zapytała.

– Tak – odparł, pociągając z bukłaka. – Po uzdrawianiu zawsze potrzeba chwili, żeby dojść do siebie. Wierz mi, teraz jest lepiej niż zwykle, bo w twoim przypadku nie używałem magii.

Jenna zmarszczyła czoło zbita z tropu.

– Jak to? Nie użyłeś magicznej mocy?

– Nie bardzo. To drobna różnica. U większości ludzi mogę za pomocą magii zamknąć ranę, wyleczyć infekcję albo zmniejszyć ból... zaradzić każdej dolegliwości. U ciebie to nie działało. Ale mogłem usunąć toksyczną magię, bo ona nie była częścią ciebie. – Urwał i skrzywił się. – Oj, przepraszam. Czasem się zapominam i przekraczam granicę między rozmową a wykładem.

– Ależ nie, to wszystko jest bardzo... ciekawe – powiedziała Jenna.

– Naprawdę. To zdumiewające, że masz i wiedzę teoretyczną, i duże doświadczenie. Jak cię pierwszy raz zobaczyłam, myślałam, że jesteś żołnierzem.

– Żołnierzem? A dlaczego?

– Bo król Ardeny używa magów do zabijania, a nie do uzdrawiania ludzi. Poza tym masz ciało żołnierza. – Ścisnęła jego umięśnioną rękę, lecz zawstydzona, szybko ją puściła. – Przecież nie wyrobiłeś sobie tych mięśni, szyjąc rany albo mieszając eliksiry.

– Tutaj nie robię wielu takich rzeczy. Szoruję podłogi, jestem mistrzem móździerza i tłuczka, no i przerzuciłem chyba tony końskiego łajna.

– Tego nigdy za mało – stwierdziła Jenna.

Uzdrowiciel roześmiał się.

– Racja – przyznał. – Zwłaszcza na królewskim dworze. – Odchylił głowę i znowu się napił. – No dobrze – odstawił bukłak i przysunął

do siebie zestaw uzdrowiciela – a teraz, zanim za dużo wypiję, obejmę twoją ranę.

Jenna usiadła na skraju łóżka z kocem owiniętym wokół bioder. Uniosła koszulę, żeby odsłonić skaleczone miejsce.

Adam nachylił się i zaczął odwijać bandaż. Jego bliskość, ciepło oddechu, zapach mydła, które już zaczynała z nim kojarzyć – to wszystko przyprawiało ją o gęsią skórkę. Kiedy spojrzała na czubek jego głowy, dojrzała niewyraźną linię, gdzie naturalny kolor włosów stykał się z brązową farbą. Miała ochotę przesunąć po niej palcem, żeby wiedział, że nie udało mu się jej oszukać.

*Znam cię, Wilku, myślała. Chociaż starasz się zachowywać swoje sekrety dla siebie.*

Adam odwinął lniany bandaż i odłożył na bok. Jennie zrobiło się zimno, kiedy chłodne powietrze musnęło jej odsłonięty tors. Wtedy poczuła ciepło jego dłoni w okolicy rany. Serce zaczęło jej bić tak mocno, że miała wrażenie, że on to słyszy.

Nagle naszła ją wielka chęć zsunąć się z tego łóżka na jego kolana, objąć go mocno nogami i...

*Przestań! Uspokój się.* Ta myśl, raz wzniecona, nie dawała się ugasić.

*Myśl o czymś innym. Wymień świętych Kościoła Malthusa – to powinno poskromić wszelkie żądze.*

Na szczęście – albo na nieszczęście – uwagę uzdrowiciela zaprzętało coś zupełnie innego.

– Na krew i kości – mruknął i wyprostował plecy. – To niemożliwe.

– Co? – Jenna, wyrwana z zamyślenia, wygięła szyję w łuk, żeby zobaczyć, o co chodzi.

– Twoja rana prawie całkowicie się zagoiła. Przez jedną noc. – Podniósł na nią zaskoczony wzrok, jakby oczekiwał wyjaśnień.

– Przecież podobno jesteś niezwykłym uzdrowicielem, Wilku – odparła Jenna.

– Jestem dobry, ale nie aż tak. – Adam potrząsał głową, przygryzając wargę. – Skóra wokół rany jest twarda jak... jak pancerz. Albo łu-ski. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Zawsze tak jest, kiedy się skaleczę – powiedziała Jenna. – Najpierw robi się taka skorupa jak tu, a potem wszystko wraca do normy. – Wzruszyła ramionami. – Dziwne.

Uzdrowiciel przesunął palcami po ranie.

– Nie widzę powodu, żeby znowu zakładać opatrunek. To lepsza ochrona rany niż cokolwiek, co ja mógłbym zrobić. – Wyjął ze swojego zestawu dzbanek z wodą, ogrzał go w dłoniach, obmył uszkodzone miejsce i pozostawił do obeschnięcia. Gdy już spakował torbę, położył ją pod swoimi nogami, ale nie zbierał się do wyjścia. Wyglądał, jakby ze sobą walczył.

– O co chodzi? – Jenna nachyliła się, by spojrzeć mu w twarz.

– Czy mógłbym rzucić okiem na twój magiczny znak?

– Czemu nie? – odparła z westchnieniem. – Wszyscy już i tak go oglądali. – Obróciła się do niego bokiem, odgarnęła włosy ku górze i wygięła szyję. On usiadł przy niej na łóżku, pochylił głowę i przyglądał się uważnie, gładząc symbol palcami, co przyprawiało ją o dreszcz.

– Czujesz to? – zapytał.

Skinęła głową.

– Może to przyzwyczajenie, ale dla mnie to jak moja własna skóra.



– Nigdy czegoś takiego nie widziałem – stwierdził. – Jak... jak metal i klejnoty osadzone w skórze. Skaleczyłaś się kiedykolwiek w to miejsce?

– To tutaj jest, odkąd pamiętam. Próbowałam... to wydłubać, ale się nie da. To jest jak część mojego ciała.

– Wiesz, co znaczy ten symbol?

– Wszyscy mnie o to pytają, a ja nie wiem. Sądząc z tego, co się do tej pory wydarzyło, powiedziałabym, że to oznacza kłopoty i pecha.

– Urodziłaś się z tym?

– Tak mi powiedziano.

Uzdrowiciel przyglądał się jej, mrużąc oczy i pocierając podbródek, jakby była zagadką, której nie może rozpracować.

– Co? – zapytała, przesuwając dłońmi po ciele, zaniepokojona, że może coś z niej spadło.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – odpowiedział prostym pytaniem. – Przecież mnie nie znasz. Czemu mi ufasz?

Jenna była pewna, że to samo pytanie uzdrowiciel zadaje sam sobie: czy powinien jej zaufać? To nieufny wilk. I samotny. Ciekawe dlaczego.

Wyciągnęła ręce i chwyciła jego dłoń. Poczowała łączącą ich więź.

– Mylisz się. Widziałam cię wczoraj. Widziałam rudowłosego chłopca i martwego mężczyznę na śniegu, i szare wilki. – Długo nie odpowiadał, więc ogarnęła ją niepewność. – Czy to ma znaczyć, że ty mnie nie widziałeś?

Kiedy zeszywniał i odwrócił wzrok, była pewna, że widział.

Poszła więc za ciosem.

– Co widziałeś?

Nabrał powietrza i wyrzucił z siebie to, co wcześniej starał się tłumić.

– Za dużo. Dość. – Po chwili milczenia dorzucił: – Te... te obrazy...  
– chrząknął – ...ta dziewczynka, i chłopak, i król Ardeny...  
to prawda?

– Oni byli prawdziwi – powiedziała łamiącym się głosem. – Ten chłopak... miał na imię Riley. Miał piętnaście lat, a ja dwanaście.

– Tak mi przykro, Jenno – rzekł Adam delikatnie. – Przykro mi, że to się wydarzyło.

Obróciła się twarzą w jego stronę.

– Przyłożyłam królowi pięścią w nos – wyznała ze łzami w oczach. – Krwawił i krwawił, i krwawił... – Głos jej się załamał. – Tak się zaczęło. Od tamtej pory ciągle walczę.

– Odkąd miałaś dwanaście lat?

– Myślisz, że po tym wszystkim nie byłam dorosła?

– Rozumiem.

– Ty też kogoś straciłeś – zauważyła Jenna. W tym stwierdzeniu było ukryte pytanie, lecz on nie złapał przynęty.

– Tak – odparł. – Chyba wciąż chodzę po tej granicy między życiem a śmiercią i próbuję zdecydować, na którą przejść stronę.

– Chcę, żebyś był po mojej stronie, uzdrowicielu.

– Ja... też tego chcę. Tylko... – spojrzał jej w oczy. – Czy można kogoś naprawdę poznać?

Jenna przesunęła koniuszkami palców po żyłach na wierzchu jego dłoni.

– Nie wszystko jest kłamstwem, Wilku. Czasem trzeba uwierzyć w to, co się widzi.

Poderwał głowę, jakby go wystraszyła. Ona nachyliła się, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta. Z początku się opierał, ale w końcu uległ. Dopiero po dobrej chwili odsunęli się od siebie.

**DARY CESARZOWEJ**

Dotarcie w pobliże króla stawało się już prawdziwą udręką. Po powrocie z nad Zatoki Bastońskiej, gdzie Lila i Destin spędzili zaledwie trzy dni, zauważyli, że procedury zostały bardzo zastrzone. Zostali poddani obszukiwaniu, przesłuchaniu, działaniu magii – i to wszystko jeszcze przed wejściem do niewielkiej komnaty obrad. Mag pełniący służbę, Mark DeJardin, z pochmurną miną grzebał w skrzyniach pełnych czaromiotów.

– Kolejne kajdany dla zniewolonych, Barrowhill? – zapytał, gdy skończył.

– Możesz tego nie pochwalać, ale takie jest życie – odparła Lila. – Ktoś i tak by to zrobił, czemu więc nie ja.

DeJardin nie wydawał się przekonany.

Chwycił za skrzynie i zaniósł je do sali, a Lila i Karn poszli za nim.

Przy dużym stole siedziały trzy osoby, których można się było spodziewać: Marin Karn, Michel Botetort i Gerard Montaigne. Wszyscy mieli poważne miny, a atmosfera w komnacie była wyjątkowo ciężka. Na pewno nie rozmawiali o niczym przyjemnym, a tym, który zbierał cięgi, był generał Karn. Wyraźnie nie mieli jednak zamiaru wtajemni-

czać nikogo w tę sprawę, bo zamilkli, gdy tylko Lila i Destin przekroczyli próg.

Destin również zdawał się trafnie odczytywać panujący w komnacie nastrój. Jego wzrok przesuwiał się z jednej twarzy na drugą, by w końcu zatrzymać się na dłużej na generale.

Oboje przyklękli na powitanie. *Dobrze, że chociaż przynieśliśmy coś do pokazania*, pomyślała Lila.

– Wasza Królewska Mość – powiedział Destin. – Barrowhill i ja mamy zaszczyt donieść, że nasza misja do Zatoki Bastońskiej okazała się sukcesem. Prawdę mówiąc, wyniki przerosły nasze najśmielsze oczekiwania.

*Nic mi o tym nie wiadomo*, skomentowała Lila w myślach. *Moje oczekiwania nie tak łatwo przerosnąć*.

Destin wybrał po jednym przedmiocie z każdej ze skrzyń i położył je na stole. Obręcz, talizman i amulet.

Lila nigdy jeszcze nie widziała, by generał Karn okazał choćby odrobinę zainteresowania czy entuzjazmu, ale w tym momencie był tego bardzo bliski. Szybko się jednak powściągnął. Podniósł amulet, który pod jego dotykiem mocno zaśnił. Natychmiast go odłożył i zapytał:

– Ile tego jest?

– Sto trzydzieści trzy obręcze – oznajmił Destin. – Pięćdziesiąt cztery talizmany. Sto czternaście amuletów.

– Szkoda, że nie zdobyliście więcej talizmanów – rzekł generał, ocierając sobie twarz chusteczką. – One naprawdę są nam potrzebne.

*Szkoda, że jesteś takim niewdzięcznym, pozbawionym serca draniem*, pomyślała Lila. Tym razem, na szczęście, zachowała to dla siebie.

– Jak wam się udało zdobyć aż tyle naraz? – zapytał Botetort, nawet nie próbując dotykać tych łupów.

– Przejęliśmy transport starych magicznych wyrobów przewożonych z Wysp Południowych do Kredowych Klifów – odparła Lila. – Te rzeczy mają ponad tysiąc lat.

– Skąd się to wzięło tam, na południu? – zainteresował się generał Karn.

– Miedzianolicy ukryli je pod koniec Wojen Czarowników, kiedy już wiedzieli, że przegrali – wyjaśniła Lila. – Nie chcieli, żeby to wpadło w ręce wrogów. Od tamtej pory te rzeczy leżały zapomniane. Ktoś im o nich przypomniał i postanowili przewieźć wszystko z powrotem do domu, można by rzec.

– Jak się o tym dowiedzieliście? – naciskał generał Karn, wyraźnie pragnąc znaleźć słabe punkty w tej opowieści.

– Lila ma krewnych na Wyspach Południowych, którzy o wszystkim ją informują – rzekł Destin.

– To praktyczne – zauważył generał.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział Montaigne z ledwie widocznym uśmiechem. – Teraz jak nigdy wcześniej mamy szansę odnieść wielkie zwycięstwo.

Generał Karn niespokojnie poruszył się na krześle.

*Co się tu dzieje? – myślała Lila. Czyżby ktoś umarł pod moją nieobecność?*

Nagle zapukano do drzwi. Jeden z gawrońców otworzył i krótko porozmawiał z kimś z zewnątrz.

– Przybył pryncypus, Wasza Królewska Mość. – Obrócił głowę w stronę Montaigne'a. – Mówi, że to pilne.

– W dzisiejszych czasach wszystko jest pilne – odparł król. – Lepiej dla niego, żeby miał rację. Wprowadź go.

Cedric Fosnaught, duchowy przywódca Kościoła Malthusa, wkroczył do komnaty w nimbie wysokiego mniemania o sobie.

– Wasza Królewska Mość, przepraszam, że przeszkadzam – rzeki. – Przybył statek z Wysp Północnych. Komandor zszedł na ląd, by nas poinformować, że reprezentuje cesarzową Celestynę.

*Cesarzową jaką?* – zdziwiła się Lila. Oniemiałe miny pozostałych mówiły wyraźnie, że znają to imię. *Czego jeszcze nie wiem?* – zastanawiała się Lila. Zwykle bywała lepiej poinformowana.

– Gdzie jest ten statek? – zapytał król niskim, groźnym głosem. – W dokach?

Fosnaught przytaknął. Sięgnął w głąb swojej szaty i wyjął zrolowany pergamin oraz aksamitny woreczek.

– Przekazał mi wiadomość dla was od cesarzowej. Oraz dowód jej uznania. – Wyciągnął pergamin i woreczek w stronę monarchy.

Montaigne spoglądał na te dary niepewnie.

– Poczekajcie chwilę – powiedział. – Botetort, każcie komuś z zewnątrz posłać po Freemana.

– Freemana? – Tan przerzucił wzrok z króla na pryncypusa, który wydawał się tak samo zawiedziony jak on. – Ale co on...?

– Wykonać – przerwał mu król.

Jak tylko za Botetortem zamknęły się drzwi, Fosnaught otworzył usta.

– Wasza Królewska Mość, proszę mi pozwolić wyrazić niepokój lojalnego poddanego co do tego uzdrowiciela. Czy to aby rozsądne... – spojrzał niepewnie na Karna i wyglądało na to, że szuka odpowiednich słów, by wyrazić to, co ma do powiedzenia – wprowadzać do tej

komnaty nieznanego maga? Zwłaszcza maga, który jest z nami od niedawna.

Król zacisnął wargi.

– Ten chłopak w tak krótkim czasie wykazał się większym talentem niż wielu z tych, którzy są z nami od lat.

*Hmm, chyba nie doceniłam książątka uciekiniera, podsumowała Lila w myślach. Jak widać, udało mu się wkraść w łaski króla.*

W końcu zjawił się Ash prowadzony przez Botetorta i jeszcze na zewnątrz przez niego strofowany. Pokłonił się królowi. Przerzucił wzrok z Lili na Destina, a gdy dojrzał skrzynie z magicznymi wyrobami, oczy mu rozbłysły.

– Wzywaliście mnie, Wasza Królewska Mość?

– Fosnaught, dajcie te przedmioty uzdrowicielowi, żeby je przeba-  
dał na obecność klątw, zaklęć i trucizn.

Pryncypus w jednej chwili zmienił nastawienie do Asha i z wielkim entuzjazmem wcisnął mu w ręce podarki od cesarzowej.

Ash położył aksamitny woreczek na stole. Pergamin zatrzymał w dłoniach i obracał go, mrużąc jakieś zaklęcia z zamkniętymi oczami. Wreszcie spojrzał na króla, stuknął palcem w pieczęć i powiedział:

– Wasza Królewska Mość, czy chcecie zbadać autentyczność pie-  
częci, zanim ją złamię?

Montaigne pochylił się, uważając, by za bardzo się nie zbliżyć, i rzu-  
cił okiem na pieczęć.

– Zdaje się, że jest nienaruszona – oznajmił.

Ash złamał pieczęć, rozwinął pergamin i przesuwał palcami po atra-  
mencie, mrużąc coś, co dla Lili brzmiało jak zwykły bełkot. Następ-  
nie skinął głową, jakby podjął decyzję.



– Dobre wieści, Wasza Królewska Mość – stwierdził. – To jest bezpieczne. Jeśli nawet były tu jakieś zaklęcia, już je rozbroiłem. – Podał pergamin królowi, po czym zajął się aksamitnym woreczkiem.

W tym czasie Montaigne szybko przejrzał wiadomość od cesarzowej i przekazał ją Destinowi.

– Ona wie. Przeklęta cesarzowa wie, że mamy dziewczynę. Chce jak najszybciej dokonać wymiany.

– Ale... to nie ma sensu – mruknął Destin. – Skąd może wiedzieć?

– Jest przecież cholerną czarownicą – warknął król. – Wiedźmą. Może złożyła ofiarę z dziewicy albo kozy. Skąd mam wiedzieć?

– Ona jest wiedźmą? – Fosnaught wyglądał na oszukanego. – Komandor Strangward nic o tym nie wspominał.

Destin czytał, przesuwając palec po literach:

– „Rozumiem, że magicznie naznaczona dziewczyna znajduje się już w waszych rękach. Wysyłam komandora Strangwarda z licznymi podarkami, między innymi potężną bronią, która zasieje trwogę w sercach waszych adwersarzy. Niechaj to będzie dowód mojej dobrej woli”. – Podniósł wzrok znad tekstu. – O co chodzi z tą bronią? Wdzieliście ją, pryncypusie Fosnaught?

Kapłan potrząsnął głową.

– Jest jeszcze na statku.

– Obiecała nam armię magów – odezwał się generał Karn i wyrwał pergamin z rąk syna, by samodzielnie go przeczytać. – Dlaczego ona myśli, że broń nas zadowoli?

– Transport armii wymaga czasu i środków – zauważył Destin. – Może cesarzowa nie chciała się podejmować takiego przedsięwzięcia, nie mając pewności, że to ta dziewczyna.

– Co ty wiesz o wojsku? – burknął starszy Karn.

*General nigdy nie przegapi okazji, żeby dopiec swojemu synowi i dziedzicowi*, odnotowała w myślach Lila. *Ciekawe dlaczego.*

Destin przyjął uwagę ojca bez mrugnięcia okiem.

– Ponieważ cesarzowa tak szybko dowiedziała się o obecności dziewczyny, chyba musimy zakładać, że ma wśród nas swoich szpiegów – powiedział.

– Szpiegów, których ty powinieneś być już dawno wytropić – odpowiedział mu ojciec.

– Lord Strangward jest gotów na spotkanie w każdej chwili – oznajmił Fosnaught, jakby upominał się o swoją pozycję w rozmowie. – Mówi, że odpowiada mu każda pora po obiedzie.

– Dzisiaj? – parsknął Montaigne. – Zjawia się tutaj niezapowiedziany i żąda natychmiastowej audiencji u króla?

Usta kapłana wygięły się, jakby skosztował czegoś kwaśnego.

– On, zdaje się... nie zna dworskiej etykiety, Wasza Królewska Mość. Na podstawie wyglądu powiedziałbym, że to dzikus albo pirat.

– Będzie musiał poczekać – oświadczył król. – Powiedzcie Strangwardowi, że przyjmujemy go jutro w Małej Sali.

Fosnaught chrząknął niepewnie.

– Jutro jest Święto Malthusa.

– W takim razie pojutrze – poprawił się Montaigne.

– Lord Strangward wolałby się spotkać na pokładzie swojego statku, żeby móc zademonstrować broń, która znajduje się w ładowni.

– Jeżeli myśli, że jestem taki głupi, żeby wejść na statek z piratem, to bardzo się myli – powiedział król. – Nie mam zamiaru dać się uprowadzić na Wyspy Północne dla okupu.

– Wasza Królewska Mość – odezwał się Destin. – Może moglibyśmy się z nim spotkać w pawilonie w dokach? To byłoby w pobliżu statku,

a jednak na naszym gruncie.

– Nie widzę powodów, żeby się spotykać z tym dzikusiem w pół drogi – odparł Montaigne. – Powinien się cieszyć, że w ogóle się z nim zobaczę.

Jego podwładni spojrzeli po sobie, jakby każdy z nich miał nadzieję, że ktoś inny się odezwie. *Chcą zawrzeć ten układ*, pomyślała Lila, *cokolwiek to jest*.

Może i Strangward nie miał obycia w dworskiej etykiecie, za to Montaigne zupełnie nie znał się na dyplomacji. On przywykł brać siłą wszystko, na co miał ochotę.

– Wasza Łaskawość – rzekł generał Kara. – Potrzebujemy tej armii, potrzebujemy funduszy, i jeśli cesarzowa oferuje jakąś groźną broń, to tej broni również potrzebujemy, zwłaszcza teraz.

– To wasze błędy doprowadziły do tej sytuacji, Kara. Nie zapominajcie – odparł Montaigne.

– Ta umowa mogłaby zmienić nastawienie Rady Tanów na bardziej entuzjastyczne – przekonywał Botetort. – Wysłuchanie tego dzikusia niewiele nas kosztuje, a możemy wiele zyskać.

– Mądry przywódca będzie miał na uwadze nadrzędny cel, jakim jest połączenie Siedmiu Królestw pod rządami Ardeny dla chwały prawdziwego Kościoła – zauważył Fosnaught. – Wiemy, że jesteście, panie, strategiem, którego wzrok sięga daleko, nawet jeśli to wymaga konszachtów z... wiedźmami. Przynajmniej do czasu kiedy dostaniemy od niej to, czego potrzebujemy.

Król przerzucał wzrok z jednego na drugiego, mięśnie jego szczęki intensywnie pulsowały.

– Darujcie sobie te pochlebstwa – powiedział. – Niech będzie. Spotkamy się w Małej Sali. Fosnaught, powiedz Pettymanowi, żeby zor-

ganizował Strangwardowi i jego załodze kwatery poza...

– On pragnie pozostać na pokładzie, Wasza Królewska Mość – prze-  
rwał mu Fosnaught. – Nie chce sprawiać kłopotu ani nadużywać wa-  
szej gościnności.

– Ach tak? Jeśli to prawda, to byłby pierwszy taki przypadek. Po-  
ruczniku Kara, niech Pettyman przygotuje nową kwaterę dla dziew-  
czyny, wewnątrz twierdzy, ale na którymś z górnych pięter w wieży.

– Już się tym zająłem – odparł Destin.

Montaigne obrócił się w stronę Asha, który wciąż zdawał się badać  
zawartość woreczka, choć Lila podejrzewała, że uważnie przysłuchuje  
się rozmowom.

– Jak zdrowie dziewczyny?

Ash podniósł głowę.

– Bardzo dobrze, jak na taką ranę – powiedział. – Jednakże radził-  
bym poczekać jeszcze tydzień, zanim...

– Dopilnuj, żeby pojutrze była w dobrej formie – rozkazał król.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość.

*Przynajmniej książętko uczy się, kiedy odpuścić*, pomyślała Lila.

Ash jednak jeszcze nie skończył.

– Wasza Królewska Mość – powiedział. – Chcecie dowiedzieć się  
więcej o tych podarkach od cesarzowej?

Król sprawiał wrażenie, jakby już zapomniał o aksamitnym wo-  
reczku.

– Oczywiście – burknął. – Co to takiego?

– Nie nałożono żadnych zaklęć – mówił Ash, trzymając woreczek  
na otwartej dłoni. Przyniósł do siebie srebrną tacę i wysypał na nią  
zawartość. – O ile dobrze policzyłem, jest tu piętnaście ogromnych  
diamentów. Jeśli są prawdziwe, mają wielką wartość.

Montaigne chciwie przyglądał się kamieniom.

– Zbadałeś je? Nie są zatrute albo zaklęte?

Ash pokręcił głową.

– Nie.

– Dobrze. – Król zgarnął je z powrotem do woreczka i wsunął do kieszeni kaftana. – W wolnym czasie dokładniej je obejrzę.

– Te diamenty są imponujące, ale to nie jest najcenniejszy z darów od cesarzowej. Oto, co nim jest. – Ash pokazał mały ceramiczny flakonik z runicznymi inskrypcjami.

– Co to takiego? – zainteresował się Montaigne.

– Żywe srebro – wyjaśnił Ash. – Bardzo rzadkie, bardzo cenne. O, spójrzcie. – Odkorkował flakonik i nalał niewielką ilość na ceramiczną płytkę. Płyn utworzył małe srebrne kulki, które turlały się po płytce i połyskiwały w niemal hipnotyzującym tańcu.

*Co on, u licha, knuje?* – zastanawiała się Lila. Wygięła szyję, żeby lepiej widzieć to przedstawienie.

– To niezwykle – przyznał król. Wyraźnie był zafascynowany. – Ale... do czego się to nadaje? Można to uformować albo utwardzić jak zwykle srebro?

– Nie, o ile się tego nie połączy z innymi metalami. Ale to byłoby marnotrawstwo. Wartość tego srebra tkwi w jego magicznych właściwościach. Kiedy się je pali albo podgrzewa, wydziela moc białej magii.

Król już wyciągał rękę, lecz gwałtownie ją cofnął.

– Biała magia?

– Oczywiście nie jestem ekspertem – zastrzegł Ash. – Wiem tylko to, co wyczytałem w starych manuskryptach. Na Wyspach Północnych używa się tego jako czegoś w rodzaju talizmanu. Jego opary

chronią przed złem. Szczególnie skutecznie chroni przed węzami, asasynami i innymi istotami o złych zamiarach.

Fosnaught wykonał znak Malthusa.

– Wasza Królewska Mość – powiedział. – Toż to boża łaska chroni nas przed złem. Nie wyobrażam sobie, żeby używanie takich środków było zgodne z...

– Gdzie była boża łaska, kiedy jakiś łotr włożył zmiję do mojego łóża? – zapytał Montaigne i zwrócił się do Asha: – Jak się tego używa?

– Niektórzy kapią kilka kropel na chusteczkę i noszą to przy sobie. Inni używają malej lampy albo dyfuzora i palą to całą noc, żeby opary kumulowały się podczas snu. Przy takim używaniu to trochę podrażnia oczy i gardło, ale większość źródeł mówi, że to stosunkowo drobne dolegliwości, jeśli wziąć pod uwagę ochronę, jaką się zyskuje.

Lila nigdy nie słyszała o ciekłym srebrze ani białej magii, ale w końcu nie obracała się wśród magów.

– Słyszałeś o tym? – szepnęła do Destina. On potrząsnął głową zamyślony.

– Dlaczego mielibyśmy ci ufać, uzdrowicielu? – Generał Karn spoglądał na srebrną ciecz podejrzliwie. – Skąd mamy wiedzieć, że to nie jakaś trucizna albo czarna magia?

– Generał ma rację. – Fosnaught wyglądał na zachwyconego, że zyskał sojusznika. – Tu, w Ardenie, korzystamy z czarów w bardzo ostrożny, ściśle kontrolowany sposób ku chwale i w służbie wielkiego świętego. Lepiej nie podążać tą drogą zbyt szybko, bo łatwo można zejść na manowce.

– Rozumiem, ojcie Fosnaught. W obecnych czasach ostrożności nigdy za wiele. – Ash uważnie zgarnął żywe srebro z powrotem do fla-

konika, zakorkował i wsunął do swojej torby. – Wasza Królewska Mość, czy mam jeszcze coś wyjaśnić?

– Nie tak szybko. – Montaigne uniósł jedną dłoń i spojrzał na Asha, mrużąc oczy. – Chcesz to żywe srebro dla siebie... przyznaj się, Freeman.

Ash oblizał wargi.

– Pomyślałem tylko, że skoro wy wolicie nie ryzykować... że ja bym...

– Masz mnie za głupca?

Ash czym prędzej wygrzebał flakonik i podał go królowi.

– Proszę. Weźcie. Nie śmiałybym...

– Jeśli uważasz, że to bezpieczne, to może zademonstruj to nam wszystkim – powiedział generał Karn.

*Na krew i kości, pomyślała Lila. Teraz książątka dało się zapędzić w kozi róg i nie ma sposobu, żeby je stamtąd wyciągnąć.* Musiała jednak spróbować, nawet gdyby to znaczyło duże ryzyko.

– Wasza Królewska Mość – odezwała się, licząc na to, że uda jej się zmienić temat. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale zanim porucznik Karn i ja się oddalimy, może zechcecie wybrać sobie nowy talizman.

Przez twarz króla przemknął wyraz irytacji.

– Po co?

– Skoro wszyscy mówią, że te stare wyroby są najlepsze, więc...

– Jestem zadowolony z tego, co mam – odparł Montaigne. Machnął ręką i ponownie zwrócił się do Asha. – I jak, uzdrowicielu? General ma rację.

– Owszem, Wasza Królewska Mość – przyznał Ash. – Z chęcią to zrobię. – Podniósł buteleczkę, odkorkował ją, odchylił głowę i po-

wolutku sączył zawartość. Kiedy odsunął naczynie od twarzy, jego usta były posrebrzone. Wszyscy przyglądali się ze zdumieniem, jak wyjmował chusteczkę z kieszeni i ścierał srebro z warg. – Nie polecam picia, bo to nie najlepszy sposób wykorzystania cennego składnika. Ale jak widzicie, to w pełni bezpieczne.

Król się uśmiechnął.

– Jestem o tym przekonany. I dlatego zatrzymam podarunek cesarzowej dla siebie.

– Jeśli taka wasza wola. – Ash pokłonił się. – Ostrożnie, to cięższe, niż przypuszczacie. – Włożył flakonik w dłoń króla Ardeny.



## NIECO INNA PERSPEKTYWA



Jennie śniło się, że znowu była w Łaskawej Pani, w przebraniu Lyle'a Prawdomówcy, czuła w nozdrzach woń palonego węgla i duszonej baraniny, a jej uszu dobiegał śpiew minstrela. Za barem stał jej tata i śledził ją niespokojnym wzrokiem, jak zawsze nie mogąc się doczekać, by już opuściła salę.

Na wprost niej, na miejscu dla klienta, siedział Adam Wilk z ognistą rudą czupryną.

Jenna tasowała karty. Raz wypadły jej z ręki i rozsypały się po podłodze niczym płatki róży. Ona i uzdrowiciel jednocześnie rzucili się, by je pozbierać, a wtedy ich dłonie się spotkały. Natychmiast cofnęli ręce jak poparzeni.

Pozbierała karty, zgromadziła je w talię i rozłożyła na blacie w kilku rzędach. Odwracała po jednej, jakby składała obrazek z oddzielnych elementów.

– Spotkasz dziewczynę – powiedziała – która złamie ci serce i sprowadzi do twojego życia kłopoty. Po tysiącuroć będziesz przeklinał dzień, w którym ją poznałeś.

– Nie! – Uzdrowiciel zrzucił karty ze stołu na podłogę. – Nie będę tego słuchał! – Sięgnął ponad blatem i chwycił ją za rękę. – Mamy przed sobą przyszłość. Wiem, że tak. Powiedz, co jeszcze widzisz.

Scena rozplynęła się. Teraz Jenna spoglądała w złote oczy, takie same jak jej własne. Wściekle, hipnotyzujące oczy niczym klejnoty w ozdobnej oprawie, lecz ich blask powoli gasł. Czuła ból w barkach, jakby dźwigała zbyt wielki ciężar. Odór zgniłego mięsa wypełniał jej nozdrza i piekł w oczy. Posadzka pod stopami delikatnie się kołysała.

Zaklinaczu Ognia. Jesteśmy uwięzieni w ciemnym miejscu i nie widzimy nieba.

Poczuła pieczenie i dreszcz na karku. Wyciągnęła rękę i zobaczyła połyskujące łuski tam, gdzie wcześniej miała skórę; paznokcie wydłużały się w szpony. Jej nozdrza wyczuły woń zwierzyny i wtedy zdała sobie sprawę, że po jej nogach pełźnie coś futrzastego. Rozgniewana odrzuciła od siebie to stworzenie w ciemność; leciało niczym płonąca gwiazda, pisnęło raz, uderzając w mur, a potem zamilkło. Próbowwała je upolować: biła skrzydłami o wszystkie ściany, wabiona zapachem surowego mięsa. Była głodna, a mimo to nie umiała znaleźć sobie pożywienia. Zawyla w poczuciu bezradności.

Oślepiło ją światło. To na pewno Skóry, które ją uwięziły. Przygotowała się, zebrała w sobie ogień, ryknęła wyzywająco. Może i jest słaba, ale wciąż potrafi zabijać. Wtedy poczuła znajomy zapach.

To był wilk.

Słyszała krzyki za drzwiami, stukanie, szcęk zasuw. Woń palonego futra i mięsa powoli zanikała wraz z odchodzącym snem, w miarę jak Jenna odzyskiwała świadomość tego, gdzie się znajduje.

Nie była już w lochu, lecz w nowej kwaterze, wysoko w wieży króla Ardeny, z oknem wychodzącym na rzekę.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i do komnaty kilkoma dużymi susami wpadł wilk. Ukląkł przy niej, zajął jej w twarz i chwycił ją za rękę.

– Jenno? O co chodzi? Co się dzieje?

Jego głos i zapach bardziej niż cokolwiek innego trzymały ją w tym cieple.

– Nic. To tylko sen. – Zrobiła głęboki wdech i wypuściła powietrze. Wiatr od rzeki muskał jej włosy, przynosząc ze sobą wspomnienie ryb, słonej wody i morza. Zasnęła, czytając na krześle przy oknie. Tylko z tego miejsca widziała niebo.

Adam odprawił gawrońców, którzy wbiegli do komnaty zaraz za nim.

– To tylko sen.

Kiedy wyszli, znowu obrócił się w jej stronę.

– Ty drżysz. – Wierzchem dłoni dotknął jej czoła. – Nie masz gorączki. – Wstał i koniuszkami palców zapalił lampę na stole.

Póki był zwrócony do niej plecami, Jenna obejrzała swoje dłonie w blasku księżyca. Wyglądały całkiem normalnie – żadnych szponów ani łusek. Odetchnęła z ulgą. Zaraz jednak pomyślała z niepokojem, że traci zmysły.

– Śniło mi się, że znowu byłam w lochu i był tam szczur, i... i zamierzałam go zjeść – wyznała.

Adam obrócił się, oparł ręce na biodrach i uniósł brew.

– Wiem, że masz nienasycony apetyt, ale to już chyba przesada. Przyniosłem ci coś do jedzenia, a tu słyszę, że dopiero co jadłaś kolację.

Pokręciła głową, czując żar na policzkach z zażenowania.

– Nie, to nie to. Wiesz, jak to jest... czasem się ma głupie sny.

– No tak. – Twarz mu spochmurniała. – Czasem nachodzą nas głupie sny.

Przysunął sobie krzesło i usiadł, tak że niemal stykali się kolanami.

– Cieszę się, że porucznikowi Karnowi się udało. Nie wiedziałem, że przenieśli cię na górę. Poszedłem do lochów, a tam cię nie było. – Rozejrzył się. – Tutaj jest znacznie lepiej.

Miał rację. Komnata była niewielka, wysoko w wieży, z zaokrąglonymi ścianami. Znajdowało się w niej niewiele sprzętów: łóżko z grubym słomianym materacem i wieloma warstwami pościeli, szafka z miednicą i dzbankiem, dwa krzesła, w rogu parawan, za którym umieszczono nocnik. Był też kominek z trzaskającym ogniem i okno – oczywiście zakratowane, ale jednak okno.

– To mi wystarczy – powiedziała, naśladowując najelegantszych gości z Łaskawej Pani. – Obsługa jest opryskliwa, jedzenie liche, ale za to mam widok na przystań.

Roześmiał się.

– Domyślam się, że w tym miejscu król Gerard przetrzymuje cenniejszych więźniów politycznych.

Szczerze mówiąc, ta komnata była większa i ładniejsza od tych w Łaskawej Pani. Mimo to wydawała się ciasna, kiedy znajdował się w niej Adam, zwłaszcza że teraz Jenna nie miała już na sobie zbroi w postaci brudu i niedomagania. W każdym momencie uwierała ją świadomość tego, gdzie on się znajduje i jaka dzieli ich odległość.

Patrzył na nią wyczekująco. Pod wpływem tego spojrzenia zrozumiała, że powinna coś powiedzieć.

– Mmm... Jak widzisz, Karn dotrzymał obietnicy. Wykąpałam się i przebrałam.

– Naprawdę wyglądasz inaczej. – Przyglądał się jej badawczo. – Nigdy cię nie widziałem w sukni.

Z zawstydzeniem sięgnęła ręką do gorsetu.

– Jest trochę za bardzo dopasowana w... trochę ciasna, ale szwaczka mówi, że jutro przyniesie mi coś na moją figurę. – Zaczerpnęła tchu i ciągnęła: – Nie jestem przyzwyczajona do sukienek. Przez cztery lata udawałam chłopca, prawie bez przerwy, i teraz dziwnie się czuję w sukni.

– Nie miałem pojęcia, że twoje włosy mają tyle barw – zauważył Adam. – Miedź, złoto, srebro, ametyst. To prawie... jak kolory metali. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. – Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów, a na jej plecach i karku pojawiła się gęsia skórka.

– Wiesz już teraz, jakie były brudne. Mój tata zawsze mówił, że kiedy byłam mała, moje włosy wyglądały tak, jakbym rozsmarowała głowę po palecie malarza.

*Uspokój się, nie mów tyle*, karciała się w duchu. Nie miała kiedy nauczyć się flirtowania. Zresztą flirtowanie wydawało się zbyt niefrasobliwym określeniem tego, co działo się między nimi.

Po szyi ku jej twarzy pełzły piekące ciarki. Wspomnienie pocałunku wisiało między nimi jak zakazany owoc. Wszystko, co mówili czy robili, zdawało się nasycone znaczeniem. W komnacie oprócz nich obecny był onieśmielony gość – pożądanie.

*I co teraz? W którą stronę się zwrócimy? Cofniemy się czy zrobimy krok w przód?* Adam zapewne czuł tę samą presję, bo wyraźnie szukał jeszcze jakiegoś tematu do rozmowy.

– Co czytasz? – Podniósł książkę z jej kolan i przekartkował. – *Historia Królestw Alencona*? Czytaliśmy to w szkole. Wywrotowa lektura. – Przechylił głowę. – Karn ci to przyniósł?

*Gra na zwłokę, pomyślała. Ma mi coś do powiedzenia i nie chce tego zrobić.*

Oddał jej książkę, a ona odłożyła ją na bok. Po kolejnej chwili ciszy Jenna chwyciła go za obie dłonie, szukając jakiejś podpowiedzi. Zobaczyła jedynie rozmazany obraz statku okrytego mgłą, jakby to była czyjaś wizja, a nie realna łódź.

– Śniło mi się, że postawiłam ci karty – powiedziała.

– I?

– I przepowiedziałam, że sprowadzę do twojego życia smutek i kłopoty.

– Za późno – stwierdził, patrząc na ich połączone dłonie. – Smutek i kłopoty dotarły do mnie przed tobą.

– Możesz mi powiedzieć, co cię trapi. – Puściła jego dłonie. – Co się dzieje? Zbliża się moja egzekucja? Sprzedadzą mnie w niewolę?

Wyraz twarzy uzdrowiciela mówił, że niewiele się pomyliła.

– Przybył emisariusz od cesarzowej Celestyny – oznajmił. – To o nią wypytywał cię porucznik Karn. Najwyraźniej proponuje wymianę ciebie za worek diamentów, tajemniczą broń i armię. – Zamilkł i znowu się rozejrzał. – To by wyjaśniało ten nagły przyływ gościnności. Montaigne nie chce być oskarżony o handel uszkodzonym towarem.

– W takim razie ma wielkie szczęście, że ty jesteś tak dobry w tym, co robisz. – Nie mogąc usiedzieć w miejscu, Jenna wstała, podeszła do kominka i wsunęła pogrzebacz w ogień. – Po co ktoś, kogo nawet nie znam, miałby dawać za mnie takie bogactwa?

– Za dwa dni ma się odbyć spotkanie. – Adam mówił do jej pleców. – Może wtedy się dowiemy. Chciałem cię tylko ostrzec.

– Dobrze – rzekła Jenna, wpatrzona w płomienie. – Załatwimy tę sprawę, zanim zajdzie za daleko.

Kiedy nie odpowiadał, obróciła się w jego stronę. Adam przygryzał dolną wargę, wyglądał na zatroskanego, jakby próbował zdecydować, czy przekazać jej więcej złych wiadomości, czy pozostawić ją w niewiedzy.

– Zastanawiasz się, czy jestem głupia czy naiwna, czy może obie te rzeczy naraz – stwierdziła Jenna. – Ani jedno, ani drugie. – Usiadła na grubym dywanie przed kominkiem i poklepała miejsce obok siebie. – Usiądź przy mnie, Wilku.

Przez moment myślała, że nie przyjdzie. Podszedł jednak i opadł na podłogę. Siedział, przylegając udem do jej uda, z jedną nogą ugiętą w kolanie, a drugą wyciągniętą.

Ona wygięła plecy i napawała się ciepłem i trzaskiem płomieni, wierząc się i rozważając, co powinna powiedzieć.

– To jest właśnie spór, który cały czas toczyłam z moim tatą. On widział niebezpieczeństwo czyhające za każdym rogiem.

– Widzisz? I miał rację – zauważył Adam, bezwiednie dotykając obręczy na szyi, jakby go uwierała.

– Miał rację... po szesnastu latach – powiedziała. – Zmarnowaliśmy tyle lat, czekając na coś straszliwego. Czemu nie czekaliśmy na coś miłego? Przecież wszystko jest możliwe, prawda?

– Wszystko jest możliwe – powtórzył Adam. Odchylił głowę, by spojrzeć w sufit, i zacisnął szczękę.

– Weźmy na przykład wilka – ciągnęła Jenna. – Kiedy w łapę wbije mu się kolec, jest nieszczęśliwy i burkliwy, tak samo jak byłby człowiek w jego sytuacji. Kiedy mu się to wyjmie, czy martwi się o to, że wda się infekcja albo że znowu wejdzie na kolec?

– Nie. – Adam się poruszył, a tarcie jego nogi o jej nogę wprawilo jej serce w galop.

– Czy odgryza sobie łapę, żeby to się nie powtórzyło?

– Nie – parsknął Adam.

– Czy wyrzuca sobie, że był nieostrożny albo że szedł na skróty przez kolczaste krzaki? – Pokręciła głową. – Nie. Żyje dalej. Cieszy się z faktu, że już go nie boli. Nie wie, co go czeka, czy upoluje kozicę, czy złamie sobie nogę i zamarznie, ale godzi się z tą niewiedzą. Natomiast ludzie... my zachowujemy się jak ludzie. Dopisujemy złe zakończenie, zanim ono nastąpi.

– A nie to czyni nas ludźmi? Ta zdolność do oceny terażniejszości i przewidywania, co może się zdarzyć?

– Ale nie bardzo nam się to udaje, prawda?

– Prawda.

Położyła dłoń na jego udzie, co sprawiło, że gwałtownie zaczerpnął tchu. Oboje spojrzeli na jej rękę – jasną rozgwiadę na tle jego ciemnych spodni.

– Popatrz chociażby na mnie.

Zaskoczony, poderwał głowę.

– To znaczy? – zapytał chrapliwym głosem.

– Według wszelkich standardów miałam żalosne życie. Sierota, wychowana w Delphi, zmuszona do pracy w kopalni w młodym wieku. Od urodzenia nosząca piętno śmierci.

Przyglądał się jej z uwagą, jakby czekał na puentę.

– I co? Jak to się...?

– A mimo to wiele razy odczuwałam nagłą radość i widziałam piękno w najmniej spodziewanych momentach. Rzeczy, których bym nie doświadczyła, gdybym skupiała się tylko na tym, co złe. Wschód słońca nad hałdą żużlu. Mięso na śniadanie, kiedy się tego nie spodziewałam. Piosenka, która trafia prosto w serce. – Przesuwała palce



po jego udzie, czując, jak jego mięśnie prężą się pod jej dotykiem. – Może życie chwilą jest prymitywne, ale ma swoje zalety. Na przykład nigdy się nie spodziewałam, że znajdę miłość w lochach.

Obróciła się w jego stronę i uklękła tak, że ich głowy były na tej samej wysokości. Spojrzała mu w oczy i dostrzegła w nich żar i silne pożądanie.

– Ja też nie – szepnął. Objął ją, przysunął do siebie i pocałował.

Uczucie upojenia było jeszcze silniejsze za drugim razem i za trzecim. Potem straciła już rachubę. Jego palce błądziły w jej włosach, a ciało coraz mocniej do niej przywierało. Było umięśnione, sprężyste i idealnie pasowało do jej ciała.

Potem znowu całował ją po szyi i ustach, długo i namiętnie. To było jak łyk piekącej okowity, płynącej do żołądka i rozpalającej płomień w całym wnętrzu. Chwyciła zębami jego wargę i skubała ją delikatnie, po czym popchnęła go na plecy tak, że położyli się na dywanie.

Objęła go za szyję i wprost pożerała pocałunkami – jego usta, szyję nad srebrną obręczą, to czułe miejsce zaraz za uchem. Wsunęła dłonie pod jego tunikę i przesuwała je wzdłuż kręgosłupa ku wgłębieniu w dole pleców. Jego palce w zetknięciu z jej skórą wywoływały drobne eksplozje niemające żadnego związku z magią.

Usiadła na nim okrakiem i zaczęła gmerać przy tasiemkach sukni. Nie miała jednak wprawy i zanim udało jej się coś rozwiązać, on złapał ją za nadgarstki i odciągnął jej ręce od tułowia.

– Jenno – powiedział. Wyglądał na ogłuszonego, jak ktoś, kto stał zbyt blisko, kiedy w kopalni nastąpił wybuch. W jego głosie prócz pożądania brzmiało stanowcze „nie”.

– Nie opieraj się, Wilku. – Przesunęła się, szarpnęła, próbując się uwolnić. Czowała, że jego ciało reaguje na każdy jej ruch, a to jeszcze

utrudniało sprawę.

– Nie rozumiesz – tłumaczył. – Jestem tu już długo. Gawrońce. Mogą wejść w każdej chwili.

– Co tam gawrońce. – Była silna, ale on był silniejszy. To wszystko przypominało okrutny żart. Im bardziej z tym walczyła, tym mocniej płonęło w niej pożądanie i tym trudniej jej było go zostawić.

W końcu obrócił ją na plecy, a sam usiadł na niej. Docisnął jej rękę do podłogi i spoglądał na nią, dysząc ciężko, jakby odbył długi bieg.

– Naprawdę, nie pomagasz mi postępować właściwie – sapnął. – Wiesz o tym, prawda?

– Ale to jest właściwe – przekonywała Jenna, wyginając plecy, by przyłgnąć do niego.

Wtedy on rozprostował ramiona i uwolnił ją od swojego ciężaru; podniósł się i postawił między nimi krzesło.

Jenna zwiesiła głowę. Policzki jej płonęły.

– Przepraszam – wybąkała. – Ja... ja tylko...

– Nie przepraszaj – powiedział Adam, mocno ściskając oparcie krzesła. Jego oczy lśniły w blasku ognia. – To jest właściwe, ale chwila nie jest właściwa. Nie chcę, żeby to się odbyło tak... – ogarnął gestem komnatę w wieży – w pośpiechu, chyłkiem, w poczuciu zagrożenia, że ktoś wejdzie.

Wiedziała, że ma rację, a jednak powiedziała:

– Jeśli nie teraz, to kiedy? Co jeśli to już koniec, a my nigdy... – jej głos się załamał. Spróbowała ponownie. – Co, jeśli kiedyś obejrzymy się wstecz i powiemy „Żałuję, że...”

Podszedł do niej i objął ją. Jego oczy ściemniały do barwy najgłębszych jezior.

– Obiecuję ci, Jenno, że to nie koniec. – Gdy to mówił, na jego twarzy malowały się zaciętość i stanowczość. – Znajdę sposób, żeby...

Położyła dłoń na jego ustach.

– Nie obiecuj, uzdrowicielu. – Przyciągnęła do siebie jego głowę i stłumiła jego obietnice pocałunkami.

## ZASADY KRÓLEWSKIEJ GRY



Czy król palił swój „dar” w postaci żywego srebra? To było zasadnicze pytanie. Z tego, co Ash wiedział, flakonik, który dał Montaigne’owi, leżał gdzieś w szufladzie. Ash wypuścił swoją zatrutą strzałę, ale nie miał pewności, czy trafi w obrany cel ani czy stanie się to na tyle szybko, by mógł dotrzymać obietnicy, którą próbował złożyć Jennie.

Jeszcze raz przeczytał o objawach w oprawionej w skórę książce od Taliesin. Dreszcze, zaburzenia umysłowe i emocjonalne, zmiany skórne. Montaigne nie musiał od tego umrzeć – wystarczyło, żeby czuł się na tyle źle, by wezwać Asha, który wtedy dokończyłby dzieła.

Choć uważnie obserwował króla, nie dostrzegął nic obiecującego. Montaigne był zadziwiająco, irytująco zdrowy.

Tymczasem Ash stale powiększał swój arsenał zabójczych narzędzi, które ukrywał w dogodnych miejscach i z których posiadania mógł się łatwo wytłumaczyć. Na szczęście wiele instrumentów medycznych w zestawie uzdrowiciela mogło służyć zarówno do ratowania życia, jak i do zadawania śmierci. Noże, nożyczki, skalpele – to wszystko można było wykorzystać po obu stronach granicznej linii. W skraj tu-

niki miał wszytą garotę. Wciąż nosił pod obręczą igłę gotową do użycia w każdej chwili.

Potrzebował jedynie okazji, a tymczasem dotarcie w pobliże króla stawało się coraz trudniejsze z powodu powtarzających się zamachów. Ash chciałby, żeby ten jego konkurent albo osiągnął swój cel, albo zrezygnował. Dobrze, że od incydentu podczas miodopicia nie było więcej takich prób – w każdym razie on o niczym takim nie słyszał. Jeszcze rok czy dwa spokoju i król może stracić czujność.

Na tym polegał problem. Ash nie miał roku czy dwóch, on miał tylko jeden dzień. Było Święto Malthusa wypadające czwartego dnia po Przesileniu. Nazajutrz miało się odbyć spotkanie króla z emisariuszem cesarzowej. Zastanawiał się nad jego zabiciem, ale Kartezjańscy przebywali na swoim statku, poza zasięgiem czeladnika uzdrowiciela.

Tymczasem Ash znalazł się w sypialni królowej i usiłował przekonać króla, by nie niweczył jego wysiłków. Został wezwany, ponieważ królowa Marina zasłała, gdy jej służące ubierały ją na doroczną ucztę z okazji Dnia Świętego Malthusa. Jej ciemne włosy były rozrzucone na poduszce, smagła skóra teraz niewiele różniła się barwą od pościeli, z wyjątkiem tych miejsc, w których przebijały sine żyły.

*Ależ ona wątła, sama skóra i kości, pomyślał Ash. Nie ma żadnych rezerw.*

Montaigne krążył po komnacie obwieszony wszystkimi symbolami swojego urzędu. Głośno stukał butami po kamiennej posadzce. Był w złym humorze, nawet jak na niego.

– Nie możesz dać jej czegoś, co ją postawi na nogi, uzdrowicielu? Są tu wszyscy tanowie z królestwa. Rozeszły się plotki, że królowa nie

żyje. Muszą ją zobaczyć całą i zdrową. – Po chwili dodał: – Zwłaszcza teraz.

Płomień, który tlił się w duszy Asha od chwili śmierci jego ojca, zapłonął z nową siłą.

*Oto człowiek, który wypowiedział wojnę Fells, gdy moja mama odrzuciła jego zaloty, myślał. Od tamtej pory są wrogami. Ona już zapłaciła wysoką cenę. Wszyscy zapłacili. Ale mogło się zdarzyć, że to Raisa leżałaby tu teraz niczym półtusza wołowa bez prawa głosu na własny temat.*

*Nie, to nie byłoby możliwe, stwierdził w duchu. Raisa nie wytrzymałaby tak długo. Jedno z nich już by nie żyło.* Ash zaczął doceniać, jak wiele osiągnęła jego matka królowa, utrzymując tego południowego tyrana z dala od Felis.

– Jest tylko jeden problem, Wasza Królewska Mość – wycedził przez zęby. – Królowa żyje, dzięki Stworzycielowi, ale nie jest zdrowa. Potrzebuje odpoczynku, spokoju i dobrego, pożywnego jedzenia. Nie powinna teraz podejmować wysiłku publicznych wystąpień.

– Nie możemy wywoływać wrażenia, że łatwo jest zamordować władcę. To byłby zły sygnał.

– A jakim sygnałem byłoby, gdyby królowa zemdląła podczas obiadu? – zapytał Ash, z trudem zachowując spokój. – Jeśli już teraz się plotkuje, to takie zdarzenie tylko pogorszyłoby sytuację.

– Twoja w tym głowa, żeby do tego nie doszło – stwierdził Montaigne.

– To nic, uzdrowicielu – odezwała się królowa. – Król, oczywiście, ma rację. Muszę się tam pokazać. – Podparła się na łokciach i skinęła na swoje damy, które czekały z sukniami do wyboru.

Zazwyczaj, kiedy królowa była niedysponowana, co zdarzało się dość często, funkcję gospodyni pełniła lady Estelle. Król Ardeny nie widział powodów, by ukrywać przed światem swoją metresę. Teraz jednak Estelle nie żyła – została skazana na śmierć za próbę zamachu na życie króla.

Świadomą lub nieświadomą. Stąd ta kryzysowa sytuacja. Montaigne musiał zachowywać pozory.

– Królowa ma być u mojego boku podczas obiadu – oświadczył. – Czy aż tak trudno to zrozumieć? – Wyrwał suknię z rąk jednej z dam dworu i rzucił ją Marinie w twarz. – Wkładaj to. I napij się rumu, jeśli to doda ci rumieńców. Goście już siedzą, a nie chcę dać im okazji do konspirowania podczas mojej nieobecności.

Królowa usiadła sztywno i zasłoniła się suknią niczym tarczą.

– Kazałem ci się ubierać, ty głupia tamrońska dziwko. Ogłuchłaś?

– Wasza Królewska Mość, proszę – odezwała się cicho lady Argincourt, jedna z dam królowej, wskazując na obecnych w komnacie gawrońców. – Królowa potrzebuje prywatności.

– Chcę cię widzieć na dole w ciągu kwadransa – oznajmił Montaigne. – Freeman, będziesz towarzyszył królowej w sali jadalnej, na wypadek gdyby coś się wydarzyło. I włóż na siebie coś innego, nie te brązowe szaty. Widok uzdrowiciela kręcącego się przy niej też byłby złym sygnałem.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość – odparł Ash.

Montaigne skinął na swoich gawrońców i wyszedł z komnaty, pozostawiając Asha z dwoma pytaniami: Czy nareszcie uda mu się znaleźć tak blisko króla, żeby w namacalny sposób mu zaszkodzić? Gdzie może zdobyć strój wieczorowy w ciągu najbliższego kwadransa?

Po wyjściu króla Ash zwrócił się do królowej.

- Żadnego rumu, Wasza Łaskawość. Wasza wątroba nadal jest osłabiona po działaniu trucizny. Proponuję trochę piwa albo herbatę.
- Może być herbata, mistrzu Freeman.
- Dobrze. I jeszcze jedno... Gdzie mógłbym szybko znaleźć jakiś odpowiedni strój?

Kwadrans później Ash szedł za królową do głównej sali jadalnej. Damy dworu zdołały mu jakoś zorganizować czarne bryczesy i kaftan z zielonego aksamitu i skóry, które mniej więcej na niego pasowały. Tak się złożyło, że miał do tego elegancką srebrną obręcz na szyi.

Od dawna nie nosił ubrań przypominających dworskie szaty. Czuł się w tym jak przebieraniec.

Gdy tylko przekroczyli próg, Ash wyczuł, że coś jest nie w porządku. Atmosfera w sali była tak gęsta jak stężała owsianka, a liczba gawrońców znacznie przekraczała normę, nawet z ostatnich dni. Główne danie zostało już podane, lecz większość talerzy była nietknięta. Kobiety siedziały jak na szpilkach, jakby marzyły tylko o tym, żeby stąd zniknąć.

Wszystkie oczy były skierowane na wysokiego, umięśnionego tana z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami i czarną przepaską na oku. Stał przy końcu stołu w pobliżu drzwi otoczony przez garstkę uzbrojonych mężczyzn. Był to typ doświadczonego w bojach żołnierza, który w cywilnych ubraniach wyglądał, jakby nie był sobą. Towarzyszył mu chłopiec w wieku dwunastu czy trzynastu lat, w mundurze błotnistych.

Przekroczywszy próg jadalni, królowa zdawała się sięgnąć po jakiś ukryty zapas sił. Wyprostowała plecy i uśmiechnęła się promiennie do gości, którzy wstali, by ją powitać. Z dostojeństwem przeszła przez



całą salę i zajęła miejsce u boku króla. Ash podążał kilka kroków za nią, by w końcu stanąć przy ścianie za plecami pary królewskiej. Od króla oddzielał go kordon gawrońców.

*Tutaj nie ma na nic szans, pomyślał.*

Montaigne ucałował królową Marinę w rękę, obrócił się ku gościom i rzekł przez zaciśnięte zęby:

– Wiem, że chętnie wzniesiecie wraz ze mną toast za zdrowie Jej Królewskiej Mości.

Po tych słowach rozległ się szmer życzeń, kilka osób wzniosło kielichy, lecz to nie zmieniło atmosfery w sali. Wszyscy siedzieli sztywno jak na oficjalnych obradach, a nie na swobodnym przyjęciu. Zwłaszcza Marin Karn wyglądał, jakby połknął widelec.

– Siadźcie, lordzie Matelon, i posilcie się – powiedział Król. – To Dzień Świętego. Nie czas na omawianie sytuacji wojennej. Pomówimy o tym, kiedy zbierze się Rada Tanów.

– Nie zwoływaliście rady od miesiąca, Wasza Królewska Mość – zauważył lord z opaską na oku. – Przejmujecie natomiast posiadłości i majątek wiernych wam wasali, żeby finansować tę niemającą końca wendetę.

Przy stole rozległ się szmer głosów, zarówno protestów, jak i aprobaty.

Wtedy podniósł się niezawodny sprzymierzeniec króla Michel Bote-tort.

– Proszę, Arschel, odłóżmy to na później.

– Zgadzam się – poparł go generał Karn. – Nie miałem jeszcze okazji zapoznać Jego Wysokości z... ostatnimi wydarzeniami.

– No więc, Karn, zapoznajmy go z tym teraz – wtrącił Matelon, rozglądając się po sali. – Chyba mamy kworum.

– Myślę, że damy powinny nas opuścić – stwierdził król, kładąc dłoń na rękojeści miecza i łypiąc groźnie na zgromadzonych – żebyśmy mogli porozmawiać o konkretach.

– Niech będzie – zgodził się Matelon.

Kobiety wstały i wśród szelestu jedwabi i brokatów wyszły z sali. Wszystkie z wyjątkiem królowej.

– Zostanę i wysłucham, co macie do powiedzenia, lordzie Matelon – oświadczyła spokojnie.

Matelon wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzycie, Wasza Królewska Mość. – Zwrócił się w stronę chłopca. – Mój syn Robert jest kapralem i stacjonuje w Delphi. Przybył do nas z meldunkiem. Kapralu?

Robert był tak zdenerwowany, że papier w jego ręce drżał.

– D... D-delphi padło, Wasza Królewska Mość.

Delphi! Ash z trudem zachował kamienną twarz, obserwując reakcje zgromadzonych. Odniósł wrażenie, że co najmniej Marin Karn, król i Botetort już o tym wiedzieli.

Montaigne machnął ręką lekceważąco.

– Ludzie zawsze plotkują o różnych katastrofach. O tym też już słyshałem i właśnie to badamy.

– To więcej niż plotka, Wasza Królewska Mość – rzekł lord Matelon.

– Kapralu, kontynuujcie.

Robert wyprężył się jak struna.

– Spędziłem święto Przesilenia w Zakonogrodzie, na przepustce z posterunku w Delphi. Podczas mojego tam pobytu otrzymaliśmy wiadomość od mojego brata, kapitana Matelona... z kwatery na północ od miasta. Czy mam przeczytać?

– Czytaj, synu. – Matelon położył dłoń na ramieniu chłopca.

Robert chrząknął i zaczął czytać.

– „Zamieszki wśród górników przekształciły się w prawdziwą rebelię, do której dołączyli fellsjańscy klanowcy z Północy. Rebelianci kontrolują teraz kopalnie, tereny górskie i miasto, a nasza kwatera główna jest oblężona. – Robert przełknął ślinę. – Ponieważ jest mało prawdopodobne, by posiłki z Zakonogrodu dotarły na tyle szybko i w takiej liczbie, by zmienić stan rzeczy, zalecam nie narażać więcej żołnierzy, póki nie zostaną zgromadzone wystarczające siły, by zapewnić decydujące zwycięstwo. Kapitan Halston Matelon, dowódca armii Jego Królewskiej Mości, Delphi”.

W sali zapadła cisza.

Wreszcie przemówił generał Karn.

– To brzmi, jakby kapitan Matelon usprawiedliwia! swoją nieudolność.

– Wyjaśnijcie to, generale – zażądał lord Matelon, którego twarz natychmiast zrobiła się czerwona.

– Po pierwsze, wszyscy wiedzą że miedzianolicy nie opuszczają Gór Duchów – oznajmił generał. – Nawet jeśli zmienili taktykę, to musieliby być głupi, żeby przeprowadzić wojsko przez Góry Duchów o tej porze roku. Przełęcz od miesiąca są nieprzejezdne.

– Może wiedźmia królowa postanowiła spędzić zimę w tym roku na Południu – odparł Matelon, cedząc każde słowo. – Może jej magowie roztopili śnieg magiczną mocą. Wiem tylko, że od początku tej przekłetej wojny wszystkie zapewnienia, jakich nam udzielano, wszystkie przewidywania, wszystkie meldunki, że zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki, były nic niewarte.

Montaigne zwrócił się do zgromadzonych.

– Jak wielu z was wie, poparcie lorda Matelona dla wojny i jego lojalność wobec naszej osoby od jakiegoś czasu bardzo osłabły. W związku z tym nasuwa się pytanie: czy to może być część większego spisku? Tutaj, w stolicy, powtarzają się próby zamachów, a jednocześnie na Północy syn Matelona zdradza nas i ulega rebeliantom.

*Jak to się dzieje, Wasza Królewska Mość, myślał Ash, że kiedy coś się nie udaje, to zawsze jest wina kogoś innego?*

– Wasza Królewska Mość – odezwał się Matelon. – Przez dwadzieścia pięć lat wojny niezmiennie udzielałem wam wsparcia. Nikt nie przeznaczył na ten cel więcej żołnierzy i pieniędzy. Teraz, jak widać, poświęciłem także najstarszego syna. I dla jakich korzyści? Kontroli nad małym królestwem, gdzie roi się od magów i dzikusów, handlujących towarami, których nie potrzebujemy. Miarka się przebrała. Koniec z tym.

– Czy to znaczy, że odmawiacie posłuszeństwa swojemu suwerenowi z boskiego nadania?

– To znaczy, że jestem zmęczony i chcę wrócić do domu, by w spokoju pogрузić się w żałobie wraz z moją małżonką i zająć się swoimi posiadłościami, które pilnie wymagają uwagi. – Pochylił głowę, obrócił się i ruszył ku drzwiom w towarzystwie swojej obstawy i syna.

– Wracajcie do domu, jeśli chcecie – odparł Montaigne – ale nie zostaniecie tam swojej małżonki.

Matelon zamarł w pół ruchu, po czym zwrócił się twarzą do króla.

– Co to znaczy?

Montaigne przemówił do całej sali.

– Wobec wydarzeń w Delphi podjąłem środki ostrożności polegające na odosobnieniu rodzin członków Rady Tanów i umieszczeniu ich w twierdzach odległych od północnej granicy. Dzięki temu nikt

z was nie będzie się martwił o ich bezpieczeństwo i będziecie mogli się skupić na tym, jak wygrać wojnę.

Tanowie zgromadzeni przy stole poderwali się, wielu sięgnęło do mieczy. To było podłe, nawet jak na Montaigne'a.

– I tak, dotyczy to dam, które przed chwilą opuściły tę salę.

Drzwi jadalni gwałtownie się otworzyły i do wnętrza wpadli gawrońce, w większości magowie z obręczami na szyjach. Rozstawili się pod ścianami.

– Miejcie na uwadze, że nie oczekuję od was, że udźwigniecie cały ciężar tego wysiłku. Przedsięwzięciem już pewne kroki, które powinny przynieść wam ulgę, jeśli chodzi o nakłady finansowe i dostarczanie żołnierzy. Proszę tylko o trochę... wyrozumiałości.

*Gdybym teraz zabił tego drania, myślał Ash, żaden z nich nie kiwnąłby palcem, żeby mnie powstrzymać. Ale potem wszyscy zwróciliby się przeciwko mnie i skazałoby mnie na śmierć, żeby nie tworzyć precedensu.*

Uznał, że musi jeszcze trochę poczekać. Odkąd poznał Jennę, wola przetrwania była w nim coraz silniejsza.

– A teraz – ciągnął Montaigne – muszę was prosić, byście pozostali w mieście do końca miesiąca. Do tego czasu powinienem mieć dla was dobre wieści. Możecie się rozejść... wszyscy oprócz lorda Matelona, który ma zostać, byśmy mogli przeprowadzić dochodzenie.

W tym momencie tan i jego eskorta byli już prawie przy drzwiach. Matelon obrócił się w stronę króla.

– Z całym szacunkiem, Wasza Królewska Mość, odmawiam. – W obu jego dłoniach nagle pojawiły się miecze, którymi podciął gardła stojącym najbliżej gawrońcom. Jego ludzie otoczyli go ciasnym

kręgiem i wyciągnęli miecze, kierując je na zewnątrz. W ten sposób przeszli między gwardzistami do wyjścia.

Bankiet dobiegł końca. Król szybkim krokiem opuścił salę otoczony przez strażników, a Ash udał się wraz z królową do jej apartamentów.

To, czego się dowiedział, zmroziło mu krew w żyłach. Upadek Delphi i wojna domowa w Ardenie mogły być korzystne dla Felis, ale jemu poważnie komplikowały zadanie. W tej sytuacji dotarcie do króla będzie jeszcze trudniejsze. Poza tym chaos w królestwie na ogół nie poprawiał sytuacji więźniów. Na domiar złego bunt tanów mógł sprawić, że król będzie bardziej skłonny zawrzeć układ z cesarzową Kartezji.

## EMISARIUSZ



Kiedy Ash przybył do Małej Sali na spotkanie ze Strangwardem, było tam już tłoczno. Królewski zarządca Pettyman, nowy sewer Jerome i o wiele za dużo gawrońców – wszyscy czekali już na swoich miejscach.

Sala była mniejszą, bardziej kameralną wersją sali tronowej i przylegała do prywatnych komnat króla. Montaigne miał nawet coś w rodzaju tronu – ozdobne krzesło na podwyższeniu, z którego spoglądał na wszystkich z góry.

Pettyman potrafił idealnie łączyć politykę z gościnnością. Kominek i drzwi udekorował ozdobami z Przesilenia, a na kredensie umieścił drobne przekąski i napoje. Jerome próbował każdej z potraw pod baczny nadzorem Fleury’ego i Marka DeJardin.

Tracili czas. Ash dobrze wiedział, że król i tak niczego nie tknie. Montaigne zawsze był paranoikiem, ale po nieudanych zamachach jego strach jeszcze się nasilił. Co wieczór przed zamknięciem sypialni na klucz nakazywał swojemu osobistemu strażnikowi przeszukać wszystkie kąty. Nie brał do ust niczego, co nie zostało wypróbowane

przez sewera, i to wielokrotnie. Stale narzekał na bóle głowy, drgawki i wysypki, ale odmawiał oferowanej przez Asha pomocy.

Czy te objawy mogły być sygnałem, że plan Asha działa? Tego nie dało się stwierdzić. Chłopak był ciekaw, czy król stosuje „białą magię”, ale nie chciał swoimi pytaniami wzbudzać zainteresowania żywym srebrem.

W ostatnich dniach Ash i Jerome spędzali ze sobą dużo czasu. Obowiązki Asha były bardzo podobne do funkcji królewskiego sewera, tyle że on nie badał żywności, lecz miał za zadanie szukać magicznych zagrożeń, oceniać gości i być gotowym do interwencji w razie nagłej choroby czy kolejnego zamachu.

Ash z radością pozwoliłby każdemu asasynowi zrobić swoje, ale jak dotąd nikt nie podjął takiej próby. Przybycie emisariusza oznaczało, że czasu było coraz mniej – w każdym razie dla Jenny. Oto bowiem miało się odbyć spotkanie z delegacją Kartezji, na którym obcy jej ludzie mieli zdecydować o losie dziewczyny niczym handlarze na targu niewolników.

Zaczerpnął tchu, z rozmysłem rozprostował palce, rozluźnił mięśnie i oparł się o ścianę, jakby ta sprawa go nie dotyczyła. Nie przetrwałby tak długo, gdyby był głupi.

Oczywiście, na targu niewolników nie mogło zabraknąć Lili i Destina Karna. Przyszli razem. Na ich widok Ash sięgnął ręką do obręczy na szyi. Od dnia, w którym dostarczyli Montaigne’owi skrzynie czaromiotów, przestał mieć jakiegokolwiek złudzenia co do Lili. Była gotowa pojechać wszędzie i zrobić wszystko, byle tylko trochę zarobić. Jeśli myślała, że zawiezie go do Felis i odbierze nagrodę, to czekało ją rozczarowanie.



Teraz, kiedy Lila i Karn uchodzili za specjalistów od magicznych artefaktów, wezwano ich, by wyrazili opinię na temat „broni”, którą przywiózł komandor Strangward.

Może król po prostu potrzebował kogoś u swego boku. General Karn przebywał w terenie, gdzie przegrupowywał siły, spodziewając się możliwego ataku Arschela Matelona i jego zwolenników. Matelon był w drodze do fortecy w Białych Dębach i zwoływał swoich wasali, by szykowali się do walki.

*Ciekawe, czy moja mama zdaje sobie sprawę z konsekwencji zajęcia Delphi*, zastanawiał się Ash. Wyglądało na to, że od dawna to planowała.

Miał wrażenie, że więcej dowiaduje się o swojej matce, będąc daleko, niż kiedy był w domu.

Podczas gdy młodszy Karn uzgadniał coś z gawrońcami, Lila podeszła do Asha.

– Nie masz ochoty? – zapytała, ruchem głowy wskazując stół z przekąskami otoczony przez gawrońców.

– Dopiero co jadłem. I nie lubię śledzi.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie, nie wiem. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale częstuj się, jeśli jesteś głodna. Król nawet tego nie tknie.

Najwyraźniej Lila też nie była głodna, bo nie zaryzykowała.

Zaraz potem zjawił się król w towarzystwie Botetorta. Montaigne był elegancko ubrany w czerń i srebro, ale nie wyglądał najlepiej. Skórę na policzkach miał spierzchniętą i bezwiednie drapał się po przedramionach, jakby go coś swędziało. Ręce mu drżały, aż w końcu je złączył i położył na kolanach.

Ash ugiął przed królem kolano, po czym podniósł się i przyjrzał jego twarzy.

– Dobrze się czujecie, Wasza Królewska Mość?

– Znakomicie – burknął Montaigne. – Sprawdziłeś salę?

– Tak, nie znalazłem nic podejrzanego – odparł Ash.

W drzwiach zjawił się szambelan Greenberry.

– Przybył pryncypus ojciec Fosnaught z delegacją z Wysp Północnych – obwieścił. – Czy mam wprowadzić?

– Oczywiście – rzekł król. – Miejmy to już za sobą.

Pierwszy przekroczył próg potężny, barczysty, wielki jak góra męczyzna. Jego włosy koloru ciemnego miodu były splecione w warkoczyki i poskręcane w loki. Miał na sobie luźną lnianą koszulę wsuniętą do spodni, pas i szarfę przewieszoną przez ramię. Na przedramionach i szyi nosił wielki majątek – złote bransolety i łańcuchy z wisiorami. Jego ramiona okrywała jasna peleryna, mieniąca się barwami w blasku pochodni. Nie było widać broni – wszystkim odebrano ją na zewnątrz.

*Ciekawe, czy cesarzowa jest tak samo imponująca jak jej emisariusz,* zastanawiał się Ash.

Było ich sześcioro i nikt z nich nie miał na sobie niczego takiego, co można by nazwać mundurem. Ich stroje miały różne kolory, ale wszystkie przypominały ubiór emisariusza – były tak samo wygodne i o podobnym charakterze. Ubrania kobiet i mężczyzn nie różniły się od siebie i wszyscy wyglądali na żeglarzy. Jediną wspólną cechą ich wyglądu były tatuaże fał na rękach. Ash domyślił się, że to musi być znak cesarzowej. Większość z nich miała jasną skórę, choć ogorzałą od długiego przebywania na słońcu, a włosy w odcieniach od białego lnu przez jedwabistą kukurydzę po jasny brąz.

Wszyscy mężczyźni byli gładko ogoleni. Kilku z nich miało długie włosy splecione w grube warkocze po bokach, a pozostali nosili krótkie fryzury. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni mieli na sobie więcej ozdób, niż nakazywała moda w Ardenie. Na ogół były to kolczyki, u niektórych bransolety, a u kilku także nad wyraz ozdobne pasy.

Co to byli za ludzie? Ash przyglądał się im uważnie, szukając jakichś wskazówek. Opinia Fosnaughta, że są to mieszkańcy dzikich krain albo piraci, wydawała się trafna. Nie wyglądało to obiecująco. Piraci z Kartezji mieli reputację okrutników. Ash bał się, że odpłyną z Jenną, jeżeli on nie znajdzie sposobu, by temu zapobiec.

Kiedy ta grupa zatrzymała się przed królem, Fosnaught chrząknął gotów ich przedstawić, lecz ten, który szedł na czele delegacji, wydawał się zupełnie nieświadomy zasad protokołu. Zrobił krok naprzód i powiedział w mowie powszechnej:

– Jestem Teza Von bin Miralla, zaprzysiężony strażnik Tarvos. Przedstawiam lorda Evana Strangwarda, emisariusza cesarzowej Celestyny, władczyni Wysp Północnych, Pustynnego Wybrzeża, Kartezji, Endru i Anamaya oraz Prawdziwego Źródła Tarvos. – Odsunął się na bok i wskazał młodzieńca, który do tej pory stał wraz z pozostałymi.

– To jest emisariusz? – mruknęła Lila, jakby ta postać nie wywarła na niej wrażenia.

– Nie lekceważ go – stwierdził Ash, mrużąc oczy. – Oni wszyscy są jakimiś czarownikami, ale domyślam się, że ten jest najpotężniejszy.

Choć Kartezjańczycy najwyraźniej byli obdarzeni mocą, ich aury różniły się od tych, do których Ash był przyzwyczajony. Czarowników z zachodu otaczała chłodna błękitno-biała mgielka. Aura Strangwarda była podobna. Rozświetlał całe pomieszczenie jasnym białym

blaskiem. Jak tylko chwycił za amulet, a robił to często, jego blask przygasał. Pozostali delegaci mieli aury w kolorze bladej czerwieni, jak żarzące się węgle.

*Czy to różne rodzaje mocy? – zastanawiał się Ash. A może Strangward po prostu jest potężniejszy niż reszta?*

Emisariusz nie dorównywał Ashowi wzrostem, ale wyglądał na zbliżonego wiekiem. Był raczej sprężysty niż umięśniony, szczuplejszej niż Ash budowy. Ubrany w luźną lnianą koszulę i dopasowaną skórzaną kamizelkę zapiętą pod szyję. Szerokie bryczesy miał wetknięte do miękkich butów sięgających kolan. Przymocowany do pasa w talii pokrowiec na miecz był pusty. Nosił mniej ozdób niż pozostali – tylko kolczyk w jednym uchu i amulet, dumnie wyeksponowany na wierzchu. Jedynie temu, że w przeszłości miał złamany nos, i to nie raz, zawdzięczał, że jego uroda nie była idealna: miał lśniące jasne włosy, zielone oczy o dzikim spojrzeniu i delikatne rysy.

– Założę się, że dziewczyny wpatrują się w niego jak w obrazek – mruknęła Lila.

*Założę się, że nie tylko się wpatrują,* dodał Ash w myślach.

Ash nigdy nie był na Wyspach Północnych, a jednak w głosie i ryśach tego emisariusza wyczuwał coś znajomego. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie znał jakiegoś czarownika, który mógł mieć związki z tamtą krainą.

Montaigne przyglądał się posłańcowi z lekkim rozbawieniem, może z powodu młodego wieku Strangwarda, a może jego ubioru.

Fosnaught kontynuował ceremonię prezentacji.

– Jego Królewska Mość Gerard Montaigne, z łaski Stworzyciela król Ardeny i Tamronu oraz władca Nowego Imperium Siedmiu Królestw.

– Wasza Królewska Mość. – Strangward pochylił głowę na tyle nisko, by okazać uprzejmość, lecz prawdopodobnie nie tak nisko, jak wymagał tego protokół. – To dla mnie zaszczyt w końcu was poznać. Od dawna pragniemy nawiązać stosunki z Ardenem i pozostałymi z Siedmiu Królestw. To takie piękne zielone miejsce. – W jego głosie Ash wyczuł pożądlivość, od której aż zjeżyły mu się włoski na karku.

Emisariusz sprawnie posługiwał się mową powszechną, choć mówił z akcentem, którego Ash nie znał. Nie miał jak go poznać, bo przecież nigdy nie spotkał nikogo z Wysp Północnych.

– Witamy w Ardenie, lordzie Strangward – powiedział Montaigne.  
– Ufam, że pogoda wam sprzyjała podczas podróży.

– Tak – odparł Strangward, lekko wyginając usta, jakby usłyszał żart zrozumiały w wąskim gronie. – Pogoda prawie zawsze mi sprzyja.

Fosnaught wskazał ręką pozostałych obecnych w sali.

– Lord Botetort, marszałek Rady Tanów, i porucznik Destin Karn, członek Gwardii Królewskiej.

Strangward przerzucał wzrok na kolejne wymieniane osoby. Potem zwrócił się w stronę Lili i Asha, którzy stali z boku.

– Pominęliście tych dwoje – powiedział.

– To są... yyy... – Widać było, że Fosnaught nie ma pojęcia, jak wyjaśnić ich rolę w tym spotkaniu.

Z pomocą przyszedł mu Destin Karn.

– To Lila Barrowhill, specjalistka od broni i zaopatrzenia. Adam Freeman należy do naszej Królewskiej Gildii Uzdrowicieli.

– Przewidujecie, że będziemy potrzebować uzdrowiciela? – zapytał emisariusz, rozglądając się, jakby poszukiwał osób wymagających pomocy. – Czy zawsze macie uzdrowiciela pod ręką?

– Freeman jest tu po to, żeby odpowiedzieć na wszelkie pytania co do stanu zdrowia dziewczyny – oznajmił Karn.

Emisariusz przechylił głowę i przyjrzał się porucznikowi.

– Jesteście magiem – stwierdził. – Mam rację?

Karn z jakiegoś powodu niezwykle się spłoszył. Spojrzał na króla, szukając u niego wskazówek, a kiedy nie znalazł tam pomocy, rzekł:

– Tak, lordzie Strangward, macie rację.

– Wy też – zwrócił się Strangward do Asha. – To ciekawe – obrócił się plecami do Montaigne’a. – Nie spodziewałem się ujrzeć magów tak dobrze traktowanych na królewskim dworze. Słyszałem, że w Ardenie pali się obdarzonych mocą na stosach. Co za ulga widzieć, że wprowadzono mnie w błąd.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Ash przygryzł wargę, żeby jego twarz nie zdradziła rozbawienia.

W końcu ojciec Fosnaught chrząknął.

– Jesteśmy ludźmi wiary, lordzie Strangward, i rozumiemy, jak groźne są siły zła. W pewnych sytuacjach, kiedy magowie naruszają fundamenty naszej wiary, zostają sprawdzeni przez specjalną grupę o nazwie Dłoń. Jeśli okaże się, że są zdeprawowani, zostają oczyszczeni ogniem.

– Oczyszczeni? – Strangward uniósł brew.

– Oczyszczeni – powtórzył Fosnaught. Strangward nie odrywał od niego wzroku, jakby nie rozumiał tego, co usłyszał, kapłan więc dorzucił: – Wypalamy z nich złe moce.

– I potem są martwi?

– Ale oczyszczeni. I przez to zbawieni.

– Fascynujące. – Strangward pocierał podbródek.

Fosnaught grzebał przy kluczach przypiętych do pasa.

– Jaką religię wyznajecie na Wyspach Północnych, jeśli mogę spytać?

– Na Wschodzie religią jest cesarzowa – odparł Strangward. – Nie dzieli z nikim swojej mocy, nawet z bogami. – Obrócił się znów w stronę Asha. – Dlaczego wy... i ci strażnicy... nosicie metalowe obręcze? To oznacza pozycję w hierarchii czy to taka ozdoba, czy należycie do plemienia, które...?

– Dość! – ryknął Montaigne, którego cierpliwość najwyraźniej się wyczerpała. – Jeśli sobie życzycie, wyznaczmy jednego z kapłanów, żeby was zapoznał z naszymi obyczajami – powiedział z irytacją. – Ja jednak nie mam wiele czasu i chciałbym przystąpić do tego, co jest głównym tematem naszego spotkania, a mianowicie do umowy pomiędzy cesarzową a nami. – Wskazał przygotowane krzesła. – Usiądźcie.

Emisariusz usiadł i wyciągnął przed siebie nogi, lecz jego kompani pozostali w pozycjach stojących.

– Wybaczcie – powiedział. – Tam, skąd pochodzę, często dopiero po kilku dniach wspólnego biesiadowania przystępujemy do omawiania interesów. Widzę, że wasze zwyczaje są inne i najwyraźniej znacznie bardziej... skuteczne.

Emisariusz przemawiał w sposób oficjalny i z dużą pokorą, a jednocześnie w każdym jego zdaniu kryła się celna i nieco zgryźliwa uwaga.

Fosnaught, Botetort i Karn również usiedli. Lila i Ash stali, a Montaigne pozostał na podwyższeniu, z gawrońcami po obu stronach.

– Doceniam, że znaleźliście czas, by mnie przyjąć w tym zapewne trudnym okresie, zważywszy na wydarzenia na Północy – zaczął Strangward.

Montaigne zmrużył oczy.

– Jakie wydarzenia?

– Utrata Delphi musiała być dla was ciosem, biorąc pod uwagę znaczenie tego miasta jako źródła żelaza i stali.

– Jak widać, wieści rozchodzą się szybko – stwierdził Montaigne, udając, że wygładza sobie mankiety.

– Zwłaszcza złe wieści. Niestety, tak to już jest.

*Przygotowuje sobie grunt pod lepsze warunki umowy, ocenił Ash w myślach z mimowolnym podziwem. Daje do zrozumienia, że król potrzebuje jego pomocy.*

– Zimowa kampania do Delphi to prawdziwy koszmar – zauważył Botetort. – Załatwimy się z buntownikami, kiedy się ociepli.

– Oczywiście – Strangward przytaknął uprzejmie. – Niestety, jak się wydaje, mieszkańcom Północy zima nie przeszkadza – westchnął. – Felis sprawia tyle kłopotów. – Te słowa zostały wypowiedziane lekko, ale towarzyszący im uśmiech był niczym żądło.

– Jeśli nawet królowa wiedźma zdobyła Delphi – rzekł Montaigne – to i tak nie utrzyma go długo. Wojna to bezustanne posuwanie się naprzód i wycofywanie się.

– Racja – stwierdził Strangward. – Pod tym względem wojna przypomina prawdziwą miłość. Pukacie do bram tej królowej już od bardzo dawna, ale ona nie chce was wpuścić.

*Na krew i kości, pomyślał Ash. Strangward wie, że moja matka odrzuciła oświadczyiny Montaigne'a ćwierć wieku temu. Jest przygotowany i nie waha się skoczyć do gardła. Zadzieranie z królem Ardeny to niebezpieczna gra.*

Z drugiej strony Strangward też mógł się okazać groźny. Pod tą łagodną, bezpretensjonalną powierzchownością coś się kryło, jakaś pierwotna moc, która ujawniała się niczym wąż pływający po spokoj-



nym stawie. Strangward był pewny siebie, jak gdyby wiedział, że mimo niewinnego wyglądu jest najgroźniejszym drapieżcą w tej sali.

*Co to oznacza dla Jenny? – zastanawiał się Ash. Jeżeli taki jest posłaniec, to jaka jest cesarzowa?*

– Do czego zmierzacie? – Głos Montaigne’a przeszył powietrze chłodem niczym lodowe igły.

– Zmierzam do tego, że możemy wam pomóc... przybliżyć się do celu.

– Rozmawialiśmy o dostarczeniu armii – rzekł król. – Choć wasza straż osobista jest bez wątpienia dobrze wyszkolona, to jednak sześcioro żołnierzy raczej nam nie wystarczy.

– Cesarzowa obawiała się, że nagle pojawienie się obcej armii może zostać źle odebrane w sytuacji, gdy nie zawarliśmy porozumienia – wyjaśnił Strangward. – Celestyna chce zobaczyć magicznie naznaczoną dziewczynę, zanim podejmie takie zobowiązanie. Jeżeli to ta, której cesarzowa szuka, to możecie być pewni, że armia przybędzie. – Nachylił się. – A więc... mówicie o niej „dziewczyna”. Ile ma lat?

– Jakieś szesnaście albo siedemnaście – odpowiedział mu Karn.

– Aha. – Twarz posłańca pozostawała nieodgadniona. – Czy jest obdarzona mocą?

Karn potrząsnął głową.

– Nie. W każdym razie... nie w typowy sposób.

– To znaczy?

– Nie jest magiem. – Zorientowawszy się, że powinien powiedzieć coś więcej, dodał: – Ale możliwe, że ma inne zdolności, które jeszcze... się nie ujawniły.

Ash zmarszczył czoło. Karn zachowywał się dziwnie. Na jego twarzy perlił się pot, nerwowo sięgał do amuletu i przerzucał wzrok z króla

na emisariusza, jakby nie był pewien, do kogo ma się zwracać.

Król poruszył się niespokojnie. Widać było, że nieporadne tłumaczenia Karna działają mu na nerwy. Odezwał się zniecierpliwiony:

– Zważywszy, że to cesarzowa zwróciła się do nas z prośbą o znalezienie tej dziewczki z piętnem demona, to chyba wy powinniście powiedzieć nam, na czym polega jej wartość.

Evan Strangward oparł się wygodnie na krześle i połączył ze sobą opuszki palców.

– Cesarzowa nie informuje mnie o motywach swoich działań. Jest jednakże swego rodzaju kolekcjonerką, z zamiłowaniem do tego, co tajemne i egzotyczne. – Zamilkł, przechylił głowę tak, że jego złoty kolczyk zamigotał. – Chyba to wszystko.

Ash bardzo się starał, by na jego twarzy nie pojawił się wyraz odrazy. Rozmawiali o Jennie, jakby była rzadkim dziełem sztuki, które chcieli umieścić na wystawie.

– Mam uwierzyć, że wasza cesarzowa jest skłonna zaoferować armię w zamian za karczmarkę z jakimś znamieniem? – zapytał Montaigne.

– Już niedługo spotkacie Celestynę osobiście – oświadczył Strangward, a w uszach Asha zabrzmiało to jak groźba. – Może wtedy uzyskacie odpowiedzi na wszystkie wasze pytania. A tymczasem, kiedy mogę zobaczyć dziewczynę?

– Czemu nie od razu? – odparł król. Skinął na szambelana. – Niech Fleury i DeJardin ją wprowadzą.

## PERTRAKTACJE



Dwie służące – Treece i Nettie – przyszły wcześniej, żeby przygotować Jennę na sprzedaż. Przyniosły szytą na miarę suknię z purpurowego jedwabiu, haftowaną srebrem i złotem. Dobrze, że pomogły jej ją włożyć, bo była tak samo niewygodna jak obcisłe spodnie. Na szczęście spódnica była na tyle szeroka, że dało się w niej chodzić.

– Ładnie wam w tym kolorze – zauważyła Treece.

– Złoto pasuje do waszych oczu, pani – dorzuciła Nettie.

Jenna nie protestowała. Siedziała odrętwiała, podczas gdy one układały jej włosy. Trwało to dość długo. Jenna domyślała się, że nie były to najlepsze pokojówki, ale dla niej się nadawały. Przez ostatnie cztery lata jej włosy zwykle były zakryte, więc Jenna nie znała się na fryzurach i nie miała żadnych wymagań w tym względzie. W końcu upięły jej włosy na czubku głowy jak księżniczce z bajki.

– Wyglądam jak tort na Przesilenie – stwierdziła z niezadowoleniem, kiedy skończyły.

– Ale... wszyscy lubią torty – odparła Treece.

Nettie nie rozumiała, dlaczego Jenna się nie cieszy z tak wytwornego stroju.

– Spójrzcie na to, pani – rozciągnęła naszyjnik z ametystów i pereł.  
– Piękny, prawda? – Kiedy zapinała go na szyi Jenny, z westchnieniem dotknęła palcami magicznego znaku. – To też jest piękne. Jak trwała brosza.

Jenna musiała przyznać, że można było i tak na to patrzeć.

Gdy uznały, że jest gotowa, grupa gawrońców ruszyła z nią po schodach. Jenna spodziewała się od razu spotkać z emisariuszem, ale oni zaprowadzili ją do maleńkiej komnaty na parterze, gdzie znajdowały się łóżko, miednica i lustro.

– To izba królewskiego kamerdynera – wyjaśnił DeJardin, zatrzymawszy się na chwilę w drzwiach. Był on najmilszym ze znanych jej gawrońców. – Zaraz obok są apartamenty króla. Przyjdziemy po ciebie, kiedy nadejdzie pora.

*Ciekawe, gdzie się podział kamerdyner*, pomyślała Jenna. W izbie nie było miejsca na jakikolwiek ruch, ucieszyła się więc, że zabrała ze sobą książkę. Otworzyła ją, lecz nie mogła się skupić. Nie wiedziała nawet, czego się obawiać, bo nie miała pojęcia, w jakim celu cesarzowa jej szuka.

*Zaklinaczu Ognia!*

Wzdrygnęła się i rozejrzała. W pomieszczeniu poza nią nikogo nie było.

*Głoduję w ciemnościach.*

– Gdzie jesteś? – szepnęła w pustą przestrzeń.

Nic.

*Zaklinaczu Ognia, pomóż mi!*

– Zamknij się – syknęła. To mogło być opóźnione działanie trucizny. Nie była pewna, czy nie zaczyna wariować.

Nagle drzwi do izby otworzyły się, aż Jenna podskoczyła. Na progu stali DeJardin i Fleury.

– Z kim rozmawiasz? – zapytał Fleury, rozglądając się.

– Z nikim.

Gwardzista skrzywił się, ale nie miał podstaw, żeby się spierać.

DeJardin pochylił głowę, jakby Jenna była prawdziwą damą, którą ma odeskortować na przyjęcie.

– Czas iść, moja pani. – Przysunął się do niej. – Odwagi.

Tak jak mówił, sala, w której na nią czekano, znajdowała się obok. Gdy tylko Jenna weszła do środka, jej zmysły natychmiast zostały zaatakowane ze wszystkich stron. Uderzył ją zapach żywności i roślin, potu i słonej wody. Serce jej zamarło, kiedy zauważyła opartego o ścianę Adama w zielonym kaftanie, z oczami niczym dwa wielkie sińce. Obok niego stała młoda kobieta w niebieskim fartuchu i ciemnej spódnicy. Jenna nigdy wcześniej jej nie widziała. Oprócz nich zwróciła uwagę na Destina Karna, jednego z kruków Malthusa, bogato odzianego tana oraz króla.

Król! Spojrzała ponownie. Był tam nadal. W miejscu królewskiej głowy zobaczyła wyszczerzoną czaszkę.

Jej serce ruszyło do galopu. Co to mogło znaczyć? Czy ujrzała ten obraz, ponieważ król tak często sprowadzał śmierć? A może to znaczyło, że Montaigne'owi nie pozostało wiele czasu na tym świecie? Z całej mocy pomodliła się w duchu o to drugie.

Zmusiła się do oderwania wzroku od monarchy i skierowała uwagę na pozostałe osoby w sali. Na wprost Ardeńczyków stało sześcioro cudzoziemców w egzotycznych strojach. Wszyscy oprócz jednego rozsiewali blask barwy nosa starego pijaczyny. Ten jeden zaś – jasno-

włosy mag o wyglądzie zadufanego w sobie – miał aurę błękitnobiałej barwy.

Karn położył jej na plecach spoconą dłoń i poprowadził ją przez salę.

– To jest Jenna Bandelow – powiedział. – Ta magicznie naznaczona dziewczyna.

Nie zadał sobie trudu, by przedstawić jej kogokolwiek, ale jasnowłosy mag podszedł do niej z uśmiechem i wyciągnął rękę, domyśliła się więc, że to on jest emisariuszem.

– Taka odległość wystarczy – odezwał się Adam, który nagle zjawił się między nimi. Jenna nawet nie zauważyła, jak się zbliżał.

Nieznajomy zatrzymał się na wyciągnięcie ręki od Jenny. Wyglądał na rozbawionego.

– Myślałem, że jesteście uzdrowicielem – zwrócił się do Adama. – Czyżbyście pełnili też funkcję przyzwoitki?

– Jestem królewskim doradcą do spraw magicznych zagrożeń – rzekł Adam.

– Stwarzacie je czy im zapobiegacie?

– I jedno, i drugie. Możecie patrzeć, ale nie dotykać.

– Aha. Dobrze jest znać... granice. – Wyminął Adama i stanął na wprost Jenny, o dwa kroki przed nią. – Patrzą, uzdrowicielu! – zawołał przez ramię. – Nie dotykam! – Ponownie zwrócił się ku Jennie.

– Jestem Evan Strangward, emisariusz Celestyny, cesarzowej Wschodu.

Jenna milczała. Stała, ściskając fałdy sukni po obu bokach. Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć, że miło jej go poznać, skoro nie było jej miło.

Strangward z powagą kiwnął głową, jakby przyjął jej powitanie.

– Podobno macie na szyi magiczny znak. Mogę go obejrzeć?

Poczuła się jak motyl na szpilce. Rozejrzała się po otaczających ją twarzach, spojrzała na pochmurnego Adama Wilka, na pocącego się Destina Karna, na uzbrojonych gawrońców, na egzotycznych Karte-zjan, na króla, tana i magów. Wszyscy oni wbijali w nią wzrok.

Dobrze pamiętała swoją rozmowę sprzed lat z nieszczęsnym Ri-leyem w drodze do kopalni. Powiedziała mu, że to znamię oznacza moc i przeznaczenie do wielkich rzeczy.

Teraz nie czuła żadnej mocy. Jak to się stało, że robotnica z kopalni z Delphi znalazła się w takim miejscu?

– Nie – powiedziała. Przelknęła ślinę, przywołując tę jedyną moc, jaką posiadała.

Król skinął niecierpliwie na swoich gawrońców, a kiedy oni ruszyli w jej stronę, emisariusz odezwał się:

– Proszę, Jenno.

To ją zaskoczyło. W zielonych oczach Strangwarda było coś... coś, co można było uznać za współczucie.

– Dobrze, skoro prosicie... – Obróciła się i pochyliła głowę, żeby mógł się dobrze przyjrzeć. Czuła na sobie jego uważne spojrzenie, słyszała, jak powoli z ulgą wypuszcza powietrze, jakby znalazł to, czego szukał. Nie była pewna, czy to dobrze, czy źle.

– Dziękuję – powiedział, odsuwając się o pół kroku. – Co wam powiedziano o tym znaku?

Stała twarzą do niego.

– Że przez niego będę ścigana i zostanę zabita.

Emisariusz zacisnął wargi.

– Coś jeszcze? – dopytywał.

– Nie.

– Macie na sobie jeszcze jakieś znaki?

– Kilka blizn, to wszystko. – Uniosła podbródek. – Czego cesarzowa ode mnie chce?

– Nie wiem – odparł Strangward.

Jenna obserwowała go, bezskutecznie próbując uzyskać jakiś obraz. Nie kłamał, ale...

– Wy się jej boicie, prawda? – zauważyła.

– Każdy, kto nie boi się cesarzowej Celestyny, jest głupcem – odpowiedział Strangward i zwrócił się do króla. – Chciałbym porozmawiać z dziewczyną w cztery oczy.

Jenna nie miała odwagi spojrzeć na Adama. Nawet z tej odległości czuła jego wściekłość.

– Będziecie mogli sobie rozmawiać po dokonaniu transakcji – oznajmił Montaigne. – O ile zawrzemy umowę. Jeszcze nie widzieliśmy tej broni, o której tyle słyszemy.

– Niech będzie – rzeki emisariusz. – Chodźmy ją obejrzyć. Kto idzie ze mną?

Dlaczego ta dziewczyna była dla nich taka ważna? Lila wciąż nie mogła tego zrozumieć. Owszem, jej lśniące włosy o wielu odcieniach i złote oczy przykuwały uwagę, ale nie była piękna w typowym rozumieniu tego słowa. Lila nie widziała dokładnie tego znamienia, lecz mogła przypuszczać, że ono nie polepszało sprawy. Nawet najmądrzejsze głowy wydawały się zbite z pantafelku. Wszyscy mówili, że jej zdolności były niezbyt imponujące i całkiem przypadkowe.

*Skąd więc u cesarzowej ta obsesja na jej punkcie?* – zastanawiała się Lila. Prawdą jest, że z błękitnokrwistymi nigdy nie wiadomo: by-



wają opętani najróżniejszymi maniami. A może to jakiś zbiorowy urok? Jeżeli tak, to Lila nie rozumiała, komu miałby służyć.

Uznała, że dowie się więcej, kiedy zobaczy broń cesarzowej. Znalazła się wśród wybranych trzech osób, które weszły na pokład szalupy i płynęły na główny statek. Tymi wybrańcami byli oprócz niej Destin Karn i Botetort. Ash nie został zaproszony, a Lila domyślała się, że bardzo by tego chciał. Ta dziewczyna, Jenna, wróciła do swojej celi.

Król Ardeny oczywiście pozostał na brzegu w otoczeniu strażników. *Widać założył, że nas łatwo będzie zastąpić*, pomyślała Lila.

Strangward odcumował łódź i wskoczył na pokład, podczas gdy ten postawny mężczyzna, Teza Von, rozwinął żagiel. Sprawnie ze sobą współpracowali, jakby robili to już tysiąc razy. Była to najdziwniejsza delegacja dyplomatyczna, jaką zdarzyło się Lili kiedykolwiek widzieć.

Emisariusz dotknął swego amuletu, żagle się wydeły i łódź ruszyła w kierunku przeciwnym niż ten, z którego przybyła.

Destin cały czas był wyraźnie spięty. W końcu znalazł miejsce na ławce i siedział tam, nerwowo potrząsając kolanem i ściskając czaromiot w dłoni. Co się z nim dzieje? – myślała Lila.

Botetort stanął przy burcie i wpatrywał się w fale. Nie wykazywał chęci rozmowy z piratem, więc Lila wypełniła tę lukę.

– Widać, że doświadczony z was żeglarz – powiedziała, spoglądając na napięty żagiel.

– Wychowałem się na statku – odparł Strangward. Zmrużył oczy, chroniąc je przed kroplami wody bryzgającymi zza burty.

– Ktoś taki zawsze może się przydać.

Strangward roześmiał się.

– Może niektórym. Innym nie bardzo.

– Czy to pierwszy raz, kiedy cesarzowa wyruszyła na poszukiwanie kogoś z magicznym znakiem? Czy może ma już całą kolekcję takich osób?

Strangward odwrócił wzrok.

– Nie. Nie ma kolekcji takich osób.

Lila miała wrażenie, że emisariusz bardzo ostrożnie dobierał słowa. Ale przecież był dyplomata.

Zbliżyli się do statku. Zwinęli żagiel i Von chwycił linę, którą zrzucono im z góry. Zaraz potem o burtę zastukały żelazne szczeble drabiny.

Wiatr w tym miejscu był silniejszy niż przy brzegu i wspinaczka z poziomu wody na dolny pokład wydawała się przerażająca. Szczególnie Botetort odetchnął z ulgą, postawiwszy stopę na statku.

– Tędy. – Von i Strangward prowadzili ich na rufę, a Lila starała się jak najlepiej zapamiętać rozkład statku.

– Ile trzeba osób, żeby tym żeglować? – zapytała.

– Z dobrą załogą wystarczy sześć czy osiem – odpowiedział Von. – Gdyby ktoś chciał jeszcze artylerzystów, oddział abordażowy i obsługę kambuza, to więcej. O, jesteśmy na miejscu.

Dotarli do śródkręcia. Von i Strangward zlurowali zasuwę i otworzyli właz. Strangward zajrzał w głąb.

– Jest na dole – powiedział. Chwycił lampę i przerzucił przez krawędź drabinkę sznurkową. Lila usłyszała odgłos uderzenia w dno.

Gdy emisariusz zaczął przekładać nogę, Von chwycił go za rękę.

– Mój panie – powiedział zaniepokojonym głosem. – Proszę, pozwólcie mi zejść.

– Nie ma mowy – odrzekł Strangward. – Jeszcze utkniesz w przejściu. – Gdy Von nie chciał go puścić, dodał: – Puść, Von. Nic mi się

nie stanie.

Von puścił i emisariusz zniknął pod pokładem.

– Idziecie? – krzyknął z dołu.

Spojrzeli po sobie. Nikt nie miał ochoty schodzić jako pierwszy. Lila pochyliła się i zajrzała do ładowni.

Emisariusz stał z podniesioną głową podparty pod boki. Postawił lampę na stole, tak że oświetlała całe wnętrze. Obok niego na podłodze leżał smok.

– Na krew męczenników – westchnęła Lila. Przerzuciła nogę przez krawędź, obróciła się, chwyciła za drabinkę i zaczęła schodzić.

– To jest ta broń, którą obiecaliśmy waszemu królowi – oświadczył Strangward, gdy Lila stanęła obok niego. – Najpotężniejszy drapieżnik naturalnego świata.

Był mniejszy, niż można by przypuszczać, opancerzony łuskami z drogocennych kamieni, które błyszczały w blasku lampy. Jego oczy lśniły mocno po obu stronach pyska – te oczy wyglądały znajomo, niemal ludzko. Miał niewielkie rogi na głowie i groźne pazury na wszystkich czterech łapach. Jedno skrzydło ciasno przylegało do jego boku, a drugie było oklapnięte jak namiot z połamanymi masztami. Wydawało się rozdarte w kilku miejscach.

Lila przyglądała się temu stworzeniu z mieszaniną fascynacji i strachu. Cały jego grzbiet aż po koniec ogona usiany był ostrymi jak brzytwa kolcami. Stwór owinał się ogonem, który zajmował większość podłogi. Z jego nozdrzy wydobywały się smużki płomieni. Szyję ścisnęła ciężka obręcz z wrytymi runami, połączona z grubym łańcuchem przykutym do ściany statku.

Smok spojrzał na Lilę z zainteresowaniem, lecz zaraz opuścił głowę i położył ją na łapach.

Wszystkie powierzchnie ładowni były pokryte płytami glinianymi i ceramicznymi, tu i ówdzie poczerniałymi jak wewnątrz źle działającego pieca. W jednym rogu leżała sterta na wpół zjedzonych królików, wokół unosiła się woń rumu i nadpsutego mięsa.

Następny zszedł na dół Botetort, a zaraz za nim Destin. Na widok smoka tan natychmiast się cofnął i sięgnął ku rękojeści miecza.

– Czy... czy to jest to, co myślę?

– To zależy od tego, co myślicie – odpowiedział Strangward.

Lilii coraz bardziej podobał się sposób bycia tego emisariusza. Czy ta sympatia się utrzyma, to dopiero miało się okazać.

Destin wpatrywał się w smoka z niedowierzaniem.

– To... to kartezyjański smok słońca – powiedział, patrząc na Strangwarda. – Mam rację?

Emisariusz przytaknął.

– Ale... myślałem, że smoki nie istnieją – wtrącił Botetort.

Strangward przeniósł wzrok ze smoka na Botetorta.

– Zapewniam was, że ten smok jak najbardziej istnieje. Dotknijcie go, jeśli chcecie.

Botetort się nie ruszył.

– Ale tu śmierdzi – zauważył. – Jak z nocnika w zamtuzie. Czy smoki zawsze tak cuchną?

– Staliśmy na kotwicy bokiem do prądów i chyba dostał choroby morskiej – stwierdził Strangward. – Odkąd wyruszyliśmy, siedzi tu w zamknięciu.

Botetort trącił stopą balię z jakąś cieczą.

– To pachnie jak rum. Czy on to pije?

– Rum go uspokaja. I chyba mu smakuje.

– Zapewne to rozpala mu wnętrzności – powiedział Botetort. – Czy smoki naprawdę zieją ogniem, tak jak to mówią legendy?

Strangward próbował ruchem dłoni wyrazić brak całkowitego przekonania.

– Czasami.

Lila kucnęła przed smokiem. Oczy miał zamglone, oddech przyspieszony.

– Nie radzę podchodzić za blisko – ostrzegł ją Strangward natychmiast.

– Nie jest tresowany?

– Jest jeszcze za młody na tresurę. Ale jak się je zacznie tresować, bardzo szybko się uczą.

Lila przeniosła wzrok ze smoka na Strangwarda. Zauważyła, że emisariusz jest bardziej niespokojny, niż to okazuje. Jakby nie był pewien, czego może się po tym smoku spodziewać. Czy dlatego, że stwór jest taki młody i nietresowany? A może one zawsze są tak nieprzewidywalne?

– W jakim jest wieku? – zapytał Destin.

– Mniej więcej pół roku do roku. Nie wiem na pewno, bo urodził się na wolności. Ale one szybko rosną. Prawie podwoił swoją wielkość, odkąd wypłynęliśmy. Musieliśmy przywieźć młodego. Nie dałoby się przetransportować dorosłego smoka.

– Czemu? Do jakich rozmiarów dorastają?

– Dwa razy takie jak długość tego statku.

– Naprawdę? Aż tak rosną? – Oczy Botetorta zaślniły.

*Niedługo ten smok będzie za duży, żeby się przedostać przez właz,* pomyślała Lila. *Nawet teraz ten otwór byłby ciasny.*

– Czy to on czy ona? – zapytała.

– Nie wiem – przyznał Strangward. – Smoki są jak niektórzy ludzie... trudno to stwierdzić bez dokładniejszych oględzin.

– Jak długo jest zamknięty w tej ładowni? Nie potrzebuje świeżego powietrza? – odezwał się Destin.

– Ten statek jest z drewna, poruczniku. Pozwolilibyście smokowi poruszać się po drewnianym statku? – Strangward klepnął dłonią w obitą kaflami ścianę. – Jeśli nasza umowa dojdzie do skutku, będzie miał dużo miejsca do biegania tutaj, na tych równinnych i żyznych terenach.

– Nie bardzo sobie wyobrażam, jak można używać smoków do walki – odezwał się Botetort.

– Wyjaśnię wam na przykładzie – odparł Strangward. – Po pierwsze, walka z siłami Północy wymaga od was pokonania gór. Kolejny problem to odległość, jaką musicie pokonać, żeby dotrzeć do wroga. Dorosły smok może przelecieć ponad górami, zniszczyć miasto i wrócić do Ardencourt na kolację. Nie musielibyście już co roku wysyłać swoich żołnierzy na Północ.

Tan spoglądał niepewnie to na emisariusza, to na smoka.

– Widzieliście to na własne oczy?

– Tam, skąd pochodzę, na widok smoka każda armia od razu wzięłaby nogi za pas – powiedział Strangward. Obrócił się ku drabinie. – Mało tu miejsca. Skoro wszyscy już się przyjrzeni, możemy chyba kontynuować tę rozmowę na brzegu.

Wydostali się na pokład. Von odetchnął z ulgą, widząc Strangwarda wyłaniającego się z ładowni.

Po powrocie do pałacu zgromadzili się w sali audiencyjnej, by złożyć raport królowi. Lila zauważyła kręcącego się w pobliżu Asha. Gdy

usłyszał o smoku, przestał udawać obojętność i natychmiast się do nich zbliżył.

– Wykorzystywaliście je do działań zwiadowczych? – zapytał Montaigne Strangwarda.

– Widzą na duże odległości, także w ciemnościach, więc nawet młode nadawałyby się do takich zadań.

– Rozumieją rozkazy? – dociekał król. – Potrafią odróżnić wroga od sojusznika?

– Smoki to najinteligentniejsze stworzenia, jakie znam. Są o wiele mądrzejsze od większości znanych mi ludzi. – Uśmiechnął się szeroko. – Nie mam wątpliwości, że potrafią odróżnić swojego od wroga.

Lila pomyślała o obręczy na szyi smoka w ładowni. Przypominała nieco magiczne obręcze używane na Południu.

– Czy smoki można kontrolować za pomocą obręczy, tak jak magów?

– W przypadku smoków to raczej kwestia tresury – odparł Strangward.

Sposób, w jaki to mówił, przypominał Lilii zachowanie naganiacza na targu.

Możliwe, że i król to zauważył, bo skinął na Destina.

– Poruczniku, czy możecie sprawdzić prawdomówność emisariusza?

Destin obliznął wargi.

– Wasza Królewska Mość – powiedział. – Jako dyplomata komandor Strangward jest chroniony określonymi...

– Bez obaw, poruczniku – wtrącił Strangward. – Naprawdę, nie mam nic przeciwko. – Z uśmiechem wyciągnął ręce w kierunku maga.

Destin westchnął głęboko i chwycił dłonie posłańca. Spojrzał mu w oczy.

– Komandorze Strangward, czy mówicie prawdę?

– Zawsze, poruczniku Karn – oświadczył emisariusz. – Albo przynajmniej kiedy tylko mogę.

– Czy macie złe intencje wobec króla bądź imperium?

– Nie.

– Czy ten smok jest tak potężny, jak twierdzicie? – zapytał Destin cicho.

– Jeżeli z czymś przesadziłem, to raczej umniejszyłem jego możliwości.

– Czy one mogą przenosić żołnierzy? Albo zapasy? – odezwał się Botetort.

– Nie widziałem takich przypadków – odparł Strangward – ale na pewno mają dość sił. Podejrzewam, że potrzebna byłaby jakaś uprząż. Albo siodło.

Botetort zwrócił się do Lilii.

– Dacie radę dostarczyć coś odpowiedniego? Może wyrób klanowy? Coś, co pozwalałoby łączyć kontrolę nad obrozą z zaletami siodła?

– Mogę... się tym zająć – odparła Lila niechętnie. – Ale ponieważ moi dostawcy nie mają doświadczenia ze smokami, to chyba opracowanie czegoś takiego zajmie im trochę czasu.

Destin zwrócił się do króla.

– Czy mam jeszcze o coś zapytać, Wasza Królewska Mość?

– Nie, poruczniku, to mi wystarczy.

Karn przytrzymał dłonie emisariusza jeszcze przez moment, a potem puścił je i zrobił krok w tył.



Lila jednak nie skończyła. Zaczerpnęła tchu, wiedząc, że musi działać bardzo delikatnie.

– Martwię się o stan zdrowia tego smoka – powiedziała. – Wydawał się... ospały.

Kątem oka zauważyła, że Ash się wyprężył.

– Smoki dużo jedzą, a potem długo śpią – odparł Strangward. – Ten, któregoście widzieli, pożywił się świeżą zwierzyną przed samym wypłynięciem. Z czasem będzie nabierał energii.

– Czym one się żywią? – zapytała Lila.

– To mięsożercy, więc jedzą niemal wszystko, co jest na tyle duże, by przyciągnąć ich uwagę.

– Ludzi też? – naciskała.

– Owszem, zjadają także ludzi – przyznał Strangward.

– Bylibyście w stanie dostarczyć nam więcej smoków, gdybyśmy ich potrzebowali? – zapytał Botetort.

– Wiem, gdzie znaleźć wielkie ich stada. Więcej, niż kiedykolwiek będziecie potrzebować.

Wszyscy wokół kiwali głowami z aprobatą. Lila jednak miała wrażenie, że to wygląda zbyt pięknie. Strangward musiał wyczuć jej wątpliwości, bo przystąpił do szybkiego zakończenia rozmów.

– Oto więc moja propozycja. Zostawimy wam smoka i zabierzemy dziewczynę na Wyspy Północne. Jeśli cesarzowa uzna, że to ta dziewczyna, której poszukuje, nasze wojska przybędą do was przed rozpoczęciem kampanii wojennej. Jeżeli smok okaże się dla was użyteczny, możemy uzgodnić dostawę większej ich liczby.

Montaigne pokręcił głową.

– Przykro mi. Te warunki są nie do zaakceptowania.

Strangward znieruchomiał.

– Jak to nie do zaakceptowania? Pod jakim względem, Wasza Królewska Mość?

– Obiecano nam wojska w zamian za dziewczynę – rzekł Montaigne – i nie przekazemy jej wam, póki armia nie przybędzie. Daliśmy wam okazję obejrzenia dziewczyny i sprawdzenia, czy to ta, której szukacie. Jeśli uważacie, że tak, poinformujcie cesarzową i wróćcie z armią, a wtedy dokonamy wymiany. Jeżeli chcecie zapoczątkować handel smokami, to proponuję pozostawić tutaj tego jednego, żebyśmy mogli ocenić jego przydatność.

Strangward długo przyglądał się królowi. Gdy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał ostro:

– Czyli smok i diamenty pozostaną u was, a my mamy wrócić z pustymi rękami? To nie wydaje się uczciwe.

– W takim razie dowiedzieliście się czegoś... co już dawno powinniście wiedzieć – odparł Montaigne. – Że życie nie jest uczciwe.

– Będę o tym pamiętał, Wasza Królewska Mość – oświadczył emisariusz przez zaciśnięte zęby. – Jestem przekonany, że ta lekcja okaże się bardzo przydatna w moich kolejnych poczynaniach. Nie interesuje mnie handel smokami. Poinformuję cesarzową Celestynę o waszych żądaniach i zobaczymy, co ona postanowi. – Lekko skłonił głowę. – Panowie. I pani. Dziękuję za poświęcony mi czas.

Po tych słowach delegacja od Cesarzowej Wschodu opuściła salę, nie zważając na wymagania protokołu.

– Arogancki dzikus – powiedział Montaigne.

Lila spojrzała na Asha. Miał zamknięte oczy, na twarzy wyraz ulgi. *Czy ulgę przyniosło mu to, że Arden nie będzie miał smoka do dyspozycji? – zastanawiała się. Czy smok nie byłby lepszy od armii? A może Ash po prostu ucieszył się z odwleczenia tej transakcji?*

– Wasza Królewska Mość, dziewczyna za smoka? – zaprotestował Botetort. – Wydaje mi się, że taka umowa nie jest dla nas ryzykowna. W imperium pełno jest dziewczek, za to smok może polecieć do Fellsmarchu i do szczętu spalić tę wilczą wiedźmę. – Botetort wyraźnie wyobrażał już sobie własną bohaterską rolę w takim rozwoju wydarzeń.

– Sprawdzalem tę dziewczynę – odezwał się Destin – i nie wykryłem żadnych cech, które by dorównywały wartości...

– Dość! – Montaigne podniósł się rozwścieczony. – Podjąłem decyzję. Może nie widzimy w dziewczynie nic cennego, ale najwyraźniej cesarzowa coś widzi, i tylko to się liczy. Nie pozwolę się oszukać bandzie brudnych piratów. Kiedy cesarzowa wyśle mi wojska, porozmawiamy o interesach, nie wcześniej.

## SOJUSZNICY MIMO WOLI



Po wyjściu z królewskich apartamentów Ash udał się prosto do stajni. Mimo że oficjalnie był zatrudniony w infirmerii, czasami wykonywał prace stajenne, bo wysiłek fizyczny pozwalał mu rozładować emocje. W tej chwili czuł, że rozsadza go wściekłość i poczucie bezsilności.

Chwycił za widły i zaczął wygarniać brudną słomę z najbliższego boksu, nie zważając na to, gdzie ją rzuci. Wyczyścił w ten sposób kilka boksów, aż rozboleły go barki i ręce, a całe ciało oblał pot.

W tym czasie w jego głowie wrzało jak w błotnistym źródle. Czego mogła chcieć od Jenny cesarzowa odległego królestwa? Wszystkie możliwości wydawały się złe. Poza tym każde porozumienie Ardeny z królestwem znanym z potężnej magii było niekorzystne dla Felis.

– Myślałam, że już nie pracujesz w stajniach – odezwał się głos za jego plecami.

Nie musiał się obracać. Wiedział, że to Lila.

– Raz na jakiś czas mam ochotę przerzucić trochę końskiego łajna. Możesz mi pomóc, jeśli chcesz.

– Musimy porozmawiać.

– Nie. Ty chcesz rozmawiać. To różnica.

– To... ta umowa... nie może dojść do skutku.

– Może nie dojdzie – stwierdzi! Ash, wsuwając widły w brudną słomę. – Słyszałaś króla. Możliwe, że on i cesarzowa w ogóle się nie dogadają. Mnie to urządza.

– Myślę, że w końcu się dogadają. Chyba że coś temu przeszkodzi.

Ash wreszcie obrócił się twarzą do niej i oparł się na widłach.

– A czemu cię to trapi? Tak czy inaczej coś zarobisz. Uprząże dla smoków, ubrania dla jeźdźców, obroże dla magów z Kartezji... możliwości są nieograniczone.

– Ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba, to kolejna armia – zauważyła Lila. – I bez tego sytuacja jest nieciekawa.

– Nam? Nie wiem, po czyjej jesteś stronie, ale raczej nie mojej. Do czego, według ciebie, zostaną użyte te wszystkie obręcze, talizmany i amulety? – Ash mówił coraz głośniej. – Nie dam się wciągnąć w żaden twój spisek.

– Ćśś. – Lila rozejrzała się niespokojnie. – Chyba nie chcesz tego rozgłaszać na cały dziedziniec stajenny.

– Już i tak skończyliśmy. – Ash znowu chwycił za widły. – A teraz może zajmij się swoimi sprawami, a ja zajmę się swoimi. Tak się umawialiśmy, pamiętasz?

– Mylisz się co do mnie – oznajmiła Lila. – Nie byłam z tobą szczerą i właśnie dlatego musimy porozmawiać... gdzieś, gdzie nikt nas nie usłyszy.

Coś w sposobie, w jaki to powiedziała, przyciągnęło jego uwagę i każało mu się obrócić. Lila wyglądała na śmiertelnie poważną. Nagle miejsce wygadanego ochlaptusa i pozbawionego skrupułów obiboka zajął ktoś zupełnie inny.

– Dobrze – zgodził się Ash. – Chodźmy do siodłami. O tej porze nikogo tam nie będzie. Ale ostrzegam cię... lepiej, żeby nie okazało się to stratą czasu.

Tak jak się spodziewał, siodlarnia była pusta. Rolley zapewne jadł kolację, a było już zbyt ciemno, żeby ktokolwiek wybrał się na przejażdżkę. Ash zdjął lampę z kołka i usiadł na skrzyni z założonymi rękami, gotów na wysłuchanie tych rewelacji, którymi Lila chciała go uraczyć.

Lila usadowiła się na ławce pośrodku, przeczesła dłonią włosy i wyprostowała się.

– Po pierwsze, nie nazywam się Lila Barrowhill, tylko Lila Byrne. Moim ojcem jest Amon Byrne.

Te słowa prawie zwały go z nóg. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale na pewno nie tego. Amon Byrne był kapitanem gwardii królewskiej dynastii Szarych Wilków. To znaczy królowej Felis. Matki Asha.

– Zamknij usta, wyglądasz jak ryba wyrzucona na brzeg – dorzuciła tonem, w którym słychać było znaną mu Lilę.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Wiem, że Byrne jest wdowcem, ale nie przypominam sobie, żeby miał inne dzieci poza Simonem.

– Simon był najstarszy, potem mój brat Silva. Nasza mama umarła, kiedy mnie rodziła. Simon został z tatą, a ja i Silva zamieszkaliśmy z krewnymi mamy na Wyspach Południowych.

Gdy Ash się nad tym zastanowił, uznał, że to było możliwe. Żona kapitana Byrne'a pochodziła z Wysp Południowych, miała ciemną cerę i kręcone włosy. Lila odziedziczyła po niej te cechy, ale oczy miała

szare jak jej ojciec. Ash domyślał się, że była mieszanej krwi, lecz nigdy nie przyszłoby mu do głowy, kim konkretnie byli jej rodzice.

– Chyba można by powiedzieć, że to jabłko upadło daleko od jabłoni – dodała Lila z szelmowskim uśmieszkiem. – Bardzo rzadko widywałam tatę, póki w wieku dziesięciu lat nie zamieszkałam z kuzynami w Zatoce Bastońskiej. Byli przemytnikami, ale sami siebie nazywali kupcami i opływali wyspy ze wszystkich stron. Tata czasami odwiedzał ciotkę Lydię w Kredowych Klifach i wtedy płynęłam tam, żeby się z nim spotkać. Niezbyt często; prawdę mówiąc, byłam na niego wściekła.

– Dlaczego?

– Moja mama nie żyła, a on zajmował się ratowaniem królestwa i przez to nigdy nie zwracał na mnie uwagi. Do chwili kiedy Simon zginął. Potem nie potrafił wymyślić, co począć z kimś, kto tak jak ja nie pasował do jego planów.

– Jak to?

– Los okrutnie sobie zadrwił z mojego ojca, dając mu taką córkę jak ja. Nie nadaję się do przestrzegania głupich zasad wojskowych i nigdy nie miałam głowy do nauki. To, w czym byłam dobra... przemyt, udawanie kogoś innego, żeglowanie i handel... dla niego nie miało znaczenia. Ale mimo to nie dawał za wygraną... jedno trzeba oddać kapitanowi Byrne'owi: jest uparty. Powoływał się na wyświadczone różnym ludziom przysługi, odsyłał mnie z powrotem do Oden's Ford, próbując ukuć z tego bezwartościowego metalu prawdziwy miecz. Miałam już tego naprawdę powyżej uszu.

Ash musiał przyznać, że on i Lila mieli bardzo podobne życie. Od samego początku byli sierotami wojennymi.

– Wtedy ty uciekłeś do Oden's Ford. Najpierw myśleli, że cię ktoś zabił albo porwał, ale twoja przyjaciółka Taliesin cię wydała.

– Taliesin im powiedziała? – Po raz kolejny dostał obuchem w głowę.

– Na nikim nie można polegać, no nie? Chciała, żeby twoja mama się nie martwiła, no i namówiła ją, żeby ci pozwoliła zostać w szkole.

– To znaczy, że królowa cały czas wiedziała, że tam jestem. – Minęło zaledwie kilka minut tej rozmowy, a Ash już czuł się pokonany. W jego głowie kłębiły się pytania. – Dlaczego... Dlaczego nigdy... się do mnie nie odezwała? Albo nie ściągnęła mnie do domu?

– Królowa mi się nie zwierza – stwierdziła Lila. – Myślę, że nie chciała cię narażać na ryzyko. Szpiedzy Ardeny są wszędzie. – Rozejrzała się jeszcze raz, jakby sprawdzała, czy nikt nie wślizgnął się do wnętrza podczas tej rozmowy. – Z wyjątkiem kilku osób wszyscy w Felis myślą, że nie żyjesz.

– Czy Lyss... moja siostra wie?

– Nie wiem. Była jeszcze mała, kiedy uciekłeś, prawda?

Kiedy uciekł. To właściwe określenie.

– Tak. Była mała.

– Wtedy kapitan Byrne zaczynał rozumieć, że i ja mogę się do czegoś przydać. Może moje nazwisko nigdy nie znajdzie się na tablicy honorowej w Wien House, ale Oden's Ford to dobre miejsce na zawieranie znajomości z takimi kanałiami jak chociażby Tourant. Przemyt to dobra przykrywka dla podróżowania po wszystkich Królestwach.

– Byłaś szpiegiem?

– Między innymi – odparła Lila wymijająco. – Tata prosił, żebym miała cię na oku... z odległości, bo łażenie za tobą tylko ściągnęłoby



na ciebie uwagę. Nie paliłam się do tego... nie miałam ochoty niańczyć książątka uciekiniera. Gdyby król Gerard dowiedział się, gdzie jesteś, i tak na nic bym się nie przydała, a wina spadłaby na mnie. – Patrzyła mu w prosto w oczy. – W końcu się zgodziłam, ale od razu zastrzegłam, że latem będę się zajmować własnymi sprawami. Okazuje się, że niepotrzebnie się martwiłam. Obserwowanie cię było łatwe aż do... no wiesz, do tego roku. Kiedy zjawiły się te krwiopijcze kruki, chciałam cię odstawić do domu, ale ty nie okazałeś chęci współpracy.

*Dobrze, że nie wykryłaś, czym się zajmowałem w wakacje, pomyślał Ash.*

– A co tutaj robisz? Wciąż mnie niańczysz? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Pracuję nad dużym planem, wspólnie z jednym z przyjaciół. Będziemy głównym dostawcą armii ardeńskiej.

– Zdaje się, że dobrze ci idzie – zauważył Ash oschle. Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem. – Sprzedałaś im cały statek magicznych wyrobów. Nie sądzisz, że to trochę za dużo za zdobycie zaufania?

– Miałbyś rację, gdyby te rzeczy działały, tak jak powinny.

Ash okręcił się na pięcie, by stanąć z nią twarzą w twarz.

– Jak to? Co z nimi?

– Powiedzmy, że to była robota na zamówienie.

– Ale... zdaje się... mówiłaś, że mają tysiąc lat.

– Mój przyjaciel Rogan robi nadzwyczajne magiczne wyroby. I specjalizuje się w wytwarzaniu kopii.

– Czyli cały czas służysz Felis.

Skinęła głową.

– Czemu nie powiedziałaś mi wcześniej? Byłbym chociaż odrobinę miłszy.

– Szczerze mówiąc, uważałam cię za amatora... rozpieszczone książętko, które uciekło i chce się zemścić, a jak zostanie przyłapane, to tylko narazi na szwank mój starannie opracowywany plan. Uznałam, że im mniej wiesz, tym lepiej.

– Jak ja nie lubię, kiedy zaczynasz komplikować sprawy – rzekł Ash.

– Skoro miałaś dostęp do króla, to po co knuć jakiś zawikłany spisek? Czemu po prostu nie zabić Montaigne’a?

– Niech cię! Że też o tym nie pomyślałam? – Lila klepnęła się w czoło.

– Mówię poważnie.

– A czemu myślisz, że nie próbowałam?

– Chyba to nie ty zatrułaś miód i...?

– Nie. – Lila przewróciła oczami. – Nie odziedziczyłam skłonności Byrne’ów do męczeństwa. Za bardzo lubię życie, żeby je stracić przez przekłętą Montaigne’a. Skąd mam wiedzieć, że książę Jarat będzie lepszy? Z tego, co widziałam i słyszałam, prawdopodobnie nie będzie.

– Może przynajmniej nie będzie miał obsesji na punkcie zabijania mojej rodziny – burknął Ash. – No dobrze. Ale dlaczego nagle postanowiłaś mi wszystko wyjawić?

– Bo sojusz między Wyspami Północnymi a Ardenem zniweczy cały plan, nad którym od trzech lat pracuję z Roganem. I dlatego że teraz, kiedy nie ma już twojego ojca na stanowisku Wielkiego Maga, jesteśmy bardziej narażeni na magiczny atak niż wcześniej. Co prawda lord Bayar zajął jego miejsce, ale...

– Bayar jest Wielkim Magiem? – Micah Bayar i ojciec Asha od lat byli rywalami, o ile nie wrogami. Chcąc nie chcąc, Ash przejął od ojca

część tej niechęci.

– Naprawdę musisz częściej widywać się z ludźmi – stwierdziła Lila z rozbawieniem.

Od spotkania z Montaigne'em Ash był w złym humorze, a te zaskakujące wieści jeszcze bardziej go zdenerwowały.

– No więc najlepiej to zakończ. Zabij króla. Zabij emisariusza. Rozpocznij inwazję na Wyspy Północne. Jest wiele możliwości.

– Rzec w tym, że potrzebuję twojej pomocy.

*Co może dla ciebie zrobić rozpieszczone księżątko, które uciekło?* – pomyślał Ash, ale nie powiedział tego na głos, bo wtedy tylko potwierdziłby trafność jej oceny.

– Jakiej pomocy?

– Nie spodoba ci się to. – Lila odwróciła wzrok.

– To mnie nie dziwi. Mów.

– Najprostszy sposób, żeby powstrzymać te pertraktacje, to wyeliminować dziewczynę.

– Znaczący zabić ją.

– Tak. – Lila miała na tyle przyzwoitości, by okazać zażenowanie.

– I chcesz, żebym ja to zrobił.

– Masz do niej dostęp, prawda? Jesteś bodaj jedyną osobą, która mogłaby to zrobić i się z tego wywinąć – mówiła teraz szybko i z przekonaniem. – Spójrz na to w ten sposób: gdyby nie ty, już by nie żyła. Więc można by uznać, że cofasz to, co zrobiłeś.

– Niszczyć, co naprawiłem.

– Właśnie. – Lila wyglądała na dumną, że na to wpadła.

– Potrafisz wszystko wytłumaczyć, prawda?

– Słuchaj, to jedyny sposób, żeby zapobiec temu porozumieniu i nie zrujnować wszystkiego.

- Czyli twojego spisku.
  - No tak. I do tego przeżyjemy. Wszystko będzie jak należy.
  - Dla wszystkich oprócz Jenny.
  - Myślisz, że lepiej będzie odesłać ją na Wyspy Północne? Słyszałeś kiedyś wyrażenie o „losie gorszym od śmierci”?
  - Przestań traktować mnie jak głupka – odpowiedział Ash. – Nie pomogę ci zabić Jenny, i to nie dlatego że jestem naiwny.
  - A gdybym do niej poszła i powiedziała, jaka jest stawka, co według ciebie by zrobiła?
- W tym momencie Lila posunęła się za daleko.
- Ash w jednej chwili przygwoździł ją do ściany. Próbowwała się wywinąć, ale bez powodzenia.
- Nie zbliżysz się do niej, rozumiesz?
- Lila wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.
- Na krew i kości. Jak mogłam tego nie zauważyć? Ty nie jesteś głupi, tylko zakochany!
  - To, że nie chcę ci pomóc dokończyć tego, co sobie zaplanowałam, nie znaczy jeszcze, że...
  - Nie wierzę! – pisnęła Lila zachwycona. – On jednak ma serce.
  - Nie zwiększasz swoich szans na moją współpracę – zauważył Ash.
  - I zapamiętaj sobie: jeśli chcesz, żebym ci pomógł, będziesz musiała wymyślić coś innego.

## WZAJEMNE OBIETNICE



Kiedy wieczorem Ash zjawił się w izdebce w wieży, zauważył, że liczba strażników została podwojona. Czy to z powodu ujawnionej wartości rynkowej Jenny, czy z powodu braku zaufania do piratów, coraz trudniej było się do niej dostać. Kolejny znak, że czas ucieka.

W końcu wszedł do środka. Jenna siedziała przy oknie z książką na kolanach i spoglądała na zewnątrz. Przebrała się już z sukni, w której wystąpiła na rozmowie ze Strangwardem, w strój z poprzedniego dnia. Rozpuściła włosy, które teraz łagodnie spływały jej na ramiona.

Obróciła głowę i gdy go zobaczyła, poderwała się z krzesła, strącając książkę z kolan. Zbliżyli się do siebie niczym dwa magnesy. Ash czuł jej głośno bijące serce poprzez warstwy swoich aksamitnych i jej jedwabnych ubrań. Pocałunki były jak tlen, bez którego tonęli.

Albo utonęliby.

W końcu ona się odsunęła i odepchnęła go na odległość ręki, by się mu przyjrzeć.

– Co to jest? – zapytała, wskazując butelkę, którą przyniósł.

– Wino – odparł. – Żeby uczcić dobre wiadomości. – Postawił na stole obok jej krzesła butelkę i dwa pucharki.

– A więc co to za wiadomości? Czekał, nie mów... król nie żyje.

Coś w jej głosie go zaintrygowało – jakaś tajemna wiedza czy intuicja. Nie mówił jej przecież o swoich próbach otrucia Montaigne'a. Nie chciał w niej wzbudzać nadziei, zresztą ona sama zabroniła mu składać obietnice.

Przyglądał się jej chwilę, po czym rzekł:

– Jeszcze nie. Świątujemy z dwóch powodów: po pierwsze, Arden i Kartezja nie mogą dojść do porozumienia. Montaigne domaga się dostarczenia wojsk, zanim cię przekaże. To daje nam trochę czasu.

– Chętnie za to wypiję. – Jenna nalala wina do pucharków.

– To może być tylko chwilowa przeszkoda – zauważył Ash ostrzegawczym tonem.

– Pamiętasz moją zasadę? Ciesz się chwilą. – Uniosła swoje naczynie i wypili toast.

– Po drugie, słyszałaś, że Delphi zostało odbite?

Jenna przelykała akurat wino i omal się nie zadławiła.

– Od... odbite? Przez kogo?

– Patrioci przejęli miasto. Przegnali błotnistych.

Jenna odstawiła wino, chwyciła Asha za łokcie i porwała go do żywiołowego tańca. Jej białe stopy energicznie tupwały o kamienną posadzkę.

– No tańcz, Wilku – zachęcała, gdy Ash nie przyłączał się do zabawy. – Odłóż to wino i zatańcz ze mną!

Spełnił jej prośbę i wcale się nie oszczędzał. W końcu opadli na krzesło zdyszani i roześmiani.

– Powtórz to – powiedziała Jenna z zachwytem. – Chcę to usłyszeć jeszcze raz.

– Patrioci odbili Delphi – oznajmił. – Armia ardeńska poniosła sromotną klęskę.

– Oho – uśmiechnęła się. – Pewnie cały czas płoną ogniska na wzgórzach. Szkoda, że nie mogę tego zobaczyć. Fletcher musi być zachwycony. – Stopniowo jej uśmiech bladł, a oczy wypełniały się melancholią. – Tylu ludzi tego nie dożyło. Maggi, Riley i mój ta...

Zasłoniła twarz dłońmi.

– Nie zapominaj, co sama mówiłaś... że zamartwianie się tym, co złe, może zniszczyć to, co dobre. A więc świętujmy. Świętujmy bez żalu. – Pocałował ją i znowu nalał im wina.

– Za Patriotów z Delphi, tych żyjących i tych, którzy nie dożyli – powiedziała Jenna, wznosząc toast. Wypiła do dna, a potem wpatrzona w przestrzeń obracała naczynie w palcach. – Znowu to słyszę – mruknęła.

– Co takiego?

– Zaklinacz Ognia. Wciąż słyszę w głowie to imię.

– Co to znaczy?

– Odkąd przybył ten emisariusz, słyszę głosy. To brzmi, jakby ktoś wzywał pomocy, jakby wołał: „Zaklinaczu Ognia! Pomóż mi!”.

– „Zaklinacz Ognia” – zamyślił się Ash. – Czy nie taki miałaś pseudonim w Delphi?

Jenna skinęła głową.

– Ja... wybrałam go, bo zawsze podpalałam i wysadzałam różne rzeczy.

– Czy to coś nowego? Te głosy?

Przytaknęła.

– Wcześniej to zawsze były obrazy.

– Czy to może mieć coś wspólnego z walkami w Delphi? Może twoja magiczna moc polega na tym, że jesteś informowana o tych, którzy są w kłopotach.

Wzruszyła ramionami.

– Albo tracę zmysły. Nieważne. Opowiedz mi o tej broni, którą przywiózł emisariusz.

Ash napił się wina.

– Nie widziałem tego osobiście, ale słyszałem, że to smok.

– Smok? – Jenna bezwiednie podniosła głos. – Ale... przecież one nie istnieją? – Wypowiedziała to w formie pytania, jakby już nie była pewna, co jest rzeczywistością, a co fantazją.

– Ja też tak myślałem – odparł Ash. – Ale lord Botetort go widział... był tym bardzo przejęty, a on ma wyobraźnię jak ślimak.

– Jaki był duży?

– Mówią, że wielkości konia, ale wiesz, inaczej zbudowany. Strangward mówił, że to młody, jeszcze niedojrzały smok, że dorosły byłby za duży, żeby go przewieźć statkiem. – Po chwili namysłu dodał: – Trzymają go w ładowni. Lila twierdzi, że wyglądał, jakby był chory.

– Był chory? – Oparła dłonie o kolana, wbiła stopy w podłogę i pochyliła się. – Jak to? Co mu dolegało?

– Ja tylko powtarzam to, co mówiła Lila. Powiedziała, że smok był ospały. Strangward stwierdził, że to normalne, że smok zawsze dużo śpi, kiedy się naje.

Jenna przyłożyła palce do skroni, jakby jej głowa miała się za chwilę rozpaść na kawałki. Wydawała się coraz bardziej niespokojna.

– Wszystko w porządku? Co się dzieje? – zapytał Ash.



– Nie wiem – szepnęła, dotykając magicznego znaku na szyi. – Tylko mam wrażenie, że jest coś, co powinnam wiedzieć o smokach, coś, co nie daje mi spokoju. – Jej wzrok stał się zamglony, oddech szybki i płytki.

Ash domyślał się, że przed jej oczami przepływają obrazy. Poczekał, aż spojrzy przytomniej, i dopiero wtedy powiedział:

– Może widziałaś w swoich wizjach, że cesarzowa chce cię wymienić za smoka i dlatego on ci się wydaje znajomy?

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Ale co tam. Do czego królowi smok?

– Właściwie on chce armii magów – wyjaśnił Ash. – Taka była obietnica cesarzowej. Strangward stara się przekonać króla, żeby przyjął smoka jako swego rodzaju zaliczkę czy kaucję, w zamian za którą będzie mógł cię zabrać. Twierdzi, że smoki mogą się przydać do transportu żołnierzy, palenia miast, takich rzeczy. – Starał się nie okazywać emocji, lecz nie było to łatwe. – W każdym razie udało mu się przekonać Botetorta. Ten się tak zapalił do tego pomysłu, że aż prosił o więcej.

– A co na to porucznik Karn? Widział tego smoka?

Ash przytaknął.

– Widział. Nie mówił wiele. – Po chwili milczenia zapytał: – Co myślisz o Strangwardzie?

– Jest tak zagmatwany, że trudno mi go odczytać. Coś mi mówi, że jest niebezpieczny, przerażony, a w jego słowach wyczuwam jakieś wielkie oszustwo.

– Ja też mu nie wierzę – stwierdził Ash – ale przywiózł ze sobą wielki worek diamentów na dowód, że traktuje te rozmowy poważnie.

– Chciałabym go dotknąć. – Jenna pocierała podbródek.

– Co? – Ash poczuł ucisk w żołądku.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie denerwuj się, Wilku. Czasem muszę kogoś dotknąć, żeby coś zobaczyć. – Zamilkła na chwilę. – No to jak myślisz... uda mu się?

Ash wzruszył ramionami z niezadowoleniem.

– Zadał sobie sporo trudu, żeby dotrzeć do tego punktu. Cesarzowej chyba naprawdę zależy na tej umowie.

– Jest jedno wyjście – wtrąciła Jenna. – Gdybym tak umarła przed dokonaniem wymiany?

– Co? Nie! – Ash poczuł gwałtowne ukłucie winy na wspomnienie swojej rozmowy z Lilą. – To nie jest wyjście.

– Pomyśl tylko – upierała się Jenna. – Jedyne, co mogłoby być gorsze od obecnego króla, to król ze smokiem i nową armią.

– Nikt cię nie prosi, żebyś...

– Nie musisz prosić. Sama się zgłaszam na ochotnika. Tysiące Patriotów oddały życie w walce o wolność. Mam okazję zrobić, co do mnie należy – głos lekko jej zadrżał.

Ash nerwowo szukał innych możliwości.

– A gdyby zamiast tego smok zdechł? Wtedy Strangward nie miałby nic na wymianę.

– Nie. – Jenna dumnie uniosła głowę.

– Mnie też się to nie podoba – przekonywał Ash – ale jeśli trzeba wybierać między...

– Posłuchaj – przerwała mu – jeśli nawet smok zdechnie, to wszystko się tylko odwlecze. Cesarzowa zawsze może przysłać następnego. Poza tym z tego, co mówiłeś, Montaigne'owi najbardziej zależy na armii. Musimy zapobiec jego sojuszowi z tą cesarzową, kimkolwiek ona jest.

– Dobrze by było to jakoś opóźnić – zauważył Ash. – Za jakiś czas może król umrze albo tobie uda się uciec.

– To tylko pobożne życzenia, nie plan – odparła.

– Zaproponuj coś innego. Coś lepszego niż poświęcenie samej siebie.

Zastanawiała się chwilę, aż wreszcie jej oczy zajaśniały świeżym blaskiem.

– Mówiłeś, że statek emisariusza jest tutaj, w przystani?

Ash przytaknął.

– A gdybyśmy go wysadzili i obwinili o to Arden?

– My? – Ash stuknął palcem w swoją obręcz – Jak miałyby się to stać? Jestem bezużyteczny, jeśli chodzi o magię.

Jenna uniosła wzrok w niebo.

– Nie zawsze chodzi o ciebie, uzdrowicielu. Ja nie mam magicznej mocy, a od lat wysadzam różne obiekty. Powiem ci, czego potrzebujesz i jak to zrobić. Prawdopodobnie i tak nie chciałbyś używać mocy, jeśli mamy o to obwinić Arden.

*Ach tak. Ależ ja jestem zakochany w tej dziewczynie*, pomyślał Ash.

Przypomniały mu się słowa Taliesin.

„To najgorsza rzecz na świecie ryzykować swoim życiem dla kogoś, kogo się kocha. Jednocześnie to najlepsza rzecz na świecie... i warta tego ryzyka”.

Jenna była myślami gdzie indziej.

– Znasz kogoś, kto może zdobyć proch, lonty i tak dalej?

Od razu pomyślał o Lili.

– Znam.

– Zrobię listę. Ale musisz mi coś obiecać.

– Co ci obiecać?

– Że jeśli dasz radę, uwolnisz smoka.

Ash zacisnął usta, żeby nie powiedzieć za dużo, ale nie umknęło to uwadze Jenny.

– Zastanawiasz się, skąd u mnie ta obsesja na punkcie smoka, którego nawet nie widziałam?

– Owszem, to... przyszło mi do głowy – przyznał ostrożnie.

– Smok nie zgłosił się na ochotnika – odparła. – Zresztą ja... mam takie wrażenie, że... że on będzie ważny... w przyszłości. – Spojrzała mu w oczy. – Możesz mi zaufać? Nie proszę o obietnice. Proszę tylko, żebyś spróbował.

Ash przełknął ślinę.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Po chwili zapytał: – Myślałaś o tym, co z tobą będzie, jeśli ta umowa nie dojdzie do skutku? Król raczej nie wypuści cię na wolność.

– Jestem z Delphi. I tak już dawno powinnam nie żyć.

– Bywają rzeczy gorsze niż śmierć – zauważył Ash.

– No to pomóż mi tego uniknąć.

– A ty znowu o tym samym?

– Nie, uzdrowicielu. To co innego. Nie chcę umierać. Chcę żyć. Chcę usłyszeć dzwony w świątyni w Delphi, jak obwieszczają zwycięstwo. Chcę pójść w Góry Duchów i porozmawiać z wiedźmami i wrózkami. Chcę przepłynąć ocean aż po horyzont i jeszcze dalej. Chcę wybrać się do wszystkich tych miejsc, które znam tylko z książek. Chcę latać...

Ash uniósł rękę.

– Dobrze, dobrze, ale pamiętaj, ja...

– Chcę jeszcze tego – przyciągnęła jego głowę i mocno pocałowała go w usta. – I tego. – Wsunęła rękę pod jego kaftan, potem pod ko-

szulę, a gdy poczuła pod palcami gołe ciało, położyła się na krześle i przyciągnęła go do siebie, obejmując nogami.

– Mam plany co do ciebie, Wilku – mruknęła, szczypiąc go zębami w ucho. – Nie mam zamiaru umierać w najbliższym czasie.

– Wierzę ci – odparł ściszone głosem.

Godzinę później, gdy biły dzwony świątynne, nadał leżeli spleceni na krześle w zmiętoszonych ubraniach.

*Takie krzesło może mieć wiele zastosowań, pomyślał Ash. Może od tej pory w nim zamieszkamy.*

– Pójdę już – mruknął do jej barku.

Jenna ziewnęła i przysunęła się do niego.

– To prawdziwy skandal, że spędziliśmy tyle czasu bez przyzwoitki.

– Czyżbyś narzekała?

– Nie! – krzyknęła tak zapalczywie, że Ash się roześmiał. – Tylko... w Bruinswallow chyba już uważano by nas za małżonków, a ja wciąż nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywasz.

Spojrzał jej w oczy i opuszkami palców przesunął po jej wargach.

– Czy naprawdę chcesz to wiedzieć? Bo jeśli tak, powiem ci.

Przez dłuższą chwilę wytrzymała jego spojrzenie, a potem potrząsnęła głową.

– Poczekam. Nawet podoba mi się Adam Wilk. Jak już będzie po wszystkim, przedstawiś mnie swojej mamie.

– Obiecuję. – W tym momencie uświadomił sobie, że bardzo chce, aby one się spotkały.

– Na pewno mnie znienawidzi – posmutniała Jenna.

– Mylisz się. Na pewno będzie cię kochała tak samo jak mnie, a może nawet bardziej. – Objął dłońmi jej twarz i ucałował ją w nos

i powieki. Potem delikatnie się wyplątał, rozprostował ubranie i pozapinał guziki.

Ona owinęła się kocem, sięgnęła po papier i pióro i zrobiła spis rzeczy. Następnie wyjaśniła mu dokładnie, co z nimi robić.

Ash wsunął palec pod swoją obręcz i wy dobył maleńki woreczek. Wyciągnął go przed siebie, by pokazać Jennie.

– Tutaj są dwie jagody rośliny o nazwie czerniec. Nazywamy je też oczami kukieł. Jedna taka zabije cię w ciągu kilku minut.

– Cały czas masz je przy sobie? – zapytała zdumiona.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy może się pojawić nagła potrzeba śmierci – odparł. – *Albo uśmiercenia kogoś innego.*

Jenna wpatrywała się w woreczek.

– Czy to... bolesne?

– Wybrałbym coś bolesnego? – parsknął. – Podobno nawet przyjemne. – Pokazał jej tasiemki przyczepione do woreczka. – Tym przy-mocowujesz do ubrania. Jeszcze jakieś pytania?

Przyglądała mu się z przechyloną głową, w jej oczach kryła się cała masa pytań.

– Jeszcze jakieś sekrety, uzdrowicielu?

Wzruszył ramionami.

– Przecież dzielimy się naszymi sekretami. Tylko nie zapomnij tego przełożyć, kiedy zmienisz ubranie.

– Nie zapomnę – obiecała. Wsunęła palce do woreczka i wyjęła jedną z jagód. – Weź to – podała mu. – Mnie wystarczy jedna.

– Mam tego dużo – oznajmił.

Pocałowali się. I jeszcze raz.

W końcu oderwała się od niego i powiedziała.

– Ja też coś dla ciebie mam. – Podeszła do łóżka, wsunęła rękę pod słomiany materac i wyjęła jakiś przedmiot. Wcisnęła go Ashowi w dłoń.

Rozprostował palce i zobaczył wisior na łańcuchu, zniszczony upływem czasu. Dotknął go drugą ręką.

– Co to jest?

– Należało do mojego ojca – wyjaśniła. – To wszystko, co po nim mam.

– Jenno – powiedział Ash poważnym tonem. – Nie możesz mi tego dać. Czemu...?

– Chcę, żebyś to wziął, na szczęście. – Gdy wciąż kręcił głową, dodała: – Chcę ci to dać. Jeśli to zatrzymam, wcześniej czy później i tak mi to zabiorą.

– Ale... a ty? Co ty będziesz miała na szczęście?

– Mam ciebie, uzdrowicielu. To mi wystarczy. Możesz mi to zwrócić, kiedy się znowu zobaczymy. A teraz pocałuj mnie jeszcze raz i idź już.

Tak też uczynił. Zatrzymawszy się w drzwiach, powiedział:

– Do zobaczenia niedługo.

– Dziękuję, uzdrowicielu! – krzyknęła za nim.

Obejrzał się i zobaczył, jak siedzi na krześle z podkurczonymi i skrzyżowanymi nogami, trzymając dłonie na kolanach zwrócone wnętrzem do góry. Coś w jej spojrzeniu sprawiło, że przeszył go dreszcz.

Tym czymś była nadzieja.

## NA NABRZEŻU



Ash już zaczął żałować, że zabrał ze sobą Lilę. Od chwili kiedy przedstawił jej nowy plan, narzekała i szukała dziury w całym.

– Nie mogliśmy tego zrobić kiedy indziej? – utyskiwała, gdy szli krętymi zaułkami dzielnicy portowej w Ardencourt. Otarła rękawem krople deszczu z twarzy i wcisnęła głowę między barki.

– Nie wiem, ile mamy czasu – odparł. – Strangward mógł postanowić, że odpłynie z samego rana.

– Strangward wydaje się zaprzyjaźniony z bogami pogody. Może wie, że idziemy, i zgotował nam tę ulewę na powitanie.

Ashowi zjeżyły się włoski na skórze. *Nie. Skąd mógłby wiedzieć?*

– Naprawdę myślisz, że cesarzowa obwini o to Arden?

– To całkiem prawdopodobne, nie? Arden zatapia ich statek i porywa smoka, żeby nie musieli zawierać porozumienia.

– To nie ma sensu, jeśli Ardenowi zależy na armii – zauważyła Lila.

– Nie musisz iść ze mną. Zabrałem cię tylko dlatego, że umiesz posługiwać się nożem. I zdobyłaś dla nas mundury. I materiały wybuchowe.

– Przepraszam, jeśli to za mało – parsknęła.



– Może to nie jest twój pomysł, ale i tak to zrobimy – stwierdził Ash stanowczo.

– Czyżby? Czyżbyś zamierzał w końcu zagrać kartą księcia?

– Nie mieszaj do tego mojej matki, bo i tak nie będę słuchał.

– No dobrze, więc jako równa tobie pod każdym względem jestem przekonana, że to zły pomysł. – Wtem rozległ się huk pioruna i Lila się wzdrygnęła. – Czy to w ogóle zadziała w taką pogodę? – Poklepała się po plecaku.

– Jenna twierdzi, że tak.

– Skąd ona tak dobrze się zna na wybuchach?

– Pracowała w kopalni.

– Powiedz przynajmniej, że zmieniłeś zdanie co do smoka.

– Dałem słowo – rzekł Ash.

– Więc je złam. Ciągłe łamiesz obietnice, które mi składasz.

– Ten smok może się nam przydać podczas wojny.

– Równie dobrze możemy podpalić Fellsmarch i liczyć na to, że ogień rozprzestrzeni się na południe. – Po kolejnych trzech krokach dorzuciła: – Gdzie się podział dawny Ash z zatwardziałym sercem?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, mruknęła coś, czego nie zrozumiała.

– Co mówiłaś?

– Że trzeba było cię otumanić jakimś zieleciem i zaciągnąć do Fellsmarchu, kiedy miałam okazję.

– To ja jestem zielarzem, nie zapominaj.

– Ha.

– A tak w ogóle, to od kiedy... Słyszałaś to? – Obrócił się gwałtownie z ręką na amulecie i wpatrywał się w głąb ulicy. Spojrzał na Lilę,

która już zdążyła wyciągnąć dwa noże. Oboje rozglądali się uważnie i nasłuchiwali.

– To chyba tylko deszcz albo wiatr – powiedział Ash w końcu, myśląc: *To nigdy nie jest deszcz ani wiatr, kiedy człowiek chce, żeby tak było.*

– Może – zgodziła się Lila i schowała broń. – Albo porucznik Karn i prawdziwy patrol Gwardii Królewskiej. – Jeszcze raz spojrzała w głąb uliczki, zanim się obróciła i ruszyła przed siebie przygarbiona pod ciężkim plecakiem. – A właściwie to co ty wiesz o statkach?

– Niewiele – przyznał Ash. – Ale włamanie na statek chyba nie bardzo się różni od każdego innego włamania.

– Z tą różnicą, że nie ma dokąd uciec, kiedy cię przyłapią albo kiedy statek wyleci w powietrze. Albo jeśli smok zechce cię upiec jak kielbaskę.

– Umiesz pływać, nie?

– Jasne, że umiem. Ale czujesz ten smród? – Lila zmarszczyła nos. – To szambo. Nie mam dzisiaj ochoty na pływanie, zapamiętaj to sobie.

– Będziesz tak jęczała cały czas? – Ash zapiął pelerynę gwardzisty pod szyję i naciągnął kaptur.

– Nie ma powodu, żebyśmy szli tam oboje – nagle oświadczyła Lila. – Ja to zrobię. Ty zostań.

– Przestań już. Jeśli ktokolwiek zostanie, to będziesz to ty. W przeciwnym razie trzymamy się pierwotnego planu: ty się zajmujesz wybuchem, a ja smokiem. W ten sposób możemy szybko wejść i wyjść. Gdyby cię ktoś zobaczył, jesteśmy patrolom przystani. Widzieliśmy coś podejrzanego, jakby ktoś wchodził na statek.

– I dlatego mamy przy sobie zbiorniki z prochem? Idealne wyjaśnienie.

W dokach czekała ich miła niespodzianka: statek Strangwarda był przycumowany do samego nabrzeża. Widocznie podpłynął do lądu, żeby załadować zapasy na powrotną podróż. Ashowi znowu wydało się, że coś słyszy: ciche kroki albo skrzywienie desek. Obrócił się i rozejrzał. Nic nie zobaczył i nic nie słyszał poza pluskiem wody uderzającej o słupy i trzepotem żagli.

Zbliżała się północ. Jedynym miejscem, w którym paliło się światło, była sterownia. W kabinach dla załogi panowała ciemność i cisza, trap był wciągnięty, cały statek spowijała migocząca otoczka przypominająca zielonkawy lód.

Ash wpatrywał się w to, podparty pod boki.

– Co to jest? – szepnęła Lila.

– Nie wiem, ale myślę, że to ma odstraszać intruzów.

– Możesz coś z tym zrobić?

– Spróbuję. – Zacisnął dłoń na amulecie i wysłał strużkę magicznej mocy. Kiedy zetknęła się z barierą, lód zamienił się w parującą gęstą chmurę, która została uniesiona przez silny wiatr. Powtarzał to tak długo, aż całkowicie odsłonił jedną burtę.

Odczekali chwilę, niepewni, czy ktoś nie podniesie alarmu, ale wokół było cicho. Statek wyglądał na opuszczony.

– Co o tym myślisz? – szepnął Ash.

– Dla mnie to wygląda na pułapkę – odparła Lila ponuro.

Ash przerzucił linę przez burtę i za jej pomocą przeciągnął drabinę linową. Znowu chwilę odczekali. I znowu nic.

– Ja pójdę pierwsza, szybko się rozejrzę i dam ci sygnał – powiedziała Lila. Wdrapała się po drabince do wysokości, z której mogła

zajrzeć na pokład. Wyraźnie zadowolona, przekroczyła reling i dała Ashowi znak, by do niej dołączył. Potem zniknęła.

Ash wspiał się po drabinie, przekroczył reling i opadł na pokład po drugiej stronie. Wciągnął drabinkę, żeby nie zauważono jej z doku, i ruszył w stronę śródkręcia, gdzie znajdowało się wejście do ładowni.

Właz był zamknięty na łańcuch i kłódkę. Ash roztopił jedno ogniwo i uniósł klapę. Fetor, który wydobył się z otworu, omal nie zwałił go z nóg.

*Spóźnił się*, pomyślał i serce mu zamarło. Był pewien, że smok już nie żyje.

Wiedział, że powinien czuć ulgę. Zamiast tego miał poczucie wielkiej straty. Wcale nie przez to, że nie wyobrażał sobie, jak powie o tym Jennie. O ile w ogóle przeżyje tę noc.

Opuścił drabinkę w ciemność i zaczął schodzić, rozjaśniając mrok pochodnią, którą zapalił koniuszkami palców.

Smok leżał w kącie ładowni. Jego głowa spoczywała na łapach, oczy były zamknięte i zaropiałe, jakby ich od dawna nie otwierał. Nawet pokryty łuską pancerz stracił swój dawny blask. Obok leżały nie-  
tknięte martwe króliki, które przyczyniały się do ogólnego fetoru. Jedynym znakiem życia smoka była wątła smużka pary wydobywająca się z jego nozdrzy, lecz Ash nawet bez tego wyczuwał tłącą się w zwierzęciu iskrę.

– Cześć – mruknął Ash. Nie otrzymał odpowiedzi. Spróbował nawiązać mentalne połączenie, ale umysł smoka był ciemny i zamglony, tak że nie dało się go odczytać ani z nim porozumieć. – Co ci dolega? Jesteś chory?

Przez moment był prawie pewien, że smok zrozumiał. Obrócił łeb i spojrzał Ashowi w oczy, jakby prosił o pomoc. Zaraz potem znowu położył głowę na przednich łapach.

Ash zbliżył się do niego na tyle, że wyciągnawszy rękę, dotknął jego barku. Skóra była sucha i chłodna. Ale może taka powinna być. Docisnął palce do szyi zwierzęcia i wyczuł puls, słaby, nitkowaty. Prawdę mówiąc, Ash nie wiedział nic o smokach, ale intuicja uzdrowiciela mówiła mu, że ten tutaj jest bliski śmierci.

Czy zachorował, ponieważ zbyt długo był przetrzymywany w tej ładowni? Czy za wcześnie został oderwany od matki? A może utracił chęć życia? Kto by nie utracił w takich okolicznościach?

– Pomogę ci, jeśli dam radę – powiedział. – Spróbuję cię stąd wyostać. – Smok się nie poruszył, nawet nie mrugnął okiem.

Nabrawszy powietrza w płuca, Ash wlał w nieszczęśnika magię, by zbadać ten zupełnie nieznaną mu organizm.

Smok był zimny, zimny, zimny aż do miejsca wokół obręczy na jego szyi. Ta okolica była rozgrzana do czerwoności i buzująca magiczną mocą.

*Co się dzieje?* – zastanawiał się Ash. *Czy ta obręcz zasila smoka w moc? Czy zapobiega przepływowi mocy do innych części ciała?* Przesunął palcem po smoczej obroży i poczuł znajome szarpnięcie. Dotknął obręczy na własnej szyi – tej, która nie pozwalała mu kumulować mocy, by nie mógł jej wykorzystać w niepożądany sposób.

Wrażenie było takie samo. Doszedł do wniosku, że obręcz na szyi smoka służy temu samemu celowi: odbiera mu moc i nie pozwala się bronić.

Znowu dotknął smoczej obroży. Wsunął palec między nią a łuski. Nie znalazł żadnego zamknięcia, żadnego otworu. Zdawała się tak

samo jednolita jak jego własna.

Czy możliwe, że chorobę wywoływał brak magicznej mocy? Jeżeli tak, lekiem mogłaby być dawka magii. Na próbę przyłożył dłoń do głowy smoka i wlał weń odrobinę mocy.

Nic.

Użył jeszcze trochę magii.

Smok wzdrygnął się i otworzył oczy. Rozbłysły niczym bursztyny w ciemnościach ładowni.

– Czy to ci pomaga? – Ash znowu zasilił go mocą.

Smok trącił go nosem i wtulił się w niego jak kot. Wiadomość była jasna. Proszę o więcej.

Ash spełnił prośbę. Tym razem smok trzasnął ogonem w posadzkę.

To zdawało się pomagać, ale Ash wątpił, czy wykrzesze z siebie tyle mocy, by uzupełnić jej ilość pochłanianą przez obroź. Musiał znaleźć sposób na usunięcie tej obręczy.

W tym momencie strużkę światła wpadającego przez właz coś przysłoniło.

– Ash! Jesteś tam? – Głos Lilii był nienaturalnie piskliwy.

– Tak. Tylko...

– Musimy się wynosić. I to już. Tu się zrobiło niewesoło. Dawaj smoka i chodź!

Usłyszał obce głosy, a potem jakąś szamotaninę.

– Nie mogę zabrać smoka, ale może gdybym...

– To zostaw go i chodź, zanim... szlag! – Lila zsunęła się przez właz i zatrzasnęła klapę za sobą. Przez chwilę zwiślała na jednej ręce, trzymając się uchwyty, ale szybko się puściła i opadła na posadzkę. Przy zetknięciu z podłogą krzyknęła z bólu.

– Co się dzieje? – zapytał Ash. – Jest...

– Ćśś! – Lila podniosła wzrok na sufit. Nad ich głowami zadudniło coś, co brzmiało jak kilkanaście par stóp. Te odgłosy oddalały się; biegnące osoby widocznie skierowały się teraz ku dziobowi.

– Wróć! – stwierdziła Lila.

– Kto to jest?

– Ci krwiopijczy darianie – odparła Lila. – Cała zgraja. Musieli cię wywęszyć w jakiś sposób. O ile mi wiadomo, zabili wszystkich na statku.

Dopiero wtedy Ash zauważył, że Lila nie rusza prawą ręką. Przysunął do niej pochodnię i zobaczył, że rękaw i bok tuniki jej munduru są nasiąknięte krwią.

– Jesteś ranna – powiedział. Taki obrót wydarzeń zakrawał na ironię losu: jakże to przypominało ich pierwsze spotkanie z darianami w Oden's Ford.

– To tylko zadrapanie, ale dzięki, że zauważyłeś. – Lila w zamyśleniu wpatrywała się w ciemność. – Gdyby tak znaleźć sposób, żeby nie dało się otworzyć tej kłapy, to może nas nie znajdą. Albo przynajmniej narobią hałasu i przyciągną uwagę gawrońców.

*Co za niezwykła sytuacja, pomyślał Ash, że ktoś chce przyciągnąć uwagę Gwardii Królewskiej Ardeny.*

Rozejrzał się. W ładowni była balia z rumem, kilka martwych królików w stanie rozkładu, zestaw uzdrowiciela. Chory smok. Niewiele więcej, co można by wykorzystać.

– Gdyby nie ta cholerna obręcz, mógłbym przynajmniej odpowiednio ich powitać – mruknął.

Lila oblizwała wargi. Wyglądała na niespokojną, zażenowaną z jakiegoś powodu.

– Co?

– Chyba mogę ci w tym pomóc. – Zdrową ręką pogrzebała w torbie i wyjęła mały srebrny przedmiot. – Obróć się, żebym mogła ci to odpiąć.

– Co to jest? – zapytał podejrzliwie, ustawiając się do niej plecami. Czuł jej palce gmerające przy obręczy.

– To... taki jakby klucz.

– Klucz?

– Do otwarcia obręczy. – Lila najwyraźniej nie mogła sobie poradzić jedną ręką.

– Masz klucz do magicznych obręczy – stwierdził Ash spokojnym, lecz wyraźnie zagniewanym tonem.

– No, chyba logiczne, że są jakieś klucze – rzekła Lila pogodnie. – Inaczej nie byłoby sposobu, żeby je założyć... o krwiste kości! – Przeraziła się, gdy zaniepokojony smok trącił ją w nogę. Zachwiała się i upadła na pośladki, tak że znalazła się niemal oko w oko z bestią. Kluczyk z cichym brzęknięciem wylądował obok niej.

– Ćśśś – syknął Ash, spoglądając w górę.

– To... to... jest...

– Tak – szepnął Ash, wchodząc pomiędzy Lilę a smoka. – Nie bój się, nic ci nie zrobi. – Miał taką nadzieję. Podniósł kluczyk i podał jej. Ukląkł i uważnie przyglądał się jej twarzy. *Tylko nie zemdlej, zanim odepniesz mi tę obręcz*, myślał, ale nie powiedział tego na głos, żeby przypadkiem nie wywołać wilka z lasu.

Obrócił się, żeby dać jej dostęp do swojego karku. Ona znowu zajęła się odpinaniem. W końcu rozległ się delikatny szcęk i obręcz lekko wysunęła się w przód. Ash chwycił ją z obu stron, rozciągnął i rzucił na ziemię. Poruszył głową na boki. Dotknął amuletu. Poczul się, jakby runęła ogromna tama i nagle magiczna moc wlewała się



w niego wielkimi strumieniami. Nad ich głowami znowu odezwały się głosy. Przerazająco blisko.

– Tutaj zapach jest silniejszy.

Po plecach Asha przemknął dreszcz, gdy uświadomił sobie, że mówi o zapachu jego krwi.

Obrócił się w stronę Lili. Miała zamglony bólem wzrok i ledwie trzymała się na nogach, opierając się o ścianę.

Kucnął przy niej i zaczął rozpinać jej mundur. Ona chwyciła go za nadgarstek zdrową ręką, aż śliską od krwi.

– Nie – powiedziała. – Nic mi nie jest. Oszczędzaj siły. Będą ci potrzebne.

– Zamknij się – mruknął Ash, delikatnie wyzwalając się z jej uścisku. – Tylko zobaczę, co się dzieje. Może uda mi się zatamować krwawienie. – Starał się zmuszać ją do rozmowy. – Jak ci poszło z tymi ładunkami wybuchowymi?

– Statek jest odrutowany, wszystko gotowe.

– Możesz to uruchomić stąd?

– Nie.

– Nie teraz. Ale jeśli trzeba będzie.

– Nie wysadzę statku z tobą na pokładzie. Obiecałam tacie, że będę cię pilnować, i mam zamiar tego dotrzymać.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że masz kluczyk?

– Hmm... nie miałam kluczyka. Przynajmniej na początku. Gdy już go zdobyłam, bałam się, że zostaniesz zabity w nieudanym zamachu na Montaigne'a. Albo że cię złapią i pokrzyżujesz mi plany.

– Dziękuję za zaufanie.

– Póki miałaś na sobie obręcz, wiedziałam, że nie użyjesz magii do zamachu. Cieszę się tylko, że nie skojarzyli tego węża ani trucizny

z tobą.

– Mówiłem ci. To nie byłem ja. – Ash nie przestawał działać. Już odsłonił ranę: postrzępione rozcięcie, ujawniające, że nóż osunął się po obojczyku i wbił się w bark. – Dobre wieści – powiedział, oddychając z ulgą. – Krwawisz jak zarzynane ciele, więc nie grozi ci śmierć od trucizny.

– Hura – skomentowała Lila.

– Jeśli to ci poprawi humor, to przyznaję, że miałaś rację. Przyjście tutaj to nie był dobry pomysł. – Przyłożył dłoń do rany i wlał w nią strużkę mocy. Nie miał czasu na dokładniejsze badanie, ale na podstawie umiejscowienia rany zakładał, że ostrze nie naruszyło ważniejszych życiowych organów. Musiał jednak zatamować krwotok.

Minęła minuta, potem druga, i wreszcie strumień krwi zamienił się w strużkę. To już nie zagrażało życiu. Ash zdjął pelerynę i okrył nią Lilę, żeby się nie wyziębiła.

Coś uderzyło go w ramię. Obrócił się i zobaczył smoka, który spoglądał na niego ze smutkiem.

– Hej, musisz poczekać na swoją kolej. Mam za dużo pacjentów, do tego te krwiożercze wampiry próbują się tu wedrzeć i...

Zamilkł i podniósł głowę. Ktoś grzebał przy włączniku. Ash po cichu wstał, wyciągnął się, złapał za uchwyty na kłapie i zawisł na nich. Pokrywa odrobinę się przesunęła, tak że widać było światło przy krawędziach, ale ten, kto ją poruszył, nie dał rady unieść jej wraz z ciężarem Asha.

– Pewnie jest zamknięte – powiedział i zupełnie bezsensownie zapukał. Czy myślał, że jeśli ktoś tam jest, to mu otworzy?

– On musi tam być – odezwał się inny głos. – Przeszukaliśmy wszystko, a odór demona zdaje się dochodzić właśnie stąd. – Kłapa

znowu drgnęła.

– Pamiętaj, że ja dowodzę – burknął ten, który mówił wcześniej. –  
Wszyscy się zgodzili, że ja pierwszy skosztuję krwi tego maga.

– Ja się nie zgodziłem – odparował jego rozmówca.

– Byłeś tam – stwierdził pierwszy darianin.

– To było wiele dni temu. Jeśli chciałeś świeżej krwi, trzeba było  
wykorzystać któregoś z tamtych magów.

– Oni nie są tacy sami – zaskomlał pierwszy. – Jest w nich coś in-  
nego. Jakiś obcy smak.

– Lepiej się decydujemy, zanim reszta skończy z tymi w kabinie –  
odezwał się nowy głos – albo będziemy się musieli podzielić  
ze wszystkimi.

– To nie dla ciebie, Robercie – stwierdził kapłan numer jeden. –  
Wracaj do reszty, zobacz, jak im idzie. Może się z tobą podzielią.

Sprzeczali się coraz głośniejszy i bardziej zapamiętałe. Przynajmniej  
przestali szarpać za klapę, ale Ash wiedział, że nie na długo. Sięgnął  
po swoją obręcz i wyjął z niej drobne narzędzia, które teraz poukry-  
wał na sobie. Nic nie wskazywało na to, że będzie żył dość długo, by  
mieć okazję ich użyć, ale nigdy nic nie wiadomo.

Odzyskiwał moc, lecz i tak czuł się, jakby zatykał pojedyncze dziury  
w rozpadającej się tamie. Nie był w stanie wisieć na klapie, leczyc Lili  
i doglądać smoka. Potrzebował pomocy.

To nasunęło mu pewien pomysł. Ostrożnie puścił uchwyty, ukląkł  
i zaczął obmacywać podłogę.

– Co robisz? – Głos Lilii był cichszy od szeptu.

– Szukam kluczyka. O, jest. – Podniósł go triumfalnie i zaczął oglą-  
dać. Było to urządzenie z zawiasami, dwa dopasowane półkola, które  
po złączeniu tworzyły coś w rodzaju tuby. – Jak to działa?

– To chyba nie jest dobry moment, żeby...  
– Chcę uwolnić smoka – przerwał jej Ash.  
– Aha, rozumiem. Sytuacja nie jest dość zła, więc chcesz ją jeszcze pogorszyć.

– Wiem, co robię. Smok posłuży do odwrócenia uwagi.  
– Do odwrócenia uwagi. No tak. Kiedy spali mnie żywcem, to odwróci moją uwagę od innych kłopotów. – Przewróciła oczami. – Liczysz na to, że on podpali statek i wtedy wszystko wybuchnie.

Owszem, na to liczył. Trochę.

– Lila, muszę to wiedzieć. Teraz.  
– No dobrze. To się nakłada na obręcz. Jak to zamkniesz, przesun, a kiedy usłyszysz trzask, znaczy, że trafiłeś na zasuwkę. Pociągnij za obręcz, powinna się otworzyć.

Ash podszedł do smoka. Złote oczy zwierzęcia wpatrywały się w niego hipnotyzująco niczym ślepiec węża.

– Wypróbujmy – mruknął. Wlał w smoka trochę mocy, żeby go uspokoić. Potem wsunął palce pod metalową obrozę i nałożył klucz. Połączył obie połowy i ostrożnie prowadził je wzdłuż obroży. Urządzenie było mocno dopasowane, przesuwano się z trudem. Ash popychał je powoli, uważnie nasłuchując. W końcu usłyszał szcęk. Delikatnie pociągnął za boki obroży, a ta rozpadła mu się w dłoniach na dwie części.

Czas naglił. Klapa z głośnym zgrzytem zaczęła się unosić i do ładowni wpadł strumień światła. Ash skoczył ku uchwytnym. Zawisł, ale tym razem darianie widocznie połączyli siły, bo zaczęli podciągać go wraz z pokrywą. W końcu ujrzął przed sobą zakapturzoną twarz i fanatyczne spojrzenie jednego z nich. Natychmiast w jego stronę skierowała się chmara ostrzy. Puścił uchwyty i spadł z powrotem do ładowni.

wni. Usłyszał trzask, gdy kapłani przewrócili się na plecy, a kłapa upadła na pokład.

Ash spojrział na Lilę. Miała zamknięte oczy. Smok leżał cicho, bacznie go obserwując, jakby ciekaw, co będzie dalej.

*Nie ma już odwrotu*, pomyślał Ash i sięgnął po amulet. Za mało mocy. Jeszcze za mało. Gdyby jednak usmażył tych pierwszych, mógłby chociaż na jakiś czas zniechęcić pozostałych.

*Gdzie jest Gwardia Królewska? Nigdy jej nie ma, kiedy jest potrzebna.*

Zastanawiał się, czy gdyby podpalił statek, ładunki wybuchną. Usiłował sobie przypomnieć, co mówiła Jenna. No więc, sul'Hanie, wolisz zostać spalony, rozerwany na strzępy w wybuchu czy pozwolić zgrai fanatyków wyssać z ciebie życie?

Ścisnął węzowy amulet, należący kiedyś do jego ojca, i czekał na pierwszego wampirzego kapłana, który ukaże się w wejściu.

## NOCNA WIZYTA



Jenna leżała w komnacie w wieży, wsłuchana w burzę nadchodzącą z północnego zachodu. Wiatr huczał głośno, z wielką siłą omiatając mury. Deszcz bębnił po dachu i wylewał się strumieniami z ust gargulców po obu stronach okna. Gdzieś niedaleko uderzył piorun, wprawiając ściany zamku w drzenie, niebo za okratowanym oknem przeszła błyskawica, która w jednej krótkiej chwili nakreśliła na kamiennych murach chybotliwe świetlne zygzaki.

*Zmiana pogody*, pomyślała Jenna, *na lepsze albo gorsze*. Usiadła i rozejrzała się po komnacie. Odkąd przeniesiono ją z celi w lochach, nie spała dobrze. To zakrawało na ironię, bo przecież łóżko teraz miała wygodniejsze, była czysta i nie musiała się bać szczurów wylazających ze ścian.

Może to ostatnie nie było do końca prawdą. W tym pałacu aż roilo się od ludzkich szczurów, a tych mogła się spodziewać już wkrótce.

Za każdym razem gdy zamykała oczy, przez jej głowę przewijały się sny, obrazy i wspomnienia.

Ten głos błagający o pomoc. Zaklinaczu Ognia. Umieramy.

Leciała nad wybrzeżem, gdzie turkusowe fale stykały się z białym piaskiem i żółtawymi klifami. Wiatr targał jej włosy, przymknęła oczy i...

Nie. To nie było morze, lecz oczy Adama Wilka, pałające pożądaniem, smak jego pocałunków, jego uściski, dotyk jego ciała i delikatnych zwinnych dłoni. To był zapach jego skóry i bicie jego serca.

To był sposób, w jaki Adam poruszał się po tych granicznych obszarach między życiem a śmiercią, ciemnością a światłem, bólem a przyjemnością, i z jakim oddaniem leczył cudze rany, ukrywając własne.

Był też Gerard Montaigne demon, trzymający jej los w swoich rękach. A może nie. Oraz Evan Strangward, który poruszał jakąś strunę w jej pamięci. Dlaczego wydawał się tak znajomy?

Tego wieczoru Adam miał wprowadzić ich plan w życie. Jeszcze nic się nie wydarzyło, bo inaczej w całym pałacu zapanowałby tumult jak w przewróconym ulu. Niepokorny duch Jenny sprawiał, że czuła prawdziwą satysfakcję z tego, że może zadać ostatni cios królowi Ardeny, nawet jeśli nie zrobi tego własnymi rękami.

Zsunęła się z łóżka i bosy podeszła do okna. Wiatr zacinał deszczem do wnętrza, tworząc kałuże na podłodze. Jenna zadrzała. Tunikę, którą dał jej uzdrowiciel, już zastąpiła jedwabną koszulą nocną sięgającą prawie do kostek. Teraz przynajmniej miała zakryte nogi.

Oparła się o szeroki kamienny parapet i wyjrzała między żelaznymi prętami, bo w tej zawierusze nie spodziewała się usłyszeć wybuchu z przystani. Nieczęsto się modliła, ale teraz błagała w duchu, żeby Adamowi nic się nie stało.

Usłyszała jakiś ruch w korytarzu i obróciła się w stronę drzwi. Serce podskoczyło jej do gardła. Miała wrażenie, że słyszy najpierw jęk zdu-

mienia i bólu, a zaraz po nim głucho tąpnięcie ciała uderzającego o podłogę. Drzwi uchyliły się i do komnaty wpadła smuga światła.

Kto miałby powód, by zakradać się do niej o tej porze? Na pewno nie król ani jego sługusy. Czy ktoś przybywał jej na ratunek? Czy to porwanie? A może jakaś zasadzka?

Rozejrzała się w poszukiwaniu broni, chwyciła lampę olejową i czekała z zapartym tchem, gdy drzwi otwierały się szerzej.

Pierwszy pojawił się ogromny mężczyzna z długimi warkoczami po bokach. Rozpoznała go – trudno go było zapomnieć. Był wraz z delegacją Kartezji w sali audiencyjnej u króla. Kartezjańczyk obrzucił komnatę wzrokiem i przesunął się na bok, by wpuścić do środka pozostałych.

Za nim weszło jeszcze czworo – trzech mężczyzn i kobieta – i zajęli miejsca przy samych drzwiach, jakby stawali na straży. Jako ostatni pojawił się Evan Strangward w sięgającej kolan pelerynie okrywającej jego cienkie szaty.

A więc nie przybywano jej na ratunek.

Strangward obrócił się i pośpiesznie zamienił kilka słów z kimś w korytarzu. Jenna zauważyła, że był to Destin Karn, który skinął głową i zamknął drzwi.

Czyżby król zmienił zdanie co do rozmowy Strangwarda z Jenną? Jeśli tak, to dlaczego działo się to w środku nocy? I gdzie byli strażnicy?

Emisariusz stanął w rozkroku, podparł się pod boki i przyglądał się jej w milczeniu. Jenna, zażenowana, w samej koszuli nocnej, czując chłodny powiew na nogach, żałowała, że nie ma się czym okryć. Starła się nie spoglądać na rozgrzebane łóżko.

Uniosła lampę.



– Nie podchodź – ostrzegła – albo użyję tego. – Powiedziawszy te słowa, pomyślała, że to wątpliwa groźba wobec maga z mieczem.

– Jenno, przepraszam za wizytę o tej porze, ale nie mamy czasu. Twój król mnie do tego zmusił.

*To nie mój król*, odpowiedziała mu w myślach.

– Co to znaczy?

– Chciałem zabrać cię ze sobą i tym samym zyskać trochę czasu, żeby się o tobie więcej dowiedzieć. W tej sytuacji nie wydaje się to możliwe.

Jenna wpatrywała się w niego, myśląc gorączkowo. Czy to znaczy, że umowa nie zostanie zawarta? Adam mówił, że się porozumieli. W zachowaniu Strangwarda, w jego niespokojnych spojrzeniach na drzwi, było coś podejrzanego. Jego strażnicy stali w grupie, w wielkim napięciu, z dłońmi na mieczach.

– Czy król wie, że tu jesteście? – Jenna spojrzała w ciemność.

Strangward wzruszył ramionami, potarł nos i odparł:

– Nie. Nie wie.

– Nie boicie się, że zacznę krzyczeć i sprowadzę tu gwardzistów?

– To możliwe, ale niezbyt prawdopodobne – stwierdził Strangward.

– Usunęliśmy strażników sprzed twoich drzwi. Jako że to jedyna zamieszkała komnata w tej wieży, wątpię, by ktokolwiek cię usłyszał, zwłaszcza przy tej pogodzie. W sumie warto było podjąć takie ryzyko.

– Skinął w jej stronę zapraszająco. – Proszę bardzo, spróbuj. To znaczy krzycz.

Z ludźmi Montaigne'a wcale nie czułaby się bezpieczniej. W tej sytuacji mogła przynajmniej się czegoś dowiedzieć.

– Nie. Chyba jednak nie będę krzyczeć.

– Dobrze. Usiądziemy? – Wskazał krzesło przy kominku.

Chcąc okazać niezadowolenie, usiadła na skraju paleniska, a nie na krześle.

Strangward dotknął amuletu i rozpałił kłody w kominku. Następnie przysiadł się do niej.

– Gdyby pewni ludzie wiedzieli, że tak łatwo wślizgnąć się do pałacu, król już dawno temu byłby martwy – zauważyła Jenna.

Ku jej zdziwieniu emisariusz zachichotał. Śmiał się dość długo i szczerze.

– Naprawdę go nie lubisz – stwierdził, ocierając oczy.

Jenna wciągnęła powietrze przez nos. Strangwarda otaczał zapach dzikiej natury, kojarzący się z blaskiem słońca, deszczem, piaskiem i burzami nadciągającymi od morza. Było w tym coś znajomego, coś, co łączyło ich dwoje niczym naprężona lina.

Przecież nie mogli się wcześniej spotkać...?

– Byliście kiedyś w Delphi? – zapytała, wyciągając dłonie do ognia, by się ogrzać.

– Nie – odparł, opierając się o palenisko, i skrzyżował nogi w kostkach. Mimo że na pewno się śpieszył, bardzo mu zależało, by pokazać, jak swobodnie się czuje. – Nie byłem. A czemu pytasz?

– Zastanawiam się, czyśmy się kiedyś nie spotkali.

Przechylił głowę i spojrzał na nią z uwagą.

– Dziwne. Mam takie samo wrażenie. Twoich oczu nie da się zapomnieć. Są jak u kota.

– Wszyscy mi to mówią.

– Może spotkaliśmy się w marzeniach – powiedział.

– Nie jestem marzycielką. Mówiliście, że chcecie ze mną porozmawiać. O czym?

Wyprężył plecy, ułożył nogi prosto i umieścił stopy na podłodze na znak, że przystępuje do interesów.

– Chciałbym jeszcze raz zobaczyć twój magiczny znak.

Jenna zebrała włosy, odsunęła je od szyi i obróciła się plecami do emisariusza.

On położył rękę na jej gołym ramieniu i lekko ją od siebie odsunął. Palce jego drugiej dłoni, ciepłe i suche, kłujące magią, przesuwały się po znamieniu pod linią włosów. Jego dotyk wywoływał gęsią skórę na jej ciele.

– Hmm – mruknął.

Teraz położył obie ręce na jej barkach i Jenna poczuła muśnięcie wtłaczanej w nią mocy. Wiedziała, że Strangward próbuje użyć magii, by wydobyć z niej prawdę, tak jak wcześniej robił to Karn. Zaciśnęła zęby i nie stawiała oporu. Miała nadzieję, że jeśli on się czegoś dowie, podzieli się z nią tym spostrzeżeniem.

– Nie jesteś magiem – oznajmił w końcu. W jego głosie brzmiało zdumienie.

– Nie jestem – przewróciła oczami. – Karn wam tego nie powiedział? Sama bym wam to powiedziała, gdybyście zapytali.

– W takim razie na czym polega twoja moc?

– A czemu myślicie, że mam magiczną moc?

– Cesarzowa ma jakiś powód, by cię szukać. Ponieważ zależy jej na magicznej mocy, zakładam, że masz coś, czego ona chce.

– Nie mam zamiaru przeproszać za to, że jestem zwyczajną osobą. Szczerze mówiąc, wszyscy obdarzeni mocą, których do tej pory poznałam, niczym szczególnym mnie nie zachwycili.

– Nie. – Strangward pokręcił głową. – Musi w tym coś być.

– A nie przyszło wam do głowy, że to nie mnie szuka cesarzowa? Że ja jestem tylko dziewczyną ze znamieniem i nie mam z tym wszystkim nic wspólnego?

– To możliwe, ale nie mogę ryzykować. Jeśli powiesz mi prawdę, może będę mógł ci pomóc. To zależy, jaka będzie ta prawda.

Jenna znowu poczuła gniew.

– Ach tak, pomożecie mi? Zanim się zjawiliście, nie potrzebowałam pomocy.

Zmarszczył czoło, jakby szczerze skonfundowany.

– Co ja takiego zrobiłem?

Po tych słowach gniew, który się w niej tlił, rozgorzał z pełną siłą.

– Miałam życie – odparła. – Było ciężkie, rozpaczliwe, ale to już było coś. Wasza władczyni kazała królowi Ardeni mnie wysledzić i nagle w ciągu jednego miesiąca straciłam jedyną rodzinę, jaką miałam, straciłam dom i środki do życia. Potem byłam przykuta do ściany w lochach. Wybaczcie więc, jeśli nie uśmiecha mi się przyjęcie waszej oferty pomocy.

– Przykro mi, że to wszystko cię spotkało – rzekł Strangward. Wstał i zaczął się przechadzać po komnacie. – Wiem, jak to jest być ściganym.

Dzwony na wieży świątynnej za oknem wybiły pierwszą.

– Mój panie? – Najwyższy z kompanów Strangwarda skinął głową i uniósł brwi.

– Wiem, Teza. Ale potrzebuję trochę więcej czasu. – Strangward wrócił do kominka i usiadł, wsuwając dłonie między kolana. Nabrał powietrza w płuca i powiedział: – Opowiedz mi, co cię łączy z cesarzową Celestyną.

– Mam już powyżej uszu odpowiadania w kółko na te same pytania.  
– Jenna podniosła głos. – Może zapytajcie kogoś z tych kilkunastu osób, które już mnie o to pytały?

Emisariusz uniósł obie dłonie, jakby chciał ją powstrzymać.

– Przepraszam. Ale chcę się upewnić... ustalić na pewno... że niczegośmy nie przeoczyli.

Wzdrygnęła się, i to nie z powodu chłodnego wiatru od okna. Coś w sposobie, w jaki to powiedział... coś jej mówiło, że od odpowiedzi wiele zależy.

Nagle znowu chwycił ją za rękę i ponownie wlał w nią moc.

– Dlaczego cesarzowa cię szuka? Powiedz mi. – Po chwili puścił jej dłonie i mruknął: – To nie działa, prawda? Ty rzeczywiście jesteś odporna na magię. – Stwierdził to w taki sposób, jakby potwierdzał coś, o czym już mu doniesiono.

Teraz jednak Jenna ujrzała obrazy, przesuwane się tak szybko, że nie była w stanie skupić się na żadnym z nich. Przyłożyła dłonie do obu skroni, jakby chciała zatrzymać te wizje tam, gdzie są.

Nie rozumiała, co się dzieje. Była przerażona.

– Panie – znowu odezwał się mężczyzna o imieniu Teza. – Nie możemy zostać dłużej, jeśli mamy zdążyć na odpływ.

Strangward kiwnął głową, jakby w końcu się poddał. Kucnął przed Jenną, aby spojrzeć jej w oczy.

– Czy mówisz mi prawdę, Jenno? – zapytał cicho, tonem kogoś, kto podejmuje ostatnią próbę. – Naprawdę nie wiesz, dlaczego cesarzowej tak zależy, żeby cię znaleźć? To naprawdę ważne dla nas obojga.

– Naprawdę nie wiem. Chciałabym to wiedzieć. Miałam nadzieję, że wy mi to wyjaśnicie. Chyba będziemy musieli... – głos jej zadrżał. Usłyszała inny głos, głęboko w myślach, silniejszy niż wcześniej.

### *Zaklinaczu Ognia. Nadchodzę.*

– Lordzie Strangward, mogę prosić na chwilę? – powiedział Teza, przywołując go gestem.

Emisariusz wstał i podszedł do swojego sługi stojącego przy drzwiach.

– Wiem, że to dla was trudne – rzekł Teza tak cicho, że Jenna nie powinna była tego słyszeć. – Jeśli trzeba to zrobić, pozwólcie mi was wyręczyć.

– To nie w porządku prosić cię, żebyś zrobił to za mnie – odparł Strangward. – Ryzykowałeś życiem, już tak wiele straciłeś. Zrobię to sam.

– Ale ja chcę to zrobić, mój panie. Wiecie, że dobrze sobie radzę z nożem. To będzie szybkie bezbolesne cięcie. Nic nie poczuje, obiecuję.

Serce Jenny przyspieszyło. Nie była owcą, czekającą na złożenie jej w ofierze. Podniosła się, chwyciła lampkę olejną i rzuciła ją przed siebie, ruszając biegiem w ich stronę. Gorący olej ochlapał obu mężczyzn i natychmiast zajął się ogniem.

### *Zaklinacz Ognia.*

Jenna biegła ku drzwiom, przeskakując kałuże płonącego oleju. Chwyciła za klamkę i szarpnęła. Ktoś – Strangward albo Teza – złapał ją za rękę i odciągnął w tył. Wspólnie poślizgnęli się i runęli na ziemię. Jenna uderzyła głową w kamienną posadzkę i ujrzała eksplozję światła. Usłyszała wrzask, ktoś wzywał ją po imieniu, drzwi otworzyły się i zamknęły. Poczowała swąd palonego ciała – nie była pewna, czy to nie jej własne.

W tym momencie zobaczyła wyraźnie jeden z obrazów, którymi uraczył ją Strangward. Srebrnowłosa kobieta stojąca przy gorejącym kra-

terze. Trzymała w rękach wierzące się dziecko, gotowa rzucić je w płomień. I nagle, na oczach przerażonej Jenny, puściła je.

Jenna podniosła się. Otaczały ją płomienie. Zasłony płonęły, obicia mebli wydzielały dym i smród palącej się wełny i tłuszczu. Między nią a drzwiami wzbijał się snop ognia sięgający sufitu. Tą drogą nie dało się przejść. Zobaczyła dwa zwęglone ciała, nikogo poza tym. Reszta widocznie uciekła, zostawiając ją na pożarcie płomieniom.

Domyślała się, że jej skóra też musi być zwęglona, bo czuła w niej dziwne mrowienie. Spojrzała w dół i zauważyła, że jej ramiona pokrywają lśniące łuski, jej dłonie zamieniają się w pazury. To przypominało wygląd jej rany, gdy zaczynała się goić. Łuski były złote, srebrne i miedziane – jak kolor jej włosów.

Krzyczała, lecz jej krzyk ginął w odmětach tego piekła.

*Dym i uderzenie w głowę mnie otumanily, myślała. Muszę wyjść na świeże powietrze.* Czołgając się po potłuczonym szkle, zbliżyła się do okna, gdzie wciąż czuć było powiew wiatru, tylko że teraz do środka wpadał śnieg i grad, którego duże kulki stukały o podłogę. Skuliła się pod oknem, objęła się rękami i czekała na śmierć w płomieniach. Nagle uświadomiła sobie, że przecież nie musi czekać.

Woreczek, który dostała od uzdrowiciela, umieściła w gorsecie, więc wisiał teraz między jej piersiami. Wsunęła pazur i wydobyła go, lecz nie mając dawnych dłoni, nie była w stanie go rozwiązać. Próbowała przegryźć sznurek, a potem rozerwać woreczek. Gdy jej się to udało, jagody wypadły na podłogę.

Obmacywała deski pazurami, ale nie mogła znaleźć tych dwóch kuleczek ani dotykiem, ani węchem. Krzyczała chrapliwie z rozpacz i bezsilności, a jej krzyk roznosił się echem po komnacie. Skądś

na zewnątrz wieży dobiegła odpowiedź – krzyk, który poczuła gdzieś w głębi siebie.

Nadstawiła twarz do wiatru, w stronę oceanu, w stronę czystego, chłodnego powietrza; zmrużyła oczy, by je chronić przed drobinkami lodu. Dociskając szpony do marmuru, krzyknęła:

– Zaklinaczu Ognia! – i usłyszała trzepot skrzydeł.



## ŚMIERĆ ZADANA PRZEZ SMOKA



Pierwszemu kapłanowi, który opuścił się do ładowni, Ash podciął gardło. Nie potrzebował do tego magii. Drugiemu zatrzymał serce, na co nie zużył dużo mocy. Przy trzecim jednak nie było już czasu na subtelności. Ash uśmiercił go, zanim jeszcze ten zsunął się na dno statku. Przyjemnie było znowu korzystać z magii, zupełnie jakby używał mięśni, których nie rozciągał od jakiegoś czasu.

Nagle coś uderzyło go w ramię z taką siłą, że Ash wylądował na ścianie.

To był smok. Próbował rozłożyć skrzydła.

– Nie tutaj – syknął Ash, podnosząc się. W tym momencie jednak kolejny kapłan wskoczył do ładowni i stanął na wprost Asha, z nożem w dłoni, tak skoncentrowany na swoim celu, że zdawał się nie zauważać smoka.

– Szykuj się na śmierć, demonie – powiedział, rozciągając usta na pożółkłych zębach poplamionych krwią. Zupełnie jakby wrócił koszmar z dormitorium.

„Smok posłuży do odwrócenia uwagi”. Tak powiedział Lili.

Ash skierował palec ponad ramieniem darianina.

– Uwaga na smoka – powiedział.

– Jeśli uważasz, że jestem taki głupi, żeby... aaaaaaa!

Ash odsunął się poza zasięg ogona, którym smok machnął gwałtownie, wbijając kolce w zaskoczonoego kapłana, a potem zawzięcie tłukł nim o ściany. Ceramiczne płytki roztrzaskiwały się z hukiem, odłamki sypały się na podłogę i wrzynały w skórę Asha, który zdążył zasłonić sobą Lilę.

Śmierć zadana przez smoka. Tego nie było na liście możliwych zagrożeń.

W otworze włączonym pojawili się kolejni kapłani, wszyscy próbowali precyzyjnie się naraz. Smok dmuchnął w nich płomieniami, raz za razem, i natychmiast rozpętało się piekło.

Hałas był ogłuszający – wrzaski kapłanów, dzikie ryki złości i strachu wydawane przez smoka. Asha piekły oczy, w nozdrzach czuł odór siarki i palonego mięsa.

*Może faktycznie uwolnienie smoka nie było dobrym rozwiązaniem, pomyślał. Zwłaszcza że nikt z nich nie mógł się wydostać z ładowni.*

Jednak smok naprawdę skupiał na sobie uwagę. Ash z przyjemnością obserwował, jak bestia radziła sobie z kapłanami.

Nagle smok ryknął, jakby wzywał do boju. Ugiął nogi i mocno podskoczył. Przebił deski pokładu, roztrzając darianów na wszystkie strony. Kolejny ryk wściekłości i znikł, pozostawiając po sobie jedynie wypaloną dziurę.

Deszcz zalewał pokład; z płonących desek i ciał unosiły się smugi pary. Okazało się, że smok umiał się wydostać. Teraz Ash i Lila także.

– Chodźmy – Ash podał Lilii rękę. – Chyba nie chcemy czekać, aż smocze płomienie sięgną materiałów wybuchowych.

Omijając sterty zwęglonych szczątków statku, przedostali się przez dziurę w czymś, co wcześniej było ścianą ładowni, i doszli do schodów. Lila krzyknęła kilka razy, kiedy otarła się o coś ranną ręką, lecz potem zacisnęła usta, jakby nie chciała dopuścić do kolejnych takich sytuacji. Kiedy znaleźli się na pokładzie, szybko ruszyli ku rufie. Ash martwił się, że Lila nie da rady zejść po drabinie sznurkowej.

W doku roilo się od gawrońców, którzy najwyraźniej nadbiegli, by gasić pożar. Ash szukał wzrokiem kogoś znajomego i zauważył Marka DeJardina. On i Guy Fleury z zapamiętaniem gasili ogień i poganiali żeglarzy z innych statków, by jak najszybciej oddalali się z tego miejsca.

– Mark! – krzyknął Ash z pokładu. – Barrowhill jest ranna. Potrzebuje uzdrowiciela.

Mark wskazał ręką grupkę zdumionych czeladników uzdrowicieli, czekających na rozkazy. Ash z radością dostrzegł wśród nich Harolda i Boyda.

– Harold! Boyd! Chodźcie tutaj! – Chłopcy rzucili się w jego stronę, pękając z dumy, że to właśnie oni zostali wybrani.

Gdy Harold rozpoznał Asha, zapytał zdumiony:

– Mistrzu Adamie, dlaczego macie pelerynę gwardzisty?

– Było mi zimno – odparł Ash. – Barrowhill też. Została dźgnięta nożem. Jestem pewien, że dobrze się nią zajmiecie, póki nie wrócę.

– Nic mi nie jest – syknęła Lila. – Muszę się zająć... no wiesz...

– Ja się tym zajmę – przerwał jej Ash. Ponownie zwrócił się do czeladników: – To było krótkie ostrze, wejście między obojczykiem a prawym ramieniem. Powstrzymałem krwawienie, przynajmniej na zewnątrz. Załóżcie opatrunek, zabandażujcie, potem usztywnijcie rękę i unieruchomcie. Zapewnijcie jej ciepło i niech milczy. Tak?

Zgodnie pokiwali głowami, nie zważając na protesty Lili.

– Co kilka minut sprawdzajcie jej tętno i oddech. Ja zaraz wrócę.

– Dokąd idziecie?

– Sprawdzić, czy jeszcze ktoś przeżył na statku. – I zabić go, dodał w myślach.

Następnie chwycił Marka za ramię.

– Odsuń wszystkich od statku jak najdalej. Nie pozwól nikomu wejść na pokład. Sądząc po tych płomieniach, nie zdziwiłbym się, gdyby to zaraz wybuchło.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł w kierunku trapu. Przeszukał statek od rufy po dziób, żałując, że nie wie, ilu kapłanów było na pokładzie, i nie może sprawdzić, czy wszyscy zginęli. Przy włazie leżeli trzej martwi darianie i jeden bliski śmierci, paskudnie poparzony i połamany. Ash musiał go dobić. Niechętnie zszedł do ładowni, gdzie znalazł jeszcze trzy ciała. W kabinie leżało dwóch magów Strangwarda pozbawionych krwi. To wszystko.

Nie było śladu smoka, emisariusza, Vona ani reszty załogi. Musieli zejść ze statku jeszcze przed atakiem darianów. Gdzie mogli być? Dokąd mogli pójść w Ardencourt? Przecież wyglądało na to, że emisariusz nie miał zamiaru oddalać się od statku.

Ash przypomniał sobie rozmowę w sali audiencyjnej, wyraz twarzy Strangwarda, kiedy król odmówił natychmiastowej wymiany. Czy możliwe, że postanowił porwać Jennę? Jeśli tak, czy wiedziałby, gdzie ją znaleźć? Możliwe. Skądś przecież wiedział, że jest w Ardenie, i przybył ją zabrać. Musiał mieć na dworze swojego informatora.

Im dłużej Ash o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że znajdzie Strangwarda tam, gdzie jest Jenna. A musiał ich znaleźć natychmiast.

Przed powrotem na brzeg jeszcze raz obszedł cały statek i pozapalał lonty zgodnie ze wskazówkami Jenny. Wyglądało na to, że Lila dobrze się sprawiła. Miał nadzieję, że oboje dożyją chwili, w której jej to powie.

## ZAKLINACZ OGNIA



Wieża się waliła. Ze ścian sypały się kamienie i skalne odłamki, które nieomal pogrzebały Jennę żywcem. Z trudem wydostała się spod gruzów. Prawie nic nie widziała, bo po twarzy i oczach spływała jej krew ze zranionej głowy. Kiedy w końcu stanęła chwiejnie na nogach, natychmiast poczuła na twarzy zacinający deszcz ze śniegiem, a silny wiatr omal jej nie przewrócił. Ręce i nogi wciąż miała pokryte łuskami.

*Zawsze, kiedy zdaje mi się, że już nie może być gorzej, okazuje się, że jednak może, pomyślała.*

Stała na zgliszczach tego, co dawniej było wieżą. Wszystko znad jej głowy zniknęło, została tylko jedna ściana jej niedawnej celi. Jenna przywarła do niej skulona, drżąca, czując na sobie strugi krwi i deszczu, ściekające na kamienie pod jej stopami. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy w wieżę uderzył piorun, czy zdmuchnął ją tajfun, czy też co innego?

*Przynajmniej taka korzyść z tego deszczu, że gasi pożar, pomyślała.*

Znowu usłyszała ten wrzask, a po nim gwałtowny trzepot skrzydeł. Podniosła głowę akurat w chwili, gdy niebo przesłoniły skrzydła olbrzymiej bestii, która zawisała nad nią z wyciągniętymi pazurami. Jenna skuliła się instynktownie, zamknęła oczy i osłoniła głowę rękami, spodziewając się, że lada moment te ostre pazury zatopią się w jej ciele.

Zamiast tego usłyszała plaśnięcie, gdy potwór wylądował w kałuży obok niej. Otworzyła oczy i ujrzała go sunącego po śliskiej platformie i rozpaczliwie bijącego skrzydłami, by nie spaść poza krawędź. Udało mu się zatrzymać na samym skraju. Kiedy odzyskał równowagę, obrócił się w jej stronę i rozprostował skrzydła.

Dopiero wtedy zrozumiała, co widzi. To był... to musiał być... smok cesarzowej. Widocznie Ashowi udało się go uwolnić. On zaś od razu przyleciał ją zabić. Szlag.

Był mniej więcej rozmiarów dużego konia, z ogromnymi łapami i masywnym łbem, jakby jego ciało jeszcze nie w pełni dojrzało. Miał duże złote oczy po obu stronach pyska, rogi i pazury, które pozostawiły długie zadrapania na drewnianej podłodze.

Na jego grzbiecie sterczały dwa rzędy ostrych kolców, biegnących od barków do końca ogona, tak długiego, że w tym momencie zwisał poza krawędź budowli. Smok zdawał się powiększać, gdy zbliżał się do Jenny, ziejąc dymem i ogniem z nozdrzy.

*Chyba wcióż mam szansę zginąć w płomieniach*, pomyślała. Była jednak zbyt otumaniona i wyczerpana, by walczyć. A nawet by się poruszyć.

Kiedy smok znalazł się o kilka kroków od niej, zatrzymał się i przekrzywił głowę. *Zaklinacz Ognia?* Te słowa rozległy się w jej głowie,

wypowiedziane tonem pytania. Nagle zrozumiała. To ten sam głos, który prześladował ją od dnia przybycia emisariusza.

Nie wiedziała, czy śni, czy już nie żyje. Wiedziała jednak, że czasami nie ma sensu się opierać.

– Zaklinacz Ognia – powtórzyła. – Czy tak się nazywasz? Czy mnie szukasz?

Smok zrobił krok naprzód, pochylił łeb i nieśmiało trącił ją nosem w kolano. Ona położyła swoją szponiastą dłoń na jego głowie. Czuła na gołych stopach jego gorący oddech, woń dymu mieszała się w jej nosie z wonią spalenizny. Usiłowała sobie przypomnieć, co wie o smokach poza tym, że nie istnieją. Czy jedzą ludzi?

– Jestem Jenna – przedstawiła się, jakby licząc na to, że jeśli już się poznają, nie zostanie pożarta.

Czuła intensywny wysiłek mózgu smoka, jakby zwierzę poszukiwało w myślach czegoś, co miało się tam znajdować. W końcu coś się pojawiło. Był to raczej obraz niż słowo.

*Jenna.*

– Właśnie tak! – powiedziała. – Jesteś jeszcze mały, prawda? – mruknęła, drapiąc smoka za rogami. On tulił się do niej, dopominając się o więcej pieszczot, ale przecież smok to nie kot. Wreszcie położyła się płasko na plecach, a smok spoglądał na nią z zawstydzeniem i niepokojem w złotych oczach.

*Jenna ranna.*

– Nie znasz swojej własnej siły, prawda? – Zmusiła się do uśmiechu, by dodać zwierzęciu otuchy. Usiadła, choć miała wielką ochotę zamknąć oczy i pozwolić kroplom deszczu spływać po twarzy. Drżała, szczykała zębami, kręciło jej się w głowie.

*Pomoc?*



W pierwszej chwili uznała, że on prosi o pomoc, ale zaraz zorientowała się, że ją proponuje.

– Chciałabym, żebyś mógł mi pomóc – rzekła, ocierając oczy. – Upuściłam jagody i nie mogę ich znaleźć. – Wiedziała, że to brzmi niedorzecznie, ale nie była w stanie sformułować logicznego zdania.

*Jagody? Zaklinacz Ognia nagle się ożywił. Chcesz jeść?*

Jenna zachichotała i pogłaskała go po głowie. Spojrzała na własne ręce. Teraz, gdy ogień gasł, pancerz zaczął znikać i dłonie straciły szponiasty wygląd. Doszła do wniosku, że te łuski pojawiały się tylko wtedy, gdy były potrzebne do osłony ciała.

*No dobrze, zapamiętajcie sobie kolejną moją zdolność, przekłete lajdaki!* – zawołała w myślach.

Najpierw był ogień, teraz lód. Marzła na wietrze i deszczu, ubrana jedynie w cieką jedwabną koszulę. Ciało Zaklinacza Ognia płonęło suchym żarem, którego w tej chwili tak bardzo potrzebowała. Jenna przytuliła się do niego, aby się ogrzać. Słyszała bicie jego serca i jej własne serce zaczęło bić tym samym rytmem.

Smok poruszył się, wsunął się pod nią, podtrzymał jej rękę i lekko się obrócił, tak że ostatecznie leżała na jego grzbiecie ponad miejscem, w którym zaczynały się kolce, i przywierała twarzą do jego karku. Objęła go za szyję i docisnęła kolana do jego tułowia. To było jak przytulanie się do rozgrzanego pieca, tylko w jakiś sposób bardziej intymne.

– Dziękuję – mruknęła. – Tak jest o wiele cieplej. To naprawdę. ..

*Teraz lecieć.*

Pazury stuknęły po kamieniach, gdy Zaklinacz Ognia z Jenną na grzbiecie rozpędzał się, by wzlecieć w niebo.

Jenna krzyknęła i nie zamilkła, jej głos zlewał się z głosem smoka. Na początku była w nim trwoga, ale już po chwili w tym krzyku brzmiała nieokiełznana radość. Przelecieli nad podzamczem. Miasto w dole – skąpane w deszczu, z kłębamii dymu wydobywającymi się z kominów – było małe jak kraina zabawek. Mrużąc oczy zalewane deszczem, Jenna obejrzała się na zniszczoną wieżę, która przypominała nadpalony i złamany ząb. *Masz za swoje, ty parszywy, okrutny diable o czarnym sercu*, przeklinała w myślach. Ścisnęła boki smoka kolanami i jeszcze raz zawyła ze szczęścia.

*A więc tak wygląda niebo. Kto by przypuszczał.*

Teraz lecieli nad przystanią. W dole Jenna zobaczyła statek z połamanymi masztami i dziurą w burcie. Z tej wysokości wyglądał na małeńki. Czyżby to był statek emisariusza? Choć poważnie zniszczony, wciąż unosił się na wodzie.

*Łańcuchy, śmierdzące obroże. Ciemno, cuchnąca dziura. Wrogowie.*

– Tak – szepnęła Jenna, przytulając policzek do karku Zaklinacza Ognia. – Wrogowie.

Znajdowali się w pewnej odległości na wschód od rzeki, gdy nagle poczuli podmuch gwałtownej fali uderzeniowej, a ich uszu dosięgła seria potężnych wybuchów. Zaklinacza Ognia przechyliło na bok i dopiero po chwili rozpaczliwego machania skrzydłami udało mu się wyrównać lot. Jenna obejrzała się za siebie, w kierunku miasta, i zobaczyła, że po statku emisariusza pozostały jedynie płonące szczątki unoszące się na wodzie.

Adam Wilk wykonał zadanie. Jeśli emisariusz i jego kompani nie spłonęli w wieży, to można było mieć nadzieję, że zginęli w tym wybuchu.

Jenna nadstawiła twarz do wiatru i deszczu i wydała z siebie szaleńczy okrzyk, przesycony dzikością, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła. Wtedy zorientowała się, że tracą wysokość, mimo iż smok bardzo się stara utrzymać ich w górze. Jenna nie ważyła wiele, ale widocznie była zbyt ciężka dla tak młodego stworzenia. Zwłaszcza ranego.

Pochyliła się i przemówiła do miejsca, w którym powinno się znajdować jego ucho:

– Zaklinaczu Ognia, znajdź miejsce na lądowanie. Nie chcę, żebyśmy spadli.

Uderzał mocno skrzydłami, by wyrównać lot. Leciał na wschód.

Jenna zasnęła i śniła o Adamie Wilku. O tym, że jest bezpieczny.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, nim wylądowali. Ocknęła się, gdy podskoczyli na czymś nierównym, zaraz potem znowu ją podrzuciło i wyhamowali po krótkim poślizgu.

Byli na plaży. Deszcz już nie padał, ale na piasku wciąż widniały ślady po niedawnej burzy. Kilka gwiazd wyłoniło się spoza chmur i połyskiwało na niebie. Na zachodzie podnosił się księżyc, by rozpocząć swą wędrówkę ponad oceanem.

Jenna nigdy dotąd nie widziała morza. Zamrugła, odgarnęła z oczu zmoczone deszczem i krwią włosy i napawała się tym widokiem. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Gdy wreszcie opuściła wzrok, zauważyła, że łuski na jej ciele zniknęły. Bolało ją wszystko, a najbardziej głowa. Była głodna i potwornie zmęczona, ale żyła.

Zaklinacz Ognia też był wyraźnie wyczerpany. Leżał z głową na przednich łapach, pogrążony w głębokim śnie. Jenna wtuliła się w ciepłe i bezpieczne smocze ciało i znowu zamknęła oczy.

## Z POWROTEM W ZAMKU



Ash wiedział, że nie będzie mu łatwo przekonać Lilę, żeby została, podczas gdy on wróci do zamku szukać Strangwarda. Aby się z nią nie spierać, w ogóle nie wdawał się w dyskusję. Zszedł do przystani po drabinie sznurkowej przy dziobie statku. Zamienił kilka słów z Markiem, którego poinformował, że na pokładzie nie znalazł żywych osób, i przypomniał mu, by nie dopuszczał nikogo w pobliże, póki pożar nie zgaśnie.

Szalejąca burza przewyższała siłą i dzikością wszystkie zjawiska pogodowe, jakich Ash miał okazję doświadczyć, odkąd przybył na Południe. Nawet w pelerynie gawrońca przemókł do suchej nitki, nim minął jedną przecznicę. Był w połowie drogi do Wzgórza Cytadeli, gdy to usłyszał – przeraźliwy wybuch za plecami. Obrócił się i zobaczył drugą eksplozję, a zaraz po niej trzecią. Znad brzegu wzniosła się kula ognia, rozbryzgująca rozżarzone szczątki na okoliczne magazyny i tawerny w dokach. Teraz Ash docenił zalety burzy: deszcz zmniejszył prawdopodobieństwo rozprzestrzenienia się pożaru. Nim wybuchły ostatnie ładunki, cały statek stał w płomieniach.

– Co ty na to, Strangward? – szepnął Ash do siebie. Po chwili dorzucił: – Dziękuję, Jenno. – Nie mógł się doczekać, by zobaczyć jej minę.

Gdy ujrzał twierdzę, omal się nie przewrócił. Najwyższa z wież – ta, w której więziono Jennę – była w ruinie, jakby ktoś ją nadgryzł od góry. Jak to się mogło stać w tak krótkim czasie, gdy on był na statku?

Przyśpieszył kroku. Choć było niewiele po północy, im bliżej podzamcza, tym więcej ludzi mijał na ulicach. Gdy uszedł jeszcze kawałek, zaczął dostrzegać porozrzucane po ziemi fragmenty murów i kamiennych ozdób ze zniszczonej wieży. Jakaś kobieta wymiatała w deszczu piach i gruz z ganku. Była wyraźnie naburmuszona.

– Co się tu dzieje? – zwrócił się do niej Ash.

– Demon wdarł się do wieży i zwałił ją do połowy – odparła. – Ja spałam i tego nie widziałam, ale ludzie mówili, że całe niebo się rozjaśniło, taki wielki był płomień.

– Demon? – Ash wpatrywał się w nią pytającym wzrokiem. – Mówili, jak wyglądał?

– Miał skrzydła i długi ogon. Wyglądał jak latający wąż. Albo smok.

– Smok – powtórzył Ash w zamyśleniu.

– Tak – rzekła kobieta ze swoistą ponurą satysfakcją, jaką ludzie odczuwają, kiedy okazuje się, że mieli rację. – Musiała go tu przysłać ta wiedźma z Północy, żeby nas ukarać. – Zrobiła znak Malthusa i wróciła do zamiatania.

– Czy ktoś ucierpiał? – zapytał jeszcze Ash z sercem w gardle.

– Musicie zapytać tych, co wiedzą więcej. – Ruchem głowy wskazała twierdzę.

Smok, którego Ash uwolnił, poleciał wprost do zamku. Czyżby taki był cel wizyty emisariusza: przeprowadzić atak na Arden od we-

wnątrz?

W dodatku Ash się do tego przyczynił. To była kolejna strzała, którą wystrzelił w powietrze, nie mając pojęcia, gdzie spadnie.

Na terenie podzamcza roiło się od gawrońców, którzy z dłońmi na rękojeściach mieczy obserwowali teren, jakby lada moment spodziewali się następnego ataku. Ash podszedł do jednego z nich.

– Co się tu dzieje? – zapytał.

– Zamek został zaatakowany. Mógł to być pocisk wyrzucony z katarpulty. Nie wiemy.

– Są ranni?

– Nie wiem na pewno. Nie było mnie tu. Podobno znaleźli kilka ciał gdzieś na górze, tam gdzie się zaważyło.

– Kto to był? – zapytał Ash chrapliwym głosem. – Te ciała?

Gawroniec wzruszył ramionami.

– Zdaje się, że nie wiadomo, bo były mocno spalone.

– Dziękuję. Sam to sprawdzę. – Strach i nadzieja rozgorzały w nim z taką mocą, że aż podeszły mu do gardła.

Część arystokratów mieszkających na terenie podzamcza zgromadziła się w Wielkiej Sali, bo to miejsce wydawało im się najbezpieczniejsze. Ojciec Fosnaught odprawiał w rogu modlitwy dla grupki strażników, których większość klęczała na kamiennej posadzce.

Ash zauważył Botetorta w otoczeniu grupki służących, którym wydawał rozkazy. Podszedł do nich, by usłyszeć, o czym mówią.

– Beauchamp. Weźcie pięciu ludzi do Twierdzy Jasnej Skały i zostańcie tam. Każcie zarządcy zatrzymać dzieci wewnątrz i trzodę na pastwiskach nad rzeką, żeby mieć wszystko na oku. Wysłaliśmy

ostrzegawcze wieści do Śródmorza i Zatoki Bastońskiej, ale ostatnią rzeczą, jakiej chcemy, jest rozpowszechnianie opowieści o smokach i wiedźmach wśród wieśniaków.

– Lordzie Botetort – wtrącił Ash. – Co się stało? Czy potrzebny jest uzdrowiciel?

Botetort chwycił go za łokieć i odsunął na bok.

– Nie jesteśmy pewni – mówił cicho i szybko – wydaje się, że smok uciekł ze statku emisariusza i zaatakował twierdzę. Nie wiemy, czy to był wypadek, czy część planu, i jeśli to był plan, to kto za tym stoi.

– Gdzie jest emisariusz? – dopytywał Ash.

– Nie wiadomo. Jakby się zapadł pod ziemię. Ciała jego dwóch strażników znaleziono w wieży, w... – ściszył głos – ...w celi, w której była przetrzymywana ta magicznie naznaczona dziewczyna. W ogóle nie powinno ich tam być.

Co strażnicy emisariusza robili w wieży podczas ataku smoka? Czy go w jakiś sposób przywołali?

– A dziewczyna? Co z nią?

– Nie znaleźliśmy jej. Możliwe, że jej ciało gdzieś tam jest przywalone gruzami. Albo spadło gdzieś daleko. Ta bestia uderzyła na wysokości jej komnaty.

Czyżby cesarzowa cały czas planowała zabicie Jenny? A może Strangward miał rozkaz ją zabić, gdyby nie udało mu się porozumieć z królem?

Te pytania wywołały u Asha poczucie winy. *Jeśli Jenna nie żyje, to moja wina*, myślał. Nie miało znaczenia, że swoją rolę odegrali także król Gerard, Strangward i cesarzowa – to nie pomniejszało jego własnej winy. Znowu poczuł się tak jak po śmierci swojego ojca.

Tyle że tym razem król Ardeny znajdował się w jego zasięgu. Prawdopodobnie.

– A król i królowa? Są bezpieczni? – Starł się, by w jego głosie nie zabrzmiał ton groźby.

Na szczęście Botetort nic nie zauważył.

– Żadne z nich nie ucierpiało. Król wydaje się wstrząśnięty, co uważam za zrozumiałe.

– Przykro to słyszeć – rzekł Ash. – Mógłbym podać mu coś na ukojenie nerwów. – *Żeby uciszyć go na zawsze*, dodał w myślach. – Wiecie, gdzie teraz jest?

Botetort pokręcił głową.

– Nie wiem. Jeśli go znajdziecie, mam nadzieję, że udzielicie mu pomocy. – Zamilkł na chwilę, by rozważyć to, co miał do powiedzenia. – Ostatnio nie był sobą. W takich niespokojnych czasach potrzebujemy silnego przywódcy.

– Rozumiem, panie – odparł Ash, odwracając się.

Wdrapywał się po schodach wieży, pokonując po dwa stopnie. Kiedy mieszkała tu Jenna, wieża była prawie pusta, teraz zaś wyglądała na całkiem wymarłą. Nie widział wielu zniszczeń, póki nie dotarł do poziomu pod komnatą Jenny. Tutaj wszystko wyglądało jak po trzęsieniu ziemi, które podobno często nawiedzało południowe wybrzeże. Ściany były popękane, część z nich mogła runąć w każdej chwili. Kiedy wspiął się o jeden poziom wyżej, usłyszał huk szalejącego wiatru.

Wyszedł na górę i ujrzał jedynie zgliszcza. Mury z trzech stron zniknęły, a powyżej komnaty Jenny nie było już nic. Na tej kondygnacji pozostały niektóre meble, choć osmolone i częściowo spalone. Ten



widok przypominał domek dla lalek, którego boki powyjmowano, żeby zajrzeć do komnat.

– Jenna! – krzyknął, a wiatr natychmiast zagłuszył jego wołanie. – Jenna, to ja, Adam! – Jeżeli nawet nastąpiła jakaś odpowiedź, on jej nie usłyszał.

Deszcz zamienił popiół i zwęglone resztki w czarną zupę. Pod stopami Asha zgrzytało szkło. Przy jedynej zachowanej ścianie znalazł dwa ciała, tak spalone, że ciężko było je rozpoznać. Kiedy przyjrzał się bliżej, strzępki warkocza i biżuteria powiedziały mu, że to strażnik emisariusza.

Chodził po zniszczonej komnacie, zrozpaczony i wściekły, zmuszając się do dokładnych poszukiwań. Znalazł zwęglone strzępy jedwabnej tkaniny – sukienki, którą Jenna miała na spotkaniu z emisariuszem. Wetknął je za koszulę, by nie zgubić.

Zachowała się żelazna rama łóżka, ale pościel zamieniła się w mokry czarny zmierzwiony gałgan. Na stole obok łóżka leżała bryła osmoloj skóry i przemokniętego papieru. Jej książka.

Ciekawe, czy ją skończyła. Otarł łzy z oczu, przypomniawszy sobie, co mu powiedziała, gdy widzieli się ostatnim razem.

„Chcę żyć. Chcę usłyszeć dzwony w świątyni w Delphi, jak obwieszczają zwycięstwo. Chcę pójść w Góry Duchów i porozmawiać z wiedźmami i wrózkami. Chcę przepłynąć ocean aż po horyzont i jeszcze dalej. Chcę wybrać się do wszystkich tych miejsc, które znam tylko z książek. Chcę latać...”

Wsunął dłoń pod pelerynę i wymacał zniszczony złoty wisior, który od niej dostał. Wyglądał jak fragment żeglarskiego kompasu. Znowu zabrzmiały mu w uszach jej słowa:

„Możesz mi to zwrócić, kiedy się znowu zobaczymy”.

Gdy się kogoś kocha, ściąga się na siebie uwagę mściwych bogów.

Podszedł do krawędzi i spojrzał na miasto. Zastanawiał się, gdzie upadłoby ciało Jenny, gdyby smok zrzucił ją z wieży.

To nie miało sensu. Ash zawsze słyszał, że smoki kochają to, co piękne.

*Niepotrzebnie uległem prośbom Jenny, trzeba było go zabić, kiedy miałem okazję, rozpaczał.*

Usłyszał za sobą cichy odgłos, jakby chrupnięcie szkła pod pode-  
szwą. Zaczął się obracać, sięgając po amulet. Nie zdążył jednak. Po-  
czuł czyjąś dłoń między łopatkami i już po chwili leciał w dół. Despe-  
racko wymachiwał rękami i nagle natrafił dłońmi na gargulce po obu  
stronach okna. Chwycił się ich i zaczął badać przestrzeń nogami. Wy-  
czuł coś w rodzaju skalnej półki.

Wiatr huczał głośno, a mur był śliski od deszczu. Ash bał się poru-  
szyć, żeby nie stracić równowagi i nie spaść na ziemię.

Podniósł głowę i poprzez strugi deszczu zobaczył stojącego nad nim  
Gerarda Montaigne'a. Przypominał ducha zemsty z baśni opowiada-  
nych ku przestrodze – stał na tle sunących po niebie groźnych chmur,  
chłostany wiatrem, który z wielką siłą rozwiewał mu pelerynę.

Przyklęknął, wyciągnął rękę i zdarł z Asha węzowy amulet, który  
młody czarownik otrzymał od ojca. W tej pozycji Ash nie miał jak go  
powstrzymać.

Montaigne cisnął amulet za siebie, a ten z brzękiem uderzył w ka-  
mienną posadzkę.

– No, no, Adam Freeman – odezwał się król takim tonem, jakby nie  
wierzył w prawdziwość tego imienia. – Widzę, że znowu jesteś bez  
obręczy. Jak to się mogło stać?

Ash nie potrafił wymyślić nic, co mogłoby mu pomóc, więc milczał.

– Jak to się dzieje, że odkąd przybyłeś do Ardencourt, spadają na mnie same nieszczęścia?

Ash oceniał dzielącą ich odległość, a jednocześnie szukał stopami stabilniejszego oparcia. Gdyby mógł pewniej postawić stopy, podciągnąłby się i chwycił króla za kostki. Spadłby, ale Montaigne wraz z nim, a w tym momencie taka perspektywa wydawała się kusząca. Zwłaszcza że Jenna nie żyła.

Ale gdyby go nie uchwycił albo nie utrzymał...

Nie doczekawszy się odpowiedzi Asha, król ciągnął:

– Pożar w kuchni, węże w moim łóżku, trucizna w miodzie, a teraz ten smok na wieży. Naprawdę, zaczynam się czuć jak obiekt zarażonych ataków.

*Niech mówi jak najwięcej, kupię sobie trochę czasu,* myślał Ash.

– Może już pora pogodzić się ze Stworzycielem – powiedział. – Przyjrzeć się swojemu dotychczasowemu życiu i...

– Jak śmiesz bezcześcić imię Stworzyciela! – gruchnął Gerard. – Nie jesteś godzien!

*...ale nie podjudzaj go za bardzo, bo zakończy sprawę już teraz.*

Ash zwisał w milczeniu, jakby odczuwał skruchę.

– Byłem zmuszony pozbyć się mojej ukochanej Estelle – Montaigne znowu mówił lodowatym spokojnym głosem. – Kochałem ją, ale kiedy zrozumiałem, że została zdeprawowana, musiałem ją poświęcić. – Zamilkł, jakby zbierał myśli.

Większość trucizn Asha została w porzuconej obręczy. Ale nie wszystkie. Jedną ręką trzymając się mocno gargulca, drugą wsunął do kieszeni peleryny i macał tak długo, aż znalazł to, czego szukał – igłę w skórzanym pokrowcu. Rozerwał pokrowiec zębami.

– Ale to nic wobec tych ostatnich katastrof. Tanowie już się buntują. Zawsze narzekali, że muszą płacić za tę świętą wojnę przeciwko północnym gusłom i czarom. Potem Delphi wpada w ręce bandy górników, w przystani eksplodują statki, a do tego smok atakuje zamek. Wtedy zrozumiałem.

– Coście zrozumieli? – zapytał Ash.

– Wtedy zrozumiałem, że ty za tym stoisz.

– Hm, chociaż chciałbym przypisać sobie te zasługi, nie widzę w tym wszystkim mojej winy. – *No, może z wyjątkiem dwóch ostatnich przypadków*, ale tego Ash nie miał zamiaru wyjawiać.

– Nie nazywasz się Adam Freeman – stwierdził Montaigne triumfalnym tonem. – Mam rację?

Ash spojrzał mu w twarz. Nagle zapragnął stawić czoła królowi Ardeni, nie ukrywając się już w cudzej skórze.

– Tak, macie rację.

– Myślałeś, że jak długo uda ci się mnie zwodzić?

– Na tyle długo, by was zabić. Miałem taką nadzieję.

– Powinienem był to od razu zauważyć. – Montaigne kręcił głową. – Mogę to tłumaczyć tylko tym, że Niszczyciel zaćmił mi wzrok. Wtedy, kiedy wyszedłeś z płomieni i przywróciłeś życie piekarzowi... już wtedy powinienem był wiedzieć. To nie było naturalne. Potem dostałeś się do służby medycznej, żeby znaleźć się bliżej dziewczyny z magicznym znakiem.

– To wy kazaliście mi się nią zająć.

– Oślepiły mnie czary. W przeciwnym razie poznałbym się na tobie. Ale dzisiaj zrobię to, co trzeba było zrobić już dawno. – Zamilkł, jakby się starał budować napięcie. – Zabiję cię.

Ash miał mętlik w głowie. To wszystko nie miało sensu. Rozsądniej byłoby wziąć go na zakładnika. Albo złamać serce jego matce, poddając go torturom.

Nie zdziwiłoby go też, gdyby król chciał wysłać fragmenty jego ciała rodzinie w szkatułce, tak jak to zrobił z Haną.

– I tak przegracie – oświadczył. – Nieważne, ilu z nas zabijecie, nigdy się nie poddamy. Zapłacicie za zamordowanie mojego ojca i siostry, zapłacicie też za Jennę. Nie powinniście byli wdawać się w wojnę z królowymi z rodu Szarych Wilków.

Król jednak zdawał się go nie słyszeć.

– Przygotuj się na odkupienie, demonie! – Opuścił ręce, by umieścić kamionkowe naczynie nad głową Asha.

To był ten wyczekiwany moment. Ash szybkim ruchem wbił igłę w przedramię Montaigne'a. Ten nawet tego nie zauważył.

Ash wyciągnął igłę i upuścił ją. Odetchnął z ulgą. Zrobione. Nareszcie.

– Przygotuj się na odkupienie, demonie! – powtórzył król, wyraźnie urażony brakiem odpowiedzi.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Ash.

Król potrząsnął naczyniem. Coś w środku zachlupotało.

– To olej – uśmiechnął się. – Jedyнным sposobem na zabicie demona jest spalenie go.

Ash zaczął żałować, że nie użył szybciej działającej trucizny.

Gdyby marzenia były rumakami, to żebracy byliby jeźdźcami.

Montaigne mamrotał coś pod nosem.

– Że też nie zauważyłem. – Znowu skupił uwagę na Ashu. – Wiesz, myślałem, że wy wszyscy macie rude włosy.

Ash spoglądał na niego zaskoczony. W jego rodzinie on był jedyną osobą z prawdziwie rudymi włosami.

– Jak to „my wszyscy”?

– Demony.

– Demony? – Ash omal nie zaniemówił. – Zaraz... myślicie, że ja naprawdę jestem demonem?

– To był mój błąd, że zgodziłem się używać magów do walki i w ten sposób naruszyłem prawa Stworzyciela – rzekł Montaigne. – Byłem przekonany, że aby wygrać, trzeba używać czarów przeciwko czarom. Ale teraz wiem, że to tylko otworzyło drzwi dla grzechu i nieprawości. Tak już jest z demonami: trzeba je zaprosić. Powinienem był słuchać ojca Fosnaughta i spalić cię od razu. Ale od dzisiaj wszystko się zmieni. Wyślę agentów Dłoni do każdego zakątka imperium i oczyszczą nasze ziemie ze wszystkich skażonych. Zacznę od ciebie.

Uniósł dzbanek i wylał zawartość na głowę Asha, przy okazji oblewając całego siebie. Odrzucił naczynie, podszedł do ściany i wyjął pochodnię z uchwytu.

Wrócił na miejsce przy krawędzi. W blasku płomieni jego twarz wyglądała niczym oblicze potępieńca.

– Na wielkiego świętego! – zawołał, unosząc pochodnię obiema dłońmi. – Giń, demonie!

Jednak pochodnia nie opadła. Zamiast tego ktoś chwycił króla za rękę i opuścił ją, tak że płonąca głownia dotknęła królewskich szat. Montaigne wrzasnął i zachwiał się; jego ręce i nogi ruszały się z taką prędkością, że ledwie było je widać, kiedy runął z platformy. Ash przywarł płasko do muru, by nie zderzyć się z królem, który przeleciał obok niczym spadająca gwiazda. Jego wrzask umilkł gwałtownie, gdy ciało zetknęło się z ziemią.

– Giń, demonie – mruknął Ash. Ostrożnie uniósł głowę i wyjrzał ponad krawędź.

– Jesteście cali i zdrowi?

Na chwilę zaniemówił. To była królowa Marina, w koszuli nocnej, z włosami splecionymi w długi warkocz. Wyglądała bardzo młodo.

– Jesteście zdrowi? – powtórzyła lekko zniecierpliwiona. – Chyba nie mamy dużo czasu.

– T... tak – wychrypiał Ash.

Rzuciła mu linę.

– Proszę, złapcie się tego ostrożnie i owińcie sobie wokół pasa. Nie chciałabym was stracić, po tym jak tyle wytrzymaliście.

Ash złapał za linę i choć ręce miał tłuste, zdołał się wdrapać po ścianie i przeczołgać na brzuchu przez krawędź. Leżał tak przez chwilę, a potem obrócił się na plecy i wstał.

Królowa Marina pomachała mu przed oczami jego amuletem.

– To chyba wasze?

Ash dosłownie wyrwał jej go z ręki i natychmiast przełożył sobie łańcuch przez głowę. Z przyjemnością poczuł dotyk metalu na ciele. Po jego głowie i szyi spływał olej.

Podczołgał się do krawędzi i spojrzął w dół na roztrzaskane ciało króla. Montaigne spadł na wewnętrzny dziedziniec i leżał tam przez nikogo niezauważony. Ash spodziewał się, że śmierć wroga sprawi mu więcej satysfakcji, a tymczasem czuł jedynie żal i ulgę. Żal z powodu tych wszystkich, którzy przez tego okrutnego króla zbyt wcześnie odeszli. I ulgę, że nareszcie ten rozdział został zamknięty.

Marina podeszła do niego, spojrzała w dół i wzdrygnęła się.

– Dzięki Stworzycielowi, nie żyje – powiedziała drżącym głosem. – Już zaczynałam myśleć, że jest nieśmiertelny.

– Ale... jak to... – Ash nie mógł złożyć sensownego zdania.

– Od lat byłam ulubionym celem jego ataków – mówiła królowa, bezwiednie pociągając za końce rękawów. – Ciągłe miałam nadzieję, że ktoś zabije tego drania. Gdyby to się stało w miarę szybko, mogłabym zostać regentką i rządzić w imieniu księcia Jarata. Umiem czekać na właściwy moment. Ale ostatnio... ostatnio król obrał sobie za cel Madeleine. Wiedziałam, że przyjdzie czas, kiedy nie będę już w stanie jej chronić. A więc rok temu postanowiłam sama go zabić. Musiałam to zrobić w taki sposób, żeby nikt tego ze mną nie powiązał. – Uśmiechnęła się do niego niepewnie. – Jestem z Tomlinów. Można by pomyśleć, że się do tego nadaję, ale to się okazało trudniejsze, niż przypuszczałam. Wąż wydawał się idealny, ale... – Wzruszyła ramionami. – Naprawdę przykro mi z powodu Estelle. Nie chciałam, żeby za to zapłaciła.

Ash przypomniał sobie, co powiedział, kiedy Lila obwiniała go o ten zamach. Że albo niedoszły zabójca jest amatorem, albo ktoś chce zwiększyć czujność króla.

– A pitny miód? To też wasze dzieło?

Skinęła głową.

– Ale... dlaczegoście to wypili, skoro wiedzieliście, że w tym jest trucizna?

– To była chwila słabości. Zaczynałam już myśleć, że nigdy się go nie pozbędę. Kiedy zobaczyłam, że król nie ma zamiaru nawet umoczyć ust, postanowiłam sama to wypić. Gdybym przeżyła, nikt by mnie nie podejrzewał. Gdybym zmarła, nie musiałabym już dłużej żyć z tym podłym uzurpatorem. Niestety, jesteście zbyt dobrym uzdrowicielem.



Ash przypomniał sobie, w jaki sposób Montaigne zwrócił się do żony przed ucztą w Święto Malthusa. „Ty głupia tamrońska dziwko”.

– I co teraz? Myślicie, że będą was podejrzewać?

Potrząsnęła głową.

– Raczej nie. Wszyscy w Ardenie uważają mnie za popychadło króla. Poza tym w ostatnich tygodniach coraz częściej miewał zmienne nastroje. Po tym ataku naprawdę coś się z nim stało... nigdy jeszcze go takim nie widziałam. Nikt nie będzie zdziwiony, że odebrał sobie życie.

– To mogło być działanie żywego srebra – stwierdził Adam.

Marina zmarszczyła czoło.

– Co to znaczy?

– Wsunąłem to do worka z diamentami, który przysłała mu cesarzowa. To związek rtęci, wydobywany z gorących źródeł na Północy. Kiedy się go ogrzewa, wydziela trujące opary. Powiedziałem królowi, że to biała magia, która odpędza demony. Miałem nadzieję, że nawet jeśli go to nie zabije, jego stan pogorszy się na tyle, że wezwie mnie jako uzdrowiciela.

Marina się roześmiała.

– Ilu asasynów potrzeba, żeby zabić króla?

– A więc teraz wasz syn zasiądzie na tronie?

– Tak. – Przygryzła wargę. – Mam tylko nadzieję, że będzie przyjmował moje rady. – Wskazała mu schody. – Chyba powinniście już iść. Niedługo ktoś się tu zjawi, żeby sprawdzić, co się stało. Przekażcie moje pozdrowienia waszej matce królowej. Powiedzcie, że nigdy nie zapomnę, jak pięknie wyglądała na swoim przyjęciu z okazji dnia

imienia... taka piękna i silna, i pewna siebie. Zawsze była dla mnie wzorem do naśladowania.

Ash szedł już w kierunku schodów, lecz te słowa sprawiły, że się zatrzymał.

– Wiecie, kim jestem. – Niespodzianki nie robiły już na nim wrażenia.

Marina uśmiechnęła się.

– Wiem od Przesilenia. Wbrew temu, co się może wydawać... nie jestem głupia.

**DROGI SIĘ ROZCHODZĄ**

W pierwszych dniach po ataku na zamek Ash prawie w ogóle nie spał. Przeczesał miasto w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów Jenny, żywej lub martwej. Wypytywał ludzi, którzy zbierali na ulicach pa-miątki po tym wydarzeniu – fragmenty murów, dachówki i inne szczątki. Niektórzy obudzili się, kiedy smok uderzył w górne piętra wieży – podobno aż dwa razy.

Niedługo potem widziano go, jak odlatywał z zamku i kierował się na wschód, ku morzu. Krążyły słuchy, że po drodze palił całe wioski; że w górach na północ od Delphi zbiera się cała armia smoków; że widziano królową wiedźmę w powozie ciągniętym przez smoki na nie-bie; że smoki zaatakowały statki w dokach i zniszczyły jeden z nich.

Oficjalna wersja – iż te szkody spowodowała bomba podłożona przez partyzantów z Felis – nie zyskiwała posłuchu.

Destin Karn został wyznaczony do przeprowadzenia śledztwa w sprawie śmierci króla. Sprawę szybko umorzono, gdyż nie znale-ziono żadnych dowodów przestępstwa. Oficjalny werdykt brzmiał: król uległ tragicznemu wypadkowi, kiedy oceniał uszkodzenia bu-

dynku. Nieoficjalna przyczyna śmierci: samobójstwo. Ash kilka razy próbował spotkać się z Karnem, ale ten zdawał się go unikać.

Wyglądało na to, że Karn coś wie, ale naciskanie go było zbyt ryzykowne, zwłaszcza że sam Ash także odegrał w tych wydarzeniach pewną rolę.

Królowa była uroczą i łaskawą wdową. Zaraz po śmierci króla wydała wiele ułaskawień i rozporządzeń, między innymi takie, na mocy którego Adam Freeman został pozbawiony obręczy w uznaniu jego zasług dla Korony.

Ash i Lila obserwowali koronację Jarata z galerii. Uroczystość była skromna i dość pośpieszna jak na wydarzenie takiej wagi. Jarat wyraźnie nie chciał dać zbuntowanym tanom czasu na wystawienie innego kandydata. Podczas uczy, która się później odbyła, następca tronu wyglądał iście królewsko: wysoki, ciemnowłosy, przystojny. Po jednej jego stronie siedział ojciec Fosnaught, po drugiej lord Bote-tort, któremu towarzyszyła córka. Królowa i księżniczka zajmowały miejsca pośrodku stołu. Generał Karn nadal przebywał w terenie, gdzie walczył z lordem Matelonem. Destina Karna nie było w mieście.

Środki bezpieczeństwa zaostrzono do granic możliwości. Sewerzy sprawdzali każde danie, nim skosztował go nowy król. Pewne rzeczy się nie zmieniały.

Ash i Lila spakowali już swoje bagaże i przenieśli się do gospody poza terenem podzamcza. Lila tłumaczyła swój wyjazd tym, że musi zdobyć w Felis towary na handel. Ash wymyślił historyjkę o czekającym go stanowisku uzdrowiciela w Bruinswallow. Nikt nie cieszył się bardziej z wyjazdu Asha niż mistrz Merrill.

– To bardzo rozsądne, chłopcze, zdobyć trochę doświadczenia, zanim zaczniesz praktykować w tak wymagającym otoczeniu jak tutaj.

Ciężka praca to jedyna droga do rozwoju.

Na prowincji jest wiele potrzeb i standardy nie tak wysokie jak tutaj. Ash kiwał głową, jakby zapamiętywał przekazywane mu mądrości.

– Może, gdy już zdobędę doświadczenie, mógłbym wrócić do Ardenscourt i...

– Nie! – wybuchnął Merrill. Zaraz jednak się opanował. – Szkolenie wymaga czasu, a ja już poświęciłem ci go tyle, ile mogłem.

Miło, że chociaż Harold i Boyd zmartwili się odejściem Asha. Boyd podarował mu nóż z rzeźbionym trzonkiem, a Harold książkę, którą ukradł z biblioteki uzdrowicieli. Ash udawał, że nie rozumie, kiedy czynili nieśmiałe aluzje do tego, że chętnie wybraliby się razem z nim.

– Wy dwaj dużo już umiecie – powiedział. – Gdybyście chcieli nauczyć się więcej, powinniście pomyśleć o akademii w Oden's Ford.

– Oden's Ford! – Harold szeroko otworzył oczy. – Przecież to dla błękitnokrwistych.

– Akademia jest dla wszystkich, którzy chcą się uczyć – odparł Ash, zarzucając sobie na ramię zestaw uzdrowiciela. – Powodzenia.

W przeddzień wyjazdu Ash i Lila omawiali plany podróży przy kolacji w gospodzie.

– Naprawdę wracasz ze mną? – Lila otarła usta. – Nie wrzucisz mi nic do wina i nie porzucisz przy drodze, co?

Ash zaprzeczył ruchem głowy.

– Czas wracać do domu. – Wsunął dłoń pod koszulę, gdzie obok węzowego amuletu przechowywał wisiołek od Jenny. Oba były symbolami utraty kogoś bliskiego.

– Czemu zmieniłeś zdanie?

– Czas spędzony w Ardenie chyba osłabił moją więź z własnym krajem.

To była tylko część prawdy, rzeczywistość była znacznie bardziej skomplikowana. Cztery lata wcześniej uciekł i pozostawił mamę i siostrę, by samotnie przeżywały śmierć jego ojca. Przez cztery lata żył, jak chciał, tłumacząc sobie, że robi to dla dobra królestwa, i nawet nie zastanawiając się, czego rodzina może od niego chcieć lub potrzebować. Był egoistą i tchórzem, a utrata Jenny wydawała się karą za te grzechy.

Może on na to zasłużył, ale Jenna na pewno nie. Przed jej śmiercią miał zamiar zabrać ją do domu. Teraz jego powrót wydawał się naturalną i właściwą decyzją. Miał wiele do nadrobienia, o ile to w ogóle było możliwe.

Czasami dom jest jedynym miejscem, w którym można znaleźć uzdrowienie.

Czas miał pokazać, czy Arden pod rządami króla Jarata zmieni swoje wrogie nastawienie. Tymczasem Asha czekało wiele spraw do załatwienia na własnym podwórku.

– Żałujesz, że nie udało ci się samemu zabić Montaigne’a? – zapytała Lila.

Ash zastanowił się chwilę.

– Chciałem jego śmierci, przyznaję. Myślę, że świat bez niego jest lepszy. Ale zaczynam rozumieć, że zemsta nigdy nie daje takiej satysfakcji, jakiej się spodziewamy. Czasami cena jest za wysoka.

W tym ciągu zdarzeń pobrzmiwał jednak chichot losu. Gdyby Ash nie przybył do Ardencourt, by zabić Montaigne’a, nie poznałby Jenny. Nie zakochałby się w niej i może ona nadal by żyła.

– Ale udało nam się nie dopuścić do sojuszu Ardena z Kartezją. To już coś.

– Tak, to już coś – przyznał Ash, obracając kufel w rękach. Owszem, mieli prawo do satysfakcji, lecz on miał wrażenie, że ten drobny sukces nie ma żadnego znaczenia.

– Pozostaje jeszcze dużo niewyjaśnionych spraw. Na przykład smok – zauważyła Lila.

Ash wzruszył ramionami.

– Myślę, że może już nie żyć. Miał potężny pancerz, ale mimo wszystko... tak się wbić w kamienny mur zamku... musiał się mocno poranić. Może gdzieś się zaszył, żeby spokojnie umrzeć. – Po chwili dodał: – Dziwne.

– Co cię tak dziwi?

– Zwierzęta zwykle zachowują się rozsądnie. Tylko ludzie walą głową w kamienny mur.

– Ciekawe, czy się kiedyś dowiemy, dlaczego cesarzowej tak zależało na zdobyciu Jenny.

– Czasem się zastanawiam, czy ta cesarzowa nie jest jakimś wymysłem, legendą, którą Strangward się posłużył, żeby dostać, co chciał.

– Czyli co? – Lila uniosła brew.

– Nie wiem.

– Wiesz coś o...

– Nie.

– Czy to możliwe, że Kartezjańczycy ją porwali? Wiesz, dwa ich ciała znaleziono w jej komnacie. Sam Strangward zniknął.

– Wszystko jest możliwe, ale nawet gdybym wiedział, co się stało, nie wiedziałbym, gdzie zacząć poszukiwania.

– Przykro mi z powodu Jenny. – Oczy Lilii pociemniały od współczucia. – Jeśli chcesz tu jeszcze trochę zostać i się rozejrzeć, mogę poczekać.

Ash pokręcił głową.

– Do tej pory już byśmy coś wiedzieli – rzekł. – Nawet w środku nocy ktoś powinien był coś widzieć.

– Pamiętasz, co ci powiedziałam w Oden's Ford o nadziei?

Ash skupił się, usiłując sobie to przypomnieć.

– Chociaż naprawdę doceniam wartość każdego słowa, które pada z twoich ust, to nie...

– Nadziei nie da się ujarzmić regułami ani wcisnąć pod but przykrych doświadczeń. To błogosławieństwo i przekleństwo zarazem. – Lila uniosła kufel. – Za nadzieję.

– Za nadzieję. – Stuknęli się kufłami.

– A teraz do domu – powiedział Ash.



## EPILOG



Tymczasem w innej tawernie, w odległym mieście portowym o nazwie Brama Duchów, Evan Strangward zabijał czas, popijając piwo i grając sam ze sobą w karby i kości. Otoczył swój wygląd zaklęciem, tak że dla wszystkich poza swoim strażnikiem był ciemnoskórym czarnowłosym podróżnym z We’enhaven.

Zatrząsał się z zimna i postawił kołnierz. Siedział blisko drzwi, więc przy każdym ich otwarciu odczuwał silny powiew wiatru od oceanu Indio. Wybrał to miejsce świadomie, żeby nie przeoczyć nikogo z wchodzących i wychodzących.

Za długo już przebywał na tych mokrych terenach. Z radością wróci na spieczoną słońcem ziemię, które nazywał swoim domem. Z wielu powodów.

Obrócił się na dźwięk znajomych kroków. To był Teza. Tylko Teza. Tego się spodziewał, w zasadzie tego oczekiwał, ale i tak poczuł rozczarowanie.

– Mój panie – westchnął Teza, z ulgą opuszczając barki. – Dzięki Stworzycielowi.

Evan uśmiechnął się.

– Och, Teza. Nie wyobrażam sobie, żeby Stworzyciel opiekował się takimi jak ja. Przynajmniej jak dotąd tego nie zauważyłem. – Wstał, rozłożył ramiona i uścisnęli się na powitanie.

– Destin nie chciał przybyć z tobą? – zapytał Evan, siadając.

– Powiedział, że będzie wam bardziej przydatny w Ardencourt.

– Nie, jeśli będzie martwy.

– Mówi, że nie planuje być martwy, panie. – Teza usiadł na wolnym krześle.

*Nie chcę, żeby był mi przydatny, pomyślał Evan. Chcę, żeby o mnie zapomniał. Chcę, żeby zabił tego swojego ojca potwora, wyjechał z Ardeny i znalazł sobie dom nad morzem. Chcę, żeby był szczęśliwy.*

– Nasze plany nie stwarzają problemów – powiedział. – To knowania innych są groźne. Dałeś mu pieniądze?

Teza wyciągnął rękę z małą sakiewką.

– Próbowałem, ale odmówił.

Evan znowu nie był zaskoczony, lecz rozczarowany. Skinął na obsługę.

– Straciliście na wadze, panie – zauważył Teza. On sam też miał zapadnięte policzki i wyglądał na zmęczonego.

– Zawsze musisz zrzedzić. To pewnie przez to jedzenie z mokrej gleby. Zaraz nam się poprawi, jak tylko wrócimy do solonego mięsa, chleba podróznego i racji rumu.

– Kiedyście tak długo nie wracali – rzekł Teza – ja... nie wiedziałem, co mogło się stać.

– Zwykle podróżuję dużo szybciej morzem niż ty lądem, ale w Międzymorzu wpadłem w tarapaty i musiałem żeglować dalej na północ, żeby przybić do brzegu.

– Cesarzowa?

Evan przytaknął.

– W całym porcie roilo się od szpiegów Cele. Myślę, że ona zamierza sama się wybrać na poszukiwanie dziewczyny. Wszystko na to wskazuje. Miałem nadzieję, że wyruszę stamtąd, ale to było za duże ryzyko.

– Musimy stąd zniknąć, zanim tu przybędzie.

– Podejrzewam, że uda się do Zatoki Bastońskiej. Ona zawsze uderza prosto w serce.

Do stolika podeszła służąca.

– Dwa piwa i dwa placki z baraniną – powiedział Evan.

– Moje ulubione – uśmiechnął się Teza, gdy dziewczyna odeszła.

– Zorganizowałeś statek?

Teza skinął głową.

– Dwumasztowy szkuner. Nie dorównuje Duchowi Słońca, ale myślę, że wystarczy.

– Ilu naszych straciliśmy? – zapytał Evan. – Nie będzie nas za mało, żeby płynąć szkunerem?

– Ephraim i Trey zginęli na statku. I dwie osoby w wieży.

– Nie chciałbym wynajmować przypadkowej załogi. Zadaje za dużo pytań i potem za dużo gada. Będziemy musieli dać sobie radę z tym, co mamy. – Po chwili zapytał: – Czy Des powiedział ci coś więcej o wydarzeniach na przystani?

Teza się skrzywił.

– To wygląda, jakby ktoś rozsypał elementy układanki, które w ogóle do siebie nie pasują. Ephraim i Trey byli w sterowni. Ich ciała zostały pokłute i ponacinane, a do tego najwyraźniej pozbawione

krwi jeszcze przed wybuchem. Dookoła ładowni i w środku leżało siedmiu martwych kapłanów.

– Kapłanów? – Evan odchylił się na krześle, odpychając się dłońmi od stolika.

Teza skinął głową.

– Większość paskudnie poparzona. Jakby próbowali zejść do ładowni, ale smok jakimś cudem pozbył się obręczy i zionął w nich ogniem. A potem uciekł.

– Hmm. Mamy tu konflikt doktrynalny.

– Jak to rozumieć, panie?

– Kościół pali magów, a smoki kapłanów.

– Ano tak.

Evan westchnął. Destin zrozumiałby to w lot. Teza był mu szczerze oddany, ale pod względem poczucia humoru nie nadawał na tych samych falach co Evan.

– Wydaje się, że ktoś, kto zna się na rzeczy, użył materiałów wybuchowych do wysadzenia statku. – Teza położył na stoliku swoją torbę i otworzył ją. – Destin znalazł w ładowni dwie obręcze. Oto jedna z nich. – Wyjął obrożę, której używali do obezwładniania smoka. – A to druga. – Podał swemu panu inną srebrną obręcz, w mniejszym rozmiarze.

Evan stuknął palcami w wyryte w srebrze runy.

– Skąd ja to znam?

– Destin twierdzi, że to jest obręcz, którą nosił uzdrowiciel.

– Uzdrowiciel? – Evan nie przypominał sobie żadnego uzdrowiciela.

– Ten mag z obręczą na spotkaniu. Ten odpowiedzialny za „magiczne zagrożenia”. A skoro mowa o zagrożeniach, jest tu trochę cie-

kawych dodatków. – Wskazał obręcz podbródkiem.

– Aha. – Obręcz była typowym magicznym artefaktem, ale po wewnętrznej stronie miała przymocowane niewielkie fiolki i sakiewki. – Coś mi mówi, że nie są to medykamenty. – Evan kręcił głową w zamyśleniu. – Co on robił na moim statku? Przecież ledwie zamieniliśmy kilka słów.

– Ktoś nie chciał dopuścić, żebyśmy zawarli umowę z Montaigne’em – stwierdził Teza.

– Raczej żeby cesarzowa zawarła umowę z Montaigne’em – zauważył Evan. – Czy to mogli być agenci Felis?

– Tak myślą mieszkańcy. Wszyscy na prowincji wpadli w trwogę i rzucili się do świątyń. Boją się, że wilcza królowa naśle na nich więcej smoków.

– Któregoś dnia będę musiał poznać tę królową demona i przekonać się, czy rzeczywiście zjada niemowlęta na kolację – stwierdził Evan. *Może popłynę na północ zamiast na wschód*, pomyślał.

– Poczekajcie, aż Felis pozna cesarzową.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. – Uśmiech Evana powoli gasł. – Chciałbym się mylić. – Chrząknął. – Wiadomo, kto zabił Montaigne’a?

– Krążą plotki, że sam się zabił. Ostatnie wydarzenia bardzo go przygnębiły i ponoć trochę mu się w głowie pomieszało.

– Jeśli to prawda, to byłaby pierwsza dobra rzecz, jaką zrobił. Ale coś nie chce mi się w to wierzyć. W końcu ktoś go dopadł. – Uniósł swoje piwo. – Za martwego Montaigne’a.

– Za martwego Montaigne’a – powtórzył Teza i stuknęli się kufkami. – A więc to nie była całkowita porażka. Montaigne nie żyje, nie dopu-

ściliśmy do tego, żeby magicznie naznaczona dziewczyna wpadła w ręce cesarzowej. To już coś.

– Ale Jenna Bandelow też nie żyje, a my nie wiemy nic więcej ponad to, co już wiedzieliśmy. Nie wiemy nawet, na czym polegała jej moc.

– Evan przesunął palcami po własnym karku, by dotknąć osadzonego tam symbolu. Był inny niż znak Jenny, a jednak w jakiś sposób podobny, zakorzeniony w tej samej magii, tej samej historii.

– Nie wyście ją zabili, mój panie.

– Gdybym się nie wtrącał, nadal by żyła.

– Nie wiadomo, jak długo. W każdym razie nie mogliśmy ryzykować, że cesarzowa ją znajdzie. Nie wolno nam dopuścić, by Celestyna stała się jeszcze potężniejsza.

Przyniesiono im jedzenie. Evan poczekał, aż służąca się oddali, a potem znowu ściszył głos:

– Czemu moje życie ma mieć większą wartość niż życie Jenny? Ona była mądra i dzielna! Myślę, że mogliśmy zostać przyjaciółmi. Wydaje mi się, że powinniśmy być po tej samej stronie. Co innego zabić kogoś, bo wie za dużo, a co innego zabić kogoś tylko dlatego, że nie umie nam dostarczyć odpowiedzi, których sami nie znamy.

– Co według was zrobi Cele, kiedy dowie się, że dziewczyna nie żyje?

– To, co zawsze. Znowu się zajmie ściganiem mnie. Może powinienem wreszcie to skończyć i zaaranżować spotkanie.

– Nie! – zaproponował Teza nieco zbyt głośno. Rozejrzał się. Kilka osób obejrzało się w ich stronę, lecz szybko wróciły do swoich posiłków. – Panie mój – powiedział miękko – nikt nie może was winić za to, że próbujecie przeżyć.

– Nikt poza mną samym – stwierdził Evan. – Zawsze narażam tych, których kocham. – Zamyślił się. – Robi się późno – rzekł w końcu. –

Zbierajmy się i zaprowadź mnie na ten statek, który znalazłeś. Musimy się przygotować, bo niedługo odpływ.

## PODZIĘKOWANIA



Zmiany podobno są czymś dobrym. Może. Mnie nigdy nie przychodziły łatwo. Nie jestem dziewczyną, która odchodzi, jestem tą, którą się porzuca. A mimo to rozpoczynam nowy cykl u nowego wydawcy.

Na szczęście w tym niewielkim kręgu, w którym funkcjonują wydawnictwa, pewne dobre rzeczy są trwałe, a inne się powtarzają. Akcja mojego nowego cyklu rozgrywa się w znanym świecie Felis, w którym jednak nie chcielibyśmy się znaleźć.

Nadal korzystam z mądrych rad mojego agenta, Christophera Schellinga, który co prawda pozbył się już wszelkich zewnętrznych śladów łączących go z Ohio, ale wciąż ma wielkie serce mieszkańca Środkowego Zachodu. Moi agenci do spraw sprzedaży praw autorskich za granicę, Chris Lotts i Lara Allen, zasługują na podziękowania za to, że rozszyfrowują to, co nie do odszyfrowania.

Zespół HarperCollins przyjął mnie bardzo serdecznie. Ruszam w tę nową podróż z moją przyjaciółką Abby Ranger w roli starszego redaktora. Pracowałam z nią już w wydawnictwie Hyperion, które wydało pierwszy cykl moich książek. Abby potrafi poruszyć te struny, które tylko czekają na wydanie dźwięku w naszych sercach. Jej sugestie na ogół rozbrzmiewają głośnym echem.



Mam duże szczęście do autorów okładek. Dzięki projektantce Erin Fitzsimmons i ilustratorce Sashy Vinogradovej ta dobra passa mnie nie opuszcza. Okładka amerykańskiego wydania *Zaklinacza Ognia* urzeka swoją urodą i blaskiem. Kierownik do spraw graficznych Amy Ryan nadzorowała proces tworzenia tej okładki, cierpliwie zajmując się ledwie widocznymi demonami i na każdym etapie przydając blasku całości tej pracy.

Nie da się przecenić znaczenia pracowników działów sprzedaży, marketingu i reklamy, dzięki którym moje książki trafiają do czytelników. Należy do nich specjalistka od reklamy Lindsey Karl, zespół marketingowy Nellie Kurtzman (kolejna znajoma twarz!) i Jenna Lisanti, a także sekretarz redakcji i wiceprezes do spraw sprzedaży Andrea Pappenheimer. Oni wszyscy sprawili, że czuję się jak ryba w (wydawniczej) wodzie.

Jak zawsze dziękuję mojemu mężowi Rodowi, na którego niezmiennie mogę liczyć, moim synom i innym czytelnikom, którzy zapoznawali się z tym tekstem na wczesnym etapie jego powstawania, oraz wszystkim pisarzom, którzy przekazują mi swoje uwagi, wyrazy wsparcia i współczucia, mądre rady i raz na jakiś czas proponują lampkę wina. Wznoszę toast za Was wszystkich!